

BESTSELLER „THE NEW YORK TIMES” i „SUNDAY TIMES”

LUCY FOLEY

IDEALNY

ŚLUB

TO MIAŁ BYĆ IDEALNY ŚLUB.  
ZABIŁBYŚ, ŻEBY TAM BYĆ.

Uwielbiam tę książkę!

– **Alex Michaelides**

Autor *Pacjentki*

FILIA



LUCY FOLEY

IDEALNY

ŚLUB

Przełożyła  
Joanna Dziubińska

FILIA

Tytuł oryginału: The Guest List

Copyright © Lost and Found Books Ltd 2020

Copyright for the Polish edition © 2021 by Wydawnictwo FILIA

Więcej darmowych ebooków i audiobooków na chomiku [JamaNiamy](#)

*Dla Kate i Robbiego, najbardziej oddanego rodzeństwa, jakie można sobie wyobrazić ... Na szczęście ani trochę nie przypominacie tego z książki!*

## TERAZ

### *Po ślubie*

*Światła gasną.*

W ułamku sekundy wszystko ogarnia ciemność. Zespół przestaje grać. Goście pod namiotem zaczynają piszczeć i kurczowo trzymają się swoich partnerów. Światło świec na stołach tylko wzmaga zamęt, rzucając ruchome cienie na płócienne ściany. Nie widać, gdzie kto stoi, ani nie słyszą, kto co mówi: wściekła wichura zagłusza gości.

Na zewnątrz szaleje burza. Huczy wokół nich, targa namiotem. Z każdym uderzeniem cała konstrukcja wygina się i trzęsie, czemu towarzyszy głośnie rżenie metalu; weselnicy kulą się ze strachu. Klapy przy wejściu do namiotu wyrwały się z zapieć i gwałtownie trzepoczą. Płomienie zatkniętych przy nich parafinowych pochodni co chwilę przygasają.

Ta burza wydaje się personalna. Jak gdyby skumulowała całą swoją wściekłość specjalnie dla nich.

Nie po raz pierwszy zabrakło prądu. Ale ostatnim razem światła wróciły już po kilku minutach. Goście znów zaczęli tańczyć, pić, brać prochy, pieprzyć się, jeść, śmiać się ... i zapomnieli, że coś takiego w ogóle miało miejsce.

Jak długo trwa to tym razem? W ciemności trudno powiedzieć. Kilka minut? Piętnaście? Dwadzieścia?

Zaczynają się bać. Ten mrok ma w sobie coś złowieszczonego, umyślnego. Jak gdyby pod jego osłoną mogło zdarzyć się wszystko.

W końcu żarówki włączają się na nowo. Goście pohukują, krzyczą i klaszczą. Teraz czują się zawstydzeni tym, w jakich pozach zastała ich jasność: przyczajonych, jak gdyby szykowali się do odparcia ataku. Śmieją się z tego. Prawie udaje się im przekonać samych siebie, że wcale się nie bali.

Sceneria w trzech pomniejszych namiotach przyłączonych do głównego powinna wyglądać uroczyście, ale bardziej przypomina pole po bitwie. W głównej części jadalnianej na laminowanej podłodze widać kleksy zaschniętego wina, na białym płótnie rozciąga się szkarłatna plama. Każda powierzchnia zastawiona jest butelkami po szampanie - dowód licznych toastów i hucznego świętowania. Spod obrusa wystaje porzucona para srebrnych szpilek.

Irlandzka kapela w namiocie tanecznym znów zaczyna grać - to energiczna melodia, która ma przywrócić ducha imprezy. Wiele osób, pragnąc zmiany nastroju, biegnie na parkiet. Gdyby dobrze przyjrzeć się temu, gdzie stawiają kroki, można by dostrzec miejsca, w których ktoś przeszedł po potłuczonym szkle i zostawił za sobą krwawe ślady, które zaschły, tworząc rdzawe plamy. Nikt tego nie widzi.

Pozostali goście krążą po głównym namiocie i zbierają się w grupki, mgliści niczym wiszący w powietrzu dym papierosowy. Nie chcą tu zostać, ale nie chcą też opuścić namiotu, podczas gdy na zewnątrz szaleje burza. I nikt nie może opuścić wyspy. Jeszcze nie. Żadna z łodzi nie wypłynie w morze, póki wiatr nie ucichnie.

Na środku znajduje się ogromny tort. Przez znaczną część dnia stał tu w swej pełnej doskonałości, a dekoracja z cukrowych liści lśniła w świetle. Zaledwie kilka minut przed awarią goście zebrali się, by być świadkami jego uroczystego wybebeszenia. Teraz ze środka wyziera ciemnoczerwony biszkopt.

Nagle z zewnątrz dobiega nowy dźwięk. Można prawie wziąć go za wiatr. Ale jego ton i intensywność wzmagają się, aż staje się nie do pomylenia.

Wszyscy zamierają. Wpatrują się w siebie. Nagle znów się boją. Bardziej niż wtedy, gdy zgasły światła. Wiedzą, co słyszą. To krzyk przerażenia.

## DZIEŃ WCZEŚNIEJ

*Aoife*

*Organizatorka ślubów*

Przyjechali już prawie wszyscy. Wkrótce sprawy nabiorą rozpędu: wieczorem wyprawiamy kolację przedślubną z udziałem wybranych gości, więc cała impreza tak naprawdę zaczyna się dziś.

Schłodziłam szampana, żeby był gotowy do rozlania przed posiłkiem. To stary rocznik bollingera - osiem butelek, a do tego wino do kolacji i kilka skrzynek guinnessa - wszystko zgodnie z instrukcjami panny młodej. Choć moje zdanie się tu nie liczy, myślę, że to dość sporo. Ale w końcu to dorośli ludzie. Jestem pewna, że umiem się kontrolować. A może nie. Świadek pana młodego sprawia wrażenie problematycznego - tyczy się to właściwie wszystkich drużbów. A jeśli chodzi o druhnę, przyrodnią siostrę panny młodej, to widziałam ją, jak samotnie zwiedza wyspę - przygarbiona, chodząca szybkim krokiem, jakby próbowała od kogoś uciec.

W tym zawodzie poznaje się wszystkie pilnie strzeżone tajemnice. Widzi się rzeczy, do których inni nie mają dostępu. Słyszy się plotki, za które goście daliby sobie odciąć rękę. Organizatorka ślubów nie może sobie pozwolić na przeoczenia. Trzeba być czujnym na każdy szczegół, na wszystkie pomniejsze zawirowania pod powierzchnią. Gdybym nie zwracała na nie uwagi, jedno z nich mogłoby się przerodzić w silny prąd pływowy i zniszczyć wszystko, co od dawna planowałam. Jest jeszcze jedna rzecz, której się nauczyłam - czasem najśłabsze prądy powodują największe szkody.

Przechodzę przez pokoje pałacyku na parterze i zapalam w kominkach brykiety torfu, żeby zdążyły się dobrze rozpalić na wieczór. Freddy i ja zaczęliśmy zbierać i suszyć własny torf z mokradeł, tak jak robiono to przez wieki. Jego dymny, ziemisty zapach potęguje lokalny klimat. Gościom się to spodoba. Może mamy letnie przesilenie, ale noce na wyspie są chłodne. Stare kamienne mury pałacyku chronią przed upałami, ale niezbyt dobrze utrzymują ciepło w środku.

Dzisiejszy dzień był zaskakująco ciepły - przynajmniej jak na ten region - ale zapowiada się, że jutro wcale nie będzie podobnie. W końcu prognozy pogody, którą usłyszałam w radiu, wspominali o silnym wietrze. Doświadczamy tu najróżniejszej aury. Burze na wyspie często są gorsze, niż gdy dotrą na stały ląd, jak gdyby wyczerpały nad nami swoje siły. Wciąż świeci słońce, ale dziś po południu wskazówka na starym barometrze w

korytarzu przesunęła się z dobrej pogody na zmienną. Ściągnęłam go. Nie chcę, żeby panna młoda to widziała. Choć nie wygląda mi na taką, która łatwo panikuje. Powiedziałabym raczej, że szybko wpada w złość i szuka winnego. I wiem, kogo najchętniej wskaże palcem.

- Freddy - wołam do kuchni. - Zacznieš wkrótce szykować kolację?

- Jasne - odkrzykuje. - Mam wszystko pod kontrolą.

Dziś serwujemy potrawkę rybną inspirowaną tradycyjnym, rybackim chowderem, wywodzącym się z Connemary<sup>[1]</sup>: wędzona ryba, dużo śmietany. Jadłam go, kiedy po raz pierwszy odwiedziłam to miejsce, wtedy jeszcze zamieszkiwane przez ludzi. Danie podane dziś wieczorem będzie bardziej wyrafinowaną wersją zwyczajowego przepisu, bo nasi goście też są wyrafinowani. A przynajmniej myślę, że za takich się mają. Zobaczmy, co się będzie działo, kiedy alkohol uderzy do głów.

- Trzeba zacząć przygotowywać tartinki na jutro - wołam, odtwarzając w głowie listę zadań.

- Zajmę się tym.

- I tort. Musimy go złożyć odpowiednio wcześniej.

Ten tort jest niebywały. Tak jak powinien - wiem, ile kosztował. Panna młoda nawet nie mrugnęła okiem, słysząc cenę. Chyba jest przyzwyczajona do tego, że zawsze dostaje to, co najlepsze. Cztery poziomy ciemnoczerwonego biszkoptu red velvet otoczone śnieżnobiałym kremem i przyozdobione listkami z masy cukrowej pasującymi do zielonych dekoracji w kaplicy i w głównym namiocie. To potwornie delikatne i wykonane zgodnie z dokładnymi instrukcjami panny młodej dzieło dotarło tu aż z Dublina i pochodzi od bardzo ekskluzywnego cukiernika: przetransportowanie go ze stałego lądu było nie lada wyczynem. Oczywiście jutro zniknie. Ale przecież w ślubach chodzi o tę jedną chwilę. Ten jeden dzień. Wbrew temu, co się mówi, ceremonia nie jest najważniejsza.

W moim zawodzie aranżuje się szczęście. Dlatego właśnie zostałam organizatorką ślubów. Życie bywa zagmatwane. Wszyscy o tym wiemy. Czasem zdarzają się straszne rzeczy, o czym się przekonałam, kiedy byłam jeszcze dzieckiem. Ale bez względu na to, co się dzieje, życie to tylko seria dni. Nie jesteś w stanie kontrolować wszystkich jednocześnie. Ale jeden tak. Da się zaplanować dwadzieścia cztery godziny. Dzień ślubu to mały, równiutki odcinek czasu, w którym mogę stworzyć coś pełnego i pięknego, co przez lata budzi sentyment - jak perła z pękniętego naszyjnika.

Freddy wyłania się z kuchni w poplamionym fartuchu masarskim.

- Jak się czujesz?

Wzruszam ramionami.

- Szczerze mówiąc, jestem trochę zdenerwowana.



- Dasz radę, kochanie. Pomyśl tylko, ile razy już to robiłaś.

- Ale tym razem jest inaczej. Ze względu na to, o kogo chodzi. .. - Sprawienie, że Will Slater i Julia Keegan pobiorą się na naszej wyspie, było prawdziwym wyczynem.

Wcześniej pracowałam jako organizatorka imprez w Dublinie. Przeniesienie się tu było moim pomysłem, podobnie jak wyremontowanie sypiącego się, w dużej mierze zrujnowanego pałacu i przerobienie go w elegancką rezydencję z dziesięcioma sypialniami, jadalnią, salonem i kuchnią. Freddy i ja mieszkamy tutaj na stałe, ale gdy jesteśmy tylko we dwoje, wykorzystujemy zaledwie ułamek przestrzeni.

- Cii. - Freddy podchodzi bliżej i obejmuje mnie. Na początku nieco sztywnieję. Potrafię myśleć tylko o swojej liście zadań i mam poczucie, że to nie pora, by się w ten sposób dekoncentrować. Po chwili pozwalam sobie jednak rozluźnić się w jego objęciach, docenić jego krzepiące, znajome ciepło. Freddy jest dobry w przytulaniu. Ma sylwetkę misia. Lubi jeść - to jego praca. Zanim się tu przeprowadziliśmy, prowadził restaurację w Dublinie.

- Wszystko pójdzie świetnie - zapewnia mnie. - Obiecuję. Będzie doskonale. - Całuje mnie w czubek głowy.

Mam w tej pracy sporo doświadczenia. Nigdy jednak nie byłam aż tak zaangażowana w jakieś wydarzenie. Panna młoda dokładnie wie, czego chce. Pewnie kiedy prowadzi się własne czasopismo internetowe, jest to normą. Ktoś inny mógłby się zmęczyć jej wymaganiami. Mnie się jednak podobały. Lubię wyzwania.

Tak czy inaczej, wystarczy już o mnie. W końcu w ten weekend najważniejsza jest młoda para. Z tego, co wiem, panna młoda i pan młody nie są ze sobą długo. Ponieważ nasza prywatna kwatera też mieści się w pałacyku, dobrze ich wczoraj słyszeliśmy.

- Jezu - powiedział Freddy, kiedy leżeliśmy w łóżku. - Nie mogę tego słuchać. - Wiedziałaś, o co mu chodzi. Ciekawe, że czasem jęki rozkoszy brzmią jak wyraz cierpienia.

Wydają się w sobie bardzo zakochani, ale cynik mógłby rzec, że to nie z tego powodu bez przerwy się obłapiają. Może i bardzo się kochają, ale pożądają jeszcze bardziej.

Jesteśmy z Freddyem parą od prawie dwóch dekad i nawet teraz ukrywam przed nim pewne rzeczy. Jestem przekonana, że on robi tak samo. Aż człowiek zaczyna się zastanawiać, ile tych dwoje młodych naprawdę o sobie wie.

Czy znają swoje wzajemne mroczne sekrety?

**Hannah**

## *Osoba towarzysząca*

Przed nami unoszą się fale o białych grzywach. Na łódce trwa piękny, letni dzień, ale morze jest dość wzburzone. Opuściliśmy bezpieczną przystań na stałym lądzie zaledwie kilka minut temu, ale woda już zdołała ściemnieć, a fale urosnąć o kilkadziesiąt centymetrów.

Płyniemy na wyspę na jutrzejszy ślub. Jako „wyjątkowi goście” zostajemy tam na noc. Nie mogę się już doczekać. A przynajmniej tak mi się wydaje. Tak czy inaczej, przyda mi się teraz coś, co przyciągnie moją uwagę.

- Trzymajcie się! - To krzyk ze sterówki, za nami. Facet ma na imię Mattie. Zanim zdążymy zareagować, łódka podskakuje na jednej z fal i wbija się w grzbiet następnej.

Woda oblewa nas ogromnym łukiem.

- Chryste! - woła Charlie. Widzę, że z jednej strony zupełnie go przemoczyło, ale jakimś cudem ja jestem prawie całkiem sucha.

- Uwaga, może łać - woła Mattie.

Śmieję się, ale trochę z przymusu, bo naprawdę się przestraszyłam. Dziwny ruch łodzi - jednocześnie w przód, w tył i na boki - sprawił, że mój żołądek zaczął robić salta.

- Uff - wzdycham, czując ogarniające mnie mdłości. Myśl o podwieczorku, który zjedliśmy przed wejściem na pokład, nagle sprawia, że robi mi się niedobrze.

Charlie spogląda na mnie, kładzie mi dłoń na ramieniu i ściska je.

- O rany. Już się zaczęło? - Mam straszną chorobę morską. Właściwie to choruję w każdym środku transportu. A najgorzej było, gdy spodziewałam się dziecka.

- Mhm. Wzięłam kilka tabletek, ale prawie nic nie pomogły.

- Czekał - szybko mówi Charlie. - Jak poczytam ci o tym miejscu, to nie będziesz myśleć o tym, jak się czujesz. - Szuka czegoś w telefonie. Ściągnął sobie przewodnik - mój mąż, nawet po godzinach, to typowy nauczyciel. Łódź znów gwałtownie się podrywa i iPhone prawie wyskakuje mu z ręki. Przeklina i zaciska go w obu dłoniach. Nie stać nas na to, żeby kupić drugi.

- Nie ma tu za wiele - stwierdza przepraszającym tonem, kiedy już udało mu się załadować stronę. - Dużo o Connemarze, ale o samej wyspie ... może to dlatego, że jest taka mała ... - Wpatruje się w ekran, jak gdyby siłą woli chciał go zmusić, by pokazał coś ciekawego. - O, znalazłem coś. - Odchrząkuje, po czym zaczyna czytać głosem, który, jak się domyślam, stosuje podczas lekcji. - Inis an Amplóra, zwana w angielskim tłumaczeniu wyspą Cormorant, ma trzy i dwie dziesiąte kilometra średnicy i jest dłuższa niż szersza. To granitowa formacja skalna, majestatycznie wystająca z

Atlantyku kilka kilometrów od wybrzeża Connemary. Duże bagno złożone z torfu, przez miejscowych zwanego borowiną, pokrywa sporą jej część. Najlepszym i właściwie jedynym sposobem na to, żeby zobaczyć wyspę, jest wynajęcie prywatnej łódki. Wody w kanale pomiędzy lądem a wyspą bywają wyjątkowo wzburzone ...

- Potwierdzam - mruczę, trzymając się burty, podczas gdy sinusoidalnym torem pokonujemy falę i z impetem upadamy na wodę. Znowu wywraca mi się w żołądku.

- Mogę wam powiedzieć więcej - woła Mattie ze sterówki. Nie zdawałam sobie sprawy, że nas stamtąd słyszy. - Z przewodnika nie dowiedzie się zbyt wiele o Inis an Amplóra.

Przysuwamy się z Charliem bliżej sterówki, żeby lepiej słyszeć. Mattie ma wyraźny, miejscowy akcent.

- Z tego, co wiadomo, pierwsi osadnicy na wyspie byli sektą religijną, która uciekła przed prześladowaniami na lądzie.

- Zgadza się - mówi Charlie, spoglądając do przewodnika - Chyba widziałem fragment na ten temat. ..

- Nie wszystko tam znajdziesz - kwituje Mattie, marszcząc czoło, wyraźnie niezadowolony, że mu przerwano. - Mieszkam tu całe życie, mój ród mieszka tu od wieków.

Powiem ci więcej niż internet.

- Przepraszam - odpowiada Charlie, czerwieniąc się.

- W każdym razie - mówi Mattie - jakieś dwadzieścia lat temu znaleźli ich archeologowie. Wszyscy leżeli w borowinie ciasno jeden przy drugim. - Coś mi mówi, że świetnie się przy tym bawi. - Doskonale zachowani, bo w torfie nie ma powietrza. To była masakra. Wszystkich wybito.

- Ojej - wzdycha Charlie, spoglądając na mnie. - Nie wiem, czy ...

Za późno, ten obraz jest już w mojej głowie: zakopane przed laty zwłoki wynurzające się z czarnej ziemi. Staram się o tym nie myśleć, ale obrazy same się wyłaniają jak zakłócenia w telewizorze. Nudności, które mnie dopadają, gdy pokonujemy kolejną falę, prawie sprawiają mi ulgę, bo skutecznie odciągają moją uwagę.

- I nikt tam już nie mieszka? - pyta Charlie pogodnym tonem, próbując skierować rozmowę na inny tor. - Oprócz nowych właścicieli?

- Nie - odpowiada na to Mattie. - Tylko duchy.

Charlie stuka w ekran.

- Tu jest napisane, że wyspa była zamieszkała do lat dziewięćdziesiątych, kiedy to ostatni mieszkańcy postanowili przenieść się na stały ląd, skuszeni bieżącą wodą, elektrycznością i współczesnymi wygodami.

- Tak tam napisali? - Mattie wydaje się rozbawiony.

- A co? - pytam, odzyskując głos. - Był jakiś inny powód wyjazdu?

Mattie wygląda, jakby miał coś powiedzieć. Ale po chwili wyraz jego twarzy się zmienia.

- Uwaga! - grzmi. Razem z Charliem chwytamy się barierki na moment, zanim nagle zaczniemy spadać po grzbiecie jednej fali, by za chwilę uderzyć w bok kolejnej. Jezu!

Przy chorobie lokomocyjnej trzeba się wpatrywać w jeden punkt. Celuję wzrokiem w wyspę. Było ją widać przez całą drogę ze stałego lądu i na początku wyglądała jak niebieskawa smuga na horyzoncie, o kształcie spłaszczonego kowadła. Jules na pewno wybrała zjawiskowe miejsce, ale nie mogę przemóc w sobie wrażenia, że ten ciemny kształt czai się i łąpie na nas spode łba, kontrastując ze słoneczną pogodą.

- Zapiera dech, prawda? - zauważa Charlie.

- Mhm - mruczę wymijająco. - Miejmy nadzieję, że mają tam bieżącą wodę i elektryczność. Po tej przeprawie potrzebuję długiej kąpieli.

Mój mąż szeroko się uśmiecha.

- Znając Jules, jeśli na całej wyspie nie było dotąd kanalizacji ani prądu, to na pewno sama je dociągnęła. Wiesz, jaka jest. Bardzo skuteczna.

Charlie na pewno nie miał tego na celu, ale mam wrażenie, że to porównanie. Nie należę do szczególnie skutecznych. Gdziekolwiek bym się znalazła, zawsze zrobię wokół siebie bałagan, a odkąd pojawiły się dzieci, w domu panuje nieustanny chlew. Kiedy ktoś nas odwiedza - a zdarza się to rzadko - wciskam wszystko do komód i zamykam na dopych, przez co mam poczucie, że cały nasz dom wstrzymuje oddech, starając się nie eksplodować. Kiedy po raz pierwszy odwiedziliśmy Jules w jej eleganckim wiktoriańskim domu w Islington, wewnątrz wyglądało jak z czasopisma. Jak coś z jej czasopisma - publikowanego w internecie, zatytułowanego „Profil”. Nie mogłam pozbyć się myśli, że może spróbuje gdzieś mnie schować, bo ze swoimi dwucentymetrowymi odrostami i w ciuchach z sieciówek pasowałam tam jak wół do karety. Złapałam się nawet na tym, że próbuję wygładzić swój akcent, zmiękczyć manchesterskie samogłoski.

Jules i ja jesteśmy od siebie diametralnie różne. Dwie najważniejsze kobiety w życiu mojego męża. Wychyłam się nad barierkę i wciągam w płuca morskie powietrze.

- W tym artykule jest dość sporo na temat wyspy - odzywa się Charlie. - Podobno znajdują się na niej plaże z białego piasku, które słyną w tej części Irlandii. A dzięki piaskowi woda w zatoczkach nabiera pięknego turkusowego koloru.

- Brzmi lepiej niż torfowisko - odpowiadam.

- To fakt. Może uda się nam pójść popływać. - Uśmiecha się do mnie.

Spoglądam na wodę, która wygląda raczej jak chłodna tafla zieleni niż turkus, i wzdrygam się. Nie wiem dlaczego, bo przecież pływam przy

plaży w Brighton, a to kanał La Manche. Mimo wszystko tamte wody wydają się dużo bardziej okiełznane niż to dzikie, gwałtowne morze.

- Ten weekend to dobry sposób na oderwanie się, prawda? - mówi Charlie.

- Tak - odpowiadam. - Mam taką nadzieję. - Jeszcze przez długi czas nie czeka nas żaden wyjazd, który choć trochę przypominałby wakacje. A bardzo ich teraz potrzebuję.

- Ciekawe tylko, dlaczego Jules zdecydowała się na zupełnie przypadkową wyspę na wybrzeżu Irlandii - dodaję. Wybranie miejsca tak ekskluzywnego, że jej goście mogą się potopić, próbując tam dotrzeć, wydaje się bardzo do niej pasować. - Przecież stać ją na to, żeby urządzić sobie wesele, gdzie tylko chce.

Charlie ściąga brwi. Rozmowy o pieniądzach go krępują. To jeden z powodów, dla których go kocham. Tylko że czasem - bardzo rzadko - zastanawiam się, jak by to było mieć w portfelu odrobinę więcej. Przechodziliśmy katusze nad listą prezentów i nawet trochę się o to pokłóciliśmy. Naszym maksimum jest zwykle pięćdziesiąt funtów, ale Charlie uparł się, że musimy wydać więcej, bo on i Jules znają się od tak dawna. Ponieważ wszystkie prezenty z listy pochodziły z Liberty<sup>[2]</sup>, sto pięćdziesiąt funtów, które ostatecznie uzgodniliśmy, wystarczyło na dość zwyczajną z wyglądu ceramiczną miskę. Nawet świeczka zapachowa kosztowała dwieście funtów.

- Znasz Jules - rzuca Charlie, podczas gdy łódź po raz kolejny daje nura i uderza w coś, co wydaje się dużo twardsze niż woda, po czym znów podskakuje, lekko się przy tym kołysząc. - Lubi robić rzeczy inaczej. Możliwe, że ma to związek z tym, że jej tata jest Irlandczykiem.

- Myślałam, że się nie dogadują.

- To trochę bardziej skomplikowane. Był wiecznie nieobecny i trochę z niego palant, ale wydaje mi się, że ona zawsze go podziwiała. To z tego powodu chciała, żebym lata temu nauczył ją żeglować. On miał jacht, a ona chciała, żeby ojciec był z niej dumny.

Trudno sobie wyobrazić, żeby Jules zabiegała o czyjekolwiek uznanie. Wiem, że jej ojciec jest poważnym deweloperem i że wszystko zawdzięcza samemu sobie. Jako córka maszynisty i pielęgniarki, dorastająca w domu, w którym zawsze brakowało pieniędzy, jestem zafascynowana ludźmi - i może trochę względem nich podejrzliwa - którzy mają mnóstwo pieniędzy. Są dla mnie jak zupełnie inny gatunek, rasa zwinnych i niebezpiecznych wielkich kotów.

- Może Will je wybrał - mówię. - Takie dzikie miejsce wydaje się bardzo w jego stylu. - Czuję lekkie podekscytowanie w żołądku na myśl, że poznam kogoś tak sławnego.

Trudno mi postrzegać narzeczonego Jules jak prawdziwego człowieka.

W tajemnicy oglądałam stare odcinki jego show. Jest całkiem niezły, choć trudno być obiektywnym. Fascynuje mnie myśl, że Jules jest z kimś takim ... dotyka go, całuje, sypia z nim. A lada dzień wyjdzie za niego za mąż.

Głównym założeniem programu Przetrzeć noc jest to, że Will - związany i z przepaską na oczach - zostaje porzucony w środku nocy nie wiadomo gdzie, na przykład w lesie albo gdzieś w arktycznej tundrze, i nie ma ze sobą nic, prócz ubrań na sobie i może noża przy pasku. Musi się sam wyzwolić i dotrzeć do wyznaczonego miejsca spotkania, posługując się wyłącznie własnym sprytem i zdolnościami nawigacji. Scen pełnych napięcia jest sporo: w jednym odcinku musiał pokonać wodospad po zmroku, w innym jego tropem szły wilki. Od czasu do czasu w trakcie oglądania nagle uświadomisz sobie, że jest z nim ekipa filmowa, która go obserwuje i nagrywa. Gdyby naprawdę było tak źle, to przecież by mu pomogli, prawda? Ale zdecydowanie udaje im się wzbudzić w widzu poczucie zagrożenia.

Na wzmiankę o Willu twarz Charliego pochmurnieje.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego za niego wychodzi po tak krótkim czasie - mówi. - Ale chyba taka jest Jules. Kiedy coś sobie postanowi, działa bardzo szybko. Ale powiem ci, Han: on coś ukrywa. Mam wrażenie, że wcale nie jest taki, na jakiego się kreuje.

Dlatego właśnie nie przyznaję się do tego, że oglądam jego program. Wiem, że Charliemu by się to nie spodobało. Czasem nie mogę się oprzeć wrażeniu, że jego niechęć względem Willa to zazdrość. Mam szczerą nadzieję, że to co innego. Bo jeśli nie, to co to oznacza?

Może to też mieć związek z wieczorem kawalerskim Willa. Charlie wziął w nim udział, choć jest przyjacielem Jules. Wrócił z weekendu spędzonego w Szwecji nieco nie w sosie. Za każdym razem, kiedy próbowałam coś z niego wyciągnąć na ten temat, robił się dziwnie spięty, więc to zignorowałam. Najważniejsze, że wrócił w jednym kawałku, prawda?

Morze zrobiło się jeszcze bardziej wzburzone. Stara łódź rybacka kołysze się teraz we wszystkie strony, jakbyśmy siedzieli na mechanicznym byku, który próbuje wyrzucić nas za burtę.

- Czy to bezpieczne płynąć dalej? - wołam do Mattiego.

- A jak! - odkrzykuje, przebijając się przez huk wody i wycie wiatru. - Pogoda jak pogoda. A do Inis an Amhlóra już niedaleko.

Czuję, jak kosmyki włosów lepią mi się do czoła, a z reszty powstała mi na głowie wielka, zmierzwiona chmura. Mogę sobie tylko wyobrazić, co sobie pomyślał Jules, Will i pozostali, kiedy w końcu dotrzemy na miejsce.

- Kormoran! - woła Charlie, pokazując palcem. Wiem, że próbuje odwrócić moją uwagę od mdłości. Czuję się jak jedno z naszych dzieci zabrane do lekarza na zastrzyk. Ale patrzę we wskazywanym kierunku i zauważam smukłą, ciemną główkę, wyłaniającą się nad falami niczym peryskop miniaturowej łodzi podwodnej. Po chwili nurkuje pod powierzchnią jak zwinny, czarny cień. Ciekawe, jak to jest, czuć się tak swobodnie w tak nieprzychylnych warunkach.

- Na temat kormoranów też coś przeczytałem - mówi Charlie. Raz jeszcze wyciąga telefon. - Są dość powszechne w tej części wybrzeża. - Przyjmuje nauczycielski ton. - „W ludowych legendach kormoran cieszy się szczególnie złą sławą”. - O nie. - „W przeszłości ptak ten symbolizował chciwość, pecha i zło”. - Oboje patrzymy, jak kormoran raz jeszcze wyłania się z wody. W jego ostrym dziobie znajduje się mała ryba, która błyska srebrem, gdy ptak otwiera gardziel i połyka ją w całości.

Przewraca mi się w żołądku. Czuję się tak, jakbym to ja właśnie połknęła śliską rybę, która teraz pływa mi w brzuchu. I kiedy łódź zaczyna się przechylać w przeciwną stronę, doskakuję do burty i zwracam podwieczorek.

## ***Jules***

### *Panna młoda*

Stoję przed lustrem w naszym pokoju, oczywiście największym i najbardziej eleganckim w całym pałacyku. Wystarczy, że tylko odrobinę obrócę głowę, a widzę przez okno morze. Dzisiejsza pogoda jest idealna, słońce tak mocno odbija się srebrem od fal, że ledwie da się na nie spojrzeć. Lepiej, żeby do jutra taka pozostała.

Nasz pokój znajduje się po zachodniej stronie budynku, a ta wyspa położona jest najdalej na zachód po tej części wybrzeża, więc nikt ani nic nie stoi pomiędzy mną a Amerykami. Podoba mi się ten dramatyzm. Pałacyk to pięknie odnowiony budynek pochodzący z piętnastego wieku, którego styl oscyluje pomiędzy luksusem a ponadczasowością, przepychem a komfortem: zabytkowe dywany, kamienne posadzki, wanny na nóżkach, kominki, w których tli się torf. Posiadłość na tyle duża, żeby zmieścili się tu wszyscy najważniejsi goście, ale też na tyle mała, by zachować kameralną atmosferę. Jest idealna. Wszystko będzie idealnie.

*Nie myśl o liściku, Jules.*

Nie będę myśleć o liściku.

Kurwa. Kurwa. Nie wiem, dlaczego tak bardzo to na mnie podziałało. Nigdy nie należałam do osób, które przesadnie się martwią, które strapione

budzą się o trzeciej nad ranem. A przynajmniej do niedawna taka byłam.

Znalazłam liścik w skrzynce na listy. Było w nim napisane, żebym nie wychodziła za Willa. Żebym odwołała ślub.

Jakimś cudem ta myśl mną o władnęła. Gdy tylko o tym myślę, czuję w żołądku coś kwaśnego. Chyba strach.

To niedorzeczne. Normalnie nie zwróciłabym na coś takiego uwagi.

Jeszcze raz spoglądam w lustro. Mam na sobie suknię. Tę suknię. Uznałam, że to ważne, by dla pewności przymierzyć ją po raz ostatni w przeddzień ślubu. Miałam przymiarke w zeszłym tygodniu, ale nigdy nie zostawiam niczego w rękach przypadku. Tak jak się spodziewałam, wygląda doskonale. Ciężki, kremowy jedwab sprawia wrażenie, jakby mnie nim oblano, a wszyty gorset tworzy kształt perfekcyjnej klepsydry. Żadnych koronek ani innych ozdób, to nie w moim stylu. Meszek jedwabiu jest tak delikatny, że można go dotykać tylko w specjalnych, białych rękawiczkach, które oczywiście mam teraz na sobie. Suknia kosztowała fortunę, ale jest tego warta. Moda sama w sobie mnie nie interesuje, ale szanuję rolę ubrań w tworzeniu właściwego wrażenia. Od razu wiedziałam, że będę w niej wyglądać jak królowa.

Pod koniec wieczoru sukienka zapewne będzie brudna - nawet ja nic na to nie poradzę. Ale dam ją do skrócenia, pewnie lekko za kolano i przefarbuję ją na ciemniejszy kolor. Nie można mi odmówić praktyczności. Zawsze - zawsze - mam plan. Jest tak od dzieciństwa.

Podchodzę do ściany, na której przypięłam plan sali. Will zawsze się śmieje, że jestem jak generał rozwieszający plany kampanii. Ale to ważne, prawda? Usadzenie gości to klucz do dobrej zabawy na weselu. Wiem, że do wieczora dopracuję je do perfekcji. Wszystko zależy od dobrego przygotowania: właśnie dzięki niemu w zaledwie dwa lata „Profil” zamienił się z blogu w profesjonalny internetowy magazyn, w którym zatrudnionych jest trzydzieści osób.

Większość gości przyjedzie jutro prosto na ceremonię, po czym wróci na noc do hoteli na łądzie - z przyjemnością umieściłam napis „łodzie zostaną podstawione o północy”, zamiast zwyczajowych „autobusów”. Ale nasi najważniejsi goście dziś i jutro zanoją na wyspie - razem z nami, w pałacyku. Lista gości jest dość ekskluzywna. Will musiał wybrać swoich ulubieńców spośród drużbów, bo ma ich tak wielu. W moim przypadku nie było tak trudno, bo mam tylko jedną drużbę - moją przyrodnią siostrę Olivię. Nie przyjaźnię się z wieloma kobietami. Nie mam czasu na plotki. A babskie grona za bardzo przypominają mi o klice sukowatych dziewczyn ze szkoły, które nigdy mnie nie zaakceptowały. Zaskoczyło mnie, ile osób pojawiło się na moim wieczorze panieńskim, choć głównie były to pracownice z „Profilu”, które zorganizowały go jako nie do końca mile widzianą niespodziankę, albo partnerki kumpli mojego narzeczonego.



Moim najbliższym przyjacielem jest mężczyzna: Charlie. W konsekwencji w ten weekend będzie on moim świadkiem.

Charlie i Hannah są już w drodze - to ostatni goście, którzy zjawią się tu dziś wieczorem. Dobrze będzie zobaczyć Charliego. Mam wrażenie, że minęło dużo czasu, odkąd spędziliśmy razem parę chwil jak dorośli, bez jego dzieci. Dawniej widywaliśmy się na okrągło, nawet kiedy spotkał Hannah. Zawsze znajdował dla mnie czas. Ale odkąd został ojcem, to jakby przeniósł się na inną planetę: taką, na której zarwana noc oznacza dwudziestą trzecią, a każde wyjście bez dzieci wymaga kompleksowego planowania.

Dopiero wtedy zaczęłam tęsknić za tym czasem, gdy miałam go tylko dla siebie.

- Wyglądasz bosko.

- Och! - Z zaskoczeniem zauważam go w lustrze. To Will. Stoi oparty w drzwiach i przygląda mi się. - Will! - syczę. - Jestem w sukni ślubnej! Idź sobie! Nie możesz mnie zobaczyć ...

Nie rusza się.

- Nie należy mi się pokaz przedpremierowy? Zresztą to już się stało. - Rusza w moją stronę. - Nie ma co płakać nad rozlanym ... jedwabiem. Wyglądasz ... Nie mogę się doczekać, aż zobaczę, jak idziesz w tej sukni do ołtarza. - Staje za mną i kładzie dłonie na moich nagich ramionach.

Powinłam być wściekła. I jestem. Ale mimo to czuję, jak moje oburzenie gaśnie. Bo dotykają mnie jego dłonie i przesuwają się z ramion na ręce, budząc we mnie ten pierwszy dreszcz tęsknoty. Przypominam samej sobie, że nie wierzę w przesady o pechu, gdy zobaczy się suknię przed ślubem - nigdy nie wierzyłam w tego typu rzeczy.

- Nie powinno cię tu być - mówię z poirytowaniem, ale w moim głosie nie ma przekonania.

- Popatrz na nas - odpowiada, gdy nasze oczy spotykają się w lustrze, a on śledzi palcem linię mojej szyi. - Dobrze razem wyglądamy, prawda?

Ma rację. Ja, ciemnowłosa i blada, on płowy i opalony. Jesteśmy najatrakcyjniejszą parą, gdziekolwiek się pojawimy. Nie będę udawać, że nie ekscytuje mnie, gdy wyobrażam sobie, jak wyglądamy w oczach świata - i naszych jutrzejszych gości. Myślę o dziewczynach, które dręczyły mnie za to, że byłam grubą kujonką (zaczęłam późno dojrzewać) i myślę: Patrzcie, kto śmieje się ostatni.

Will gryzie mnie w nagą skórę na ramieniu. Czuję nisko w podbrzuszu szarpnięcie pożądania. Wraz z nim przestaję się opierać.

- Skończyłaś? - Spogląda przez moje ramię na plan sali.

- Nie do końca - odpowiadam.

Milczy, przyglądając się rozkładowi, wtulony w mój obojczyk, muskając ciepłym oddechem moją szyję. Czuję zapach jego wody

kolońskiej: cedr i mech.

- Zaprosiliśmy Piersa? - pyta łagodnym tonem. - Nie pamiętam, żeby był na liście.

Jakimś cudem powstrzymuję się od przewrócenia oczami. To ja zajęłam się zaproszeniami. Ja dopracowałam listę gości, wybrałam papiernika, sprawdziłam każdy adres, kupiłam znaczki i wszystko wysłałam. Will mało bywał w domu, kręcił nowy sezon. Od czasu do czasu rzucał jakimś imieniem, które wcześniej zapomniał dodać. Na koniec dość dokładnie sprawdził ostateczną listę, twierdząc, że chce się upewnić, że nikogo nie pominęliśmy. Piers został dodany w ostatniej chwili.

- Nie było go na liście - przyznaję. - Ale spotkałam jego żonę, gdy byłam na drinkach w Groucho. Zapytała o ślub i to, że ich nie zaprosiliśmy, nagle wydało mi się zwyczajnie absurdalne. Bo właściwie dlaczego nie? - Piers jest producentem programu Willa. To miły facet, a on i Will zawsze dobrze się dogadywali. Zaproszenie ich nie wymagało dużego namysłu.

- Jasne - odpowiada Will. - To ma sens. - Ale w jego głosie słychać podenerwowanie. Z jakiegoś powodu mu to przeszkadza.

- Posłuchaj, kochanie - mówię, obejmując go za szyję. - Myślałam, że się ucieszysz, że tu będą. Było im wyraźnie miło, że ich uwzględniliśmy.

- Nie przeszkadza mi to - odpowiada ostrożnie. - Po prostu jestem zaskoczony, nic więcej. - Przesuwa dłonie na moją talię. - W ogóle mi to nie przeszkadza. W sumie to dobrze. Cieszę się, że będą z nami.

- Okej. W takim razie umieszczę żony i mężów obok siebie. W porządku?

- Odwieczny dylemat - odpowiada z udawaną powagą.

- Wiem ... ale ludzie naprawdę zwracają uwagę na tego typu rzeczy.

- No cóż - mówi - gdybyśmy oboje byli gośćmi, to wiem, gdzie chciałbym siedzieć.

- Tak?

- Naprzeciw ciebie, żebym mógł robić to. - Opuszcza dłoń i podwija nią jedwabną spódnicę, próbując się pod nią dostać.

- Will - próbuję go powstrzymać. - Jedwab ...

Jego palce znalazły koronkowy rąbek moich fig.

- Will! - powtarzam, odrobinę poirytowana. - Co robisz ... - Jego palce zakradają się pod moje majtki, zaczynają się poruszać i nagle przestaje mi zależeć na jedwabiu.

Opieram głowę o jego tors.

To zupełnie nie w moim stylu. Nie należę do osób, które zaręczają się ledwie po kilku miesiącach znajomości ... a po kolejnych kilku wychodzą za mąż. Nie jest to jednak tak lekkomyślne czy impulsywne, jak niektórzy

podejrzewają. Jeśli już, to jest to coś zupełnie odwrotnego. To pewność samej siebie, świadomość, czego się chce i działanie, by to osiągnąć.

- Możemy to zrobić tu i teraz - mamrocze Will w moją szyję. - Przecież mamy czas, prawda? - Próbuję odpowiedzieć, że nie, ale jego palce dalej działają, przez co mój sprzeciw brzmi jak rozwleczony jęk.

Przy każdym innym partnerze po kilku tygodniach zaczynałam się nudzić, a seks szybko stawał się nużącym obowiązkiem. Przy Willu czuję się wiecznie nienasycona - nawet jeśli w najbardziej podstawowym sensie jestem bardziej zaspokojona niż kiedykolwiek wcześniej z jakimkolwiek innym partnerem. Nie chodzi tylko o to, że jest taki piękny - co oczywiście jest obiektywną prawdą. To dużo głębsze nienasycenie. Jestem świadoma tego, że pragnę go osiągnąć. Że każdy akt seksualny jest próbą zapanowania nad nim, która nigdy do końca mi się nie udaje, bo jakaś istotna część niego zawsze mi umyka, wyslizguje się z rąk.

Czy ma to związek z jego sławą? Z tym, że kiedy raz osiągniesz status celebryty, stajesz się w pewnym sensie własnością publiczną? A może chodzi o coś innego, coś, co jest jego fundamentalną częścią? Sekretną i niemożliwą do poznania, ukrytą przed wszystkimi?

Co nieuniknione, ta myśl sprawia, że zaczynam myśleć o liściku. Nie będę myśleć o liściku.

Jego palce działają dalej.

- Will - mówię bez przekonania - każdy może tu wejść.

- Czy to cię nie podnieca? - szepcze. Tak, myślę, że tak. Will zdecydowanie poszerzył moje erotyczne horyzonty. Zapoznał mnie z seksem w miejscach publicznych.

Zrobiliśmy to w parku nocą i w ostatnim rzędzie prawie pustej sali kinowej. Kiedy sobie o tym przypominam, zaskakuję samą siebie: nie mogę uwierzyć, że to ja zrobiłam wszystkie te rzeczy. Julia Keegan nie łamie prawa.

Jest także jedynym mężczyzną, któremu kiedykolwiek pozwoliłam nakręcić się nago - raz nawet podczas seksu. Oczywiście zgodziłam się na to dopiero, kiedy się zaręczyliśmy. Nie jestem idiotką. Ale Will to lubi, a skoro już zaczęliśmy to robić, choć nie do końca mi to odpowiada - oznacza utratę kontroli, a dotąd w żadnym związku jej nie oddałam - w pewien sposób jest to upajające. Słyszę, jak rozpina pasek, i już na sam ten dźwięk przeszywa mnie dreszcz. Nieco gwałtownie popycha mnie w stronę toaletki. Chwytam się blatu. Will jest gotowy, zaraz we mnie wejdzie.

- Halo, halo? Jest tu jest? - Drzwi lekko się uchylają.

Cholera.

Will odskakuje ode mnie. Słyszę, jak nieporadnie szamocze się z dzinsami i paskiem. Czuję, jak dół sukni opada. Za żadne skarby nie chcę się teraz odwracać.

Ktoś stoi w drzwiach. To Johnno, świadek Willa. Co zobaczył? Wszystko? Czuję gorąco w policzkach i jestem na siebie wściekła. Jestem wściekła na niego. Nigdy się nie czerwienię.

- Wybaczcie - mówi Johnno. - Przeszkodziłem? - Czy to zarozumiały uśmiezek na jego ustach? - Oj ... - Zauważa, w co jestem ubrana. - To twoja ... ? Czy to przypadkiem nie przynosi pecha?

Mam ochotę chwycić, co mam pod ręką najcięższego, i rzucić w niego, krzycząc przy tym, żeby się wynosił. Ale zachowuję się wzorowo.

- Na litość boską! - odpowiadam w zamian i mam nadzieję, że odczytuje z mojego tonu: Masz mnie za kretynkę, która przejmuje się takimi rzeczami? Unoszę brew, patrząc na niego, i krzyżuję ręce na piersi. W przeszłości byłam mistrzynią unoszenia brwi - ta mina odnosiła w pracy rewelacyjne rezultaty. Rzucam mu wyzwanie, żeby spróbował powiedzieć jeszcze choć słowo. Mimo całej swojej brawury Johnno chyba trochę się mnie boi. Ogólnie wszyscy się mnie boją.

- Omawialiśmy plan sali - informuję go. - Więc tak, przeszkodziłeś.

- Straszny ze mnie bałwan ... - odpowiada. Widzę, że jest lekko przestraszony. I dobrze. - Właśnie zdałem sobie sprawę, że zapomniałem o czymś ważnym.

Czuję, jak serce zaczyna mi szybciej bić. Tylko nie obrączki. Do ostatniej chwili powtarzałam Willowi, żeby mu ich nie powierzał. Jeśli o nich zapomniał, to nie ręcę za siebie.

- Chodzi o mój garnitur - mówi Johnno. - Przygotowałem go, włożyłem do pokrowca ... a potem w ostatniej chwili. .. sam nie wiem, co się stało. Pewnie wisi na drzwiach w moim mieszkaniu w Blighty.

Odwracam wzrok, gdy razem wychodzą. Koncentruję się na tym, żeby nie powiedzieć czegoś, czego będę żałować. W ten weekend muszę trzymać swój temperament na wodzy. Czasem potrafią mi puścić nerwy. Nie jestem z tego dumna, ale nigdy nie udało mi się w pełni nad tym zapanować, choć idzie mi coraz lepiej. Pannie młodej nie jest ze złością do twarzy.

Nie rozumiem, dlaczego Will przyjaźni się z Johnno, dlaczego do tej pory nie wykluczył go ze swojego życia. Na pewno nie trzyma się go ze względu na błyskotliwe rozmowy.

Ale ten gość jest nieszkodliwy ... a przynajmniej tak zakładam. Nie zmienia to jednak faktu, że bardzo się różnią. Will jest ambitny, przedsiębiorczy, elegancki. Johnno to flejtuch. Życiowy margines. Kiedy odebraliśmy go ze stacji na łodzi, cuchnął trawą i wyglądał tak, jakby prawie nie spał. Spodziewałam się, że przed przyjazdem przynajmniej się ogoli i pójdzie do fryzjera. To chyba nie są wygórowane oczekiwania - chcieć, żeby twój świadek nie wyglądał jak jaskiniowiec, prawda? Wyślę do niego Willa uzbrojonego w maszynkę.

Mój narzeczony jest dla niego za dobry. Podobno nawet załatwił Johnno próbne zdjęcia do Przetrzeć noc, z których oczywiście nic nie wynikło. Kiedy zapytałam go, dlaczego wciąż się z nim przyjaźni, sprowadził odpowiedź do jednego: „przeszłość”.

- Może ostatnimi czasy nie łączy nas wiele - powiedział. - Ale znamy się od bardzo dawna.

Will potrafi być dość bezwzględny. Szczerze mówiąc, to jedna z rzeczy, które mnie w nim urzekły, kiedy się poznaliśmy - to nasza wspólna cecha. Choć ma piękne blond włosy i czarujący uśmiech, to jego ambicja mnie do niego przyciągnęła.

Oto, co mnie martwi. Dlaczego Will miałby się nadal przyjaźnić z Johnno ze względu na wspólną przeszłość? Chyba że ta przeszłość ma nad nim jakąś władzę.

## ***Johnno***

## ***Świadek***

Will wychodzi przez trap w podłozie, niosąc wielopak guinnessa. Siedzimy na blankach baszty pałacyku i wyglądamy przez otwory w murze. Ziemia znajduje się daleko w dole, a niektóre z kamieni są dość obluzowane. Jeśli ktoś ma lęk wysokości, nie poczuje się tu najlepiej. Z tego miejsca widać nawet stały ląd. Słońce oświetla mi twarz i czuję się jak król.

Will odrywa puszkę z wielopaku.

- Trzymaj.

- O, niezły browar. Dzięki, stary. I przepraszam, że was nakryłem. - Puszczam do niego oko. - Myślałem, że takie rzeczy robi się po ślubie.

Will unosi brwi, udając niewiniątko.

- Nie wiem, o czym mówisz. Jules i ja omawialiśmy usadzenie gości.

- Tak? Tak to się teraz nazywa? Ale szczerze, naprawdę przepraszam za garnitur. Czuję się jak osioł, że zapomniałem. - Chcę, żeby wiedział, że jest mi przykro: że naprawdę zamierzam być dobrym świadkiem. Bo to fakt: zależy mi, żeby był ze mnie dumny.

- To żaden problem - odzywa się Will. - Nie wiem, czy mój zapasowy będzie na ciebie pasował, ale jeśli chcesz, jest twój.

- Jesteś pewien, że Jules się na to zgodzi? Nie wyglądała na szczęśliwą.

- No co ty - odpowiada Will z machnięciem ręki. - Nie będzie mieć nic przeciwko. - Rozumiem z tego, że na pewno ma coś przeciwko, ale Will coś na to poradzi.

- Okej, dzięki, stary.

Upija duży łyk guinnessa i opiera się plecami o kamienny mur. Po chwili jakby coś sobie przypomniał.

- A tak przy okazji, nie widziałeś Olivii? Przyrodniej siostry Jules? Cały czas znika. Jest trochę ... - Kręci palcem przy skroni, jakby chciał powiedzieć „szurnięta”, ale decyduje się na „wrażliwa”.

Poznałem ją wcześniej. Jest wysoka, ma ciemne włosy, wydęte wargi, które nadają jej twarzy smutnego wyrazu, i nogi po pachy.

- Szkoda - odpowiadam. - Bo ... nie mów, że nie zauważyłeś.

- Chryste, Johnno, ona ma dziewiętnaście lat - odpowiada Will. - Nie zachowuj się jak zbok. A poza tym tak się składa, że to siostra mojej narzeczonej.

- Dziewiętnaście, czyli wszystko legalnie - odpowiadam, próbując go wkreślić. - To przecież tradycja, prawda? Że pierwszy drużba może sobie wybrać druhnę. A skoro jest tylko jedna, to właściwie wybór dokonał się sam ...

Will wykrzywia usta, jakby zjadł coś ohydneho.

- Ta reguła raczej nie ma zastosowania, kiedy drużba jest od ciebie młodsza o piętnaście lat, idioto - rzuca. Teraz zgrywa harcerzyka, ale zawsze wodził wzrokiem za dziewczynami. A one zawsze wodziły wzrokiem za nim. Szczęściarz. - Ona jest nietykalna, rozumiesz? Wbij to sobie w ten swój tępy łeb. - Stuka mi knykciami w głowę.

Nie podoba mi się ta część z „tępy łeb”. Może i nie jestem bystrzakiem, ale nie lubię, kiedy traktuje się mnie jak skończonego kretyna. Will o tym wie. To jedna z tych rzeczy, które zawsze mnie złościły, gdy chodziłem do szkoły. Zbywam to śmiechem. Wiem, że nie chciał.

- Posłuchaj - mówi. - Nie mogę pozwolić, żebyś podrywał moją nastoletnią szwagierkę. Jules by mnie zabiła. I ciebie też.

- Dobra, już dobra - odpowiadam.

- A poza tym - dodaje, ścisząc głos - chodzi jeszcze o to, że jest... - Znow robi gest oznaczający wariatkę. - Pewnie ma to po matce. Dzięki Bogu Jules nie odziedziczyła tych genów. Tak czy inaczej, łapy precz, okej?

- Dobra, dobra ... - Upijam wielki łyk piwa i głośno bekam.

- Wspinałeś się ostatnio? - pyta mnie Will, wyraźnie starając się zmienić temat.

- Nie, nie bardzo. I dlatego mam teraz to. - Klepię się po brzuchu. - Trudno znaleźć czas, kiedy ci za to nie płacą, jak tobie.

Zabawne jest to, że to mnie zawsze bardziej ciągnęło do tego typu rzeczy. Do sportów outdoorowych. Aż do niedawna zajmowałem się tym zawodowo, bo pracowałem w centrum sportów outdoorowych w Lake District<sup>[3]</sup>.

- Pewnie masz rację - odpowiada. - Ale to nie takie fajne, jak się wydaje.

- Wątpię, stary - mówię na to. - Zarabiasz na życie, robiąc najfajniejszą rzecz na świecie.

- Ale wiesz ... to nie jest prawdziwe. Sporo jest mistyfikacją. ..

Mogę się założyć, że ma kaskadera, który robi co trudniejsze wyczyny. Will nigdy nie był chętny, żeby aż tak brudzić sobie ręce. Twierdzi, że dużo trenował do programu, ale mimo wszystko.

- No i jest jeszcze fryzjer i makijażystka - wylicza - co się wydaje niedorzeczne, kiedy kręcisz program survivalowy.

- Założę się, że to uwielbiasz - rzucam, puszczając do niego oko. - Nie nabierzesz mnie.

Zawsze był nieco próżny. Oczywiście mówię to z czułością, ale lubię czasem mu dogryźć. Przystojny z niego facet i dobrze o tym wie. Widać, że wszystkie rzeczy, które ma dziś na sobie, nawet džinsy, są dobrej jakości, drogie. Może to wpływ Jules: stylowa z niej kobieta i łatwo sobie wyobrazić, jak zaciąga go do sklepu. Trudniej sobie wyobrazić, że mu to przeszkadza.

- No to powiedz - mówię, klepiąc go w ramię. - Gotowy do ślubu?

Uśmiecha się szeroko i kiwa głową.

- Gotowy. Co mogę powiedzieć? Wpadłem po uszy.

Nie będę kłamał, byłem zaskoczony, kiedy Will powiedział mi, że się żeni. Zawsze uważałem go za bawidamka. Żadna kobieta nie jest się w stanie oprzeć urokowi tego złotego chłopca. Na wieczorze kawalerskim powiedział mi o niektórych swoich podbojach sprzed Jules.

- W pewien sposób bardzo mi to pasowało. Nigdy nie zaliczyłem tylu kobiet, nawet na uczelni, niż z pomocą różnych aplikacji randkowych. Musiałem się badać co kilka tygodni. Spotkałem też kilka wariatek i takich, co chcą się ciebie ucześcić za wszelką cenę. Nie mam już na to wszystko czasu. A potem pojawiła się Jules. I była ... idealna. Jest taka pewna siebie i tego, czego chce od życia. Jesteśmy identyczni.

*Założę się, że ten dom w Islington wcale ci nie przeszkadzał, pomyślałem. Nadziany ojciec też nie. Nie odważyłbym się mu dogryźć - ludzie robią się dziwni, gdy rozmawiają o pieniądzach. Ale jeśli jest jedna rzecz, którą Will zawsze lubił - nawet bardziej niż panienki - to są nią pieniądze. Może wynika to z dzieciństwa, bo nigdy nie miał tyle, ile inne dzieciaki z naszej szkoły. Rozumiem to. Chodził do niej, bo jego ojciec był dyrektorem, a ja - bo dostałem stypendium sportowe. Moja rodzina nie należy do wyższych sfer. Zauważono mnie, gdy brałem udział w szkolnym turnieju rugby w Croydon, kiedy miałem jedenaście lat, i skontaktowano się z moim tatą. Tego typu rzeczy naprawdę zdarzały się w Trevs: tak bardzo im zależało, żeby stworzyć dobrą drużynę.*

Z dołu rozlega się czyjś głos.

- Hej, hej, hej! Co tam się wyprawia?

- Cześć, chłopaki! - rzuca Will. - Chodźcie do nas! Im więcej, tym weselej!

Pierdolenie. Mnie się podobało, gdy byliśmy z Willem całkiem sami.

Przez trap wychodzi czterech друзbów. Przesuwam się, żeby zrobić dla nich miejsce, i witam każdego skinieniem głowy: Femiego, następnie Angusa, Duncana i Petera.

- O kurwa, wysoko tu - mówi Femi, zerkając za blanki. Duncan łapie Angusa za ramiona i udaje, że go popycha.

- O rany, uratowałem cię!

Angus wydaje z siebie cienki pisk i wszyscy wybuchamy śmiechem.

- Przestań! - mówi rozgniewanym głosem, łapiąc równowagę. - To jest, kurwa, niebezpieczne. - Trzyma się kamienia, jakby naprawdę coś mu groziło, i przesuwa się centymetr po centymetrze, żeby usiąść razem z nami. Angus zawsze był trochę za miękki na naszą grupę, ale zapunktował w towarzystwie, kiedy zjawił się na rozpoczęcie nowego semestru w helikopterze ojca.

Will rozdaje puszki piwa, którym się przyglądałem.

- Dzięki, stary - odzywa się Femi. - Spogląda na puszkę. - Kiedy wejdiesz między wrony, co nie?

Pete pokazuje skinieniem głowy w stronę przepaści pod nami.

- Będziesz musiał kilka wypić, żeby przestać myśleć o tej wysokości, co nie, Angus?

- Ale też nie za wiele - odzywa się Duncan. - Bo przestaniesz się nią przejmować.

- Dobra, starczy tego - gniewnie odpowiada Angus, czerwieniąc się. Ale nadal jest dość blady i mam wrażenie, że robi wszystko, co w jego mocy, żeby nie wyglądać za mur.

- Mam ze sobą taki towar - mówi Pete niskim tonem - że wszystkim będzie się wam wydawać, że możecie latać.

- Ludzie się nie zmieniają, co nie, Pete? - rzuca Femi. - Znowu przetrzepałeś matce szafkę z lekami? Pamiętam, jak grzechotała ci torba, kiedy wróciłeś z przepustki w domu.

- O tak - odpowiada Angus. - Wszyscy jesteśmy winni twojej matce podziękowania.

- Ja bym jej chętnie podziękował - rzuca Duncan. - Twoja stara, Pete, zawsze była niezłym MILF-em<sup>[4]</sup>.

- Zachowaj to sobie na jutro, stary - mówi Femi.

Pete puszcza do niego oko.

- Znacnie mnie. Dla kolegów wszystko, co najlepsze.



- A może teraz? - pytam. Czuję nagłą potrzebę, żeby coś wziąć na rozluźnienie, a trawa, którą wypaliłem wcześniej, przestała działać.

- Podoba mi się twoje nastawienie, Johnno - odpowiada Pete. - Ale musisz zwolnić tempo.

- Lepiej, żebyście byli jutro grzeczni - upomina nas Will z udawaną stanowczością. - Nie chcę, żeby drużbowie narobili mi wstydu.

- Będziemy - odpowiada Pete, obejmując go ramieniem. - Chcę tylko dopilnować, żeby ślub naszego kumpla był niezapomniany.

Will zawsze był centrum naszej grupy, jej spoiwem, a my krążyliśmy wokół niego. Dobry w sportach, dobry w nauce - z odrobiną pomocy tu i tam. Wszyscy go lubili. A przy tym wszystko to wyglądało na niewymagające wysiłku, jak gdyby na nic nie musiał pracować. Oczywiście pod warunkiem, że nie znało się go tak dobrze jak ja.

Przez kilka chwil pijemy w ciszy, grzejąc się w słońcu.

- Jakbyśmy znów byli w Trevs - mówi Angus, nasz grupowy historyk. - Pamiętacie, jak przemycaliśmy piwo do szkoły? I jak wspięliśmy się na dach sali gimnastycznej, żeby je wypić?

- No - odpowiada Duncan. - Wtedy też srałeś w gacie ze strachu.

Angus robi krzywą minę.

- Spierdalaj.

- Tak naprawdę to John no je przemycił - wyjaśnia Femi. - Z tego sklepiku w miasteczku.

- Właśnie - potwierdza Duncan. - Bo nawet jako piętnastolatek był wysoki, brzydki i owłosiony, co nie, stary? - Nachyla się w moją stronę i uderza mnie pięścią w ramię.

- Wypiliśmy je ciepłe, prosto z puszki - wspomina Angus - bo nie było jak go schłodzić. Była to pewnie najlepsza rzecz, jaką piłem w życiu, nawet teraz, kiedy wszyscy możemy, gdybyśmy tylko chcieli, codziennie pić schłodzony Dom Perignon.

- Czyli tak, jak robiliśmy kilka miesięcy temu w RAC-u - stwierdza Duncan.

- Kiedy to było? - pytam.

- Wybacz, Johnno - mówi Will. - Wiedziałem, że będziesz miał za daleko, żeby dojechać do nas z Kumbrii.

- Aha - odpowiadam. - Jasne, rozumiem. - Myślę o tym, jak piją szampana przy lunchu w Royal Automobile Club, do którego wstęp mają tylko nadziani członkowie. Jasne.

Upijam wielki łyk piwa. Naprawdę przydałoby mi się trochę zioła.

- To przez tę frajdę - ciągnie temat Femi - w szkole, w Trevs. O to chodziło. O świadomość, że mogą nas przyłapać.

- Jezu - odzywa się Will. - Naprawdę musimy rozmawiać o tym miejscu? Wystarczy mi, że muszę słuchać, jak ojciec o nim truje. - Mówi z

szerokim uśmiechem, ale widzę, że w jego minie jest coś kwaśnego, jak gdyby guinness popłynął nie tam, gdzie trzeba. Zawsze współczułem Willowi, że ma takiego ojca. Nic dziwnego, że czuł się, jakby musiał mu coś udowodnić. Wiem, że wolałby zapomnieć o czasie spędzonym w tamtym miejscu. Ja też.

- Te szkolne lata czasami wydawały się takie ponure - mówi Angus. - Ale teraz, patrząc wstecz, a Bóg raczy wiedzieć, jak to o mnie świadczy, mam wrażenie, że w pewnym sensie były najważniejsze w moim życiu. To znaczy, nie obrażając twojego taty, Will, zdecydowanie nie wysłałbym tam własnych dzieci. Ale nie było aż tak źle. Prawda?

- Nie wiem - z powątpiewaniem odzywa się Femi. - Nauczyciele często zwalali na mnie winę. Jebani rasiści. - Mówi to, jak gdyby nigdy nic, ale wiem, że jako jednemu z niewielu czarnoskórych uczniów nie zawsze było mu lekko.

- Mnie się podobało - oznajmia Duncan, a kiedy reszta z nas spogląda na niego, dodaje: - Poważnie! Wspominam stare czasy i dociera do mnie, jakie to było ważne, rozumiecie? Niczego bym nie zmienił.

- Tak czy inaczej - odzywa się Will - wróćmy do teraźniejszości. Teraz wszystkim nam się dobrze wiedzie, mam rację?

Jemu na pewno tak. Pozostali też poradzili sobie w życiu. Femi jest chirurgiem, Angus pracuje w firmie deweloperskiej ojca, Duncan jest inwestorem kapitału wysokiego ryzyka, cokolwiek to oznacza, a Pete pracuje w agencji reklamowej, co pewnie nie pomaga jego uzależnieniu od kokainy.

- A czym ty się ostatnio zajmujesz, Johnno? - pyta Pete. - Byłeś instruktorem wspinaczkowym, prawda?

Kiwam głową.

- W centrum sportów outdoorowych - mówię. - Zajmowałem się nie tylko wspinaczką. Szkoła przetrwania, budowanie obozowiska ...

- Właśnie - wcina się Duncan. - Myślałem o zorganizowaniu jednodniowego wyjazdu integracyjnego. Miałem z tobą o tym porozmawiać. Masz zniżki dla znajomych?

- Jasne - odpowiadam, myśląc sobie, że ktoś tak nadziany jak Duncan nie potrzebuje zniżek. - Ale już tam nie pracuję.

- Nie?

- Przerzuciłem się na produkcję whisky. Za niedługo trafi do sprzedaży. Mniej więcej za sześć miesięcy.

- I masz dystrybutora? - pyta Angus. Wydaje się rozdrażniony tym, co powiedziałem. Chyba kłóci się to z jego wyobrażeniem na temat wielkiego, głupiego Johnno. Jakoś udało mi się uniknąć nudnej pracy biurowej i wyjść na swoje.

- Tak - odpowiadam, kiwając głową. - Mam.

- Waitrose? - dopytuje Duncan. - Sainsbury's?

- I inne.

- Masz dużą konkurencję - mówi Angus.

- Jasne - odpowiadam. - Sporo wielkich marek i produktów celebrytów. Nawet ten bokser UFC Connor MacGregor ma swoją. Ale chcieliśmy osiągnąć bardziej ... rzemieślniczy efekt. Jak te nowe wersje ginu.

- Mamy to szczęście, że jutro ją zaserwujemy - kwituje Will. - John no przywiózł ze sobą całą skrzynkę. Sprawdzimy ją wieczorem. Powtórz mi, jak ona się nazywa?

Pamiętam, że nazwa była dobra.

- Piekielnik. - Jestem dość dumny z tej nazwy. Wyróżnia się na tle staroświeckich marek. Wkurzyło mnie, że Will jej nie zapamiętał: jest przecież na etykietkach butelek, które dałem mu zaledwie wczoraj. Ale gość jutro się żeni. Ma na głowie inne rzeczy.

- I kto by pomyślał - mówi Femi. - Wszyscy wyrosliśmy na poważanych dorosłych. W dodatku po takiej szkole! Raz jeszcze, nie mam nic do twojego ojca, Will, ale to miejsce było jak z innego stulecia. Mamy szczęście, że uszliśmy stamtąd z życiem - z tego, co pamiętam, co semestr odpadało czterech uczniów.

Ja nigdy nie mógłbym stamtąd odejść. Kiedy otrzymałem stypendium sportowe, moi rodzice byli przeszczęśliwi, że będę mógł się uczyć w ekskluzywnej szkole - z internatem! Miało to otworzyć przede mną wiele drzwi, a przynajmniej tak im się wydawało.

- Tak - mówi Pete. - Pamiętacie tego chłopaka, który wypił etanol w laboratorium chemicznym, bo ktoś rzucił mu wyzwanie, i odwieźli go do szpitala? I zawsze było kilku takich, którzy dostali załamania nerwowego ...

- O cholera - wykrzykuje Duncan z podekscytowaniem. - A pamiętacie tego chudzielca, który zmarł? Przeżyli tylko silni! - Szczerzy do nas zęby. - Ci, którzy robili piekło, mam rację? I na weekend znów jesteśmy razem!

- Jasne - przytakuje Femi. - Ale patrz na to. - Nachyla się i pokazuje miejsce na głowie, gdzie przerzedziły mu się włosy. - Robimy się starzy i nudni.

- Mów za siebie! - odszczekuje Duncan. - Pewnie znów moglibyśmy nieźle namieszać, gdyby nadarzyła się okazja.

- Nie na moim ślubie - mówi Will, ale się uśmiecha.

- Zwłaszcza na twoim ślubie - odpowiada Duncan.

- Zawsze uważałem, że pierwszy się ożenisz - rzuca Femi do Willa. - Zawsze miałeś powodzenie u dziewczyn.

- A ja sądziłem, że nigdy nie dasz się usidlić - wtrąca Angus, podlizując się jak zawsze. - Za dobrze ci szło z kobietami. Po co decydować się na jedną?

- Pamiętasz tę dziewczynę, którą przeleciałeś? - pyta Pete. - Tę z miejscowego liceum? I ten polaroid, który strzeliłeś jej toples? O Jezu.

- Lepšie od tych w „Playboyu” - mówi Angus. - Nadal czasem myślę o tym zdjęciu.

- Tak, bo ty możesz tylko jechać na ręcznym - odpowiada Duncan.

Will puszcza mu oko.

- Tak czy inaczej, to spotkanie, nawet jeśli jesteśmy starzy i nudni, jak ujął to Femi, zasługuje na uczczenie toastem.

- Pełna zgoda - mówi Duncan, unosząc swoją puszkę.

- Właśnie - przytakuje Pete.

- Za tych, którzy przetrwali. - Will wznosi toast.

- Za tych, którzy przetrwali! - powtarzamy za nim. I przez ułamek chwili, gdy patrzę na nich, wyglądają inaczej, młodziej. Jak gdyby pozłociło ich słońce. Z tego miejsca nie widać łysiny Femięgo ani brzucha Angusa, ani bladości Pete'a. Nawet Will wygląda lepiej, jaśniej, jeśli w jego przypadku to w ogóle możliwe. Nagle mam wrażenie, że znów tam jesteśmy, siedzimy na dachu sali gimnastycznej i nic złęgo jeszcze się nie wydarzyło. Dużo bym dał, żeby wrócić do tamtych czasów.

- Dobra - mówi Will, wylewając resztki guinnessa. - Lepiej wróć na dół. Niedługo przyjadą Charlie i Hannah. Jules chce, żeby na pomoście czekał na nich komitet powitalny.

Pewnie kiedy wszyscy dotrą na miejsce, weekend naprawdę się rozkręci. Przez moment życzę sobie jednak, żebyśmy mogli wrócić do chwili, gdy byliśmy z Willem sami i gadaliśmy o niczym. Ostatnimi czasy nie widywałem go za często. A mimo to jest osobą, która wie o mnie więcej niż ktokolwiek na świecie. A ja o nim.

## *Olivia*

### *Druhna*

Podobno w moim pokoju sypiała kiedyś pokojówka. Dość szybko się zorientowałam, że ulokowano mnie bezpośrednio pod sypialnią Jules i Willa. Wczoraj w nocy słyszałam wszystko. Staralam się nie słuchać. Ale im bardziej próbowałam, tym wszystko stawało się wyraźniejsze - każde stęknienie, każdy jęk. Prawie jak gdyby tego właśnie chcieli.

Dziś rano też to zrobili, ale przynajmniej wtedy mogłam uciec z pałacyku. Polecono nam, żeby nie chodzić po wyspie po zmroku, ale jeśli coś takiego się zdarzy jeszcze raz, to nie ma mowy, żębym spała w budynku. Wolę już próbować szczęścia z torfowiskiem i klifami.

Włączam i wyłączam w telefonie tryb samolotowy, żeby zobaczyć, czy komunikat BRAK SYGNAŁU zniknie, ale gówny to pomaga. Zresztą wątpię, żebym miała jakiegokolwiek nowe wiadomości. Właściwie straciłam kontakt z wszystkimi przyjaciółmi. Nie żebyśmy się pokłócili, ale odkąd rzuciłam studia, zniknęłam z ich świata. Na początku wysyłali mi wiadomości: Mam nadzieję, że u ciebie wszystko dobrze, słonko .

Zadzwoń, jeśli będziesz chciała pogadać, Livs.

Niedługo się zobaczymy, co nie?

Tęsknimy za tobą!

Co się stało???

Nagle czuję, że nie mogę oddychać. Przytrzymuję się nocnego stolika. Obok leży żyletka: mała, ale ostra. Ściągam dzinsy i dociskam żyletkę do wewnętrznej strony ud, w pobliżu majtek, i przeciągam nią po skórze, aż pojawi się krew. Czerwień, na tle sinobłędego ciała w tamtym miejscu, wydaje się taka ciemna. Nie jest to wielka rana.

Robiłam większe. Ale ból skupia moją uwagę na jednym punkcie, na metalu przecinającym moją skórę, i przez tę jedną chwilę nie istnieje nic innego.

Oddycham nieco spokojniej. Może zrobię jeszcze jedną ...

Ktoś puka do drzwi. Upuszczam żyletkę i niezdarnie próbuję zapiąć dzinsy.

- Kto tam?

- Ja - odpowiada Jules, otwierając drzwi, zanim powiem, że może wejść, co jest bardzo w jej stylu. Dzięki Bogu szybko zareagowałam. - Muszę cię zobaczyć w sukni drużyny - mówi. - Mamy trochę czasu, nim przyjadą Hannah i Charlie. Ten kretyn Johnno zapomniał garnitur, więc chcę się upewnić, że przynajmniej jedna osoba w orszaku weselnym będzie wyglądać jak trzeba.

- Już ją przymierzałam - odpowiadam. - Pasuje. - Kłamstwo. Nie mam pojęcia, czy pasuje, czy nie. Miałam przyjść do sklepu i ją przymierzyć. Ale znajdowałam wymówkę za każdym razem, kiedy Jules próbowała mnie tam ściągnąć: ostatecznie się poddała i kupiła ją w ciemno, pod warunkiem że od razu ją przymierzę i dam znać, czy leży.

Powiedziałam, że tak, ale nie mogłam się zmusić, żeby ją założyć. Odkąd Jules ją mi przysłała, jest zamknięta w pudełku z tektury.

- Może tobie to wystarczy - odzywa się Jules - ale muszę cię zobaczyć. - Nagle się do mnie uśmiecha, jakby przypomniała sobie, że powinna to zrobić. - Możemy pójść do mojego pokoju, jeśli chcesz. - Mówi, jak gdyby oferowała mi jakiś wielki przywilej.

- Nie, dzięki - odpowiadam. - Wolę zostać tutaj.

- No chodź - nalega. - Mamy tam wielkie lustro. - Dociera do mnie, że wcale nie mam wyboru. Idę do szafy i wyciągam z niej pudło w kolorze

bladego, pastelowego turkus. Jules zaciska usta. Wiem, że jest wkurzona, że jeszcze nie rozwiesiłam sukni.

Dorastanie z Jules było czasem jak posiadanie drugiej matki, w dodatku takiej, która przypomina inne mamy - apodyktycznej, zasadniczej i tym podobne. Nasza właściwie nigdy taka nie była, ale Jules tak.

Idę za nią do ich sypialni. Mimo że Jules jest do przesady pedantyczna, a okna są otwarte, żeby wpuścić do środka świeże powietrze, pachnie tu ciałami, męską wodą kolońską i chyba (nie chcę nawet o tym myśleć) seksem. Czuję się niezręcznie, przebywając w ich prywatnej przestrzeni.

Jules przymyka drzwi i odwraca się do mnie, krzyżując ręce na piersi.

- No już - mówi.

Wygląda na to, że nie mam zbyt wielkiego wyboru. Jules jest dobra w wywieraniu na ludziach takiej presji. Rozbieram się do bielizny, ściskając uda na wypadek, gdyby okazało się, że nadal krwawię. Jeśli Jules coś zobaczy, będę musiała jej powiedzieć, że mam okres. Dostaję gęziej skórki od chłodnej bryzy wpadającej przez okna. Czuję, jak siostra mnie obserwuje. Wolalabym, żeby dała mi nieco prywatności.

- Schudłaś - ocenia. Jej ton jest pełen troski, ale nie brzmi szczerze. Wiem, że pewnie jest zazdrosna. Raz, kiedy się upiła, zaczęła opowiadać o tym, jak inne dzieci nabijały się z niej w szkole, bo była „pulchna”. Zawsze komentuje moją wagę, jak gdyby nie wiedziała, że od dzieciństwa byłam szczupłą. Ale można nienawidzić swojego ciała, nawet gdy jest się chudym. Czuję się tak, jakby miało przed tobą sekrety. Jakby cię zawiodło.

Jednak Jules ma rację. Straciłam na wadze. W tym momencie pasują na mnie tylko moje najmniejsze dżinsy, a nawet one spadają mi z bioder. Nie starałam się schudnąć.

Ale to uczucie pustki, którego doznaję, kiedy nie jem wystarczająco dużo ... pasuje do tego, jak się czuję. Jakbym dobrze robiła.

Jules wyciąga sukienkę z pudełka.

- Olivio! - zaczyna gniewnie. - Nie wyciągnęłaś jej przez cały ten czas? Spójrz na te zagięcia! Jedwab jest taki delikatny ... Sądziłam, że lepiej o nią zadbasz. - Mówi do mnie jak do dziecka. Pewnie myśli, że tak właśnie jest. Ale nie jestem już dzieckiem.

- Przepraszam, zapomniałam. - *Kłamstwo.*

- Całe szczęście zabrałam parownicę do ubrań. Choć wyprasowanie tych wszystkich zagięć zajmie wieczność. Zrobisz to później. Ale teraz po prostu ją włóż.

Każe mi wyciągnąć ręce jak dziecku i wciska mi sukienkę przez głowę. Gdy to robi, zauważam długie na dwa i pół centymetra jasnoróżowe znamię po wewnętrznej stronie jej nadgarstka. Wydaje mi się, że to oparzenie. Wygląda na bolesne i zastanawiam się, skąd je ma. Zwykle Jules jest taka ostrożna, że nie zrobiłaby sobie czegoś takiego. Ale zanim zdołam lepiej

przyjrzeć się ranie, chwytając mnie za ramiona i popycha w stronę lustra, żebyśmy obie mogły zobaczyć mnie w sukience. Ma blad różowy kolor, którego sama nigdy bym nie wybrała, bo wyglądam przez niego na jeszcze bledszą. To prawie ten sam kolor, co lakier eleganckiego manikiuru, który Jules kazała mi zrobić w zeszłym tygodniu w Londynie. Nie była zadowolona ze stanu moich paznokci i powiedziała manikiurzystce, żeby „zrobiła z nimi, co tylko się da”. Kiedy patrzę teraz na swoje palce, mam ochotę wybuchnąć śmiechem: błysk ugrzecznionego, cukierkowego różu obok moich obgryzionych, krwawiących skórek.

Jules robi krok w tył. Ręce ma skrzyżowane na piersi, oczy przymrużone.

- Jest dość luźna. Rany, przecież to był najmniejszy rozmiar w całym sklepie. Naprawdę, Olivio. Mogłaś mi powiedzieć, że suknia nie leży, jak trzeba: kazałabym ją zwęzić.

Ale ... - Marszczy czoło i powoli mnie obchodzi. Znowu czuję chłodne powietrze ciągnące od drzwi i przechodzi mnie dreszcz. - Nie wiem, może dobrze to wygląda, gdy jest taka luźna. Można uznać, że to taki styl.

Przyglądam się sobie w lustrze. Fason sukienki nie jest aż taki zły: to halka, skrojona po skosie, bardzo w stylu lat dziewięćdziesiątych. Mogłabym nawet założyć coś takiego, gdyby kolor był inny. Jules się nie myli - nie wygląda to fatalnie. Ale przez tkaninę widać moje czarne majtki i sutki.

- Nie martw się - mówi Jules, jak gdyby czytała mi w myślach. - Mam dla ciebie stanik samonośny. Kupiłam ci też stringi w cielistym kolorze. Wiedziałam, że takich nie masz.

Super. Dzięki temu będę miała wrażenie, że jestem dużo mniej naga.

Dziwnie się czuję, gdy stoimy tak razem przed lustrem, z Jules za moimi plecami, i obie patrzymy w nasze odbicia. Są między nami oczywiste różnice. Po pierwsze, nasze sylwetki są zupełnie inne, a ja mam też smuklejszy nos - nos mamy. Za to Jules ma lepsze włosy - grube i lśniące. Ale kiedy stoimy tak razem, widzę, że jesteśmy podobniejsze, niż wydaje się na pierwszy rzut oka. Mamy ten sam owal twarzy po mamie. Widać, że jesteśmy siostrami - albo prawie siostrami.

Zastanawiam się, czy Jules też widzi podobieństwa między nami. Ma dziwną, kwaśną minę.

- Och, Olivio - mówi. I wtedy - widzę to w lustrze przed nami, zanim jeszcze to poczuję - bierze mnie za rękę. Zamieram. To zupełnie nie w jej stylu: nie przepada za dotykiem czy okazywaniem czułości. - Posłuchaj. Wiem, że nie zawsze się dogadywałyśmy. Ale jestem naprawdę dumna z tego, że mam taką drużną jak ty. Wiesz o tym, prawda?

- Tak - odpowiadam. Brzmi to jednak nieco skrzekliwie.

Jules ściska moją dłoń, co w jej kategoriach jest jak przytulanie na misia.

- Mama mówi, że zerwałaś z tym chłopakiem. Wiesz, w twoim wieku może się wydawać, że to koniec świata. Ale później poznasz kogoś, z kim połączy cię coś prawdziwego, i zrozumiesz różnicę. Poczujesz się jak Will i ja ...

- To nic takiego - odpowiadam. - Wszystko w porządku. - Kłamstwo. Nie chcę z nikim o tym rozmawiać. A w szczególności z Jules. Jest ostatnią osobą, która by mnie zrozumiała, gdybym powiedziała jej, że nie pamiętam, dlaczego w ogóle się malowałam, wkładałam ładną bieliznę, kupowałam lepsze ubrania albo chodziłam do fryzjera. Mam wrażenie, że to wszystko robił ktoś inny.

Nagle czuję się bardzo dziwnie. Robi mi się słabo i zaczyna mnie mdlić. Zaczynam się chwiać, ale Jules mnie podtrzymuje, a jej dłonie mocno zaciskają się na moich ramionach.

- Nic mi nie jest - mówię, zanim w ogóle zapyta, co się dzieje. Nachyliłam się i rozpinam przesadnie eleganckie czółenka, które wybrała dla mnie Jules, z ozdabianymi kryształkami sprzączkami, co zajmuje wieki, bo moje palce zrobiły się drętwe i niezdarne. Następnie ściągam sukienkę przez głowę, ciągnąc za nią tak mocno, że Jules wydaje siebie cichy jęk, jakby się bała, że ją podre.

- Olivio! - wykrzykuje. - Co w ciebie wstąpiło?

- Przepraszam - odpowiadam. Ale tylko ruszam wargami: z moich ust nie wydobywa się żaden dźwięk.

- Posłuchaj - mówi. - Chciałabym, żebyś przez te kilka dni spróbowała się dla mnie wysilić. Okej? To mój ślub, Livvy. Tak bardzo się starałam, żeby wyszedł idealnie.

Kupiłam ci tę sukienkę - chcę, żebyś ją włożyła, bo chcę, żebyś była przy mnie jako moja drużna. Ma to dla mnie znaczenie i dla ciebie też powinno. Czy to w ogóle jest dla ciebie ważne?

Kiwam głową.

- Tak. To dla mnie ważne. - A po chwili, bo czuję, że czeka, aż coś dodam, mówię: - Już w porządku. Nie wiem ... nie wiem, co się przed chwilą stało. Już ze mną dobrze.

*Kłamstwo.*

**Jules**

*Panna młoda*



Otwieram drzwi do pokoju matki i wchodzę w chmurę perfum Shalimar wymieszanych, jak mi się zdaje, z dymem papierosowym. Lepiej dla niej, żeby tu nie paliła. Mama siedzi przed lustrem w jedwabnym kimono i obrysowuje usta typową dla siebie karminową konturówką.

- Rany boskie, co za mordercza mina. Czego chcesz, skarbie?

Skarbie.

Dziwne okrucieństwo tego słowa.

Staram się panować nad tonem głosu. Dziś jestem najlepszą wersją siebie.

- Olivia będzie się jutro dobrze zachowywać, prawda?

Matka wzdycha ze znużeniem. Upija łyk napoju, który stoi obok. Wygląda na martini. Świetnie, widzę, że nie marnuje czasu.

- Zrobiłam z niej swoją druhnę - mówię. - Mogłam wybrać dwadzieścia innych osób. - To nie do końca prawda. - Ale ona zachowuje się, jakby to była jakaś straszna męka.

Nie musiała prawie nic robić. Nie przyjechała na wieczór panieński, mimo że opłaciłam jej pokój w willi. Wyglądało to dziwnie ...

- Mogłam przyjechać za nią, skarbie ...

Wlepiam wzrok w mamę. Nigdy nie przyszłoby mi na myśl, że mogłaby chcieć przyjechać. Zresztą nigdy nie zaprosiłabym matki na swój wieczór panieński. Zamieniłby go w show Araminty Jones.

- Posłuchaj - mówię. - To już bez znaczenia. Było, minęło. Ale czy przynajmniej jutro spróbuje sprawić wrażenie, jakby cieszyła się moim szczęściem?

- Ma za sobą trudny czas - odpowiada matka.

- Chodzi ci o to, że zerwał z nią chłopak? Z tego, co widziałam na Instagramie, chodzili ze sobą tylko przez kilka miesięcy. Naprawdę: romans stulecia! - W moim głosie pojawiła się nuta rozdrażnienia.

Matka koncentruje się teraz na precyzyjnym obrysowaniu łuku kupidyna.

- Ale skarbie - odzywa się dopiero po chwili - jeśli się nad tym zastanowić, ty i boski Will też nie jesteście ze sobą długo, prawda?

- To co innego - odpowiadam rozdrażniona. - Olivia ma dziewiętnaście lat. Nadal jest nastolatką. A nastolatki myślą wielką miłość z burzą hormonów. W jej wieku też mi się zdawało, że jestem zakochana.

Myślę o Charliem, gdy miał osiemnaście lat: głęboka opalenizna w biszkoptowym odcieniu, biała linia widoczna czasem spod szortów. Zdaję sobie sprawę, że moja matka nigdy nie wiedziała - ani nie chciała wiedzieć - o moich miłosnych przeżyciach z nastoletnich lat. Była zbyt zajęta własnymi romansami. Dzięki Bogu. Nie sądzę, żeby jakikolwiek nastolatek czy nastolatka pragnęli w tych sprawach rodzicielskiego nadzoru. Ale uznaję to też za dowód na to, że mama i Olivia są sobie dużo bliższe.

- Musisz pamiętać, że kiedy twój ojciec mnie zostawił - mówi teraz - byłam mniej więcej w tym samym wieku co ona. Miałam małe dziecko ...

- Wiem, mamó - odpowiadam tak cierpliwie, jak tylko zdołam. Słyszałam więcej razy, niż bym chciała, że moje narodziny były dla matki końcem jej marzeń o wielkiej karierze.

- Wiesz, jak to jest? - pyta. No i zaczyna się: ta sama zdarta płyta. - Próbować prowadzić życie zawodowe z dzieckiem na ręku? Próbować zarobić na życie i coś osiągnąć?

Żeby mieć co do garnka włożyć?

*Nie musiałaś dalej szukać pracy jako aktorka, myślę sobie. Jeśli naprawdę chciałaś zarobić na życie, to nie był to chyba najsensowniejszy sposób. Nie musiałyśmy wydawać twoich nędznych zarobków na mieszkanie na Shaftesbury Avenue w londyńskiej pierwszej strefie, przez co nie starczało na jedzenie. To nie moja wina, że jako nastolatka podjęłaś kiepskie decyzje i zaliczyłaś wpadkę.*

Jak zwykle nie wypowiadam na głos ani jednej z tych rzeczy.

- Rozmawiamy o Olivii - przypominam jej.

- Cóż - odpowiada na to matka - powiedzmy, że Olivia doświadczyła czegoś więcej niż trudnego rozstania. - Przygląda się swoim połyskującym paznokciom. Też są karminowe - jak gdyby zanurzyła palce w krwi.

Jasne, mówię do siebie w duchu. Chodzi o Olivię, więc na pewno musiało to być w jakiś sposób inne i wyjątkowe. Uważaj, Jules, nie bądź zgorzkniała. Zachowuj się.

- No to o co chodzi. Co się jeszcze stało?

- Nie jestem upoważniona, by o tym opowiadać. - Ta dyskrecja jest w przypadku mojej matki zaskakująca. - A poza tym - dodaje - Olivia jest empatyczna tak jak ja. Nie potrafimy tak po prostu ... zdusić naszych uczuć i robić dobrą minę do złej gry, jak inni.

Wiem, że w pewnym sensie to prawda. Wiem, że rzeczywiście Olivia bardziej przeżywa wszystkie sprawy, nawet za bardzo, i że bierze je sobie do serca. Jest marzycielką.

Często wracała do domu ze szkoły z zadrapaniami i sińcami, bo ciągle na coś wpadała. Obgryza paznokcie, zawsze dzieli włos na czworo i zdecydowanie za dużo myśli. Jest „delikatna”. Ale jest też rozpuszczona.

Nie mogę też nic poradzić, że słyszę przytyk w słowach matki. To, że ci „inni”, w tym ja, nie mają serca na dłoni i znajdują jakiś sposób na radzenie sobie ze swoimi emocjami, nie oznacza, że ich nie posiadamy.

*Oddychaj, Jules.*

Myślę o tym, jak Olivia spojrzała na mnie, kiedy powiedziałam jej, że cieszę się, że będzie moją druhną. Nie mogłam powstrzymać lekkiego uczucia zazdrości, kiedy zdjęła ubrania, ujawniając smukłe ciało bez rozstępów. Wiem, że czuła mój wzrok. Jest zdecydowanie za chuda i zbyt blada. A mimo to wyglądała niezaprzeczalnie pięknie. Jak jedna z modelek z lat dziewięćdziesiątych w stylu „heroin-chic”: Kate Moss leżąca w kawalerce, z łańcuchem świątecznych lampek za swoimi plecami. Gdy na nią patrzyłam, znalazłam się gdzieś pomiędzy emocjami, które zawsze wobec niej czuję: głęboką, prawie bolesną czułością i budzącą wstyd, ukrytą zazdrością.

Chyba nie zawsze okazywałam jej tyle ciepła, ile powinnam. Teraz jest starsza, trochę zmądrzała, ale ostatnio, zwłaszcza od przyjęcia zaręczynowego, wyraźnie trzyma się na dystans. Ale kiedy Olivia była młodsza, chodziła za mną jak zapatrzony w swoją panią szczeniak. Zdążyłam się już przyzwyczać, że okazuje mi nieodwzajemnione uczucia.

Nawet kiedy jej zazdrościłam.

Mama odwraca się na krześle. Jej twarz stała się nagle bardzo posepną, co jest do niej zupełnie niepodobne.

- Posłuchaj, Olivia ma za sobą trudny czas. Nie znasz całej tej historii. Biedactwo wiele przeszło.

Biedactwo. Czuję je, gdy mówi te słowa. Myślałam, że jestem na to odporna. Wstyd mi, że nie: małe ukłucie zazdrości pod żebrami.

Biorę głęboki wdech. Przypominam sobie w duchu, że wychodzę za męża. Jeśli Will i ja będziemy mieć dzieci, to ich dzieciństwo nie będzie przypominało mojego. Mama zawsze się z kimś spotykała - zwykle z aktorem „u progu wielkiej sławy”. Ktoś zawsze znajdował mi miejsce do spania wśród rzuconych płaszczy na tym czy innym afterparty w Soho, bo miałam sześć lat i wszystkie dzieci z mojej klasy już od dawna spały w swoich ciepłych łóżkach.

Mama odwraca się z powrotem do lustra. Patrzy na siebie, przymrużając powieki, odgarnia włosy na jedną stronę, potem na drugą, wykręca je w kok z tyłu głowy. - Muszę ładnie wyglądać dla twoich gości - mówi. - Czyż wszyscy koledzy Willa nie są przystojni?

Litości.

Olivia nie wie, ile miała szczęścia. Dla niej wszystko było normalne. Kiedy jej tata Rob był z nimi, mama przeistoczyła się we wzorową rodzicielkę: gotowała posiłki, zaganiała ją do łóżka o dwudziestej, urządziła jej pokój pełen zabawek. Ale w końcu znudziła się jej zabawa w dom. Do tego czasu Olivia zdążyła jednak doznać pełnego, szczęśliwego dzieciństwa. A ja zdążyłam do tego czasu prawie ją znienawidzić za to, co dostała, a czego nie była nawet świadoma.

Aż mnie świerzbi, żeby coś rozbić. Biorę świecę Cire Trudon stojącą na toalecie i oceniam jej ciężar w dłoni, wyobrażam sobie, jak by to było, gdybym patrzyła, jak rozpryskuje się na kawałki. Już tego nie robię - panuję nad sobą. Zdecydowanie nie chciałabym, żeby Will zobaczył tę wersję mnie. Ale mam wrażenie, że w obecności mojej rodziny pogarsza mi się, pozwalam, by dawna małość, zazdrość i poczucie krzywdy do mnie wracały, aż z powrotem staje się nastoletnią Jules, która planuje, jak od tego uciec. Muszę być od tego silniejsza. Utorowałam sobie własną drogę. Sama zbudowałam coś stabilnego i potężnego. A ten weekend jest tego wyrazem. To mój marsz zwycięstwa.

Słyszę przez okno odgłos krztuszącego się silnika łodzi. To pewnie Charlie. Charlie sprawi, że poczuję się lepiej.

Odstawiam świecę.

## **Hannah**

### *Osoba towarzysząca*

Zanim wpłynęliśmy na spokojniejsze wody zatoczki przy wyspie, zdążyłam wymiotować trzy razy, przemarzłam i przemokłam na kość. Czuje się wyżęta jak stara ścierka i kurczowo trzymam się Charliego, jak gdyby był ludzką wersją łodzi ratunkowej. Nie jestem pewna, jak zejść z pokładu, bo moje nogi są miękkie, jakby nie było w nich kości.

Zastanawiam się, czy Charliemu jest wstyd za mój stan. Przy Jules zawsze zachowuje się nieco dziwnie. Moja mama nazwałaby to „pysznieniem się”.

- Popatrz - odzywa się. - Widzisz tamte plaże? Piasek naprawdę jest biały. - Widzę, jak na mieliźnie morska woda zmienia kolor na zadziwiający akwamaryn. Światło odbija się od fal. Po jednej stronie granicę lądu stanowią imponujące klify i ogromne skalne filary, które się od nich oddzieliły. Po drugiej stronie, niedaleko przystani, znajduje się mały zamek, przycupnięty na wypiętrzonych półkach skalnych, pod którymi huczą fale.

- Popatrz na zamek - mówię.

- To chyba pałacyk - odpowiada Charlie. - A przynajmniej tak go nazwała Jules.

- Bogaci ludzie zawsze mają na wszystko swoje nazwy.

Charlie mnie ignoruje.

- Tam mamy spać. Powinno być fajnie. A dodatkowo będzie czym rozproszyć myśli, prawda? Wiem, że ten miesiąc zawsze jest trudny.

- Tak. - Kiwam głową.

Charlie ściska moją dłoń. Przez moment oboje milczymy.

- No i wiesz - dodaje - jesteśmy tu bez dzieci. Jakbyśmy znów byli zwykłymi dorosłymi.

Patrzę na niego z ukosa. Czy w jego głosie pobrzmiwa tęsknota? Fakt, ostatnio nie robiliśmy nic poza utrzymaniem przy życiu dwójki małych ludzi. Czasem czuję nawet, że Charlie jest zazdrosny o to, ile miłości i uwagi okazuję naszym dzieciom.

- Pamiętasz, jak było na początku - powiedział Charlie jakąś godzinę temu, kiedy jechaliśmy przez piękne, wiejskie tereny Connemary, podziwiając czerwone wrzosi i ciemne szczyty - kiedy wsiadaliśmy do pociągu z namiotem i przez weekend obozowaliśmy gdzieś na dziko? Mam wrażenie, że to było tak dawno temu.

Kochaliśmy się wtedy przez cały weekend i wychodziliśmy tylko, żeby zjeść albo pójść na spacer. Jakimś cudem zawsze znalazły się jakieś zaskórniaki. Nasze życie jest teraz bogate w inny sposób, ale wiem, o co chodzi Charliemu. Jesteśmy pierwszymi osobami w naszej grupie znajomych, którym urodziły się dzieci - byłam w ciąży z Benem, jeszcze zanim się pobraliśmy. Mimo że niczego bym nie zmieniła, zastanawiam się, czy nie umknęło nam kilka lat beztroskiej zabawy. Czasem mam wrażenie, że jest jeszcze inna ja, którą zgubiłam gdzieś po drodze. Dziewczyna, która zawsze zostawała na jeszcze jednego drinka, która uwielbiała tańczyć. Bywa, że za nią tęsknię.

Charlie ma rację. Potrzebujemy weekendu poza domem, tylko we dwoje. Wolałabym jednak, żeby nasz pierwszy od lat wspólny wyjazd nie wiązał się z wykwintnym ślubem nieco przerażającej przyjaciółki Charliego.

Nie chcę się zbyt wiele zastanawiać nad tym, kiedy po raz ostatni się kochaliśmy, bo wiem, że odpowiedź tylko mnie przygnębi. W każdym razie minęło już trochę czasu.

Szykując się na ten weekend, poszłam na depilację bikini po raz pierwszy od ... od bardzo dawna, jeśli nie liczyć opakowań pasków z woskiem do samodzielnej depilacji, których prawie całe opakowanie leży w szafce w łazience. Czasem, odkąd pojawiły się dzieci, czuję się, jakbyśmy bardziej byli kolegami albo partnerami w małej, trochę niepewnej, raczkującej firmie, której musimy poświęcić całą naszą uwagę, zamiast kochankami. Kochankowie. Kiedy ostatnio myśleliśmy o sobie w ten sposób?

- O cholera - mówię, żeby przestać nad tym rozmyślać. - Popatrz na ten namiot weselny! Co za kolos! - Jest tak wielki, że wygląda raczej jak całe obozowisko niż jedna struktura. Ale jeśli ktoś miał mieć naprawdę zjawiskowy namiot weselny, to tą osobą jest Jules.

Reszta wyspy wygląda, jeśli to w ogóle możliwe, jeszcze bardziej niepokojąco niż z oddali. Gdy podpływamy bliżej, dostrzegam zlepek

małych, ciemnych domków za pałacykiem. A na skraju wzniesienia za namiotem widać sterczące, ciemne kształty. Na początku wydaje mi się, że to ludzie: komitet powitalny czekający na nasz przyjazd.

Tylko że sterczą niemożliwie nieruchomo. Im jesteśmy bliżej, tym wyraźniej widzę, że te dziwne postaci to kamienie nagrobne. A to, co wyglądało na wielkie, dyniowate głowy, to obręcze krzyżów celtyckich.

- Widzę ich! - mówi Charlie i zaczyna machać.

Zauważam kilka osób zebranych na pomoście, które nam odmachują. Przeczesuję palcami włosy, choć wiem z doświadczenia, że pewnie są przez to jeszcze bardziej rozczochrane. Żałuję, że nie mam butelki wody, żebym mogła przepić kwaśny smak w ustach.

Gdy podpływamy bliżej, lepiej ich wszystkich widzę. Dostrzegam Jules i nawet z oddali poznaję, że wygląda nienagannie: to jedyna osoba, która może być ubrana cała na biało w miejscu takim jak to i natychmiast się nie ubrudzić. Obok Jules stoją dwie kobiety i domyślam się, że to jej rodzina - poznaję po lśniących, ciemnych włosach.

- To mama Jules - mówi Charlie, wskazując na starszą kobietę.

- Łał. - Nie tego się spodziewałam. Jest ubrana w czarne dżinsy rurki i małe, kocie okulary zatknięte na czarnych włosach przyszytych na boba. Nie wygląda na matkę trzydziestokilkuletniej córki.

- Urodziła Jules dość młodo - wyjaśnia Charlie, jak gdyby czytał mi w myślach. - A to ... nie! To chyba Olivia. Przyrodnia młodsza siostra Jules.

- Nie wygląda już na małą - kwituję. Jest wyższa od Jules i swojej mamy. To zupełnie inny typ sylwetki niż siostra, która ma więcej krągłości. Jest intrygująca z wyglądu, wręcz piękna, a jej blada - bledziutka - skóra doskonale komponuje się z czarnymi włosami. Jej nogi wyglądają w dżinsach tak, jak gdyby ktoś narysował węglem dwie długie, cienkie kreski. Boże, zabiłabym, żeby mieć takie nogi.

- Nie mogę uwierzyć, jak wydorosła - mówi Charlie prawie szeptem, bo jesteśmy na tyle blisko, że mogą nas usłyszeć. W jego głosie pobrzmiwa niezdrowa ekscytacja.

- To ona się w tobie podkochiwała? - pytam, przypominając sobie jakąś na wpół zapamiętaną rozmowę z Jules.

- Tak - odpowiada, uśmiechając się smutno. - Jules strasznie mi przez to dokuczała. Krępująca sprawa. Zabawna, ale krępująca. Znajdowała różne wymówki, żeby przyjść ze mną pogadać, albo kręciła się w pobliżu w niepokojąco prowokujący jak na trzynastolatkę sposób.

Spoglądam na przepiękną istotę na pomoście i myślę, że teraz na pewno nie byłby tym skrupowany.

Mattie nagle zaczyna się przy nas uwijać, wystawia odbojnice za burzę, szykuje linę.

Charlie robi krok w jego stronę:

- Pomogę ...

Mattie odgania go gestem dłoni, czym mój mąż jest, jak sędzę, nieco urażony.

- Rzucaj! - Will idzie po pomoście w naszą stronę, sadząc wielkie kroki. W telewizji jest przystojny. Na żywo jest... powalający. - Pomogę! - woła do Mattiego.

Nasz kapitan rzuca linę i Will chwyta ją w locie, ukazując przy tym fragment umięśnionego brzucha pod tradycyjnym swetrem z warkoczami. Może tylko to sobie wyobrażam, ale mam wrażenie, że Charlie się przy mnie najeża. Łodzie to jego domena: w młodości był instruktorem żeglarstwa. Ale wygląda na to, że wszystkie sporty na świeżym powietrzu są też domeną Willa.

- Witajcie! - Uśmiecha się szeroko i wyciąga do mnie rękę. - Przenieść cię? - Nie jest to konieczne, ale się godzę. Will bierze mnie w ramiona i przenosi nad burtą, jakbym była dzieckiem. Czuję powiew jakiegoś subtelnego, męskiego zapachu - mchu i sosny - i z przerażeniem zdaję sobie sprawę, czym sama zalatuję: wymiocinami i wodorostami.

Od razu widzę, że ma czar i magnetyzm również w prawdziwym życiu. W jednym z artykułów, jakie o nim przeczytałam, gdy oglądałam jego program - bo oczywiście musiałam zacząć googlować wszelkie informacje na jego temat - dziennikarka zażartowała, że ogląda jego show głównie dlatego, że nie może oderwać od niego wzroku. Wielu ludzi się oburzyło, twierdząc, że to upodmiotowienie i że gdyby coś takiego napisał mężczyzna, to zostałby ukamienowany. Ale założę się, że dział PR pewnie stworzył szampana.

Jeśli mam być szczerą, to wiem, co miała na myśli. Istnieje wiele zdjęć, na których Will jest rozebrany do pasa albo z wysiłkiem wspina się po ścianie skalnej, zawsze wyglądając przy tym niewiarygodnie atrakcyjnie. Ale chodzi o coś więcej. Ma swój własny sposób mówienia do kamery, poufałość, która sprawia, że czujesz się tak, jakbyś leżał razem z nim w prowizorycznym szałasie, zbudowanym przez niego z gałęzi i kory, i mrugasz w świetle z jego czołówki. To poczucie towarzyskiej samotności - poczucie, że jesteś tylko ty, on i natura. On uwodzi widzów.

Charlie wyciąga do niego rękę na powitanie.

- Żartujesz sobie? - pyta Will i serdecznie obejmuje mojego męża. Nawet ze swojego miejsca widzę, jak sztywne są plecy Charliego.

- Will - mówi, zdawkowo kiwając głową, i natychmiast cofa się o krok. Przy tak wielkiej serdeczności ze strony pana młodego jego zachowanie jest niemal niegrzeczne.

- Charlie! - Jules idzie w naszą stronę, wyciągając rękę. - Tyle się nie widzieliśmy. Ale za tobą tęskniłam!

Jules, druga najważniejsza kobieta w życiu Chariego. Pierwsza, póki się nie pojawiłam. Długo się przytulają.

W końcu ruszamy z Jules i Willem w stronę pałacyku. Will opowiada nam, że początkowo zbudowano go jako fortyfikację służącą obronie wybrzeża, po czym wiek temu jakiś bogaty Irlandczyk przekształcił go w dom wakacyjny: miejsce, w którym mógł odpocząć przez kilka dni i ugościć przyjaciół. Ale jeśli się o tym nie wiedziało, można było prawie uwierzyć, że budynek pochodzi ze średniowiecza. Posiada małą basztę, a w większych oknach znajdują się mniejsze.

- Fałszywe otwory strzelnicze - mówi Charlie. Interesuje się zamkami.

Idąc dalej, widzimy kaplicę, a właściwie to, co z niej zostało, ukrytą za pałacykiem. Wygląda na to, że dach się nie uchował, zostały tylko mury i pięć wysokich filarów - możliwe, że kiedyś były to kościelne iglice. Okna to przepastne, puste otwory w kamieniu, a cała frontowa fasada prawdopodobnie odpadła.

- Jutro odbędzie się tu ceremonia - oznajmia Jules.

- Piękne miejsce - mówię. - Bardzo romantyczne. - Sypię banałami. Kaplica, choć ogołociona, jest na swój sposób piękna. Charlie i ja pobraliśmy się w urzędzie.

Zdecydowanie nie było tam pięknie: ciasny, urzędowy pokój, trochę zaniedbany i duszny. Jules oczywiście też tam była i wyglądała trochę nie na miejscu w swoim ekskluzywnym stroju. Po dwudziestu minutach było po wszystkim, a w drzwiach minęliśmy się z następną parą.

Nie chciałabym jednak wyjść za mąż w takim miejscu jak kaplica. Owszem, jest piękna, ale jej urok jest podszyty czymś tragicznym, a wręcz nieco makabrycznym. Na tle nieba wygląda jak powykręcana dłoń o długich palcach, która przebiła się spod ziemi. Jest w niej coś niepokojącego.

Przyglądam się Willowi i Jules, gdy za nimi idziemy. Nigdy nie miałam jej za osobę, która lubi dotyk innych, ale cały czas obłapia swojego narzeczonego, jak gdyby nie potrafiła trzymać rąk na wodzy. Widać, że uprawiają seks. I to często. Trudno patrzy się na to, jak wsuwa dłoń w kieszeń jego dżinsów albo jak sunie nią po tkaninie jego koszulki. Założę się, że Charlie też to zauważył. Sama o tym nie wspomnę. Tylko ściągnęłabym tym uwagę na to, że my ostatnio rzadko się kochamy. Kiedyś uprawialiśmy naprawdę dobry, wyzywający seks. Ale ostatnio bez przerwy jestem zmęczona. Czasem zastanawiam się też, czy odkąd mamy dzieci Charlie czuje, że się zmieniłam, i czy teraz podobam mu się tak samo jak kiedyś, skoro moje piersi nie są już takie same jak przed karmieniem, a na brzuchu mam dziwny wałek luźnej skóry. Wiem, że nie powinnam się tym przejmować, bo moje ciało dokonało cudu, a właściwie dwóch. Ale to ważne, żeby para nadal czuła do siebie pociąg, prawda?



Jules nie była z nikim na stałe, odkąd Charlie i ja jesteśmy razem. Zawsze zdawało mi się, że nie ma czasu na nic poważnego, bo jest taka skupiona na „Profilu”. Charlie lubił przewidywać, ile przetrwają jej partnerzy: „trzy miesiące góra” albo „moim zdaniem, jego godzina już dawno wybiła”. I zawsze do niego dzwoniła, kiedy kończyła kolejny związek. Zastanawiam się, jak czuje się teraz, widząc, że w końcu się ustatkowała. Podejrzewam, że nie jest do końca szczęśliwy. Moje domysły na ich temat wyłaniają się z odmętów myśli. Odpycham je od siebie.

Gdy zbliżamy się do budynku, nad naszymi głowami rozlega się głośny rechot. Podnoszę głowę i widzę grupę mężczyzn na szczycie baszty, którzy na nas patrzą. W ich śmiechu pobrzmiwa drwina i nagle uświadamiam sobie stan swoich ubrań i włosów. Jestem pewna, że to z nas się tak śmieją.

## *Olivia*

### *Druhna*

Spotkanie z Charliem przypomina mi o tym, jak mi się podobał, gdy byłam młodsza. Minęło tylko kilka lat, ale byłam wtedy dzieckiem. Czuję zażenowanie, gdy myślę o dziewczynie, jaką wtedy byłam. Trochę mnie to też smuci.

Szukam jakiegoś miejsca, w którym mogłabym się przed nimi wszystkimi ukryć. Obieram trasę pomiędzy zniszczonymi domami pozostawionymi przez ludzi, którzy kiedyś zamieszkiwali wyspę. Jules powiedziała mi, że opuścili je, bo stwierdzili, że łatwiej im będzie żyć na lądzie, że chcieli mieć prąd i tym podobne wygody. Rozumiem to. Gdybym była skazana na to miejsce, dostałabym szału. Nawet gdyby udało mi się popłynąć łodzią na stały ląd, to i tak byłabym milion kilometrów od cywilizacji. Za daleko od najbliższego H&M. Zawsze miałam wrażenie, że mieszkamy z mamą w zapadłej dziurze, ale teraz jestem wdzięczna, że nie jest to wyspa na środku Atlantyku. Więc owszem, rozumiem, dlaczego ludzie nie chcą tu być. Patrząc jednak na te opuszczone domy, ich puste okna i zrujnowany stan, trudno nie odnieść wrażenia, że zdarzyło się tu coś strasznego.

Wczoraj zobaczyłam coś na jednej z plaż: większe od innych kamieni, szare, gładkie i jakimiś sposobem miękkie. Podeszłam bliżej. Była to martwa foka. Chyba młoda, bo była taka mała. Gdy ją obeszłam, aż mnie poraziło. Po drugiej stronie ciało foki było rozszarpane, ciemnoczerwone, z wylewającymi się wnętrznościami. Nie mogę wybić sobie z głowy tego obrazu. Od tamtego czasu to miejsce kojarzy mi się ze śmiercią.

Zejdźcie do jaskini oznaczonej na mapie wyspy znajdującej się w pałacyku zajmuje tylko kilka minut. Nazywa się Jaskinia Szeptów. Wygląda jak długa rana w ziemi, otwarta na obu końcach. Można do niej wpaść, nawet nie wiedząc, że tam jest, bo jej otwór zakrywają wysokie trawy. Kiedy ją wczoraj znalazłam, o mały włos do niej wleciałam.

Złamałabym sobie kark. To by dopiero zrujnowało idealny ślub Jules. Na tę myśl prawie się uśmiecham.

Schodzę do jaskini z boku po skałach, które przypominają schody. Hałas w mojej głowie nieco przycicha i zaczynam swobodniej oddychać, nawet jeśli w tym miejscu dziwnie pachnie - siarką i chyba zgnilizną. Może to od wodorostów, których długie pasma leżą wszędzie dookoła. A może smród dochodzi od ścian, które pokrywają żółte porosty.

Przede mną rozciąga się mała plaża pokryta kamykami, a za nią morze. Siadam na skale. Jest mokra jak całe to miejsce. Czułam to na swoich ubraniach, kiedy ubierałam się dziś rano, jak gdyby zostały uprane, ale nie do końca wyschły. Moje usta smakują solą.

Myślę o tym, żeby tu zostać, może nawet na noc. Mogłabym się tu ukrywać, aż ceremonia dobiegnie końca, aż będzie po wszystkim. Jules oczywiście byłaby wściekła.

Chociaż ... może tylko udawałaby, że jest wściekła, ale w głębi duszy czułaby ulgę. Nie sądzę, żeby naprawdę chciała mnie na swoim ślubie. Myślę, że ma mi za złe moje relacje z mamą i to, że mam ojca, który przynajmniej od czasu do czasu chce się ze mną widywać. Wiem, że zachowuję się jak suka. Jules czasem robi dla mnie miłe rzeczy, jak na przykład, gdy w zeszłe wakacje pozwoliła mi zatrzymać się u siebie w Londynie. A kiedy sobie o tym przypominam, jest mi źle, jakbym poczuła gorzyc w ustach.

Wyciągam telefon. Zasięg jest tu beznadziejny, więc na moim Instagramie jest tylko jedno zdjęcie na samej górze. To oczywiście post Ellie. Jak gdyby się ze mnie naśmiewali. Komentarze pod spodem: Wariaci!

OMG jak słodko.

mama + tata

#mood

czyli można uznać, że to już oficjalne?

To nadal boli. Ból tkwi w samym środku piersi. Spoglądam na ich zrozumiiałe, uśmiechnięte twarze i część mnie chce z całej siły rzucić telefonem o ścianę jaskini. Ale to nie rozwiązałoby moich problemów. One mnie nie opuszczą.

Słyszę hałas - czyjeś kroki - i z zaskoczenia prawie upuszczam komórkę.

- Kto to? - pytam. Mój głos jest cichy i przestraszony. Mam nadzieję, że to nie pierwszy drużba Johnno. Przyłapałam go na tym, jak wcześniej na

mnie patrzył.

Wstaję i zaczynam wspinać się po kamieniach prowadzących z jaskini, trzymając się blisko ściany pokrytej tysiącami szorstkich pąkli, które ranią mi opuszki palców.

Wyglądam za krawędź kamiennej ściany.

- O rany! - Jakaś postać robi krok wstecz i kładzie sobie dłoń na piersi. To żona Charliego. - Chryste Panie! Ale mnie przestraszyłaś. Nie wiedziałam, że ktoś tu jest. - Ma przyjemny akcent. Północny. - Olivia, prawda? Jestem Hannah, żona Charliego.

- Tak - odpowiadam. - Wiem. Cześć.

- Co tu robisz? - Szybko odwraca się przez ramię, jakby sprawdzała, że nikt nas nie podsłuchuje. - Próbujesz się schować? Ja też.

Za te słowa zdobywa u mnie kilka punktów.

- Ojej - mówi - to pewnie źle zabrzmiało. Tylko że ... Charlie i Jules będą mogli swobodniej pogadać, jeśli nie będzie mnie w pobliżu. No wiesz, łączy ich przeszłość, której nie jestem częścią.

Poznaję po głosie, że nieco jej to przeszkadza. Przeszłość. Jestem na prawie dziewięćdziesiąt procent pewna, że przed laty Charlie i Jules się bzykali. Ciekawe, czy jego żona kiedyś się nad tym zastanawiała.

Hannah siada na półce skalnej. Ja też, bo byłam tu pierwsza. Wolałabym, żeby złapała aluzję i zostawiła mnie samą. Wyciągam z kieszeni paczkę papierosów i biorę jednego.

Czekam, czy Hannah coś powie. Nic nie mówi. Więc robię kolejny krok - poddaję ją kolejnej próbie - i podsuwam jej paczkę i zapalniczkę.

Na jej twarzy pojawia się grymas.

- Nie powinnam - mówi. Po chwili wzdycha. - Ale w sumie czemu nie? Prawie dostałam zawału przez to nasze spotkanie, aż trzęsą mi się ręce. - Na dowód wyciąga dłoń.

Zapala papierosa, głęboko się zaciąga i znów wzdycha. Widzę, że trochę kręci się jej w głowie.

- O rany, aż mi słabo. Nie paliłam od bardzo dawna. Rzuciłam, kiedy zaszłam w ciążę. Ale kiedy jeszcze imprezowałam, dużo paliłam. - Spogląda na mnie. - Tak, wiem, pewnie myślisz, że to było milion lat temu. Zresztą tak się czuję.

Mam lekkie wyrzuty, bo dokładnie tak pomyślałam. Ale przyglądając się jej bliżej, zauważam, że ma cztery dziurki w uszach i tatuaż po wewnętrznej stronie nadgarstka, który wystaje jej spod rękawa. Może ma inne oblicze.

Znów się zaciąga.

- Boże, ale to dobre. Kiedy rzucałam fajki, myślałam, że z czasem przestaną mi smakować albo nie będę już za nimi aż tak tęsknić. - Wydaje z

siebie głośny, głęboki śmiech. - Ale nic z tego. - Wypuszcza cztery doskonale kółka dymu.

Jestem pod wrażeniem. Callum próbował nauczyć się tej sztuczki, ale nigdy do końca mu nie wyszło.

- Studiujesz, prawda? - pyta.

- Tak.

- Gdzie?

- Na Exeter.

- Dobra uczelnia, prawda?

- Tak. Chyba tak.

- Ja nie poszłam na studia- mówi Hannah. - Nikt z mojej rodziny nie studiował - dodaje, krztusząc się. - Z wyjątkiem mojej siostry Alice.

Nie wiem, co na to powiedzieć. Nie znam właściwie nikogo, kto nie skończyłby uniwersytetu. Nawet mama ma dyplom szkoły aktorskiej.

- Alice zawsze była tą bystrą - ciągnie Hannah. - A ja tą szaloną, jeśli możesz to sobie wyobrazić. Obie chodziłyśmy do przeciętnego liceum, ale Alice skończyła je z rewelacyjnymi stopniami. - Strzepuje dym z papierosa. - Przepraszam, wiem, że gadam jak najęta. Ostatnio dużo o niej myślę.

Zauważam, że wyraz jej twarzy się zmienia. Mam wrażenie, że nie mogę jej o to zapytać, skoro prawie się nie znamy.

- Ale mniejsza z tym. Podoba ci się w Exeter?

- Już tam nie mieszkam. Rzuciłam studia. - Nie wiem, dlaczego to powiedziałam. Dużo łatwiej byłoby ciągnąć tę grę, udawać, że wciąż studiuję. Ale nagle czuję, że nie chcę jej okłamywać.

Hannah marszczy czoło.

- Tak? Czyli jednak ci się tam nie podobało?

- Nie - mówię. - Chyba nie ... Miałam tam chłopaka. Ale on ze mną zerwał. - O rany, co za żenada.

- Musiał być strasznym gnojem - stwierdza Hannah - skoro rzuciłaś przez niego studia.

Kiedy myślę o wszystkim, co zaszło przez ostatni rok, aż gotuje mi się w głowie, wszystko się zaciera i nie jestem w stanie normalnie myśleć ani w żaden sposób sobie tego poukładać. To kompletnie nie ma sensu, zwłaszcza teraz, kiedy próbuję jakoś dojść do siebie. Mam wrażenie, że nie będę w stanie jej tego wytłumaczyć, jeśli nie powiem jej wszystkiego. Wzruszam więc ramionami i rzucam:

- Można powiedzieć, że był moim pierwszym prawdziwym chłopakiem.

Prawdziwym, w sensie kimś więcej niż chłopak, któremu dajesz się przelecieć na domówkach. Ale nie mówię tego Hannah.

- Ale kochałaś go - mówi.

Nie wypowiada tego w formie pytania, więc nie czuję, żebym musiała odpowiadać. Ale mimo to kiwam głową.

- Tak - przytakuję. Mój głos brzmi cicho i niepewnie. Nie wierzyłam w miłość od pierwszego wejrzenia, do czasu aż zobaczyłam Calluma na drugim końcu baru w pierwszym tygodniu na uczelni - chłopaka z czarnymi lokami i pięknymi niebieskimi oczami. Uśmiechnął się do mnie leniwie i poczułam się tak, jakbym go znała. Jak gdybyśmy zawsze mieli się spotkać, odnaleźć.

Callum pierwszy powiedział, że mnie kocha. Za bardzo się bałam zrobić z siebie idiotkę. Ale w końcu poczułam, że też muszę to powiedzieć, że te słowa się ze mnie wyrrywają. Kiedy ze mną zerwał, stwierdził, że nie kochałby mnie na zawsze. Ale to jedna wielka ściema. Jeśli naprawdę się kogoś kocha, to zrobisz wszystko, by nie wyrządzić tej osobie krzywdy.

- Nie wyjechałam tylko dlatego, że ze mną zerwał - mówię szybko. - Chodziło też o ... - Głęboko zaciągam się papierosem. Trzęsą mi się dłonie. - Gdyby Callum ze mną nie zerwał, to reszta by się chyba nie wydarzyła.

- Reszta? - pyta Hannah. Siedzi nachylona w moją stronę, zainteresowana.

Nie odpowiadam. Staram się znaleźć sposób, by jakoś dalej pociągnąć tę historię, ale nie potrafię dobrać słów. Hannah na mnie nie naciska. Zapada więc długa cisza i obie tylko siedzimy i palimy.

- O cholera! - mówi Hannah po jakimś czasie. - Tylko mi się wydaje czy zrobiło się dużo ciemniej, odkąd tu usiadłyśmy?

- Słońce chyba zaczęło zachodzić - zauważam. Nie widzimy go z jaskini, bo ma wylot w złym kierunku, ale można to poznać po różowej łunie na niebie.

- Kurczę - wzdycha Hannah. - Chyba powinniśmy wracać do pałacyku. Charlie nie znosi, kiedy się gdzieś spóźniamy. Straszny z niego nauczyciel. Pewnie mogę się ukrywać jeszcze przez jakieś dziesięć minut, ale ... - Gasi niedopałek.

- Idź - mówię do niej. - Nie martw się. To nic ważnego.

Patrzy na mnie, przymrużając powieki.

- Odniosłam inne wrażenie.

- Nie - odpowiadam. - Naprawdę.

Nie mogę uwierzyć, jaka bliska byłam tego, by wszystko jej wyznać. Nikomu nie zdradziłam całej historii. Nawet przyjaciółkom. Gdybym jej powiedziała, nie mogłabym już tego cofnąć. To, co zrobiłam, ruszyłoby w świat.

**Aoife**

*Organizatorka ślubów*

Dziewiętnasta. Stoły w jadalni nakryte do kolacji. Freddy czeka z posiłkiem, co oznacza, że mamy wolne pół godziny. Postanawiam przejść się na cmentarz. Trzeba zmienić kwiaty, a jutro będziemy zbyt zabiegani.

Słońce właśnie zaczęło zachodzić, zalewając morze ogniem. Zabarwia na różowo mgły, które zaczęły się zbierać nad grzędzawiskiem, strzegące jego sekrety. To moja ulubiona pora dnia.

Drużbowie siedzą na baszcie: słyszę ich głosy dobiegające z góry, gdy wychodzę z pałacyku - głośniejsze i nieco bardziej bełkotliwe niż wcześniej. To pewnie zasługa guinnessa.

- Musimy go wyprawić z hukiem.

- Właśnie, musimy coś zrobić. W imię tradycji ...

Kusi mnie, żeby zostać i posłuchać dalej, upewnić się, że nie wykręcą pod moim okiem jakiegoś numeru. Ale to raczej nic poważnego. A mam dla siebie tylko to małe okno czasu.

Surowe piękno wyspy jest dzisiejszego wieczoru wyjątkowo wyraźne, podkreślone przez poświatę gasnącego słońca. Ale możliwe, że już nigdy nie będzie mi się wydawała równie piękna co wtedy, gdy przyjeżdżałam tu w dzieciństwie. Nasza czteroosobowa rodzina spędzała tu letnie wakacje. Żadne miejsce na ziemi nie może się równać z tamtymi cudownymi czasami. Ale tak właśnie działa nostalgia, tyrania dziecięcych wspomnień, które wydają się takie świetliste, takie doskonałe.

Na cmentarzu słyhać szepty - to początki wzmagającego się wiatru szumiącego między nagrobkami. Możliwe, że to zwiastun jutrzejszej pogody. Czasem, kiedy wiatr robi się naprawdę porywisty, to jakby niósł stąd echa kobiet z minionych wieków, wykonujących caoineadh, żałobne pieśni.

Tutejsze nagrobki są położone nietypowo blisko siebie, bo naprawdę suchego łądu jest na wyspie za mało. Ale nawet mimo to zewnętrzne krawędzie torfowiska zaczęły zawłaszczać teren cmentarza i zdołały już połknąć kilka grobów, aż została z nich tylko kilkucentymetrowa wierzchnia warstwa. Niektóre nagrobne pomniki jeszcze bardziej się do siebie zbliżyły i nachyliły ku sobie, jak gdyby dzieliły się jakimś sekretem. Nazwiska - te, które jeszcze widać - są powszechne w Connemarze: Joyce, Foley, Kelly, Connely.

To dziwne, kiedy się pomyśli, że martwi na wyspie licznie przewyższają żywych, nawet teraz, kiedy przywitaliśmy część gości. Jutro przywrócimy równowagę.

Wśród miejscowych istnieje wiele przesądów na temat wyspy. Kiedy kupiliśmy z Freddyem pałacyk mniej więcej rok temu, nie mieliśmy konkurencji. Wyspiarzom nigdy nie ufano, uważano ich za obce plemię.

Wiem, że ludzie ze stałego łądu uważają mnie i Freddy'ego za outsiderów. Ja, mieszcuszka z Dublina, określana tutaj mianem Jackeen, i

on, Anglik - para, której poprzewracało się w głowie i która wzięła na barki więcej, niż może udźwignąć. Para, która nie zna mrocznej historii Inis an Amhlóira i jej duchów. Ale tak naprawdę znam to miejsce lepiej, niż im się zdaje, W pewnym sensie jest mi bliższe niż wszystkie inne, jakie poznałam w życiu. I nie martwię się o duchy. Mam swoje. Są wszędzie tam gdzie ja.

- Tęsknię za tobą - mówię, przykucając. Kamień nagrobny wpatruje się we mnie bez wyrazu, bez słowa. Dotykam go opuszkami palców. Jest szorstki, zimny i sztywny - daleki od ciepłego policzka albo miękkich, sprężystych włosów, które tak dobrze pamiętam. - Mam nadzieję, że przynoszę ci dumę. - Czuję to za każdym razem, gdy tu przychodzę: znajomą, bezsilną złość, która wzrasta we mnie na tyle, że pozostaje mi po niej gorzki posmak w ustach.

Wtedy słyszę rechot dobiegający gdzieś z góry, który brzmi jak kpina z moich słów. Choć słyszałam go wiele razy, ten dźwięk zawsze mrozi mi krew w żyłach. Podnoszę wzrok i widzę go: wielkiego kormorana przycupniętego na najwyższym punkcie ruin kaplicy, a jego wykrzywione, czarne skrzydła, rozłożone do wyschnięcia, wyglądają jak połamany parasol. Kormoran na wieży kościelnej to zły znak. W tych rejonach nazywa się go ptakiem szatana. Cail/eacg dhubh, czarna jędza, zwiastunka śmierci. Oby tylko panna młoda i pan młody o tym nie wiedzieli ... albo żeby nie byli przesądni.

Klaszczę, ale stworzenie ani drgnie. Obraca tylko głową, żebym mogła zobaczyć jego uderzający profil, okrutny kształt jego dziobu. Zdaję sobie wtedy sprawę, że przygląda mi się z ukosa - kieruje w moją stronę połyskujące, świdrujące oko, jak gdyby o czymś wiedział.

Wróciwszy do pałacyku, niosę tacę szampanek do jadalni. Gdy otwieram drzwi, widzę parę siedzącą na sofie. Dopiero po chwili zdaję sobie sprawę, że to panna młoda i jakiś mężczyzna: ten, który przypląnął wraz z żoną na łodzi Mattiego. Siedzą bardzo blisko siebie, tak że stykają się głowami, i rozmawiają półgłosem. Nie odskakują od siebie na mój widok, ale odsuwają się od siebie o kilka centymetrów. A ona zabiera dłoń z jego kolana.

- Aoife - woła do mnie. - Poznaj Charliego.

Pamiętam jego imię z listy gości.

- Nasz jutrzejszy mistrz ceremonii? - mówię.

Mężczyzna odkasłuje.

- Zgadza się.

- A twoja żona to Hannah, tak?

- Owszem - odpowiada. - Świetna pamięć!

- Omawialiśmy z Charliem jego jutrzejsze obowiązki - informuje mnie panna młoda.

- Oczywiście - odpowiadam. - Świetnie. - Zastanawiam się, dlaczego w ogóle czuła potrzebę, żeby mi to wyjaśnić. Na sofie sprawiali wrażenie, jakby do siebie lgnęli, ale szafowanie moralnymi osądami względem klientów nie należy do moich obowiązków. Nie tak funkcjonuje ten biznes. W idealnej sytuacji Freddy i ja powinniśmy stopić się z tłumem. Ujawnimy się tylko, gdy coś pójdzie nie tak, a ja dopilnuję, by do tego nie doszło. Młoda para i ich bliscy powinni czuć się tak, jak gdyby to miejsce należało do nich i to oni byli gospodarzami. My jesteśmy tu zaledwie po to, by wszystko ułatwić, dopilnować, że cały weekend przebiegnie bez zakłóceń. Jednak, żeby to osiągnąć, nie mogę być całkowicie pasywna. To dziwne napięcie jest częścią mojej pracy. Muszę mieć na wszystkich oko, uważać na wszystko, co może zagrażać przebiegowi imprezy. Zawsze być o krok do przodu.



## TERAZ

### *Po ślubie*

Krzyk pobrzmiwa w powietrzu, nawet gdy już ucichł, jak dźwięk rozbitego szkła. Goście są jak porażeni. Po chwili zaczynają wyglądać z namiotu w rozdzierający mrok.

Żarówki mrugają, jak gdyby za chwilę znów miało zgasnąć światło.

Wtedy, chwiejnym krokiem, pod namiot wchodzi dziewczyna. Biała koszula, którą ma na sobie, oznacza, że jest kelnerką. Ale jej twarz wygląda, jakby należała do dzikiego zwierzęcia - jej oczy są wielkie i ciemne, włosy potargane. Staje przed nimi i wlepia w nich wzrok. Ani mrugnie.

W końcu podchodzi do niej kobieta nienależąca do gości. To organizatorka ślubów.

- O co chodzi? - pyta łagodnie. - Co się stało?

Dziewczyna nie odpowiada. Gościom wydaje się, że nie słyszą nic prócz jej oddechu. W nim też jest coś zwierzęcego, ciężkiego i chrapliwego.

Kobieta robi krok w stronę kelnerki, niepewnie kładzie dłoń na jej ramieniu. Dziewczyna nie reaguje. Goście są jak skamieniali, wryci w ziemię. Niektórzy ledwie ją pamiętają z wcześniejszej części wieczoru. Była jedną z wielu członków obsługi, którzy z uśmiechem podawali im przystawki, dania główne i desery. Zbierała po nich brudne naczynia i z gracją dolewała im wina. Jej rudy kucyk podskakiwał z każdym krokiem, jej koszula była biała i wykrochmalona. Niektórzy z weselników pamiętają jej łagodny, melodyjny akcent, gdy pytała, czy mogłaby im dolać, czy mogłaby im coś jeszcze podać. Pomijając to, była - z braku lepszego określenia - elementem wyposażenia. Częścią dobrze naoliwionej maszyny pracującej przez cały dzień. Zasługiwała na mniej uwagi niż szykowne aranżacje roślinne czy falujące płomienie nad srebrnymi świecznikami.

- Co się stało? - raz jeszcze pyta organizatorka ślubów. Jej głos wciąż jest pełen współczucia, ale tym razem jest w nim pewna stanowczość, nuta władczości. Kelnerka zaczyna się trząść - do tego stopnia, że wygląda, jakby dostała jakiegoś ataku. Kobieta raz jeszcze kładzie jej dłoń na ramieniu, jak gdyby próbowała ją uspokoić. Dziewczyna zasłania usta dłonią. Wygląda na to, że lada moment zwymiotuje. Po chwili w końcu odzywa się:

- Na zewnątrz. - To ochrypły dźwięk, który ledwie przypomina ludzki głos.

Goście wyteżają słuch.

Dziewczyna wydaje z siebie niski jęk.

- Powiedz - spokojnie mówi organizatorka ślubów. Tym razem delikatnie potrząsa dziewczyną. - Powiedz. Jestem przy tobie, chcę ci pomóc. Wszyscy chcemy. Już w porządku, jesteś tu bezpieczna. Powiedz mi, co się stało.

W końcu dziewczyna znów odzywa się przerażająco niskim głosem.

- Na zewnątrz. *Tyle krwi.* - I zanim ugną się pod nią nogi dodaje: - Ciało.

## DZIEŃ WCZEŚNIEJ

### *Hannah*

#### *Osoba towarzysząca*

Zaciskam wargi na chusteczce, żeby usunąć nadmiar szminki. To miejsce wydaje się warte jej nałożenia. Nasz pokój jest ogromny, dwa razy większy od sypialni, którą mamy w domu. Nie zapomniano o ani jednym szczególe: wiaderko z butelką drogiego białego wina, dwa kieliszki, zabytkowy żyrandol na wysokim suficie, wielkie okno, z którego widać morze. Nie mogę podejść za blisko niego, bo zakręci mi się w głowie - ale wiem, że w dole są fale rozbijające się o skały i mała, mokra, srebrna plaża.

Tego wieczoru gasnące światło zachodzącego słońca zalewa pokój różowozłotą łuną. Szykując się, wypięłam duży kieliszek pysznego wina. Przy pustym żołądku i po papierosie, który wypaliłam z Olivią, tyle wystarczy, by zaczęło mi się kręcić w głowie.

Fajnie było zapalić w jaskini - jakbym na moment przeniosła się w przeszłość. Zainspirowało mnie to, żeby spróbować dobrze się bawić w ten weekend. Przez cały miesiąc czułam się stremowana i smutna: teraz istniała szansa, że nieco wyluzuję. Wcisnęłam się więc w czarną, satynową sukienkę z & Other Stories kupioną jeszcze przed pojawieniem się dzieci. Zawsze dobrze się w niej czułam. Wymodelowałam włosy na szczotce, aż zrobiły się gładkie. Warto było się wysilić, nawet jeśli szybko wejdą w kontakt z wilgotnym powietrzem i zamienią się w gigantyczną, puchatą kulę - moje włosy to fryzjerska wersja dyni z Kopciuszka. Myślałam, że Charlie będzie czekał na mnie naburmuszony, ale sam wrócił do pokoju kilka minut wcześniej, więc miałam czas wyszczotkować zęby i zniwelować zapach papierosów, czując się przy tym jak niegrzeczna nastolatka. Liczyłam jednak na to, że go zastanę. Może zdążylibyśmy wykapać się razem w wannie na nóżkach.

Właściwie to ledwie go widziałam, odkąd zesliśmy z pokładu łodzi: on i Jules razem spędzili późne popołudnie, omawiając jego obowiązki jako mistrza ceremonii.

- Wybacz, Han - powiedział, kiedy wrócił. - Jules chciała ustalić kilka rzeczy przed jutrem. Mam nadzieję, że nie czułaś się porzucona.

Teraz, gdy wyłaniam się z łazienki, taksuje mnie wzrokiem.

- Wyglądasz ... - Unosi brwi. - Superseksownie.

- Dziękuję - odpowiadam, lekko kręcąc pupą. Tak się czuję. Minęło sporo czasu, odkąd gdzieś wychodziłam. I wiem, że nie powinno mi

przeszkadzać, że nie pamiętam, kiedy ostatnio usłyszałam od niego taki komplement.

Dołączamy do reszty gości, którzy piją drinki w salonie. Jest urządzony równie gustownie co nasz pokój: zabytkowa ceglana podłoga, kandelabry pełne świec, szklane gabloty na ścianach, a w nich wielkie, połyskujące ryby, które jak mi się zdaje, mogą być prawdziwe. Jak, do diabła, przygotowuje się ryby? Przez małe okna widać granat zapadającego zmierzchu i wszystko na zewnątrz spowija teraz nieziemska mgła.

Jules i Willa, którzy stoją w otoczeniu gości, oświetlają świece. Will najwyraźniej opowiada jakąś anegdotę: pozostali słuchają tego, co mówi, spijają z jego ust każde słowo.

Zauważam, że on i Jules trzymają się za ręce, jak gdyby nie potrafili się nie dotykać. Świetnie ze sobą wyglądają, są niesamowicie wysocy i eleganccy - ona w dopasowanym, kremowym kombinezonie, a on w ciemnych spodniach i białej koszuli, przy której jego opalenizna wydaje się o kilka tonów ciemniejsza. Czułam się dobrze w kwestii swojego wyglądu, ale teraz, w porównaniu, mój strój wydaje mi się zupełnie niestosowny: choć dla mnie & Other Stories to ekstrawagancja, jestem przekonana, że Jules rzadko kiedy zagląda do popularnych sieciówek.

Staję dość blisko Willa, co nie jest zupełnym przypadkiem - mam wrażenie, że mnie do niego ciągnie. To oszałamiające doświadczenie, być w pobliżu kogoś, kogo widywało się dotąd na ekranie telewizora. To uczucie znajomości i obcości jednocześnie. Czuję, jak mrowi mnie skóra, gdy przebywam tak blisko niego. Zauważyłam, gdy podeszłam bliżej, jak omiółł spojrzeniem moją twarz, a potem ciało, zanim wrócił do opowiadania swojej anegdoty. A więc jednak dobrze wyglądam. Przeszywa mnie poczucie winy.

Odkąd urodziłam dzieci - pewnie dlatego, że zawsze z nimi jestem - najwyraźniej stałam się niewidzialna dla mężczyzn. Dopiero kiedy przestałam czuć na sobie męskie spojrzenia, uświadomiłam sobie, że brałam je za pewnik. Że sprawiały mi przyjemność.

- Hannah - mówi Will, odwracając się do mnie z tym swoim telewizyjnym uśmiechem. - Wyglądasz powalająco.

- Dziękuję. - Upijam duży łyk szampana, czując się seksownie i nieco zuchwale.

- Miałem cię zapytać na przystani: czy poznaliśmy się na przyjęciu zaręczynowym?

- Nie - odpowiadam przeproszającym tonem. - Niestety, nie mogliśmy przyjechać z Brighton.

- No to może widziałem cię na którymś ze zdjęć u Jules. Wyglądasz znajomo.

- Może. - Wcale tak jednak nie myślę. Nie wyobrażam sobie, żeby Jules wyeksponowała gdzieś zdjęcie, na którym się znajduję. Ma za to mnóstwo takich, na których jest tylko z Charliem. Ale wiem, co robi Will: próbuje sprawić, żebym poczuła się mile widziana, jak jedna z nich. Doceniam tę życzliwość. - Wiesz co - mówię. - Mam w stosunku do ciebie to samo odczucie. Mogłam cię gdzieś wcześniej widzieć? No wiesz ... na przykład w telewizji?

Oklepany żart, ale Will i tak wybucha głębokim, niskim śmiechem, który sprawia, że czuję się tak, jak gdybym coś wygrała.

- Masz mnie! - odpowiada, unosząc dłonie. Znów czuję zapach jego wody kolońskiej: mech i sosna - runo leśne w butelce z ekskluzywnej perfumerii. Pyta mnie o dzieci i o Brighton. Wydaje się zafascynowany tym, co mówię. Jest jedną z tych osób, które sprawiają, że czujesz się zabawniejszy i bardziej atrakcyjny niż normalnie. W którymś momencie zdaję sobie sprawę, że dobrze się bawię, zwłaszcza mając w dłoni kieliszek pysznego, schłodzonego szampana.

- Chodź - mówi Will i delikatnie steruje mną, kładąc mi na plecach swoją dłoń, której ciepło czuję przez sukienkę. - Przedstawię cię kilku osobom. To Georgina.

Georgina, chuda i szykowna kobieta w kolumnowej sukience z fuksjowego jedwabiu, rzuca mi lodowaty uśmiech. Nie może za bardzo ruszać twarzą, a ja usilnie staram się nie gapić. Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek widziałam botoks na żywo. - Byłaś na wieczorne panieńskim? - pyta. - Nie pamiętam.

- Musiałam odpuścić - odpowiadam. - Dzieci ... - Częściowo prawda. Chodziło też o to, że odbywał się w ośrodku jogi na Ibizie, na co absolutnie nie było mnie stać.

- Nie przegapiłaś zbyt wiele - do rozmowy włącza się mężczyzna: smukła sylwetka, ciemnorude włosy. - Banda suczek smażyła cycki na mahoń i plotkowała, popijając rose.

O kurczę - mówi, mierząc mnie wzrokiem, zanim nachyli się, żeby cmoknąć mnie w policzek. - Nieźle się odszorowałaś.

- Yyy ... dzięki. - Jego uśmiech sugeruje podziw, choć nie jestem do końca pewna, czy to był komplement.

Ten mężczyzna to najwyraźniej Duncan, mąż Georginy. To także jeden z czterech друзbów. Pozostali to Peter - włosy gładko zaczesane do tyłu, z wyglądu imprezowicz. Oluwafemi zwany Femim - wysoki, czarnoskóry, przystojny. Angus - różowy na twarzy jak Boris Johnson i podobnie zwisłobrzuchy. W dziwny sposób wszyscy wyglądają dość podobnie. Ubrani są w pasiaste krawaty i śnieżnobiałe koszule, wypolerowane brogsy

i taliowane marynarki, które na pewno nie pochodzą z sieciówki Next, jak garnitur Charliego. Kupił swój specjalnie na ten weekend i mam nadzieję, że nie czuje się gorszy w porównaniu z nimi. Ale przynajmniej wygląda dość elegancko w zestawieniu z pierwszym drużbą, Johnno, który mimo swojego rozmiaru jakimś sposobem wygląda jak dziecko w przypadkowych ubraniach ze szkolnego pudła rzeczy znalezionych.

Z pozoru ci mężczyźni wydają się tacy czarujący. Pamiętam jednak śmiech dochodzący z baszty, gdy szliśmy do pałacyku. I nawet teraz, pod tym urokiem, znajduje się ukryty fałsz. Zarozumiałe uśmiechy, uniesione brwi, jak gdyby w tajemnicy żartowali sobie czyimś kosztem - prawdopodobnie moim.

Idę, żeby porozmawiać z Olivią, która wygląda eterycznie w swojej szarej sukience. Miałam wrażenie, że wcześniej, w jaskini, złapałyśmy kontakt, ale teraz odpowiada mi monosylabami, szybko odwracając wzrok.

Kilka razy przechwytyję wzrok Willa za jej plecami. Nie sądzę, żeby to była moja wina: czasem mam wrażenie, że już od dłuższej chwili na mnie patrzył. Czuję przez to podekscytowanie, choć przecież nie powinnam. Przypomina mi to - wiem, że mówię coś całkowicie nieestosownego - ale przypomina mi to uczucie, kiedy zaczynasz podejrzewać, że podobasz się komuś, kto też ci się podoba.

Wyrywam się z tych fantazji. Zejdź na ziemię, Hannah. Jesteś mężatką, masz dwoje dzieci, twój mąż stoi tuż obok, a ty rozmawiasz z człowiekiem, który wkrótce ożeni się z jego najlepszą przyjaciółką, wyglądającą jak Monica Bellucci, tylko lepiej ubraną. Może trzeba przyhamować z szampanem. Piję kieliszek za kieliszkiem. To częściowo z nerwów wywołanych przez to towarzystwo. Ale także z poczucia wolności. Nie skompromituję się później przed opiekunką, nie muszę budzić rano dzieci. Jest coś egzotycznego w tym, że jestem wystrojona, otaczają mnie sami dorośli, alkoholu nie brakuje i nie mam żadnych obowiązków.

- Jedzenie pachnie wspaniale - zauważam. - Kto gotuje?

- Aoife i Freddy - odpowiada Jules. - Są właścicielami pałacyku. Aoife zajęła się organizacją całej jutrzejszej uroczystości. Przedstawię was wszystkim przy posiłku. Freddy zajmuje się też jutrzejszym cateringiem.

- Nie mam wątpliwości, że będzie przepyszny - oświadczam. - Jestem strasznie głodna.

- Masz kompletnie pusty żołądek - mówi Charlie. - Pozbyłaś się wszystkiego na łodzi.

- Było małe rzyganko? - pyta Duncan z rozkoszą. - Nakarmiłaś rybki?

Rzucam Charliemu lodowate spojrzenie. Mam poczucie, jakby właśnie zniweczył część moich dzisiejszych starań. Jakby próbował się wszystkim przypodobać i stroił sobie żarty moim kosztem. Przysięgam, przyjął nawet

inny, bardziej elegancki ton, ale wiem, że gdybym mu to wytknęła, udawałby, że nie ma pojęcia, o czym mówię.

- Tak czy inaczej - rzucam - to będzie miła odmiana od paluszków z kurczaka, które zjadam z dziećmi co drugi wieczór.

- Macie w Brighton jakieś dobre restauracje? - pyta Jules. Zawsze zachowuje się tak, jakby Brighton było dziurą zabitą dechami.

- Tak, mamy ...

- Tylko że nigdy do nich nie chodzimy - wcina się Charlie.

- To nieprawda - odpowiadam. - Poszliśmy do tej nowej włoskiej knajpki ...

- Ona już nie jest nowa - kontruje mój mąż. - To było mniej więcej rok temu.

Ma rację. Nie pamiętam, kiedy poza tamtym wyjściem jedliśmy na mieście. Nie przelewa się nam, a do ceny posiłku trzeba jeszcze dodać koszt opiekunki. Ale wolałabym, żeby tego nie mówił.

Johnno próbuje dolać Charliemu szampana, ale ten szybko zasłania kieliszek dłonią.

- Nie, dziękuję.

- Daj spokój, stary - obrusza się Johnno. - Ostatni wieczór przed ślubem. Trzeba się nieco rozluźnić.

- Wrzucić na luz! - wtóruje mu Duncan. - To bąbelki, a nie koka. No chyba, że jesteś w ciąży.

Pozostali druzbnowie rechoczą jak na zawołanie.

- Nie - powtarza Charlie ostrym tonem. - Nie mam dziś zamiaru przeholować. - Widzę, że jest skrępowany, że musi się tłumaczyć. Ale to dobrze, że się pilnuje.

- No to powiedz nam, Charlie - odzywa się Johnno. - Jak się poznaliście?

Na początku myślę, że chodzi mu o Charliego i mnie. Po chwili zdaję sobie sprawę, że Johnno patrzy to na niego, to na Jules. Oczywiście.

- Milion lat temu ... - odpowiada ona. Unoszą wraz z Charliem brwi w pełnym synchronie.

- Uczyłem ją żeglować - mówi mój mąż. - Mieszkałem w Kornwalii. To była moja praca wakacyjna.

- A mój tata ma tam letni domek - dodaje Jules. - Miałam nadzieję, że jeśli się nauczę, to weźmie mnie ze sobą na łódź. Ale okazuje się, że zabranie szesnastoletniej córki na rejs po południowym wybrzeżu to nie to samo co opalać się z kochanką na dziobie jachtu w Saint-Tropez. - Mam wrażenie, że brzmi to bardziej gorzko, niż zamierzała. - Tak czy inaczej, Charlie był moim instruktorem. - Spogląda na niego. - Strasznie się w nim podkochiwałam.

Charlie odwzajemnia jej uśmiech. Śmieję się razem z innymi, ale nie jest mi do śmiechu. Nie po raz pierwszy słyszę tę historię. To ich popisowy numer. Miejscowy chłopak i dziewczyna z wyższych sfer. Aż zaciska mi się żołądek, kiedy Jules zaczyna opowiadać dalej.

- Ciebie interesowało tylko zaliczenie tylu dziewczyn w swoim wieku, ile tylko możliwe, zanim pójdziesz na uniwersytet - mówi Jules do Charliego. Wygląda to tak, jakby nagle rozmawiała tylko z nim. - I chyba dobrze ci szło. Ta nieustająca opalenizna i ciało, które wtedy miałeś, pewnie pomogły ...

- Tak - odpowiada Charlie. - Byłem wtedy w życiowej formie. Jakbym dostał wraz z tą robotą karnet na siłownię. Codziennie wylewałem na łódce siódme poty. Szkoda, że nie można się dorobić takiego ciała, ucząc piętnastolatków geografii.

- No to spójrzmy teraz na te mięśnie - rzuca Duncan, nachyla się i łapie rąbek koszuli Charliego. Unosi ją i pokazuje kilka cali bladego, miękkiego brzucha. Charlie robi krok w tył, czerwienieje na twarzy i wpycha koszulę z powrotem w spodnie.

- Wydawał się taki dojrzały - ciągnie Jules, niezrażona chwilowym zamieszaniem. Dotyka ramienia Charliego, jakby był jej własnością. - Kiedy ma się szesnaście lat, osiemnastolatek wydaje się taki dorosły. Byłam nieśmiała.

- Trudno w to uwierzyć - mamrocze Johnno.

Jules go ignoruje.

- Ale wiem, że na początku miałeś mnie za nadętą księżniczkę.

- Co pewnie było prawdą - rzuca Charlie, unosząc brew i odzyskując pewność siebie.

Jules opryskuje go szampanem ze swojego kieliszka.

- Hej!

Oni *flirtują*. Nie ma na to innego określenia.

- Ostatecznie okazało się, że jesteś całkiem fajna - ciągnie Charlie. - Odkryłem to szelmowskie poczucie humoru.

- Potem zostaliśmy w kontakcie - mówi Jules.

- Akurat wchodziły telefony komórkowe - dorzuca Charlie.

- Rok później to ty byłeś onieśmielony - opowiada dalej Jules. - W końcu urosły mi piersi. Pamiętam, jak opadła ci szczeka, kiedy zobaczyłeś mnie na pomoście.

Upijam wielki łyk szampana. Przypominam sobie w duchu, że byli wtedy nastolatkami. Że czuję zazdrość w stosunku do siedemnastolatki, która już nie istnieje.

- Miałaś tego chłopaka i w ogóle - mówi Charlie. - Nie przepadał za mną.



- To prawda - odpowiada Jules, tajemniczo się uśmiechając. - Nie utrzymał się za długo. Był bardzo zazdrosny.

- Pieprzyliście się kiedyś? - pyta Johnno. I proszę bardzo, oto pada pytanie, którego nigdy nie potrafiłam zadać wprost.

Drużbowie są wniebowzięci.

- Ale pojechałeś! - wołają. - O cholera! - Tłoczą się, podekscytowani, radośni. Kółeczko robi się ciaśniejsze. Może właśnie dlatego nagle trudniej mi oddychać.

- Johnno! - mówi Jules. - Możesz przestać? To mój ślub ! - Ale Charlie niczemu nie zaprzecza.

Nie potrafię na niego spojrzeć. Nie chcę wiedzieć.

Wtedy, dzięki Bogu, rozlega się wielki huk. Duncan otworzył butelkę szampana, którą trzymał.

- Chryste, Duncan - mówi Femi. - Prawie wybiłeś mi oko!

- A skąd wy się znacie? - pytam Johnno, wykorzystując okazję, by zmienić temat.

- Znamy się od lat - odpowiada. Kładzie dłoń na ramieniu Willa i w pewien sposób ten gest oddziela ich dwóch od reszty. Przy nim Will wydaje się jeszcze przystojniejszy.

Wyglądają jak dzień i noc. W oczach Johnno jest coś dziwnego. Przez chwilę próbuję dojść, co to takiego. Są osadzone zbyt blisko siebie? Za małe?

- Tak - potwierdza Will. - Chodziliśmy razem do szkoły. - Jestem zaskoczona. Pozostali mężczyźni mają ten sznyt wychowanka prywatnej szkoły. Johnno nie ma tej ogłady - brak mu krystalicznego akcentu.

- Nazywa się Trevellyan - mówi Femi. - Było tam jak w tej książce, w której chłopcy utknęli razem na bezludnej wyspie i zaczęli się zabijać. Rany, jaki ona miała tytuł ...

- Władca much - podsuwa Charlie. W jego głosie pobrzmiewa ledwie wyczuwalna nuta wyższości, która zdaje się mówić „może i chodziłem do państwowej szkoły, ale jestem bardziej czytany od was”.

- Nie było aż tak źle - szybko wtrąca Will. - Raczej ... wyczynialiśmy różne numery.

- Bo chłopaki już tak mają! - rzuca Duncan. - Mam rację, Johnno?

- Właśnie. Chłopaki to chłopaki - powtarza świadek.

- Od tamtych czasów jesteśmy najlepszymi kumplami - mówi Will. Klepie Johnno po plecach. - Johnno przyjeżdżał do mnie swoim starym rękem, kiedy studiowałem w Edynburgu, zgadza się?

- Tak - odpowiada. - Zabierałem go w góry na wycieczki wspinaczkowe i kempingi. Żeby nie zrobił się z niego mięczak. Ani żeby nie marnował za dużo czasu na bzykanie. - Udaje skruszonego. - Wybacz, Jules.

Jules kręci głową.

- Kto z naszych znajomych studiował w Edynburgu, Han? - pyta Charlie. Nieruchomieję. Jak mógł zapomnieć? Wtedy widzę, jak robi przerażoną minę, gdy zdaje sobie sprawę ze swojego błędu.

- Znacie kogoś? - pyta Will. - Kogo?

- Nie studiowała tam zbyt długo - odpowiadam szybko. - Wiesz, Will, tak się zastanawiałam. Ten odcinek Przetrzeć noc w arktycznej tundrze: bardzo było tam zimno?

Naprawdę o mały włos miałbyś odmrożenia?

- Tak - odpowiada. - Straciłem czucie w opuszkach tych palców. - Wyciąga do mnie dłoń. - Z dwóch zniknęły linie papilarne. - Przymrużam powieki. Na moje oko wyglądają dość normalnie. A mimo to mówię. - Rzeczywiście, chyba widzę. Łał. - Zachowuję się jak zadurzona fanka.

Charlie spogląda na mnie.

- Nie wiedziałem, że oglądałaś ten program. Kiedy? Bo na pewno beze mnie. - Ups. Wracam myślami do popołudni, kiedy włączałam dzieciom kanał z bajkami, a sama oglądałam program Willa na iPadzie w kuchni, podgrzewając im obiad. Charlie przerzuca wzrok na Willa.

- Bez urazy, stary, naprawdę mam zamiar go nadrobić. - To nieprawda. Można to poznać po tym, w jaki sposób to mówi. Nawet się nie stara brzmieć przekonująco.

- Nie czuję się urażony - oznajmia Will bez emocji.

- Oj - odpowiadam. - Nigdy nie obejrzałam odcinka w całości. Tylko najlepsze momenty.

- Dama coś za dużo się tłumaczy - zauważa Peter. Przejmuje ramię Willa, uśmiechając się od ucha do ucha. - Masz tu swoją fankę, przyjacielu.

Will zbywa to śmiechem. Czuję jednak, jak ciepło szczypie mnie po szyi i napływa do policzków. Mam nadzieję, że jest tu za ciemno, by ktokolwiek zauważył, że się rumienię.

Pieprzyć to. Potrzebuję szampana. Podnoszę kieliszek, prosząc o dolewkę.

- Przynajmniej twoja żona umie się bawić - rzuca Duncan do Charliego. Femi dolewa mi alkoholu i wypełnia wysoki kieliszek prawie po brzegi.

- O rany - odzywam się, gdy jest niemal pełen - to dużo.

Nagle słyszę głośne „klink!” i drobina szampana ochlapuje mi nadgarstek. Z zaskoczeniem widzę, że coś wpadło do szkła.

- Co to? - pytam zmieszana.

- No popatrz - mówi Duncan z szerokim uśmiechem. - Wrzuciłem ci pensa. Teraz musisz wypić wszystko. - Patrzę najpierw na niego, a potem na szampana w swojej dłoni.

Rzeczywiście, na dnie pełnego kieliszka leży miedziana moneta, na której widnieje surowy profil królowej.

- Duncanie! - mówi Georgina, chichocząc. - Jesteś naprawdę okropny!

Coś takiego nie przydarzyło mi się chyba, odkąd miałam piętnaście lat. Nagle wszyscy na mnie patrzą. Spoglądam na Charliego dla potwierdzenia, że nie muszę tego pić. Ale w jego oczach jest dziwne błaganie. Takie, jakie mogłabym dostrzec w oczach Bena: Mamo, proszę, nie zrób mi wstydu przy kolegach.

Myślę sobie, że to szaleństwo. Nie muszę tego pić. Jestem trzydziestoczteroletnią kobietą. Nawet nie znam tych ludzi, nie mają nade mną żadnej władzy. Nie dam się zmusić ...

- Do dna ...

- Do dna!

O Boże, zaczęli skandować.

- Uratuj królową!

- Ona tonie!

- *Do dna, do dna, do dna.*

Czuję, jak moje policzki robią się czerwone. Żeby przestali na mnie patrzeć i skandować, wychylam kieliszek i wypijam całą jego zawartość. Wcześniej wydawało mi się, że szampan jest pyszny, ale pity w ten sposób smakuje okropnie: kwaśno i ostro. Drapie mnie w gardle, gdy krztuszę się przy przełykaniu i szampan tryska mi nosem. Mam wrażenie, że nieco spłynęło mi po dolnej wardze. Oczy zachodzą mi łzami. Czuję się upokorzona. Jakby wszyscy rozumieli zasady tego, co się tu dzieje. Wszyscy prócz mnie.

Kiedy kończę, klaszczą. Nie sędzę jednak, żeby te owacje były dla mnie. Oni gratulują samym sobie. Czuję się jak dziecko, które zostało otoczone przez gang chuliganów z placu zabaw. Kiedy zerkam na Charliego: robi kwaśną, przepaszającą minę. Nagle czuję się bardzo samotna. Odwracam się od reszty, żeby nie zobaczyli mojej twarzy.

Ale wtedy zauważam coś, co mrozi mi krew w żyłach.

Za oknem ktoś stoi i w ciszy nas obserwuje. Dociska twarz do szyby, jej rysy są zniekształcone w ohydny maskę gargulca, a zęby obnażone w okropnym uśmiechu. Gdy tak na niego patrzę, nie potrafiąc odwrócić wzroku, z ruchu warg odczytuję jedno słowo.

BU.

Nie jestem nawet świadoma, że kieliszek wypadł mi z ręki, do chwili gdy rozbija się u moich stóp.

## TERAZ

### *Po ślubie*

Mija kilka chwil, zanim kelnerka odzyska przytomność. Raczej nie zrobiła sobie krzywdy, ale to, co zobaczyła, uczyniło z niej prawie niemowę. Teraz można z niej wydobyć zaledwie niskie pomruki, które nie mają żadnego sensu.

- Posłałam ją do pałacyku po kilka butelek szampana - bezradnie tłumaczy się szefowa obsługi, która sama ma zaledwie dwadzieścia lat.

W namiocie panuje cisza. Goście szukają wzrokiem swoich bliskich, żeby upewnić się, że nigdzie nie zniknęli i nic im nie jest. Trudno jednak kogoś wyłapać w kotłującym się tłumie, pijanym po całodniowej imprezie. Jest to trudne również z uwagi na strukturę tego nowoczesnego namiotu: parkiet i bar znajdują się w oddzielnych, przeciwległych częściach, a główny obszar jadalniany w głównej.

- Pewnie się czegoś przestraszyła - sugeruje jakiś mężczyzna. - To nastolatka. Jest ciemno jak w grobie i w dodatku tak strasznie dmie.

- Ale ktoś może potrzebować pomocy - wtrąca ktoś inny. - Powinniśmy sprawdzić ...

- Nie możemy pozwolić, żeby wszyscy włóczyli się po wyspie. - Słuchają organizatorki ślubów. Odzywa się władcym tonem, choć wygląda na równie zaszokowaną co reszta i jest cała biała. - Rzeczywiście dmie. Jest ciemno. A w pobliżu mamy torfowisko i klify. Nie chcę, żeby jeszcze ktoś ... zrobił sobie krzywdę, jeśli rzeczywiście do tego doszło.

- Pewnie robi w gacie ze strachu o ubezpieczenie - mruczy jakiś mężczyzna.

- Powinniśmy pójść sprawdzić - mówi jeden z drużbów. - My, faceci. W grupie bezpieczniej i tak dalej.

## DZIEŃ WCZEŚNIEJ

### *Jules*

Panna młoda - Tato! - wołam. - Na śmierć przestraszyłeś biedną Hannah! - Przesadziła, upuszczając kieliszek. Naprawdę trzeba było urządzać taką scenę? Dławię w sobie irytację, podczas gdy Aoife zamiata szkło i dyskretnie przemieszcza się między nami ze szczotką.

- Przepraszam. - Tata uśmiecha się do nas promiennie, wchodząc do salonu. - To miał być tylko żart. - Jego akcent jest wyraźniejszy niż zwykle, może dlatego, że znalazł się na swoim terytorium, a przynajmniej blisko. Wychował się w Gaeltacht, mówiącej po irlandzku części Galway niedaleko stąd. Tata nie jest wielkiej postury, ale udaje mu się zająć nieco przestrzeni i zaprezentować swoją dominującą sylwetkę: pokaźne barki, złamany nos. Trudno mi patrzeć na niego obiektywnie przez to, ile dla mnie znaczy. Ale podejrzewam, że ktoś z zewnątrz mógłby założyć, że zamiast wziętym deweloperem, jest bokserem albo wykonuje inny, wymagający użycia pięści zawód.

Severine, najnowsza żona ojca - Francuzka niewiele starsza ode mnie, w jednej czwartej składająca się z dekoltu i w trzech czwartych z czarnego eyelinera - snuje się za nim, odrzucając na boki swoje rude włosy.

- No cóż - mówię do taty, ignorując ją (nie mam zamiaru poświęcać jej zbyt wiele czasu, dopóki nie utrzyma się pięć lat, co u ojca jest rekordem). - Przynajmniej w końcu przyjechałeś. - Wiedziałam, że pojawią się mniej więcej o tej porze: musiałam poprosić Aoife, żeby zorganizowała im przeprawę. Ale nawet ja zastanawiałam się, czy w ostatniej chwili pojawi się jakaś wymówka, jakieś opóźnienie, które będzie oznaczało, że dziś ich nie będzie. Nie zdarzyłoby się to pierwszy raz.

Zauważam, że Will i tata podejrzliwie mierzą się wzrokiem. O dziwo, w towarzystwie taty Will wydaje się nieco zgaszony, jakby trochę mniej czuł się sobą. Obawiam się, widząc go w wyprasowanej koszuli i spodniach z kantem, że w oczach ojca wyjdzie na uprzywilejowanego i powierzchownego, jak na ucznia prywatnej szkoły przystało.

- Nie mogę uwierzyć, że do tej pory nie mieliście okazji - mówię. Nie, żebym się o to nie starała. Kilka miesięcy temu właśnie po to poleciliśmy z Willem do Nowego Jorku.

W ostatniej chwili dowiedzieliśmy się, że tata musiał wrócić do Europy w sprawach służbowych. Wyobrażałam sobie, jak drogi naszych samolotów krzyżują się gdzieś nad Atlantykiem. Ojciec jest bardzo zajęтым

człowiekiem. Zbyt zajęтым nawet na to, by poznać narzeczonego córki przed dniem jej ślubu. Tak to już jest w moim pieprzonym życiu.

- Miło mi cię poznać, Renanie - odzywa się Will, wyciągając do niego rękę.

Tata ignoruje ten gest i w zamian klepie go po ramieniu.

- A więc ty jesteś tym sławnym Willem. W końcu mogę cię poznać.

- Jeszcze nie takim sławnym - odpowiada mój narzeczony, rzucając ojcu szeroki uśmiech. Krzywię się. Willowi rzadko zdarzają się takie gafy. Zabrzmiało to jak fałszywa skromność, a jestem prawie pewna, że tata nie odnosił się do jego telewizyjnej popularności. Ojciec nie przepada za celebrytami ani za wszelkimi ludźmi, którzy nie zarabiają na życie ciężką pracą. Jest dumny z tego, że do wszystkiego w życiu doszedł sam.

- A to pewnie Severine - mówi Will, wyciągając do niej rękę i całując ją w oba policzki. - Jules wiele mi o tobie opowiadała. I o bliźniakach.

To nieprawda. Bliźniaki, najnowsze latorośle ojca, nie zostały zaproszone.

Severine uśmiecha się kokieteryjnie, topniejąc pod wpływem uroku Willa. To na pewno nie zaskarbi mu punktów u przyszłego teścia. Chciałabym, żeby to, co uważa tata, nie miało dla mnie znaczenia. A mimo to jak zahipnotyzowana obserwuję ich interakcję. To nie do zniesienia. Czuję niemal ulgę, gdy obok przechodzi Aoife i mówi nam, że kolacja zaraz zostanie podana.

Aoife to kobieta w moim typie: zorganizowana, kompetentna, dyskretna. Ma w sobie pewien chłód, dystans, który, jak podejrzewam, nie wszystkim odpowiada. Ale mnie tak. Nie chcę osoby, która będzie udawała, że jest moją najlepszą przyjaciółką, kiedy płacę jej za robotę. Polubiłam Aoife już podczas naszej pierwszej rozmowy telefonicznej i kusi mnie, żeby zaproponować jej pracę w „Profilu”. Może i sprawia wrażenie pospolitej, ale wiem, że w środku jest twarda jak stal.

Idziemy do jadalni. Mama i tata, zgodnie z planem, zostali usadzeni po przeciwnych końcach stołu, tak daleko od siebie, jak to tylko możliwe. Nie mam bladego pojęcia, czy od lat dziewięćdziesiątych moi rodzice wypowiedzieli do siebie więcej niż kilka słów i pewnie lepiej dla atmosfery całego weekendu, żeby tak pozostało. Tymczasem Severine tak się przybliżyła do mojego ojca, że równie dobrze mogłaby mu siedzieć na kolanach. Uch: może i jest od niego o połowę młodsza, ale nie zmienia to faktu, że ma trzydzieści kilka, a nie naście lat.

Przynajmniej dziś wieczorem wszyscy zdają się całkiem nieźle zachowywać. To pewnie dzięki kilku butelkom bollingera rocznik 1999, które wypiliśmy. Nawet mama się hamuje i z wprawą odgrywa rolę matki panny młodej. Jej umiejętności aktorskie zawsze lepiej wypadają w prawdziwym życiu niż na scenie.

Aoife i jej mąż wnoszą teraz nasze przystawki: kremowy chowder ze szczyptą pietruszki.

- To Aoife i Freddy - oznajmiam gościom. Nie mówię im, że to nasi gospodarze, bo tak naprawdę to ja tu jestem gospodynią. Płacę za ten przywilej. - Są właścicielami pałacyku - dodaję w zamian.

Aoife lekko pochyła głowę.

- Jeśli będziecie państwo czegoś potrzebować, proszę dać znać któremuś z nas - mówi. - Mam nadzieję, że miło spędzicie tu czas. Jutrzejsza ceremonia będzie pierwszym ślubem na wyspie, co tylko doda jej wyjątkowości.

- Wyspa jest przepiękna - uprzejmie odpowiada Hannah. - A jedzenie wygląda przepysznie.

- Dziękuję - odzywa się Freddy. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że jest Anglikiem - założyłam, że tak jak Aoife pochodzi z Irlandii.

Organizatorka ślubów kiwa głową.

- Sami wyłowiliśmy rano małże na kolację.

Kiedy wszyscy dostaną swoje dania, wracamy do rozmów między sobą, z wyjątkiem Olivii, która siedzi bez słowa, ze wzrokiem utkwionym w talerz.

- Mam takie przemiłe wspomnienia z Brighton - mówi mama do Hannah. - Występowałam tam kilka razy. - O Boże, zaraz zacznę opowiadać o tym, jak uprawiała przed kamerą seks z pełną penetracją na potrzeby filmu niezależnego (nigdy nie doczekał się premiery, pewnie można go znaleźć na PornHubie).

- Ojej - odpowiada Hannah. - Teraz nie chodzimy zbyt często do teatru. Gdzie występowałaś? W Theatre Royal?

- Nie - odpowiada mama z lekką wyniosłością, która zakrada się do jej głosu za każdym razem, gdy ktoś ją zdemaskuje. - Na nieco bardziej kameralnych deskach. - Odrzuca włosy w tył. - Miejsce nazywa się Magiczna Latarnia. W rejonie Lanes. Znasz?

- No ... nie - odpowiada Hannah, po czym szybko dodaje: - Ale tak jak wspominałam, tak bardzo wypadliśmy z obiegu, że właściwie nie rozpoznałabym nawet najpopularniejszego lokalu.

Hannah ma dobre serce. To jedna z rzeczy, jakie o niej wiem. Ocieka tą dobrocią. Pamiętam, jak pomyślałam sobie, gdy się poznałyśmy: czyli Charlie chce kogoś takiego.

Kogoś miłego. Kogoś czułego i ciepłego. Ze mną miał za trudno. Jest we mnie za dużo złości, za dużo determinacji. Nigdy by mnie nie wybrał.

Przypominam samej sobie, że nie jestem już zazdrosna o Hannah. Może kiedyś Charlie był hociakiem z klubu żeglarskiego, ale teraz sflaczał, a w miejscu, w którym kiedyś znajdował się płaski, śniady brzuch, ma fałd tłuszczu. Jeśli chodzi o karierę, to też poszedł na łatwiznę. Gdyby to ode

mnie zależało, to startowałyby na posadę kierowniczą. Nie ma nic mniej seksownego niż brak ambicji.

Patrzę na Charliego, aż pochwyci mój wzrok - upewniam się, że to ja pierwsza odwrócę oczy. Zastanawiam się, czy jest teraz zazdrosny. Zauważyłam, z jaką podejrzliwością traktuje Willa, jak gdyby starał się znaleźć w nim jakąś wadę. Przyłapałam go na tym, jak obserwuje nas dwoje przy drinkach. I znów poczułam, że dobrze razem wyglądamy, wyobrażając sobie, że patrzę na nas jego oczami.

- Co za słodziak - mówi mama do Hannah. - Pięć lat to uroczy wiek. - Świetnie się spisuje, udając zainteresowaną. - A twoja dwójka, Renanie? - woła na przeciwny kraniec stołu. Zastanawiam się, czy celowo nie uwzględniła w tym pytaniu Severine. Nie, w sumie nie muszę się zastanawiać. Mimo że bardzo się stara sprawiać wrażenie rozmarzonej artystki, bardzo niewiele rzeczy, które robi, jest niezamierzonych.

- Dobrze - dopowiada ojciec. - Dziękuję, Araminto. Wkrótce idą do żłobka, prawda? - Zwraca się do Severine.

- Qui - odpowiada. - Szukamy żłobka z językiem francuskim. To bardzo ważne, żeby wyrosły na ... dwujęzyczne, jak ja.

- To ty jesteś dwujęzyczna? - pytam. Nie potrafię się powstrzymać przed wbiciem tej szpili.

Jeśli Severine to zauważa, to nie reaguje.

- Qui - odpowiada, wzruszając ramionami. - Jako dziecko uczęszczałam do szkoły z ęternatem dla dziewcząt w Wielkiej Brytanii. A mon bracia do szkoły dla chłopców.

- Mój Boże - wzdycha mama, wciąż zwracając się tylko do ojca. - W twoim wieku to musi być wyczerpujące. - Zanim zdoła odpowiedzieć, matka przyklaskuje w dłonie. - Podczas gdy czekamy na kolejne danie, chciałabym coś powiedzieć.

- Nie musisz, mamó - wołam. Wszyscy się śmieją. Ale ja nie żartuję. Czy ona się upiła? Trudno to ocenić, wszyscy nieco wypiliśmy. Nie jestem też pewna, czy w przypadku mamy w ogóle robi to jakąś różnicę. I tak nigdy nie miała żadnych zahamowań.

- Za moją Julię - mówi, unosząc kieliszek. - Odkąd byłaś malutka, wiedziałaś dokładnie, czego chcesz. I biada temu, kto stanął ci na drodze! Ja nigdy taka nie byłam - to, czego chcę, zmienia się z tygodnia na tydzień, co pewnie tłumaczy, dlaczego zawsze czułam się taka piekielnie nieszczęśliwa. Tak czy inaczej: ty zawsze wiedziałaś. A gdy czegoś chcesz, robisz wszystko, by to zdobyć. - O nie. Ona to robi dlatego, że zabroniłam jej przemawiać na ślubie. Jestem tego pewna. - Wiedziałaś, odkąd tylko powiedziałaś mi o Willu, że jego właśnie pragniesz.



Nie jest taką jasnowidzką, na jaką się kreuje, bo w tej samej rozmowie powiedziałam jej, że się zaręczyliśmy. Ale mama nigdy nie pozwoliła, by niewygodne fakty stanęły na drodze dobrej opowieści.

- Czyż nie wyglądają razem wspaniale? - pyta mama. Wszyscy zgodnie mruczą. Nie podoba mi się, z jakim naciskiem powiedziała „wyglądają”.

- Wiedziała, że Jules będzie musiała znaleźć kogoś, kto jest równie ambitny jak ona - ciągnie mama. Czy dosłyszałam gniew w wymowie słowa „ambitny”? Trudno być pewnym. Pochwytyuję spojrzenie Charliego, który siedzi po przeciwnej stronie stołu. On wie z przeszłości, jaka potrafi być mama. Puszczą do mnie oko, a ja czuję głęboko w brzuchu tajemnicze, musujące ciepło. - Moja córka ma też ogromne wyczucie stylu. Wszyscy to o niej wiemy. Jej magazyn, jej piękny dom w Islington, a teraz ten zniewalający mężczyzna. - Kładzie Willowi na ramieniu dłoń zakończoną czerwonymi paznokciami. - Zawsze miałaś dobre oko, Jules. - Jakbym wybrała go, żeby pasował mi do butów. Jakbym wychodziła za niego za mąż tylko dlatego, że dokładnie pasuje do mojego życia ...

- Wielu ludziom mogłoby się to wydać szaleństwem - kontynuuje mama. - Ciągnąć ludzi na tę lodowatą wyspę na zupełnym odludziu. Ale to ważne dla Jules i to jedyna rzecz, która się liczy.

To też mi się nie podoba. Śmieję się razem z innymi. Ale w duchu próbuję się opanować. Mam ochotę wstać i opowiedzieć swoją wersję, jakby ona była prokuratorem, a ja obrońcą. Nie tak powinnam się czuć, słuchając przemowy kogoś bliskiego.

Oto prawda, której moja matka nie powie: gdybym nie wiedziała, czego chcę, i nie znalazła sposobu, jak to zdobyć, to do niczego bym nie doszła. Musiałam się nauczyć, jak stawiać na swoim. Bo moja matka nie była w tej kwestii żadną pomocą. Patrzę na nią, ubraną w zwiewny, czarny szyfon - negatyw sukni ślubnej - oraz połyskujące kolczyki, z kieliszkiem szampana w dłoni, i myślę: nie rozumiesz. To nie jest twój moment. Nie stworzyłaś go. Ja go stworzyłam, wbrew tobie.

Chwytam dłonią krawędź stołu, żeby przytrzymać się na miejscu. Drugą dłonią unoszę kieliszek i upijam duży łyk. *Powiedz, że jesteś ze mnie dumna, myślę. Wtedy wszystko będzie w porządku. Powiedz to, a ci wybaczę.*

- Może zabrzmie to nieco nieskromnie - oznajmia mama, kładąc sobie dłoń na piersi. - Ale muszę powiedzieć, że jestem z siebie dumna, że wychowałam taką silną, niezależną córkę.

Kłania się, jak gdyby stała przed wielbiącą ją publicznością. Wszyscy posłusznie klaszczą i w końcu mama siada.

Trzęsę się ze złości. Patrzę na kieliszek szampana w swojej dłoni. Wyobrażam sobie przez jedną upojną sekundę niepoczytalności, że unoszę

go i rozbijam o stół, przerywając to wszystko. Biorę głęboki wdech i wstaję, żeby także wznieść toast. Będę uprzejma, wdzięczna i czuła.

- Dziękuję wszystkim za przybycie - mówię. Staram się dodać ciepła tonowi głosu. Tak bardzo jestem przyzwyczajona do przemawiania przed pracownikami, że muszę się kontrolować, by nie pobrzmiwała w nim władcza nuta. Niektóre kobiety narzekają na to, że nie są w stanie sprawić, by ludzie traktowali je poważnie. Ja mam odwrotny problem. Na naszym przyjęciu bożonarodzeniowym jedna z moich pracownic, Eliza, wstawiła się i powiedziała mi, że wiecznie mam na twarzy minę zimnej suki. Odpuściłam jej, bo była pijana i następnego dnia pewnie tego nie pamiętała. Ale ja nie zapomniałam. - Bardzo się cieszymy, że tu wszyscy jesteście. - Uśmiecham się. Moja szminka wydaje mi się woskowata i sztywna na ustach. - Wiem, że pokonaliście długą drogę ... i nie było wam łatwo wygospodarować na to czas. Ale odkąd tylko dowiedziałam się o istnieniu tego miejsca, wiedziałam, że doskonale się nadaje. Ze względu na Willa, bo jest w nim pewna dzikość. I ze względu na moje irlandzkie korzenie. - Spoglądam na tatę, który uśmiecha się z zadowoleniem. - Zobaczenie tu wszystkich moich bliskich bardzo wiele dla mnie znaczy. Dla nas obojga. - Unoszę kieliszek w stronę Willa, a on w moją. Jest w tym dużo lepszy niż ja. Emanuje urokiem i ciepłem, nawet się nie starając. Jasne, jestem w stanie zmusić ludzi, żeby robili to, co chcę. Ale nie zawsze byłam w stanie ich skłonić, żeby mnie lubili. Nie tak, jak potrafi to zrobić mój narzeczony. Uśmiecha się do mnie, puszcza do mnie oko i zaczynam sobie wyobrażać, że dalej robimy to, co nam przerwano dziś po południu ...

- Nie sądziłam, że ten dzień kiedykolwiek nastąpi - mówię, opamiętując się. - Przez ostatnie lata byłam taka zajęta „Profilem”, że nie podejrzewałam, bym znalazła czas kogoś poznać.

- Nie zapominaj - wtrąca się Will - że musiałem się nieźle napracować, żebyś dała zaprosić się na randkę.

Ma rację. To się wydawało zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Powiedział mi później, że dopiero co wyplątał się z toksycznego związku i że nie szuka niczego zobowiązującego. Ale na tamtym przyjęciu naprawdę między nami zaiskrzyło.

- Tak się cieszę, że nie odpuściłeś. - Uśmiecham się do niego. Nadal mam wrażenie, że to jakiś cud, jak szybko i łatwo to wszystko się potoczyło. - Wierzyłam w to - mówię.

- Pomyślałabym nawet, że połączyło nas przeznaczenie.

Will posyła mi promienny uśmiech. Nasze spojrzenia się spotykają i jakby w jadalni nie było nikogo prócz nas. I wtedy, nie wiadomo skąd, do głowy wpada mi myśl o liściku.

Czuję, jak uśmiech na moich ustach zaczyna drgać.

## *Johnno*

### *Świadek*

Na zewnątrz zrobiło się ciemno jak w grobie. W pomieszczeniu unosi się dym z kominka, przez który wszyscy wyglądają inaczej, lekko się rozmywają. Nie są do końca sobą.

Przeszliśmy do kolejnego dania, jakiejś wykwintnej tarty z ciemną czekoladą. Próbuje się w nią wbić, ale podskakuje mi na talerzu i we wszystkie strony sypią się okruszki.

- Chcesz, żeby ktoś pokroił ci jedzenie, chłopczyku? - kpi Duncan z przeciwnego końca stołu. Słyszę rechot pozostałych facetów. Jakby nic się nie zmieniło. Ignoruję ich.

Hannah odwraca się w moją stronę.

- Też mieszkasz w Londynie? - pyta. Uznałem, że Hannah jest w porządku. Wydaje się życzliwa. Podoba mi się jej północny akcent i ćwieki w chrząstce ucha, przez które wygląda jak imprezowiczka, mimo że najwyraźniej jest matką dwójki dzieci. Pewnie umie zaszaleć, kiedy chce.

- A skąd - odpowiadam jej. - Nie znoszę miasta. Zawsze wybrałbym wieś. Potrzebuję przestrzeni do życia na wolności.

- Ty też lubisz przygody w naturze?

- Można tak powiedzieć. Pracowałem kiedyś w centrum sportów outdoorowych w Lake District. Uczyłem wspinaczki, umiejętności survivalowych i tym podobnych rzeczy.

- No proszę. W sumie mogłam się domyślić, bo ty organizowałeś wyjazd na wieczór kawalerski, prawda? - Uśmiecha się do mnie. Zastanawiam się, ile wie.

- Zgadza się - odpowiadam. - To ja.

- Charlie nie opowiedział mi zbyt wiele o tym, co się tam działo. Ale podobno miały być kajaki, wspinaczka i tym podobne rzeczy.

Czyli nie powiedział jej, co zaszło. Nie jestem zaskoczony. Na jego miejscu pewnie też bym się nie przyznał. Im mniej rozmów na ten temat, tym lepiej. Miejmy nadzieję, że już o tym zapomniał. Biedaczek. To nie ja to wymyśliłem.

- To prawda - mówię. - Zawsze pociągały mnie tego typu rzeczy.

- Tak - wtrąca się Femi. - To Johnno wymyślił, jak wspiąć się po murze, żeby dostać się na dach sali gimnastycznej. Wdrapałeś się też na to ogromne drzewo przed stołówką, prawda?

- O Boże - zwraca się Will do Hannah. - Nie pozwól, żeby zaczęli ci opowiadać historie ze szkoły. Bo się od nich nie uwolnisz.

Hannah uśmiecha się do mnie.

- Wygląda na to, że mógłbyś mieć swój własny serial telewizyjny, Johnno.

- Ciekawe, że o tym wspominasz, bo byłem na przesłuchaniu do programu.

- Naprawdę? - odpowiada Hannah. - Do Przetrwac noc?

- Tak. - Chryste, dlaczego w ogóle to powiedziałem? Głupi Johnno, zawsze palnie coś od czapy. Ale to upokarzające. - Tak, wzięli nas obu na zdjęcia próbne i. ..

- I Johnno postanowił, że ma to wszystko w nosie, co nie? - kończy za mnie Will. Miło, że próbuje mi oszczędzić zażenowania. Ale nie ma sensu kłamać, równie dobrze mogę powiedzieć, jak było.

- On stara się być dobrym kumplem - mówię. - Prawda jest jednak taka, że byłem beznadziejny. Powiedzieli mi, że nie sprawdzam się przed kamerą. Nie to co ten tutaj. - Nachylał się i mierzwił Willowi włosy, a on wymyka mi się, rechocząc. - Ale ma też rację. To nie było dla mnie. Nie podobał mi się makijaż, którym cię smarują, ubrania, które każą ci nosić. Nie żebym krytykował twoją pracę, stary.

- Nie czuję się urażony - odpowiada Will, unosząc dłonie. Jest taki naturalny przed kamerą. Potrafi stać się, kim tylko chcesz. Zauważyłem, że kiedy jest w programie, nieco mniej wyraźnie wymawia końcówki, żeby brzmieć bardziej zwyczajnie. Ale kiedy przebywa z chłopakami z wyższych sfer, którzy pokończyli prywatne szkoły, lepsze niż ta, do której sami chodziliśmy, jest w stu procentach jednym z nich.

- Tak czy inaczej - wracam z opowieścią do Hannah - to ma sens. Kto by chciał oglądać w telewizorze tę parszywą gębę? - Robię krzywą minę. Widzę, jak Jules odwraca głowę, jakbym się właśnie obnażył. Nadęta krowa.

- A skąd wziął się pomysł na ten program, Will? - pyta Hannah. Jestem wdzięczny, że stara się pchnąć rozmowę do przodu i oszczędzić mi dalszych upokorzeń.

- Właśnie - włącza się Femi. - Niedawno się nad tym zastanawiałem. To przez przetrwanie?

- Przetrwanie? - Hannah zwraca się w jego stronę.

- To taka zabawa z czasów szkolnych - tłumaczy.

Żona Duncama Georgi na rzuca:

- Duncan dużo mi o tym opowiadał. Coś okropnego. Wspominał o uczniach, których nocą wyciągano z łóżek i porzucano nie wiadomo gdzie

...

- Tak, tak się to właśnie odbywało - mówi Femi. - Porywano kogoś młodszego chłopaka z łóżka i zabierano go głęboko w teren, tak daleko od szkoły, jak się tylko dało.

- A mówimy o wielkim terenie - dorzuca Angus. - Na kompletnym odludziu. Ciemno jak w grobie. Znikąd źródła światła.

- Brzmi jak barbarzyństwo - rzuca Hannah, szeroko otwierając oczy.

- To była wielka tradycja - tłumaczy Duncan. - Robiono tak od setek lat, odkąd tylko założono tę szkołę.

- Willa nigdy to nie spotkało, prawda, stary? - Femi odwraca się do niego.

Will unosi rękę.

- Nikt nigdy po mnie nie przyszedł.

- Wiadomo - mówi na to Angus. - Bo srali w gacie ze strachu przed twoim ojcem.

- Chłopakowi przewiązywano oczy - tłumaczy Angus, odwracając się do Hannah - więc nie wiedział, gdzie jest. Czasem przywiązywali go nawet do drzewa albo do płotu i musiał się wyzwolić. Pamiętam, kiedy mnie porwali. ..

- Posikałeś się - kończy Duncan.

- Nieprawda - odpowiada Angus.

- Właśnie, że tak - upiera się Duncan. - Nie myśl, że o tym zapomnieliśmy, obszczone gacie.

Angus upija wielki łyk wina.

- Niech wam będzie. Wielu się zdarzyło. To było kurewsko przerażające.

Pamiętam moje przetrwanie. Mimo że wiedziałeś, że w którymś momencie coś takiego cię spotka, nic nie jest w stanie przygotować cię na moment, gdy naprawdę po ciebie przychodzą.

- A najbardziej niewiarygodne jest to - odzywa się Georgina - że zdaniem Duncana nie było w tym nic złego. - Odwraca się do męża. - Mam rację, kochanie?

- Dzięki temu stałem się tym, kim jestem - mówi Duncan.

Spoglądam na niego, siedzącego z rękami w kieszeniach i z wypiętą do przodu piersią, jakby był panem wszechświata, jakby wszystko należało do niego. I zastanawiam się, kim jest ta osoba, którą się stał.

Zastanawiam się, kim ja się stałem.

- Pewnie to było nieszkodliwe - mówi Georgina. - Przecież nikt nie umarł, prawda? -Zaczyna przy tym lekko chichotać.

Pamiętam, jak się obudziłem, słysząc w ciemności otaczające mnie szepty. Przytrzymaj mu nogi ... a ty głowę. A potem, jak się śmiali, krępując mnie i zawiązując mi na oczach przepaskę. Głosy. Pohukiwania i radosne okrzyki, ale ponieważ obwiązali mi też uszy, brzmiali trochę jak zwierzęta, dochodziło do mnie ich wycie i piski. Nocne powietrze na zewnątrz, mróz na moich gołych stopach. Szybkie telepanie po nierównej ziemi - chyba wsadzili mnie na taczkę - które trwało tak długo, że

myślałem, że opuściliśmy teren szkoły. A potem zostawili mnie w lesie. Samego. Nic, tylko bicie mojego serca i tajemnicze odgłosy. Gdy ściągnąłem opaskę, okazało się, że bez niej jest równie ciemno, nie widać księżycy. Gałęzie drzew smagały mnie po policzkach, drzewa wydawały się stać tak blisko siebie, że nie było między nimi przejścia, jak gdyby coraz ciaśniej mnie otaczały. Było zimno, a z tyłu gardła czułem metaliczny posmak krwi. Trzask gałęzi pod moimi bosymi stopami. Przeszedłem długie kilometry, choć pewnie kręciłem się w kółko. Całą noc, przez las, aż przyszedł świt.

Kiedy wróciłem do budynku szkoły, czułem się, jakbym narodził się na nowo. Pierdolić nauczycieli, którzy mówili mi, że nic ze mnie nie będzie. Oni pewnie nigdy nie przeżyli takiej nocy. Czułem się niepokonany. Jakbym mógł zrobić wszystko.

- Johnno - słyszę głos Willa. - Mówiłem, że chyba pora na twoją whisky. Przetestujmy ją. - Wstaje od stołu i przynosi jedną z butelek.

- Mogę obejrzeć? - pyta Hannah. - Bierze butelkę od Willa. - Fajne wzornictwo, Johnno. Ktoś ci w tym pomagał?

- Tak - odpowiadam. - Mam kumpla w Londynie, który jest grafikiem. Nieźle się spisał, prawda?

- O, tak - odpowiada, kiwając głową i śledząc palcem napis. - Tym się właśnie zajmuję - dodaje. - Z zawodu jestem ilustratorką. Ale mam wrażenie, że to było milion lat temu. Teraz mam niekończący się urlop wychowawczy.

- Mogę zerknąć? - mówi Charlie. Bierze od niej butelkę i czyta etykietę, marszcząc brew. - Musiałeś chyba wejść we współpracę z destylarnią. Bo tu jest napisane, że whisky jest dwunastoletnia.

- Tak - odpowiadam, czując się, jakby mnie przesłuchiowano albo poddawano jakiejś próbie. Jak gdyby próbował mnie na czymś przyłapać. Może nauczyciele tak już mają. - Zgadza się.

- No to zaczynamy degustację - rzuca Will, teatralnie otwierając butelkę. - Aoife ... Freddy - woła w stronę kuchni. - Możemy prosić szklanki do whisky?

Aoife przynosi je na tacy.

- Weź też dla siebie - mówi Will, jak gdyby był panem na włościach - i dla Freddy'ego. Wszyscy spróbujemy! - A kiedy Aoife zaczyna kręcić głową, dodaje: - Nalegam!

Freddy wchodzi na salę, powłócząc nogami, i staje przy żonie. Trzyma wzrok utkwiony w podłodze i bawi się paskiem od fartucha. Oboje wyglądają na skrepowanych. Jebany dziwak, czytam z ruchu warg Duncana. Pewnie lepiej, że gość patrzy w podłogę.

Przyglądam się Aoife. Nie jest taka stara, jak mi się początkowo zdawało: Ma może ze czterdzieści lat. Tylko ubiera się poważnie jak na

swój wiek. Jest też całkiem atrakcyjna - w pewien wyrafinowany sposób. Zastanawiam się, co robi z takim ciamajdą jak jej mąż.

Will rozlewa alkohol do szklanek. Jules prosi jedynie o kilka kropel.

- Niestety, nigdy nie przepadałam za whisky. - Upija łyk i widzę, jak się krzywi, zanim zdąży zasłonić usta dłonią. Ale tym gestem tylko ściąga na siebie większą uwagę. Co może, jeśli się nad tym zastanowić, było jej celem. To dość jasne, że nie pała do mnie szczególną sympatią.

- Dobra jest, stary - odzywa się Duncan. - Trochę przypomina mi Laphroaig.

- Tak - odpowiadam. - Chyba masz rację. - Kto jak, kto, ale Duncan się zna.

Aoife i Freddy wypijają drinka tak szybko, jak mogą, i wracają do kuchni. Rozumiem to. Moja mama pracowała w miejscowym country clubie - jednym z tego rodzaju miejsc, których członkami byli rodzice Angusa i Duncana. Mówiła, że golfiarze czasem próbowali postawić jej drinka, myśląc, że okazują w ten sposób swoją szczodrość, ale ona zawsze czuła się przez to niezręcznie.

- Uważam, że jest bardzo smaczna - mówi Hannah. - Aż jestem zaskoczona, bo zwykle whisky to nie mój typ. - Upija jeszcze jeden łyk.

- No cóż - zaczyna Jules. - Nasi goście mają wielkie szczęście. - Uśmiecha się do mnie. Ale od razu poznaję jej blef. Jej oczy są bez wyrazu.

Uśmiecham się do wszystkich szeroko, ale czuję się trochę nieswojo. Chyba przez te rozmowy o sztuce przetrwania. Trudno nie zapomnieć, że dla nich - praktycznie wszystkich innych chłopaków, którzy skończyli Trevellyana - to była tylko zabawa.

Spoglądam na Willa. Trzyma dłoń na plecach Jules i uśmiecha się do gości. Wygląda jak ktoś, kto ma w życiu wszystko. I to chyba prawda. I myślę sobie: czy ta cała gadanina o przeszłości na niego nie działa? Nawet w najmniejszym stopniu?

Muszę się otrząsnąć z tego dziwnego nastroju. Wychylam się nad stołem i biorę butelkę whisky.

- Chyba pora na pijacką grę - mówię.

- Ale ... - odzywa się Jules, najprawdopodobniej chcąc temu zapobiec, zostaje jednak zagłuszona przez ryk aprobaty ze strony facetów.

- Tak! - krzyczy Angus. - Karty?

- Jasne - odpowiada Femi. - Tak jak graliśmy w szkole! Pamiętacie, jak piliśmy kolejki płynu do płukania ust? Bo wyczytaliśmy, że zawiera sporo alkoholu?

- Albo tę wódkę, którą przemyciłeś, Dunc - mówi Angus.

- Dobra - przerywam im, zrywając się od stołu. - Przyniosę talię. - Od razu czuję się lepiej, mając czym się zająć.

Wchodzę do kuchni i zastaję w niej Aoife odwróconą do mnie plecami, która sprawdza jakąś listę przypiętą do podkładki. Kiedy odchrząkuję, podskakuje złężniona.

- Macie może talię kart?

- Tak - odpowiada i cofa się ode mnie o krok, jakby się mnie bała. - Oczywiście. Jedna jest chyba w salonie. - Ma przyjemny akcent. Zawsze lubiłem Irlandki. To, jak wymawiają „th” jako „t”, zawsze wywołuje u mnie uśmiech.

Jej mąż też tu jest i kręci się przy w piekarniku.

- Szykujecie jedzenie na jutro? - pytam go, gdy czekamy na Aoife.

- Mhm - odpowiada, nie nawiązując kontaktu wzrokowego. Cieszę się, kiedy Aoife wraca po minucie z talią.

Wracam do stołu i rozdaję karty kolegom.

- Idę się położyć. Uroda potrzebuje snu - mówi matka Jules. - Nigdy nie przepadałam za mocnymi trunkami. - Nieprawda, bezgłośnie wypowiada Jules. Jej ojciec i seksowna francuska macocha też wychodzą.

- Ja też nie - rzuca Hannah. Spogląda na Charliego. - Za nami długi dzień, prawda, skarbie?

- No nie wiem ... - mówi Charlie.

- Nie wymiękaj - wołam do niego. - Będzie fajnie! Pożyj trochę! Nie wygląda na przekonanego.

Na wieczorze kawalerskim wszystko trochę wymknęło się spod kontroli. Biedny Charlie nie chodził do szkoły takiej jak nasza, więc nie był na to przygotowany. Sztywny jak ...

nauczyciel geografii. Miałem wrażenie, że tamtej nocy sięgnął dna. Chyba z każdym by tak było. Przez resztę weekendu właściwie nie odezwał się do nas słowem.

To chyba przez to, że znalazłem się w grupie facetów. Większość z nich chodziła do Trevellyana. To miejsce związało nas ze sobą na wieki. Nie w ten sam sposób, co mnie i Willa - to dotyczy tylko nas dwóch. Ale łączą nas też inne rzeczy. Rytuály, męskie więzi. Kiedy przebywamy razem, włącza się nam mentalność stada.

Trochę nas ponosi.

## ***Hannah***

### *Osoba towarzysząca*

Od akcji z monetą robię się nieufna wobec drużbów. Im więcej piją, tym więcej z nich wyłazi: coś mrocznego i okrutnego, kryjącego się za manierami uczniaków z ekskluzywnej szkoły. I nie mogę znieść tego, że



mój mąż zachowuje się przy nich jak nastolatek, który chce zostać przyjęty do bandy.

- No dobra - mówi Johnno. - Wszyscy gotowi? - Rozgląda się po gościach przy stoliku. Już wiem, co jest nie tak z jego oczami. Są tak ciemne, że nie wiadomo, gdzie kończą się tęczęwki, a zaczynają źrenice. Daje mu to dziwne, puste spojrzenie, przez co kiedy się śmieje, wygląda tak, jakby jego oczy o tym nie wiedziały. Za to reszta jego twarzy jest nieco zbyt ekspresywna i zmienia się co kilka chwil. Jego usta są bardzo duże i ruchliwe. Emanuje pewną nerwową energią. Jak duży, straszny pies, który na ciebie skacze, choć tak naprawdę chce, żeby rzucić mu piłkę, a nie odgryźć ci twarz.

- Charlie - mówi Johnno. - Grasz z nami, prawda?

- Charlie - szepczę, próbując pochwycić spojrzenie męża. Przez cały wieczór ledwie na mnie spojrział, bo był zbyt zajęty Jules albo wkupywaniem się w łaski chłopaków. Chcę do niego dotrzeć.

Charlie to łagodny facet: prawie nigdy nie podnosi głosu, prawie nigdy nie złości się na dzieci. Jeśli dostają od kogoś burę, to zwykle ode mnie. Nie jest więc tak, że kiedy pije, staje się bardziej intensywną wersją siebie albo że alkohol podkreśla jego złe cechy. W zwykłym życiu nie ma właściwie wad. Jasne, może ta złość tkwi gdzieś w środku, ukryta pod powierzchnią. Ale mogłabym przysiąc, że w rzadkich wypadkach, gdy widziałam męża pijanego, miałam wrażenie, że zamienił się w kogoś zupełnie innego. A to sprawia, że cała sytuacja jest jeszcze bardziej przerażająca. Przez lata nauczyłam się zauważać najmniejsze wręcz oznaki. Lekkie rozluźnienie szczęki, ciężkość powiek.

Musiałam się tego nauczyć, bo wiem, że kolejny etap to nic przyjemnego. Jakby nagle w jego mózgu eksplodował mały fajerwerk.

W końcu Charlie spogląda w moją stronę. Powoli, rozmyślnie kręć głową, żeby dobrze zrozumiał, co próbuję mu przekazać. Nie rób tego.

- Co tu się, kurwa, wyrabia? - skrzeczy Duncan. Przyłapał mnie. Odwraca się do Charliego. - Trzyma cię na krótkiej smyczy, co?

Uszy Charliego robią się intensywnie czerwone.

- Nie - odpowiada. - Oczywiście, że nie. Jasne, gram.

Cholera. Jestem rozdarta pomiędzy tym, by zostać i uchronić go od ewentualnego popełnienia jakiejś głupoty, a tym, by go zostawić i pozwolić mu radzić sobie samemu, bez względu na konsekwencje. Zwłaszcza po tym niedyskretnym flirtowaniu z Jules.

- No to rozdaję - oświadcza Johnno.

- Chwila - mówi Duncan, po czym wstaje i zaciska dłonie. - Powinniśmy wygłosić szkolne motto.

- Właśnie - przyznaje mu rację Femi. Angus też wstaje. - Will, Johnno, na co czekacie? Jak za starych, dobrych czasów i takie tam.

Johnno i Will wstają.

Spoglądam na nich - wszyscy, z wyjątkiem Johnno, mają na sobie białe koszule i ciemne spodnie, a na nadgarstkach drogie zegarki. Zastanawiam się, dlaczego, do diabła, ci mężczyźni, którym najwyraźniej wiedzie się w życiu, wciąż mają obsesję na punkcie szkolnych lat. Nie potrafię sobie wyobrazić, żebym mogła tyle gadać na temat swojego liceum Dunraven High. Nigdy nie żywiłam względem niego pogardy, ale nie jest to też miejsce, które nieustannie zaprzęta moje myśli. Tak jak inni opuściłam je w podpisanej przez wszystkich koszuli i nigdy nie obejrzałam się za siebie. Ale oni nie wracali do domu o wpół do czwartej, żeby oglądać seriale w telewizji - pewnie spędzili w tamtych murach znaczną część swojego dzieciństwa.

Duncan zaczyna powoli wybijać pięścią rytm o blat stołu. Rozgląda się dookoła, zachęcając pozostałych, żeby się przyłączyli. Tak też robią. Stopniowo robi się coraz głośniejsze, a bębnienie staje się szybsze i bardziej oszalałe.

- *Fac fortia et patere* - skanduje Duncam chyba po łacinie.

- *Fac fortia et patere* - powtarzają za nim inni.

A po chwili, pewnego rodzaju niskim, zdeterminowanym pomrukiem:

*Flectere si nequeo superos,*

*Acheronta movebo.*

*Flectere si nequeo superos,*

*Acheronta movebo!*

Przyglądam się mężczyznom - temu jak ich oczy błyszczą w świetle świec. Ich twarze są zaczerwienione - są podekscytowani, pijani. Czuję, jak po plecach przebiega mi dreszcz. Przez świece, ciemność za oknami, dziwne okrzyki i rytmy nagle odnoszę wrażenie, jakbym przyglądała się odprawianiu jakiegoś satanistycznego rytuału. Jest w nim coś złowieszczonego. Przykładam dłoń do piersi i czuję, że serce bije mi zbyt szybko, jak u przestraszonego zwierzęcia.

Dudnienie osiąga punkt kulminacyjny, aż staje się tak maniakalne, że zastawa stołowa i sztucce zaczynają podskakiwać na stole. Szklanka przemieszcza się w stronę krawędzi, aż w końcu rozbija się o podłogę. Nikt z wyjątkiem mnie nie zwraca na to uwagi.

*Fac fortia et patere!*

*Flectere si nequeo superos,*

*Acheronta movebo!*

Aż w końcu, kiedy wydaje mi się, że dłużej tego nie zniosę, wydają z siebie ryk i milkną. Gapią się na siebie. Ich czoła błyszczą od potu. Ich źrenice wydają się większe, jak gdyby coś brali. Śmieją się teraz jak hieny, obnażając zęby, i klepią się po plecach, mocno szturchając, tak, by bolało. Zauważam, że Johnno nie śmieje się równie głośno co pozostali. Jego uśmiech nie jest równie przekonujący.

- Ale co to oznacza? - pyta Georgina.

- Angus - mamrocze Femi - byłeś dobry z łaciny.

- Pierwszy fragment oznacza „Postępujcie odważnie i wytrwajcie”, co jest mottem naszej szkoły. Drugą część dodaliśmy sami: „Jeśli nie mogę nakłonić niebios, poruszę piekło”. Wykrzykiwano tak przed meczami rugby.

- I innymi rzeczami - rzuca Duncan, uśmiechając się podstępnie.

- Brzmi groźnie - mówi Georgina. Ale wpatruje się w swojego czerwonego, spoconego męża o dzikim spojrzeniu, jak gdyby nigdy nie wyglądał bardziej atrakcyjnie.

- O to właśnie chodzi.

- No dobra, panienki - krzyczy Johnno. - Koniec głupot, trzeba się brać do picia!

Faceci znów zaczynają ryczeć na zgodę. Femi i Duncan mieszają whisky z winem, sosem, który został z posiłku, oraz solą i pieprzem, aż powstanie z tego obrzydliwa brązowa zupa. Wtedy zaczyna się gra - wszyscy uderzają dłońmi o stół i krzyczą, ile sił w płucach.

Angus przegrywa jako pierwszy. Podczas picia mieszanka skapuje mu na nienagannie białą koszulę i plami ją na brązowo. Inni z niego drwią.

- Idioto! - krzyczy Duncan. - Większość spływa ci po szyi.

Angus przełyka ostatni haust i krztusi się. Oczy wychodzą mu na wierzch.

Will jest następny. Wykonuje zadanie bez zająknięcia. Patrę, jak pracują mięśnie jego gardła. Odwraca szklanekę do góry dnem nad swoją głową i uśmiecha się.

Następnie przegrywa Charlie. Spogląda na swoją szklanekę i bierze głęboki wdech.

- No dalej, ty cykorze! - krzyczy Duncan.

Nie mogę na to patrzeć. Nie muszę na to patrzeć. Pieprzyć Charliego, myślę sobie. To miał być nasz wspólny weekend poza domem. Jeśli chce się upić do nieprzytomności, to jego sprawa. Jestem jego żoną, nie matką. Wstaję.

- Idę spać - mówię. - Dobranoc.

Ale nikt nie odpowiada ani nawet nie spogląda w moją stronę.

Otwieram drzwi do salonu i idąc przez niego, zatrzymuję się w pół kroku. Na sofie, w ciemności, siedzi jakaś postać. Po chwili poznaję, że to Olivia.

- O, cześć.

Podnosi wzrok. Siedzi, wyciągnąwszy przed siebie swoje długie nogi, jej stopy są nagie.

- Cześć.

- Miałaś dość? - pytam.

- Tak.

- Ja też. Nie kładziesz się jeszcze?

Wzrusza ramionami.

- Nie ma sensu iść do łóżka. Mój pokój sąsiaduje z jadalnią przez ścianę.

Jak na komendę dobiega nas stamtąd gwałtowny, drwiący śmiech. Ktoś ryczy:

- Wypij! Wypij do dna!

A potem rozlega się skandowanie: Do dna, do dna, które nagle przechodzi w porusz piekło, porusz piekło, PORUSZ PIEKŁO! Raz jeszcze wałą w stoły pięściami. A potem znów coś się tłucze - kolejna szklanka? Słyszę bełkotliwy głos:

- Johnno, ty jebany idioto!

Biedna Olivia nie może przed tym uciec. Przystaję w drzwiach.

- Nie przejmuj się mną - mówi Olivia. - Nie trzeba mi dotrzymywać towarzystwa.

Mam jednak wrażenie, że powinnam zostać. Współczuję jej. I uświadamiam sobie, że właściwie chcę zostać. Podobało mi się, jak wcześniej paliliśmy razem w jaskini. Było w tym coś ekscytującego, coś podniecającego. Gdy z nią rozmawiałam, czując na języku smak tytoniu, prawie mogłam sobie wyobrazić, że znów mam dziewiętnaście lat i rozmawiam o chłopakach, z którymi spałam, a nie jestem matką dwojga maluchów, po uszy w kredytach. Jest też i to, że Olivia kogoś mi przypomina. Nie wiem, kogo.

Dręczy mnie to, jak wtedy, kiedy brakuje ci słowa i wiesz, że masz je na końcu języka, ale nie możesz go sobie przypomnieć.

- Właściwie to nie jestem aż taka zmęczona - mówię. - I nie muszę wstawać wcześniej rano, żeby zająć się dwójką zwariowanych malców. Mamy wino w pokoju. Mogę po nie skoczyć.

Na te słowa posyła mi słaby uśmiech - pierwszy, jaki u niej zobaczyłam. Po chwili sięga za poduszkę kanapy i wyciąga butelkę wódki, która

wygląda na drogą.

- Zwędziłam ją wcześniej z kuchni - wyjaśnia.

- O, nawet lepiej - odpowiadam. Naprawdę: jakbym znów miała dziewiętnaście lat.

Podaje mi butelkę. Odkręcam ją, upijam łyk. Czuję w gardle lodowatą strużkę i aż wydaję z siebie jęk.

- O rany. Nie pamiętam, kiedy ostatnio robiłam coś takiego. - Oddaję jej butelkę. Wycieram usta. - Wcześniej nam przerwano. Opowiadałaś mi o tym chłopaku, Callumie?

O zerwaniu.

Olivia zaciska powieki i bierze głęboki wdech.

- Zerwanie to był właściwie tylko początek - mówi.

Z pokoju obok znów dobiega nas salwa śmiechu. Dłonie znów walą w stół. Pijane głosy znów krzyczą na siebie nawzajem. Coś uderza o drzwi i zza nich wypada. To Angus, ze spodniami spuszczoneymi do kolan i z obscenicznie dyndającym mu między nogami fiutem.

- Przepraszam, miłe panie - mówi, rzucając nam pijackie spojrzenie. - Nie zwracajcie na mnie uwagi.

- Pogrzało cię? - wybucham. - Spieprzaj stąd i daj nam spokój!

Olivia patrzy na mnie z podziwem, jak gdyby nie sądziła, że stać mnie na coś takiego. Ja też nie. Nie jestem do końca pewna, skąd to się wzięło. Może to przez wódkę.

- Wiesz co? - zwracam się do niej. - To chyba nie jest najlepsze miejsce do rozmowy.

Olivia potakuje.

- Mogłybyśmy pójść do jaskini.

- No ... - Nie planowałam nocnych przechadzek po wyspie. I jestem pewna, że spacer po zmroku, skoro jest tu torfowisko i inne rzeczy, nie są zbyt bezpieczne.

- Dobra, nieważne - szybko mówi Olivia. - Rozumiem. Tylko ... to dziwne, ale łatwiej mi było tam rozmawiać.

Nagle dopada mnie to samo uczucie, co wcześniej. Dziwna ekscytacja, wrażenie, że łamię zasady.

- Dobra - odpowiadam. - Zróbmy to. Bierz butelkę.

Wychodzimy z pałacyku tylnym wyjściem. To miejsce po zmroku wygląda naprawdę upiornie. Jest tu potwornie cicho, jeśli nie liczyć szumu fal rozbijających się o skały w pobliżu. Od czasu do czasu słychać dziwny, gardłowy rechot, przez który włos jeży mi się na głowie. Ostatecznie uświadamiam sobie, że to wołanie jakiegoś ptaka. Całkiem dużego, sądząc po odgłosie.

Gdy idziemy dalej, w snopie światła z mojej latarki wyłaniają się ruiny domów. Czarne, rozwarłe okna wyglądają jak puste oczodoły i sprawiają,

że czuję niepokój, jakby ktoś nas z nich obserwował. Słyszę też hałasy dobiegające ze środka: szelesty, trzaski i szurania. To pewnie szczury - choć, z drugiej strony, niezbyt to pocieszające.

Jestem świadoma otaczającego nas ruchu - zbyt szybkiego, żeby można było coś zobaczyć w słabym świetle księżyca. Coś przelatuje tak blisko mojej twarzy, że czuję, jak ociera się o wrażliwą skórę na moim policzku. Odskakuję i odpędzam to coś dłonią. Czy to nietoperz? Na pewno było to coś większego niż owad.

Kiedy schodzimy do jaskini, na kamiennej ścianie przed nami pojawia się ciemna postać o ludzkim kształcie. Prawie upuszczam butelkę ze strachu, aż dopiero po chwili zdaję sobie sprawę, że to mój własny cień.

W miejscu takim jak to nietrudno uwierzyć w duchy.

## TERAZ

### *Po ślubie*

Czterech drużbów formuje ekipę poszukiwawczą. Mają ze sobą zestaw do pierwszej pomocy. Biorą też wielkie pochodnie parafinowe, które dotąd sterczały z uchwytych przy wejściu do namiotu - No dobra, chłopaki - mówi Femi. - Wszyscy gotowi?

Ich przygotowaniom towarzyszyła dziwna zapalczywość granicząca z niestosownym podekscytowaniem. Równie dobrze mogliby być harcerzami wyprawiającymi się na misję, uczniami, którymi kiedyś byli, na nocnej eskapadzie.

Pozostali goście w ciszy zbierają się dookoła, obserwując przygotowania. Czują ulgę, że ktoś inny przejął od nich zadanie i że wolno im zostać w ciepłe i światło.

W oczach osób pod namiotem, które obserwują wymarsz, drużbowie wyglądają jak średniowieczni wieśniacy polujący na czarownice: płonące pochodnie, ferwor. Wiatr i awaria prądu tylko spotęgowały surreálną atmosferę. Makabryczne odkrycie, które rzekomo gdzieś czeka, przyjęło wymiar fantastyczny. Trudno zresztą stwierdzić, w co wierzyć i czy ufać słowom rozhisteryzowanej nastolatki. Niektórzy z nich wciąż mają nadzieję, że to wszystko jest jedynie potwornym nieporozumieniem.

Patrzą po cichu, jak mała grupka wymaszerowuje przez klapy trzepoczące przy wejściu do namiotu. Wprost w hałaśliwą noc, burzę, z pochodniami w dłoniach.

## DZIEŃ WCZEŚNIEJ

*Olivia*

*Druhna*

Morze wdarło się do jaskini wraz z przyływem i ciemna jak atrament woda prawie obmywa nam stopy. Przestrzeń wydaje się przez to mniejsza, bardziej klaustrofobiczna.

Hannah i ja musimy siedzieć bliżej siebie niż ostatnio, a nasze kolana się dotykają. Na skale przed nami stoi świeca w szklanej latarence, która zwinęłyśmy z salonu.

Teraz rozumiem, dlaczego to miejsce nazywa się Jaskinią Szeptów. Wysoki poziom wody zmienił akustykę i wszystko, co powiemy, zostaje wyszeptane do nas z powrotem, jak gdyby każde słowo powtarzał ktoś stojący w cieniu. Trudno uwierzyć, że tak nie jest. Od czasu do czasu odwracam się, żeby mieć pewność, że jesteśmy same.

Nie widzę dobrze twarzy Hannah w delikatnym świetle świecy. Ale słyszę jej oddech i czuję jej perfumy.

Przekazujemy sobie butelkę. Mam wrażenie, że w czasie kolacji zdążyłam się już nieco upić. Nie mogłam za wiele zjeść, więc alkohol uderzył mi do głowy. Ale muszę być bardziej pijana, żeby jej powiedzieć - pijana na tyle, że mój umysł nie powstrzyma słów. To głupie, bo ostatnio tak bardzo potrzebowałam komuś o tym powiedzieć, że miałam wrażenie, że wyrwie mi się to bez ostrzeżenia. Ale teraz, kiedy w końcu przyszło co do czego, czuję się, jakbym zapomniała języka w gębie.

Hannah odzywa się pierwsza.

- Olivio.

Jaskinia odpowiada: Olivio, Olivio, Olivio.

- O rany - mówi Hannah. - Ale echo. Czy twój były ... czy on coś ci zrobił? Ktoś, kogo znam ... - Milknie i zaczyna od nowa. - Moja siostra Alice miała chłopaka, kiedy była na studiach. A on bardzo źle zareagował na ich zerwanie. Bardzo, bardzo źle ...

Czekam, aż Hannah powie coś więcej, ale niczego nie dodaje. W zamian bierze ode mnie butelkę i upija długi łyk, z którego starczyłoby na cztery kieliszki.

- Nie, nie o to chodziło - zaczynam. - Tak, z Calluma był trochę gnojek. To znaczy nie krył się zbyt z tym, że zaczął posuwać Ellie niedługo potem. Ale to on zerwał, więc nie o to chodziło. - Biorę od niej butelkę i pociągam duży łyk. Czuję smak jej szminki na gwincie. - Wszystko



zdarzyło się w wakacje po zakończeniu roku. Zatrzymałam się u Jules w Islington, kiedy wyjechała służbowo na kilka dni.

Wypowiadam słowa w mrok, a jaskinia mi je powtarza. Opowiadam Hannah, jaka samotna się czułam. Jak to było mieszkać w wielkim mieście, które zawsze wydawało mi się takie ekscytujące, ale zdałam sobie sprawę, że nie mam z kim się tym podzielić. Jak w piątek wieczorem poszłam do sklepu na tej samej ulicy, na której mieszka Jules, i kupiłam sobie chipsy, mleko i płatki na śniadanie i jak wracając do domu, mijałam ludzi stojących przed pubami, pijących drinki i śmiejących się. Jak czułam się jak jakiś pieprzony ponurak z pomarańczową reklamówką w dłoni i perspektywą wieczoru spędzonego przed Netflikiem. Jak w momentach takich jak ten zawsze myślałam o Callumie i o tym, co moglibyśmy razem robić, a to sprawiało, że czułam się jeszcze bardziej samotna.

Wciąż nie mogę uwierzyć, że jej o tym wszystkim mówię, mimo że prawie jej nie znam. Ale może na tym to właśnie polega. Może ze wszystkich ludzi na wyspie tylko jej mogę to wyznać, bo jest mi praktycznie obca. Wódka zdecydowanie w tym pomaga, podobnie jak fakt, że jest tu tak ciemno, że ledwie widzę jej twarz. Mimo to nie sędzę, żebym mogła wyjawic jej wszystko. Myśl o tym sprawia, że zaczynam panikować. Może najlepiej będzie, jeśli zacznę od początku i zobaczę, czy jeśli opowiem jej większość, zbiorę się na odwagę, by dociągnąć tę historię do końca.

- Przeglądałam swój telefon - mówię - i wiedziałam, że Callum jest z Ellie. Wrzuciła na Snapchat mnóstwo zdjęć. Na jednym siedziała mu na kolanach. A na innym go całowała, jednocześnie wystawiając do aparatu środkowy palec, jak gdyby nie chciała, żeby ktokolwiek robił im zdjęcie ... tylko że później zamieściła je w internecie, gdzie mógł je zobaczyć cały świat.

Hannah upija łyk z butelki i robi wydech.

- Pewnie czułaś się okropnie, gdy to zobaczyłaś - zauważa. - Media społecznościowe wszystko pogarszają.

- No. - Wzruszam ramionami. - Rzeczywiście, poczułam się przez to trochę ... beznadziejnie. - Żeby nie wyjść na całkowitą stalkerkę, nie mówię jej, ile razy oglądałam te zdjęcia i jak tuliłam przy tym supermarketową reklamówkę, płacząc. - Przyjaciele mówili mi, że powinnam się trochę rozerwać - ciągnę. - No wiesz, pokazać Callumowi, co go omija. Bez przerwy powtarzali, że muszę sobie ściągnąć aplikacje randkowe, ale nie chciałam tego robić na uczelni, gdzie wszyscy wszystkich znają.

- Aplikacje takie jak Tinder?

Chyba próbuje pokazać, że jest na czasie.

- Tak, ale nikt już właściwie nie korzysta z Tindera.

- Przepraszam - rzuca. - Jestem dinozaurem. Co ja tam wiem. - Mówi nieco tęsknie.

- Nie jesteś taka stara.

- Dzięki. - Szturcha mnie kolanem.

Biorę jeszcze jeden łyk wódki. I przypominam sobie, jak tamtej nocy w mieszkaniu Jules wypiłam trochę jej wina, przez co zdałam sobie sprawę, że wszystko, co piliśmy na kampusie po trzy funty za kieliszek, smakowało jak szczynty. Pamiętam, jaka czułam się światowa, chodząc po mieszkaniu w majtkach i staniku z jednym z jej dużych kieliszków w dłoni. Wyobrażałam sobie, że to moje mieszkanie, że pójdę na miasto, znajdę jakiegoś faceta, wrócę z nim do domu i będę się z nim pieprzyć. I wtedy zemściłabym się na Callumie.

Oczywiście tak naprawdę wcale nie miałam zamiaru tego robić. Do tego czasu byłam tylko z jednym - z Cal lumem. I nie było to jakieś spektakularne.

- Założyłam swój profil - opowiadam dalej. - Postanowiłam, że w Londynie jest inaczej. W Londynie mogę iść na randkę i mieć pewność, że następnego dnia nie dowie się o tym cały kampus.

- Jestem pod wrażeniem - stwierdza Hannah. - Nigdy nie miałam tyle odwagi, żeby zrobić coś takiego. Ale ... nie martwiłaś się o swoje bezpieczeństwo?

- Nie - mówię. - Nie jestem idiotką. Nie podałam prawdziwego nazwiska. Ani wieku.

- Aha, rozumiem. - Hannah kiwa głową. Mam wrażenie, że to jej nie przekonuje i bardzo się stara nic więcej nie mówić.

Podalam, że mam dwadzieścia sześć lat. Na zdjęciu, które zamieściłam, nie byłam nawet do siebie podobna. Przetrzęsnałam szafę Jules, zrobiłam sobie idealny makijaż.

W końcu chodziło o to, żebym nie wyglądała jak ja.

- Nadałam sobie imię Bella - mówię. - No wiesz, jak Hadid.

Opowiadam Hannah, jak siedziałam na łóżku i przeglądałam zdjęcia facetów, aż zaczęły mnie piec oczy.

- Większość z nich była wstrętna - mówię. - Podciągali sobie koszulki na siłowni albo byli w okularach przeciwsłonecznych, myśląc, że wyglądają cool. - Prawie się poddałam. Ale miałam dopasowanie z jednym gościem. Przyciągnął moją uwagę. Był... inny.

Pierwsza do niego napisałam. To nie w moim stylu, ale trochę się wstawiłam winem Jules.

„Chcesz się spotkać?” - zaczęłam.

Ta k. Chętnie, Bello. Kiedy ci pasuje?

Może dziś wieczorem?

Nastąpiła długa przerwa. A po chwili:

Nie marnujesz czasu . To mój jedyny wolny wieczór przez najbliższe kilka tygodni.

Podobało mi się, jak to brzmi. Jakbym miała lepsze rzeczy do roboty.

„W porządku” - odpisał. „Jesteśmy umówieni”.

- Jaki był? - pyta Hannah, podpierając podbródek nadgarstkiem. Wygląda na zafascynowaną i uważnie mi się przygląda.

- Przystojniejszy niż na zdjęciu. I trochę starszy ode mnie.

- O ile starszy?

- Yyy ... może o piętnaście lat?

- Okej. - Chyba próbuje ukryć, jaka jest zbulwersowana. - A jaki był?

Kiedy się już spotkaliście?

Wracam myślami do tamtego momentu. Trudno mi go zobaczyć takim, jaki wydał mi się na początku.

- W pierwszym odruchu pomyślałam, że jest seksowny. I... sprawiał wrażenie dojrzałego faceta. W porównaniu z nim Callum wyglądał przy nim jak gimnazjalista. - Miał szerokie ramiona, jakby dużo ćwiczył, i był opalony. Za to Callum był kościstym lalusem. Postanowiłam, że od teraz interesują mnie tylko prawdziwi faceci. - Ale sama nie wiem. - Wzruszam ramionami, mimo że Hannah mnie nie widzi. - Choć na początku wydał mi się bardzo pociągający, część mnie wciąż chciała, żeby to był Callum.

Hannah kiwa głową.

- Jasne - mówi pełnym wyrozumiałości głosem. - Rozumiem to. Kiedy się w kimś zakochasz, to nawet Brad Pitt go nie zastąpi. ..

- Brad Pitt jest zajebiście stary.

- Yyy ... Harry Styles?

Na te słowa prawie się uśmiecham.

- Lepiej. Albo Timothee Chalamet. - Zawsze uważałam, że Callum wygląda trochę jak on. Ale mój eks raczej od dłuższego czasu o mnie nie myślał, zwłaszcza gapiąc się na wielkie cycki głupiej Ellie. - Powtarzałam sobie, że muszę przestać zaprzętać sobie nim głowę.

- A ten gość ... jak miał na imię?

- Steven.

- Powiedział coś, gdy się spotkaliście? O tym, że jesteś dużo młodsza?

Rzucam jej spojrzenie. Zabrzmiało to nieco krytycznie.

- Przepraszam - mówi, śmiejąc się. - Ale poważnie, skomentował to?

- Tak. Zapytał mnie, czy naprawdę mam dwadzieścia sześć lat. Ale nie powiedział tego podejrzliwym tonem, tylko raczej jakby to był żart, który oboje rozumiemy.

Wyglądało na to, że nie ma to dla niego większego znaczenia. I był miły - mówię, choć nie do końca to teraz pamiętam. - Dobrze się bawiłam. Śmiał

się ze wszystkich moich żartów i zadawał mnóstwo pytań na mój temat.

Wracam myślami do tamtego wieczoru. Rozpoczął się od drinków w knajpie, które uderzyły mi do głowy - wypiałam kilka negroni, bo uznałam, że w jego oczach doda mi to lat.

- Pierwotnie miałam w planie zdobycie zdjęcia - wyjaśniam - żebym mogła je wrzucić na swój Instagram. - Żeby Callum zobaczył, co go omija.

- Podejrzewam ... że doszło do czegoś więcej? - Hannah zerka na mnie.

- Tak. - Pociągam z butelki wielki łyk.

Pamiętam, że był pewien moment, w którym wydawało mi się, że się ze mną pożegna, ale otworzył drzwi taksówki, odwrócił się do mnie i powiedział:

- Wsiadasz? - A w taksówce (nawet nie w uberze, tylko prawdziwej, czarnej taksówce) słyszałam w głowie cienki głosik: Co ty robisz? Ledwie go znasz! Ale pijana część mnie, część, która była na to chętna, kazała mu się zamknąć.

Wróciliśmy do domu Jules, bo on dopiero się przeprowadził i nie miał jeszcze żadnych mebli. Miałam lekkie wyrzuty, ale postanowiłam, że upiorę pościel.

- Łał - powiedział, rozglądając się po mieszkaniu. - Robi wrażenie. Twoje?

- Tak - odparłam, czując, że zyskałam w jego oczach.

- A potem poszliśmy do łóżka - opowiadam. - Chyba chciałam to zrobić, zanim alkohol przestanie działać.

- Było ci dobrze? - pyta Hannah. Wydaje się trochę podekscytowana. A po chwili: - Od wieków nie uprawiałam seksu. Przepraszam. Za dużo informacji.

Staram się nie wyobrażać sobie jej i Charliego w łóżku.

- Tak - mówię. - Było trochę ... no wiesz. Trochę ostro. Przyparł mnie do ściany, podciągnął mi spódnicę na biodra, ściągnął majtki. A potem ... mogę jeszcze łyk? - Hannah podaje mi butelkę, a ja szybko piję. - Zrobił mi minetę, chociaż nie wzięłam prysznic. Powiedział, że tak woli.

- Rozumiem - dopowiada Hannah. - O rany.

Callum i ja nigdy nie robiliśmy niczego odważnego. Seks ze Stevenem był lepszy niż wszystko, co robiłam z Callumem, nawet uwzględniając to, że po pierwszym orgazmie przez moment jakoś dziwnie zachciało mi się płakać.

- Potem spotkałam się z nim jeszcze kilka razy.

Bardziej czuję, niż widzę, że Hannah potakuje, bo jej głowa jest tak blisko mojej, że wyczuwam ruch powietrza. Opowiadam jej potem, że podobało mi się postrzeganie samej siebie tak, jak on najwyraźniej mnie widział: jako kogoś, kto jest seksowny, kto nie boi się ryzyka. Nawet jeśli

czasem miałam wrażenie, że tracę grunt pod nogami, bo nie zawsze czułam się całkowicie komfortowo ze wszystkim, o co prosił mnie w łóżku.

- Nie było z nim jak z Callumem, kiedy miałam wrażenie, że jesteśmy

...

- Bratnimi duszami? - dopowiada Hannah.

- Tak - dopowiadam. - To strasznie krindżowe wyrażenie, ale idealnie pasuje. - To było chyba co innego. Ze Stevenem czułam się tak, jak gdyby pokazywał mi tylko fragment siebie, a to ...

- Sprawiało, że chciałaś zobaczyć więcej?

- Właśnie. Miałam na jego punkcie jakąś obsesję. A on był taki dorosły i doświadczony, i mimo to pragnął mnie. I wtedy ... - Wzruszam ramionami. - Wszystko spieprzyłam.

Hannah marszczy czoło.

- To znaczy?

- Nie wiem. Chyba chciałam mu udowodnić, że jestem dojrzała. Nigdy niczego razem nie robiliśmy, jeśli nie liczyć spotkań na seks. Miałam ... miałam to poczucie, że on interesuje się mną tylko z tego powodu.

Hannah kiwa głową.

- Ale pod koniec wakacji magazyn Jules organizowała przyjęcie w muzeum Victorii i Alberta i pomyślałam, że mogłabym go zaprosić. To byłaby prawdziwa randka. To by mu zaimponowało. Może pomyślałby, że nie jestem dzieckiem.

Opowiadam Hannah, jak szłam po schodach do wejścia i patrzyłam na bardzo dorosłych, szykownych ludzi w środku, którzy wyglądali jak gwiazdy filmowe. I jak facet, który sprawdzał nasze nazwiska, zmierzył mnie wzrokiem, jakby uważał, że nie powinno mnie tam być, za to Steven idealnie tam pasował.

- Zaczęłam się denerwować - powiedziałam. - Zwłaszcza tym, że będę musiała go przedstawić Jules. Serwowano darmowe drinki. Wypiłam zdecydowanie za dużo, żeby dodać sobie odwagi. Zrobiłam z siebie kompletną idiotkę. Musiałam uciec do łazienki, żeby zwymiotować - całkowita porażka. Więc Steven wsadził mnie do taksówki do domu, a ja nie mogłam go nawet poprosić, żeby pojechał ze mną, bo wiedziałam, że później wróci tam Jules. Pamiętam, jak przeliczał banknoty dla taksówkarza. A potem poprosił go, żeby upewnił się, że bezpiecznie wejdę do domu, jakbym była dzieckiem.

- Powinien był pojechać z tobą - mówi Hannah. - Powinien sam się upewnić, że nic ci nie jest. A nie zwać tego na jakiegoś przypadkowego człowieka.

Wzruszam ramionami.

- Może. Ale tak strasznie się skompromitowałam. Nie dziwię się, że chciał mieć mnie z głowy.

Pamiętam, jak patrzyłam na niego przez szybę taksówki, myśląc, że zwałam sprawę. I że na jego miejscu pewnie wróciłabym do środka, żeby poprzybywać w towarzystwie ludzi w swoim wieku, którzy umieją pić.

- Po tamtym wieczorze zaczął się ghosting. - Na wypadek gdyby nie wiedziała, co to znaczy, wyjaśniam: - No wiesz, przestał odpisywać. Mimo że widziałam dwa niebieskie znaczki.

Kiwa głową.

- Wróciłam na uczelnię. Pewnego wieczoru upiłam się na smutno i wysłałam mu dziesięć wiadomości. Próbowałam się do niego dodzwonić, wracając do akademika o drugiej nad ranem. Nie odebrał. Nie odpowiadał na moje esemesy. Wiedziałam, że nigdy więcej go nie zobaczę.

- Cholera - rzuca Hannah.

- No.

- I na tym koniec? - pyta, kiedy nie mówię nic więcej. - Spotkaliście się jeszcze? - A kiedy nie odpowiadam, dorzuca: - Olivio?

Ale nie mogę nic z siebie wydusić. Wcześniej mówiło mi się tak łatwo, jakbym była pod wpływem jakiegoś zaklęcia. Teraz mam wrażenie, jakby słowa ugrzęzły mi w gardle.

Mam w głowie pewien obraz. Czerwień na bieli. Mnóstwo krwi.

Kiedy wracamy do pałacyku, Hannah mówi, że pada z nóg.

- Idę prosto do łóżka - rzuca. Rozumiem ją. W jaskini było inaczej. Gdy siedziałyśmy tam w ciemności przy wódce i w świetle świecy, miałam wrażenie, że możemy sobie powiedzieć wszystko. Teraz wydaje mi się, że powiedziałam zbyt wiele. Jakbyśmy przekroczyły jakąś granicę.

Wiem, że nie będę w stanie zasnąć, zwłaszcza kiedy faceci bawią się tuż za ścianą. Przez jakiś czas stoję więc na zewnątrz i próbuję spowolnić gonitwę myśli.

- Cześć.

Prawie dostaję zawału.

- Kurwa mać ...

To pierwszy drużba Johnno. Nie lubię go. Widziałam wcześniej, jak na mnie patrzył. I jest pijany - poznaję to, choć sama nie jestem trzeźwa. W świetle padającym z jadalni widzę, że szeroko się do mnie uśmiecha, a właściwie ślini się na mój widok.

- Chcesz bucha? - Wyciąga w moją stronę skręta i czuję mdły zapach trawy. Widzę, że koniuszek, który był w jego ustach, jest mokry.

- Nie, dzięki - odpowiadam.

- Grzeczna dziewczynka.

Chcę wejść do środka, ale gdy sięgam po klamkę, chwytam mnie mocno za rękę.

- Powinniśmy jutro razem zatańczyć. Świadek i druhna.

Kręcę głową.

Przysuwa się bliżej, przyciąga mnie do siebie. Jest dużo większy ode mnie. Ale niczego by tu nie zrobił, prawda? Nie, skoro wszyscy są w środku?

- Powinnaś się nad tym zastanowić. - Nie odpuszcza. - Starszy mężczyzna może cię zaskoczyć.

- Odpierdol się - syczę. Myślę o żyletce w moim pokoju. Żałuję, że jej ze sobą nie mam, dla bezpieczeństwa.

Wyrywam rękę z jego uścisku i siłuję się z drzwiami, bo moje palce nie pracują jak trzeba. Czuję, że przez cały czas mnie obserwuje.

## ***Johnno***

### *Świadek*

Wypalam skręta i wracam do swojego pokoju. Udało mi się kupić trochę trawy, kiedy przyjechałem do Dublina i razem z turystami kręciłem się w okolicach Temple Bar. Nie jestem pewien, czy jest równie mocna co ta, którą regularnie kupuję od sprawdzonego gościa, ale miejmy nadzieję, że pomoże mi zasnąć. Potrzebuję dziś trochę pomocy.

Tu, na wyspie, jest tak, jakbyśmy znów byli w Trevellyanie. Może ma to związek z przepastnym terenem. Klify, morze. Słyszę tylko odgłosy fal rozbijających się o skały w dole. Pamiętam salę sypialną w internacie: rzędy łóżek i kraty w oknach. Żeby zapewnić nam bezpieczeństwo albo zatrzymać nas w środku - a może jedno i drugie. Tam też słychać było fale wpływające na brzeg. Szust, szust, szust. Przypominają mi, żebym nie zdradził tajemnicy.

Od lat o niej nie myślałem, a przynajmniej nie dogłębnie. Nie mogę. O niektórych rzeczach trzeba zapomnieć. Ale przebywanie tu zmusza mnie, by się z nimi zmierzyć.

A kiedy tak robię, nie mogę normalnie oddychać.

Leżę w łóżku. Wypiłem tyle, że powinienem szybko odpaść, zwłaszcza że wszystko poprawiłem trawą. Czuję jednak mrowienie na skórze, milion karaluchów razem ze mną w łóżku. Skutecznie powstrzymają mnie od tego, żebym odpoczął. Chcę się drapać, zedrzeć z siebie skórę, jeśli będzie trzeba, byle wszystko ustało. Boję się też, że jeśli zasnę, nawiedzą mnie takie sny, jak wczoraj w nocy. Nie pamiętam, kiedy ostatnio je miałem ... lata temu. To przez to towarzystwo. Przez to miejsce.

Jest tu strasznie ciemno. Zbyt ciemno. Czuję, jak ten mrok mnie przygniata. Topię się w nim. Siadam na łóżku i powtarzam sobie, że nic mi nie jest. Nic nie próbuje mnie udusić, nie ma karaluchów. Może to przez

zioło - nieznany towar powoduje u mnie paranoję. Pójdę pod prysznic - tak właśnie zrobię. Wejdę pod gorącą wodę, dobrze się wymyję.

Wtedy wydaje mi się, że widzę coś w rogu pokoju. Rośnie, kłębi się w sobie i wyłania z ciemności.

Nie. Tylko to sobie wyobrażam. Na pewno. Nie wierzę w duchy.

To musi być wina trawy i whisky. Mój mózg płata mi figle. Kurwa, ale jestem pewien, że coś tu jest. Widzę to kątem oka, ale kiedy patrzę wprost, to coś znika. Zaciskam powieki jak dziecko, które boi się potworów spod łóżka, aż zobaczę srebrne plamki. To na nic. Widzę to coś nawet z zamkniętymi oczami. To miało twarz. I to nie jest już coś, tylko ktoś. Wiem, kto.

- Odpieprz się ode mnie - szepczę. Po chwili próbuję inaczej: - Przepraszam. To nie była moja wina. Nie myślałem ...

Czuję mdłości. W ostatniej chwili dobiegam do łazienki i rzygam do muszli, a całe moje ciało trzęsie się ze strachu.

## **Jules**

### *Panna młoda*

Stoimy z Charliem przy blankach na baszcie i patrzymy na połyskujące światełka na lądzie. Zostawiliśmy pozostałych przy ich ohydnej grze. W tym, że stoimy tu razem, jest coś zakazanego. Coś zuchwałego. Może to fakt, że stoimy tak wysoko, a pod nami znajduje się stroma przepaść - niewidoczna, ale jak najbardziej realna - która tylko wzmaga podekscytowanie i sprawia, że wszystko zdaje się podszyte niebezpieczeństwem. Albo że jesteśmy spowici ciemnością. Że może się tu zdarzyć wszystko i nikt by się o tym nie dowiedział.

- Jak dobrze, że przyjechałeś - mówię do niego. - Wiesz, że tak naprawdę jesteś moim świadkiem?

- Dzięki - odpowiada. - Cieszę się, że tu jestem. Dlaczego wybrałaś to miejsce?

- No wiesz. Irlandzkie korzenie. I jest tu tak ekskluzywnie. Podoba mi się, że jestem tu pierwsza. No i liczy się też odległość: zniechęci wszystkich paparazzi.

- Naprawdę próbowaliby zdobyć zdjęcia tego ślubu? - pyta z powątpiewaniem, jak gdyby nie wierzył, by popularność Willa była wystarczającym usprawiedliwieniem.

- Mogą. A poza tym ceremonia w takim dzikim miejscu pasuje do jego wizerunku.

Wszystko, co mu powiedziałam, jest prawdą. Ale to nie cała prawda.



Opieram głowę na jego ramieniu. Mam wrażenie, że nieruchomieje. Może bycie fizycznie blisko nie wydaje się takie naturalne, jak kiedyś. Choć jeśli się nad tym zastanowić, czy kiedykolwiek było?

Charlie odchrząkuje.

- Mogę zadać ci pytanie?

Jego głos brzmi poważnie. Wyczuwam w nim ostrożność.

- Śmiało.

- Czy jesteś z nim szczęśliwa?

Nieznacznie podnoszę głowę.

- To znaczy?

Czuję, jak wzrusza ramionami.

- Tylko tyle. Wiesz, że bardzo mi na tobie zależy.

- Tak - odpowiadam. - Jestem. Mogłabym ci zadać to samo pytanie o Hannah.

- To zupełnie co innego ...

- Naprawdę? Niby dlaczego? - Nie chcę słyszeć jego odpowiedzi. Nie chcę, żeby kolejna osoba mówiła mi, jak szybko wszystko się potoczyło między Willem a mną.

A ponieważ wypiął więcej niż powinnam - i ponieważ mogę nie mieć już więcej okazji - dorzucam: - Chcesz powiedzieć, że z tobą byłabym szczęśliwsza?

- Jules ... - Wypowiada moje imię z nutą bólu. - Nie rób tego.

- Czego? - pytam niewinnie.

- Nie udałoby się nam. Jesteśmy przyjaciółmi, dobrymi przyjaciółmi. Wiesz o tym. - I z tymi słowami odsuwa się ode mnie i od krawędzi klifu.

Czy aby na pewno o tym wiem? I czy on naprawdę jest o tym przekonany? Wiem, że kiedyś mnie pragnął. Wciąż pamiętam tamtą noc. To wspomnienie powracało do mnie wiele razy ... na przykład, kiedy potrzebowałam inspiracji w wannie. Nigdy wcześniej o tym nie rozmawialiśmy. I dlatego zachowało to taką moc. Jestem pewna, że on też nadal myśli o tej nocy.

- Byliśmy wtedy innymi ludźmi - odzywa się, jak gdyby czytał mi w myślach. Zastanawiam się, czy mówi z przekonaniem. - Nie pytałem cię z tego powodu - dodaje. - Nie z zazdrości. .. czy czegoś takiego.

- Poważnie? Bo odnoszę wrażenie, że jednak jesteś nieco zazdrosny.

- Nie jestem ...

- Mówiłam ci, jaki jest dobry w łóżku. To jedna z tych rzeczy, o których powinni ze sobą rozmawiać przyjaciele, prawda? - Wiem, że przeginam, ale nie potrafię się powstrzymać.

- Posłuchaj - mówi Charlie. - Chcę tylko, żebyś była szczęśliwa.

Co za protekcyjny ton. Podnoszę głowę z jego ramienia. Czuję, że odległość między nami się zwiększa - zarówno metaforycznie, jak i

fizycznie.

- Jestem w pełni świadoma tego, co mnie uszczęśliwia, a co nie - oświadczam. - Gdybyś nie zauważył, to jestem trzydziestoczteroletnią kobietą, a nie szesnastoletnią, zauroczoną tobą dziewczyną.

Charlie się krzywi.

- Wiem. Przepraszam. Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało. Troszczyć się o ciebie, to wszystko.

Coś nagle świta mi w głowie.

- Napisałeś do mnie może liścik?

- Liścik?

Słyszę w jego konsternacji odpowiedź na swoje pytanie.

- Nieważne - rzucam. - Nic nie mówiłam. Wiesz co? Myślę, że pora się położyć. Jeśli pójdę teraz, to prześpię pełne osiem godzin.

- Okej - odpowiada. Mam wrażenie, że mu ulżyło, gdy zaproponowałam rozejście się do swoich pokoi, co strasznie mnie wkurza.

- Uściskasz mnie? - pytam.

- Jasne.

Wtulam się w niego. Jego ciało jest miększe niż Willa i dużo mniej napięte niż przed laty. Ale jego zapach jest ten sam. Dziwnie znajomy, co trochę mnie zastanawia, biorąc pod uwagę, ile minęło lat.

To nadal tam jest. On też na pewno to czuje. A wzajemny pociąg chyba nigdy nie przemija. Jestem tego pewna - on jest zazdrosny.

Kiedy wracam do pokoju, Will właśnie się rozbiera. Uśmiecha się do mnie, a ja podchodzę bliżej.

- Dokończymy to, co zaczęliśmy wcześniej? - mruczy.

To jakiś sposób na wymazanie upokorzenia wywołanego rozmową z Charliem.

Siłą rozrywam ostatnie zapięte guziki jego koszuli, a on zrywa jedno z ramiączek mojego kombinezonu, żeby mnie z niego wyzwolić. Z nim zawsze jest jak za pierwszym razem - ten pośpiech - tylko lepiej, bo teraz oboje wiemy, czego pragnie to drugie. Pieprzyśmy się od tyłu, zaparci o łóżko. Mam intensywny orgazm. Nie tłumię go w sobie. Co dziwne, mam poczucie, że spora część wieczoru, odkąd nam przerwano, był przedłużoną grą wstępną. Gdy czułam na nas spojrzenia innych: zazdrosne, zachwycone. Gdy widziałam ich reakcję na to, jak dobrze razem wyglądamy. I owszem, gdy przekroczyłam granicę z Charliem i zostałam odrzucona. Może nas usłyszy.

Po wszystkim Will idzie pod prysznic. Wzorowo o siebie dba - przy jego rytuale pielęgnacyjnym nawet mój wydaje się niechlujny. Pamiętam, że trochę mnie zaskoczyło, gdy okazało się że jego stale opalona twarz to nie wynik nieustannego przebywania na zewnątrz, a samoopalacza od Sisley, tego samego, którego używam i ja.

Dopiero teraz, gdy siedzę w fotelu ubrana w szlafrok, zauważam dziwny odór, silniejszy niż zapach seksu. Jest wyraźniejszy i to bez wątpienia zapach morza: słone, rybne, zalatujące amoniakiem cierpkie drapanie w głębi gardła. I gdy tak tam siedzę, zdaje się gromadzić z ciemnych z kątów pokoju, nabierając faktury i głębokości.

Podchodzę do okna i otwieram je. Powietrze po zmroku jest dość przenikliwe. Słyszę dobiegające z dołu uderzenia fal o skały. W oddali, nad wodą, wisi srebrne światło księżyca, które wygląda jak ciekły metal - jest tak jasne, że nie mogę na nie patrzeć. Nawet stąd widać fale przyływu, wielkie, muskularne ruchy pod powierzchnią, które mają jeden cel. Słyszę nad sobą skrzeczenie dobiegające chyba z dachu. Brzmi złośliwie.

Myślę sobie, że zapach morza powinien być silniejszy na zewnątrz niż w środku. Ale bryza wpadająca przez okna wydaje się świeższa i pozbawiona woni. Nie mogę tego pojąć. Zapalam świecę zapachową na toaletce i siadam z powrotem w fotelu, próbując się uspokoić. Ale prawie słyszę bicie własnego serca. Uderza zbyt szybko, łopocze mi w piersi. Czy to tylko ze zmęczenia? A może to coś więcej?

Powinna porozmawiać z Willem o liściku. Teraz, jeśli w ogóle mam zamiar to zrobić. Ale dziś wieczorem przeszłam już jedną konfrontację - z Charliem - i jakoś nie mogę się zmobilizować do kolejnej. Zresztą to pewnie nic ważnego. Jestem tego pewna na dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Może dziewięćdziesiąt osiem.

Drzwi łazienki otwierają się. Will wchodzi do sypialni przewiązany w pasie ręcznikiem. Mimo że miałam go jeszcze przed chwilą, na moment rozprasza mnie widok jego ciała: te płaszczyzny i linie, wyrzeźbione mięśnie na brzuchu, ramionach i nogach.

- Dlaczego jeszcze nie śpisz? - pyta. - Powinnaś trochę odpocząć. Jutro wielki dzień.

Odwracam się do niego plecami i spuszczam swój szlafrok na podłogę. Czuję na sobie jego spojrzenie. Delektuję się tą potęgą. Podnoszę kołdrę i kładę się do łóżka, ale wtedy moje nagie nogi czegoś dotykają. Spoistego i zimnego, o konsystencji martwego ciała. Zdaje się uginać, gdy nieświadomie wsuwam w to coś stopy, i jednocześnie owija mi się wokół nóg.

- O kurwa! Kurwa mać!

Wyskakuję z łóżka, potykam się i upadam na podłogę.

Will gapi się na mnie.

- Co jest, Jules?

Z początku nie mogę odpowiedzieć, tak bardzo jestem przerażona i obrzydzona tym, co poczułam. Gardło dławi mi panika. Przeszywa mnie fala szoku - głęboka, instynktowna i zwierzęca. To było jak koszmar - jeden ze snów, w którym znajdujesz coś w swoim łóżku i kiedy się budzisz,

zdajesz sobie sprawę, że to tylko twoja wyobraźnia. Ale to coś było prawdziwe. Nadal czuję zimny dotyk na nogach.

- Will - mówię, gdy w końcu odzyskam głos. - Coś jest w łóżku. Pod kołdrą.

Podchodzi do łóżka, sadząc dwa wielkie susy, bierze kołdrę w obie ręce i zrywa ją. Nie mogę się powstrzymać od krzyku. Na środku materaca rozpościera się wielkie, czarne cielsko morskiego stworzenia, a jego macki rozchodzą się na wszystkie strony.

Will odskakuje.

- Co to, kurwa, jest? - Jego głos jest bardziej wściekły niż przerażony. Mówi to raz jeszcze, jak gdyby to coś na łóżku miało mu się jakimś cudem wytłumaczyć: - Co, kurwa ... ?

Zapach morza, solanki i zgnilizny jest teraz obezwładniający i emanuje z czarnej masy na łóżku.

I wtedy, odzyskując panowanie nad sobą szybciej niż ja, Will znów zbliża się do tego czegoś.

- Nie dotykaj! - Ale on już chwycił macki i szarpnął za nie. Odrywają się, a cielsko jakby rozpadło się na kawałki. Przerażający i obrzydliwy widok. To coś leżało tu przez cały czas, gdy się pieprzyliśmy, czekając na nas w pościeli. ..

Will parska śmiechem, ale zupełnie bez humoru.

- Patrz, to tylko wodorosty. Głupie wodorosty!

Podnosi je do góry. Nachylam się bliżej. Ma rację. Takie same widziałam tu na plaży - wielkie, ciemne liny wyrzucone na brzeg przez fale. Will rzuca je na podłogę.

Stopniowo cały ten spektakl traci na dramatyzmie i okropności, i zostaje z niego tylko straszny bałagan. Dociera do mnie, w jakiej poniżającej znajduję się pozycji, leżąc naga na podłodze. Bicie mojego serca zwalnia. Oddycham spokojniej.

Tylko ... jak to się tu w ogóle znalazło? Dlaczego to tu jest?

Ktoś nam to zrobił. Ktoś to do nas przyniósł, ukrył pod kołdrą, wiedząc, że znajdziemy to, gdy wejdziemy do łóżka.

Odwracam się do Willa.

- Czyja to sprawka?

Wzrusza ramionami.

- Mam swoje podejrzenia.

- Co? O kim myślisz?

- Robiliśmy taki żart młodszym chłopcom w szkole. Schodziliśmy po ścieżce przy klifie i zbieraliśmy wodorosty wyrzucone na plażę - ile tylko zdołaliśmy unieść. A potem wkładaliśmy je im do łóżek. Więc stawiam na Johnno lub Duncana. Możliwe, że to sprawka ich wszystkich. Pewnie pomysleli, że to zabawne.

- Uważasz, że to żart? Nie jesteśmy w szkole, Will, to nasza ostatnia noc przed ślubem! Co to ma, kurwa, znaczyć? - W pewien sposób moja złość jest wywołana ulgą.

Will wzrusza ramionami.

- Ten żart nie dotyczy ciebie, tylko mnie. No wiesz, za stare dobre czasy. Nie mieli zamiaru cię denerwować ...

- Zaraz po nich wszystkich pójde i dowiem się, który z nich to zrobił. Zaraz się przekonają, jakie to zabawne.

- Jules. - Will chwyta mnie za ramiona. Przyjmuje kojący ton głosu: - Posłuchaj, jeśli masz zamiar to zrobić ... cóż, możesz powiedzieć rzeczy, których będziesz później żałować. A to zepsuje jutrzejszą atmosferę, mam rację? To może wpłynąć na dynamikę całego dnia.

Dostrzegam, co próbuje mi powiedzieć. Zawsze jest taki rozsądny i zawsze podchodzi do wszystkiego z rozważą - czasem aż trudno to znieść. Patrzę na czarną masę, która leży teraz na podłodze. Trudno uwierzyć, że nie miała żadnego mroczniejszego przekazu.

- Posłuchaj - łagodnie mówi Will. - Oboje jesteśmy zmęczeni. To był długi dzień. Nie martw się o to teraz. Weźmiemy czyste prześcieradło z wolnego pokoju.

Wolny pokój był przeznaczony dla rodziców Willa. Nie chcieli nawet słyszeć o czymś tak niedorzecznym, jak nocleg na wyspie. Will nie wydawał się tym zaskoczony:

- Mój ojciec nigdy nie był szczególnie pod wrażeniem tego, co robię. Ślub z pewnością nie jest tu wyjątkiem. - Wydawał się rozgoryczony. Nie opowiada zbyt wiele o swoim ojcu, co paradoksalnie wzbudza u mnie poczucie, że on ma dużo większy wpływ na mojego męża, niż ten ośmieliłby się przyznać.

- Przynieś też nową kołdrę - mówię do Willa. Kusi mnie, żeby w ogóle zmienić pokój. Ale to byłoby irracjonalne, a szczycę się tym, że nie mam tego w naturze.

- Jasne. - Will pokazuje na wodorosty. - Tym też się zajmę. Miałem do czynienia z dużo gorszymi rzeczami, możesz mi wierzyć.

W programie Will uciekał przed wilkami i został napadnięty przez stado nietoperzy - wampirów - choć jego ekipa zawsze jest gdzieś pod ręką - więc cała ta sytuacja musi się mu wydawać lekko żałosna. Ostatecznie kępa wodorostów w pościeli to na dobrą sprawę nic strasznego.

- Jutro rano rozmówię się z chłopakami - dodaje. - Powiem im, że są bandą idiotów.

- Okej - odpowiadam. Jest świetny, jeśli chodzi o wzbudzanie we mnie poczucia bezpieczeństwa. Jest taki. .. no cóż, jest na to tylko jedno słowo: doskonały.

A mimo to w tej chwili i w najmniej odpowiednim momencie znów myślę o słowach z liścika.

*On nie jest człowiekiem, za jakiego go masz .. . oszust. . . kłamca .. . Nie wychodź za niego.*

- Porządny sen - mówi Will kojąco. - Tego nam trzeba.

Kiwam głową.

Ale nie sądzę, żebym choć na chwilę zmrużyła oko.

## **Aoife**

### *Organizatorka ślubów*

Na zewnątrz słyhać hałas. To dziwny hałas - lament. Brzmi bardziej, jakby to był człowiek niż zwierzę - ale nie mam całkowitej pewności. Freddy i ja spoglądamy na siebie, będąc w naszej sypialni. Wszyscy goście poszli spać jakieś pół godziny temu. Myślałam, że nigdy nie ogarnie ich zmęczenie. Musieliśmy czekać aż do samego końca na wypadek, gdyby czegoś od nas potrzebowali. Słuchaliśmy bębnienia dochodzącego z jadalni i skandowania. Freddy, który zna nieco łacinę ze szkoły, przetłumaczył, co wykrzykiwali: „Jeśli nie nakłonię niebios, poruszę piekło”. Aż dostałam gęsiej skórki, słysząc te słowa.

Drużbowie są jak duzi chłopcy. Powiedziałabym tylko, że brakuje im chłopięcej niewinności, choć niektórzy nigdy jej nie mają. Chodzi mi o to, że jako dorośli mężczyźni powinni być mądrzejsi. Mają też w sobie coś stadnego, jak psy, które same może i zachowują się grzecznie, ale w hordzie tracą własny rozum. Będę musiała mieć na nich jutro oko, dopilnować, żeby ich nie poniosło. Z mojego doświadczenia wynika, że to te najelegantsze imprezy, w których udział brali najbogatsi i najznamienitsi goście, najbardziej wymykały się spod kontroli. Organizowałam kiedyś ślub w Dublinie, w którym udział brała połowa irlandzkiej elity politycznej - był tam nawet premier Taoiseach - ale do rękoczynów pomiędzy panem młodym a ojcem panny młodej doszło jeszcze przed pierwszym tańcem.

Lecz tu jest jeszcze ryzyko związane z całą wyspą. Dzikość tego miejsca potrafi wzbudzić niepokój. Goście poczują, że znajdują się daleko od przyjętych zasad społecznych, będąc poza zasięgiem ciekawskich spojrzeń innych. Ci mężczyźni to absolwenci prywatnych szkół. Spędzili mnóstwo czasu, podporządkowując się surowym zasadom, co prawdopodobnie nie skończyło się, gdy opuścili ich mury: wybór uczelni, zawodu, domu, w którym będą mieszkać. Wiem z doświadczenia, że ludzie

wykazujący największe poszanowanie zasad czerpią największą przyjemność z łamania ich.

- Ja pójdę - mówię.

- To niebezpieczne - odpowiada na to Freddy. - Pójdę z tobą. - Zapewniam męża, że nic mi nie będzie. Żeby go uspokoić, biorę ze sobą pogrzebacz wiszący przy kominku.

Wiem, że z nas dwojga to ja jestem tą odważniejszą. Nie mówię tego z jakąś wielką dumą. Po prostu kiedy przydarzy ci się najgorsza z możliwych tragedii, przestajesz się bać czegokolwiek innego.

Wychodzę w mrok, doceniając aksamitną czerń, która mnie spowija. Światła z pałacyku mają na nią niewielki wpływ, mimo że w całej kuchni świecą się lampy - podobnie jak w oknach narzeczonej pary. Wiem, dlaczego jeszcze nie śpią. Słyszeliśmy rytmiczne uderzanie łóżka o deski podłogi.

Nie włączę jeszcze latarki. W ciemności będę z nią głupio wyglądać. Przystaję i uważnie słucham. Na początku słyszę tylko wodę rozbijającą się o skały i nieznamy szelest, ale po chwili przypominam sobie, że to położony jakieś czterdzieści pięć metrów dalej namiot, którego tkanina łopocze na wietrze.

Wtedy rozlega się ten inny dźwięk. Teraz lepiej go słyszę. To czyjś płacz. Trudno jednak powiedzieć, czy to kobieta, czy mężczyzna. Odwracam się w stronę odgłosu i w tym samym momencie wydaje mi się, że kątem oka zauważam nagły ruch w okolicy budynków gospodarczych za pałacem. Nie wiem, jak to dostrzegłam w takim mroku. Ale myślę, że zwierzęca część naszej natury ma to wpojone. Nasze oczy są wyczulone na najmniejsze nawet zakłócenie, najmniejszą zmianę w schemacie ciemności.

Mógł to być nietoperz. Czasem wczesnym wieczorem widać, jak przemykają w ostatnim świetle dnia i są tak szybkie, że trudno powiedzieć, czy naprawdę się je widziało. Ale to chyba było coś większego. Jestem pewna, że to człowiek - ten sam człowiek, który płacze w ciemności. Nawet kiedy przyjeżdżałam tu wiele lat temu, mimo że wyspa była wtedy zamieszkała, opowiadano historie o duchach. Pograżonych w żałobie kobietach oplakujących mężów, którzy zostali brutalnie zamordowani. Głosach z torfowiska należących do ludzi, którym odmówiono stosownego pochówku. W tamtych czasach straszylimy się nimi na potęgę. I choć jestem już dorosła, teraz też to czuję - wrażenie, jakby skóra opinała mi kości.

- Halo? - wołam. Dźwięk się urywa. Kiedy nie dobiega mnie żadna odpowiedź, włączam latarkę. Kieruję ją raz w jedną, raz w drugą stronę.

Natrafiam na coś, gdy przesuwam snop światła powolnym łukiem. Celuję w to miejsce latarką i wiodę nią po wpatrującej się we mnie postaci. W świetle widzę ciemne, rozczochrane włosy, błyszczące oczy. Wygląda

jak stwór wprost z ludowych opowieści - Pooka: upiorny goblin zwiastujący nadciągającą katastrofę.

Odruchowo robię krok w tył, a snop z latarki drga. Ale stopniowo rozpoznaję tę osobę. To tylko świadek pana młodego oparty o ścianę jednego z budynków gospodarczych.

- Kto tam? - Jego głos jest bełkotliwy i ochrypły.

- To ja - mówię. - Aoife.

- Ach, Aoife. Przyszedł mi powiedzieć, że pora gasić światła? Że wszyscy grzeczni chłopcy już śpią? - Uśmiecha się do mnie krzywo, ale bez przekonania, a w świetle latarki widzę chyba ślady łez.

- To niebezpieczne się tu kręcić - zwracam się do niego praktycznym tonem. Stoją tu stare maszyny rolnicze, które mogłyby przeciąć człowieka na pół. - Zwłaszcza bez latarki - dodaję. A już w szczególności, kiedy jest się tak pijanym jak ty, dorzucam w myślach. Choć, o dziwo, mam poczucie, że nie chronię go przed wyspą, a wyspę przed nim.

Wstaje i podchodzi do mnie. To wielki facet, w dodatku pijany, ale nie tylko - czuję od niego mdły, warzywny zapach trawy. Cofam się o kolejny krok i zdaję sobie sprawę, że mocno zaciskam dłoń na pogrzebaczku. Wtedy on ukazuje w uśmiechu krzywe zęby.

- Masz rację - mówi. - Johnno powinien położyć się spać. Chyba trochę przesadziłem z ... no wiesz. - Udaje, że pije z butelki i pali. - Zawsze czuję się potem dziwnie, kiedy przeholuję z używkami. - Wydawało mi się, że mam zwidy.

Kiwam głową, mimo że on mnie nie widzi. Miałam podobne wrażenie.

Patrzę, jak odwraca się na pięcie i rusza w stronę pałacyku. Ani na moment nie daję się nabrać jego udawanemu dobremu nastrojowi. Mimo szerokiego uśmiechu wyglądał na nieszczęśliwego i przerażonego jednocześnie. Wyglądał jak ktoś, kto zobaczył ducha.



## DZIEŃ ŚLUBU

### *Hannah*

#### *Osoba towarzysząca*

Budzę się z bólem głowy. Myślę, że to przez szampana - a potem wódkę. Sprawdzam budzik: siódma rano. Charlie śpi jak zabity, wyciągnięty na plecach. Słyszałam, jak wrócił wczoraj wieczorem do pokoju i ściągnął z siebie ubrania. Czekałam na niezdarne potknięcia i przekleństwa, ale o dziwo wydawał się zaskakująco panować nad swoimi ruchami.

- Han - szepnął do mnie, kiedy się położył. - Nie grałem dalej w tę pijacką grę. Wypiłem tylko jedną kolejkę. - To sprawiło, że przestałam się na niego aż tak gniewać. Ale zaczęłam się też zastanawiać, gdzie się podziewał przez resztę czasu. I z kim. Przypomniałam sobie, jak flirtował z Jules. Przypomniałam sobie, jak Johnno zapytał, czy ze sobą spali - i jak żadne na to nie odpowiedziało.

Nie odezwałam się więc. Udawałam, że śpię.

Obudziłam się napalona. Miałam szalone sny. Częściowo obwiniam za to wódkę. Ale także wspomnienie tego, jak Will patrzył na mnie na początku wieczoru i rozmowę z Olivią w jaskini na końcu: jak siedziałyśmy blisko siebie w ciemności, jak woda obmywała nam stopy, jak oświetlała nas tylko jedna świeca i jak przekazywałyśmy sobie butelkę. Chłonełam każde jej słowo, a jej opisy stawały się w mroku jeszcze wyraźniejsze. Jak gdybym to ja została przyparta do ściany, moja spódnica podciągnięta do bioder i dotykały mnie czyjeś usta. Gość może i był fiutem, ale seks z nim wydawał się bardzo podniecający. Przypomniało mi to, jaki dreszcz ekscytacji towarzyszy pójściu do łóżka z kimś nieznanym, gdy nie umiesz przewidzieć jego kolejnego ruchu.

Odwracam się do Charliego. Może nadeszła pora, żeby przerwać naszą seks-posuchę i odzyskać utraconą bliskość. Wsuwam dłoń pod kóldrę, gładzę kłębki włosów na jego torsie i przesuwam ją niżej ...

Charlie wydaje z siebie zaspany, zaskoczony jęk. A potem głosem ciężkim od snu mówi:

- Nie teraz, Han, jestem zmęczony.

Cofam rękę, urażona. „Nie teraz”: jakbym była jakimś utrapieniem. Jest zmęczony, bo nie spał pół nocy, robiąc Bóg wie co, choć gdy tu płynęliśmy, twierdził, że to będzie „nasz” weekend. Wie, jaka jestem teraz emocjonalna.

Czuję nagłą, przerażającą chęć, by wziąć książkę w twardej oprawie leżącą na nocnym stoliku i walnąć go nią w głowę.

Ten nagły przypływ gniewu jest zaskakujący. Mam wrażenie, że tkwi we mnie już od jakiegoś czasu.

Wtedy dopada mnie podstępna myśl. Pozwalam sobie porozmyślać o tym, jak czuje się Jules, gdy budzi się przy Willu. Słyszałam ich wczoraj w nocy. Pewnie jak wszyscy w pałacyku. Raz jeszcze myślę o silnych ramionach Willa, kiedy wczoraj wyciągnął mnie z łodzi. Myślę też o tym, jak przyłapałam go na mierzeniu mnie tym dziwnym, badawczym spojrzeniem. I o tym, jaką dało mi to moc, gdy poczułam na sobie jego wzrok.

Charlie mamrocze coś przez sen i dobiega mnie powiew jego kwaśnego, porannego oddechu. Will na pewno takiego nie ma. Nagle czuję pilną potrzebę, żeby uciec z tego pokoju i od tych myśli.

W pałacyku nie słyhać żadnego ruchu, więc chyba wstałam jako pierwsza.

Wygląda na to, że nieźle dziś dmie, bo gdy skradam się po schodach, słyszę, jak wiatr smaga stare, kamienne mury budowli, a od czasu do czasu sprawia, że w oknach trzeszczą szyby, jakby ktoś uderzył w nie otwartą dłonią. Ciekawe, czy wczoraj mieliśmy najlepszą pogodę tego weekendu. Jules się to nie spodoba. Schodzę na paluszkach do kuchni.

Zastaję tam Aoife, ubraną w śnieżnobiałą koszulę i spodnie z kantem, dzierżącą w dłoni podkładkę z klipsem. Wygląda, jakby nie spała już od wielu godzin.

- Dzień dobry - mówi. Wyczuwam, że badawczo przygląda się mojej twarzy. - Jak samopoczucie? - Odnoszę wrażenie, że Aoife, z tymi bystrymi, przenikliwymi oczami, należy do osób, którym nie umyka zbyt wiele. Jest piękna w nieostentacyjny sposób. Pewnie stara się nie podkreślać swoich walorów, ale jej urody nie da się ukryć, i tak się przez to przebija. Ma ciemne brwi o przepięknym kształcie i szarozielone oczy. Zabiłabym, żeby mieć takie naturalne spojrzenie w stylu Audrey Hepburn i takie kości policzkowe.

- W porządku - odpowiadam. - Przepraszam. Nie zdawałam sobie sprawy, że ktoś jest już na nogach.

- Zaczęliśmy o świecie - odpowiada. - Dziś wielki dzień.

Prawie zapomniałam o ślubie. Zastanawiam się, jak czuje się dziś Jules. Nerwowo? Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby ktoś taki jak ona mógł się czymkolwiek denerwować.

- Jasne. Postanowiłam się przespacerować. Trochę boli mnie głowa.

- Rozumiem - odpowiada z uśmiechem. - Najbezpieczniej przejść się na skraj wzniesienia, idąc ścieżką prowadzącą pomiędzy kaplicą a namiotem. W ten sposób ominiesz torfowisko. Weź kalosze, które stoją przy drzwiach - trzeba uważać, żeby nie zbroczyć z suchego terenu, bo inaczej ugrzęzniesz w borowinie. Na wzniesieniu jest też lepszy zasięg, jeśli potrzebujesz gdzieś zadzwonić.

Zadzwonić. O Boże - dzieci! Z poczuciem winy zdaję sobie sprawę, że kompletnie o nich zapomniałam. O swoich dzieciach. Jestem zaszokowana tym, jak szybko się w tym miejscu zatraciłam.

Wychodzę na zewnątrz i znajduję ścieżkę, a przynajmniej to, co z niej zostało. Nie jest to tak proste jak brzmiało w ustach Aoife: ledwie widać, w którym miejscu ją wydeptano i gdzie trawa nie jest tak bujna jak gdzie indziej. Chmury pędzą nad moją głową w stronę otwartego morza. Jest dziś zdecydowanie bardziej wietrznie i ponuro, choć od czasu do czasu przez chmury przebija się oślepiające słońce. Ogromny namiot ślubny po mojej lewej stronie łopocze na wietrze. Mogłabym zakraść się bliżej i do niego zajrzeć. Ale ciągnie mnie w stronę cmentarza, znajdującego się po prawej, za kaplicą. Może to odzwierciedlenie mojego stanu umysłu o tej porze roku, posępnego nastroju, który zawsze dopada mnie w czerwcu.

Przechadzając się pomiędzy kamieniami nagrobnymi, widzę kilka wyraźnych krzyży celtyckich, ale zauważam też zatarte symbole kotwic i kwiatów. Większość nagrobków jest tak stara, że ledwie można rozszyfrować nagrobne napisy. Nie są zresztą po angielsku - to chyba język irlandzki. Niektóre pomniki są rozbite albo tak wytarte, że nie mają już właściwie żadnego kształtu. Nie zastanawiając się właściwie nad tym, co robię, dotykam dłonią najbliższego z nagrobków i czuję, w którym miejscu kamień został wygładzony przez dekady oddziaływania wiatru i wody. Jest kilka, które wyglądają na nieco nowsze, może postawione tuż przed tym, jak wyspiarze opuścili to miejsce na dobre. Ale większość jest zarośnięta chwastami i mchem, jak gdyby od dawna nikt o nie nie dbał.

Po chwili podchodzę do jedyne go zadbanego pomnika. Jest w całkiem niezłym stanie: stoi przed nim słoik po dżemie, a w nim bukiet dzikich kwiatów. Z dat - szybko przeliczam je w głowie - wynika, że pochowano tu dziecko, małą dziewczynkę. Na nagrobku napisane jest Darcey Malone - zabrało Cię morze. Spoglądam w stronę wody.

Mattie powiedział nam, że wiele osób straciło życie podczas przeprawy na wyspę. Uświadamiam sobie jednak, że nie powiedział, kiedy. Założyłam, że było to setki lat temu.

Ale może chodzi o nieodległe czasy. Pomyśleć tylko: to było czyjeś dziecko.

Pochyliłam się i dotykam kamienia. Czuję ból z tyłu gardła.

- Hannah! - odwracam się w stronę pałacyku. Widzę Aoife, która patrzy w moją stronę. - Nie tędy - woła i pokazuje tam, gdzie ścieżka zakręca łukiem przy kaplicy. - Tamtędy!

- Dzięki! - odkrzykuję. - Przepraszam! - Czuję się, jakbym została przyłapaną na tym, że weszłam nieproszona do cudzego domu.

Z dala od pałacyku ścieżka jest prawie niewidoczna. Płachty ziemi, które wyglądają bezpiecznie i trawiaście, zapadają się pod moimi stopami i zamieniają w czarny szlam.

Zimna bagienna woda wlała mi się już do prawego kalosza i moja stopa w przemoczonej skarpetce chlupocze w środku. Myśl o leżących gdzieś pod spodem ciałach sprawia, że przeszywa mnie dreszcz. Zastanawiam się, czy ktokolwiek będzie się dziś zastanawiał nad tym, jak blisko zbiorowej mogiły się znajdujemy.

Podnoszę wysoko telefon. Pełen zasięg, tak jak obiecała Aoife. Dzwonię do domu. Mimo wiatru słyszę sygnał w słuchawce, a potem głos mamy.

- Halo?

- Nie za wcześnie?

- Ależ skąd, córeczko. Nie śpimy już od ... no cóż, mam wrażenie, że od wielu godzin.

Kiedy podaje słuchawkę Benowi, jego głos jest taki wysoki i piskliwy, że ledwie jestem w stanie zrozumieć, co mówi.

- Powtórzysz, skarbie? - dociskam komórkę do ucha.

- Powiedziałem cześć, mamo. - Na dźwięk jego głosu czuję głęboko w środku silne szarpnięcie łączącej nas więzi. Gdy próbuję porównać do czegoś swoją miłość do dzieci, to tym czymś nie jest miłość do Charliego. To instynktowne, potężne, gęste jak krew uczucie. Najbliższym jego odpowiednikiem jest miłość do mojej siostry Alice.

- Gdzie jesteś? - pyta Ben. - Słyszę morze. Są tam łodzie? - Mój syn uwielbia łodzie.

- Tak, przyплыliśmy jedną na wyspę.

- Dużą?

- Dość sporą.

- Lottie źle się wczoraj czuła.

- Co jej było? - pytam szybko.

Najbardziej boję się tego, że coś się stanie moim bliskim. Kiedy byłam mała i obudziłam się w środku nocy, czasem zakradałam się do łóżka Alice, żeby sprawdzić, czy na pewno oddycha, bo najgorszą rzeczą, jaką mogłam sobie wyobrazić, było to, że zostaje mi odebrana.

- Nic mi nie jest, Han - szeptała, a w jej głosie dało się wyczuć uśmiech.  
- Ale możesz się ze mną położyć. - Leżałam więc wtulona w jej plecy, czując ruch jej żeber przy każdym wdechu i wydechu, który rozpraszał moje obawy.

Mama przejmuje słuchawkę.

- Nie ma się czym przejmować, Han. Przejadła się. Twój niemądry ojciec zostawił ją samą z ciastem biszkoptowym, gdy wyskoczyłam na chwilę do sklepu. Teraz czuje się już dobrze. Ogląda CBeebies na kanapie i czeka na śniadanie. Baw się dobrze na tej eleganckiej imprezie - mówi do mnie.

Nie czuję się szczególnie elegancko w przemoczonych skarpetkach i smagana wiatrem, przez który łzawią mi oczy.

- Dzięki, mamó - rzucam. - Spróbuję zadzwonić jutro, gdy ruszymy w drogę do domu. Nie doprowadzają cię do szału?

- Nie - odpowiada. - Szczerze mówiąc ... - Zauważam, że lekko łamie się jej głos.

- Co?

- Cieszę się, że mam się czym teraz zająć. To mi pomaga. Opiekuję się kolejnym pokoleniem. - Milknie, a ja słyszę w słuchawce, jak głęboko wzdycha. - Wiesz ... to ta pora roku.

- Tak - odpowiadam. - Rozumiem, mamó. Też to odczuwam.

- Pa, kochanie. Uważaj na siebie.

Kiedy się rozłączam, uderza mnie nagła myśl. Czy to ją przypomina mi Olivia? Alice? Wszystko się zgadza: chudość, kruchość, sparaliżowana z przerażenia mina. Pamiętam, jak po raz pierwszy zobaczyłam siostrę, gdy wróciła z uczelni na letnie wakacje. Straciła prawie jedną trzecią wagi. Wyglądała tak, jakby męczyła ją jakaś straszna choroba - jakby coś zżerało ją od środka. A najgorsze było to, że nie chciała z nikim rozmawiać o tym, co ją gnębi. Nawet ze mną.

Idę dalej, ale po chwili przystaję i rozglądam się dookoła. Nie jestem pewna, czy zmierzam we właściwą stronę, ale w sumie trudno to ustalić. Nie widzę stąd ani pałacyku, ani nawet namiotu, które skryły się za wzniesieniem. Sądziłam, że droga powrotna okaże się łatwiejsza, skoro już raz ją przeszłam. Czuję się jednak dezorientowana - byłam myślami zupełnie gdzie indziej. Chyba obrałam inną trasę - ziemia jest tu jeszcze bardziej podmokła. Muszę skakać pomiędzy co suchszymi kępami trawy, żeby uniknąć zapadającego się torfu. Brnę przed siebie. Po chwili trochę grzęznę i ryzykuję duży skok. Ale źle oceniłam sytuację: tracę punkt oparcia i mój lewy kalosz nie ląduje na trawiastej górcie, a w miękkiej borowinie.

Grzęznę na dobre i zapadam się coraz głębiej. Wszystko dzieje się bardzo szybko. Ziemia otwiera się i połyka moją stopę. Tracę równowagę, zataczam w tył i moja druga stopa wpada w błoto, które zasysa je niczym kormoran połykający rybę. Po zaledwie chwili torfowisko zdołało pochłonąć moje buty i na tym nie poprzestaje. Przez pierwszych kilka sekund jestem oniemiała z zaskoczenia i zamieram w bezruchu. Po chwili jednak dociera do mnie, że muszę działać, ratować się. Wyciągam ręce ku skrawkowi suchej ziemi i chwytam się dwóch kęp trawy.

Dyszę. Nic się nie dzieje. Porządnie ugrzęzłam. Ale to będzie upokarzające, myślę sobie, kiedy wrócę do pałacyku wymazana błotem i będę musiała wyjaśnić, co się stało.

Wtedy zdaję sobie sprawę, że nadal się zapadam. Czarna ziemia skrada się nad moje kolana i po dolnej części ud. Grzęzawisko powolutku mnie połyka.

Nagle przestaję się przejmować upokorzeniem. Jestem szczerze przerażona.

- Pomocy! - wołam. Moje słowa wchłania wiatr. Nie ma szans, by mój głos poniósł się nawet na kilka metrów, a co dopiero aż do pałacyku. Mimo to próbuję raz jeszcze. - Pomocy!

Myślę o ciałach w torfowisku. Wyobrażam sobie kościste dłonie, które wyciągają się ku mnie z podziemnych otchłani, by wciągnąć mnie pod powierzchnię. Zaczynam się szamotać, wyteżając wszystkie mięśnie, żeby wydostać się na brzeg, prychając i stękając przy tym z wysiłku jak zwierzę. Mam wrażenie, że nic to nie pomaga, ale zaciskam zęby i próbuję jeszcze mocniej.

I wtedy ogarnia mnie wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Odczuwam mrowienie na plecach.

- Może pomóc?

Nieruchomieję. Nie mogę się odwrócić, żeby zobaczyć, kto to. Ten ktoś powoli mnie obchodzi i staje przede mną. To dwaj druzbowie - Duncan i Pete.

- Zrobiliśmy sobie małą wycieczkę - mówi Duncan. - No wiesz, rozpoznanie terenu.

- Nie sądziliśmy, że będziemy mieć przyjemność uratować damę w opałach - dodaje Pete.

Ich miny są niemal całkowicie neutralne. Ale usta Duncana nieco drgają w kąciку i odnoszę wrażenie, że się ze mnie śmiali. Że już od dłuższej chwili obserwowali, jak się męczę. Nie mam ochoty korzystać z ich pomocy. Ale niestety nie mogę wybrzydzać.

Obaj chwytają mnie za ręce. Zaczynają ciągnąć i w końcu udaje mi się wyzwolić jedną nogę. Tracę kalosz, wyciągając stopę z grzęzawiska, i ziemia zamyka się nad nim tak szybko, jak się otworzyła. Wyciągam też

drugą stopę i gramolę się na twardey grunt, w końcu bezpieczna. Przez moment leżę wyciągnięta na ziemi, trzęsąc się z wyczerpania i od adrenaliny, nie potrafiąc znaleźć w sobie energii, by stanąć na nogi. Nie mogę uwierzyć w to, co się wydarzyło. Wtedy przypominam sobie o dwóch mężczyznach, którzy patrzą na mnie i wciąż trzymają mnie za ręce. Podnoszę się, dziękując im, i powoli puszczam ich dłonie - nasz uścisk nagle wydał mi się dziwnie zażyły. Adrenalina w końcu opadła i zaczynam sobie uświadamiać, jak musiałam wyglądać, gdy zaczęli mnie wyciągać: przekrzywiła mi się bluzka, ukazując mój poszarzały stanik, policzki mam zaróżowione i spocone. Jestem też świadoma, jak bardzo daleko od wszystkiego się znajdujemy. Ich dwóch, ja jedna.

- Dzięki - mówię raz jeszcze, słysząc drzenie w swoim głosie. - Powinnam wracać do pałacyku.

- Jasne - odpowiada przeciągle Duncan. - Idź zmyć z siebie cały ten brud. - Mam wrażenie, że w jego słowach jest coś dwuznacznego.

Ruszam w drogę powrotną do pałacyku. Idę najszybciej, jak tylko da się bez butów, w samych skarpetkach, starając się obrać najbezpieczniejszą drogę. Nagle czuję wielką chęć, żeby znaleźć się z powrotem w moim pokoju razem z Charliem. By być jak najdalej od torfowiska. I jeśli mam być szczerą, od moich wybawców.

## ***Aoife***

### *Organizatorka ślubów*

Siedzę przy swoim biurku i przeglądam plany na dzisiejszy dzień. Lubię to biurko. Jego szuflady są pełne wspomnień. Zdjęcia, pocztówki, listy - papier pożółkły ze starości, dziecinny charakter pisma.

Włączam radio, żeby posłuchać prognozy pogody. Dociera tu kilka stacji z Galway.

- Istnieje duże prawdopodobieństwo, że w ciągu dnia zrobi się wietrznie - mówi prezenter. - Mamy sprzeczne dane co do siły wiatru, ale większość Connemary i zachodnia część Galway znajdzie się pod jego wpływem, w szczególności wyspy i rejony nadbrzeżne.

- Nie brzmi to najlepiej - stwierdza Freddy, stając za moimi plecami.

Słuchamy, jak spiker radiowy oznajmia, że wiatr przybierze na sile po godzinie siedemnastej.

- Do tego czasu wszyscy będą już bezpieczni w namiocie - mówię. - A konstrukcja powinna wytrzymać. Nie ma się więc czym martwić.

- A elektryka? - pyta Freddy.

- Jest w niezłym stanie, prawda? No chyba, że zerwie się prawdziwa wichura. W radiu nic o tym nie mówili.

Wstaliśmy dziś rano o świcie. Freddy wyprawił się nawet na stały ląd z Mattiem po kilka ostatnich drobiazgów, a ja w tym czasie sprawdzałam, czy wszystko jest jak należy.

Lada moment pojawi się florystka, żeby ustawić w kaplicy i namiocie dekoracje z polnych kwiatów: przetaczników, kukułek i miecznic.

Freddy wraca do kuchni, żeby dokończyć pracę nad potrawami, które mogą być gotowe zawczasu: tartinkami, zakąskami, przystawkami do dania głównego, w których skład wchodzi ryby z lokalnej wędzarni Connemara Smokehouse. Jedzenie to dla mojego męża wielka pasja. Potrafi mówić o nim tak, jak wielki kompozytor rozprawia o utworze muzycznym. Ma to korzenie w jego dzieciństwie - twierdzi, że spożywał wtedy bardzo jednolitą, nieurozmaiconą dietę.

Idę do namiotu. Ustawiono go na wyżej położonym terenie w pobliżu kaplicy i cmentarza, około czterdziestu pięciu metrów na wschód od pałacyku po pasie suchej ziemi, ograniczonym z obu stron przez torfowisko. Słyszę przed sobą odgłosy panicznej ucieczki, a po chwili zauważam zające wypłoszone z nor we wrzosowisku. Biegają przede mną przez chwilę, a ich białe ogonki podskakują z każdym wykopem silnych tylnych łap, po czym wskakują w wysokie trawy po obu stronach ścieżki i znikają z zasięgu wzroku.

Zające są w gaelickim folklorze postaciami zmiennokształtnymi: czasem, kiedy je widzę, myślę o wszystkich duszach, które odeszły na Inis an Am pióra i które - ponownie przybrawszy cielesną postać - skaczą wśród wrzosów.

Przystępuję do swoich obowiązków w namiocie. Napełniam nagrzewnice i kończę dekorować stoły: rozkładam ręcznie malowane akwarelami karty dań, materiałowe serwetki w ciężkich, srebrnych pierścieniach - każdy z wygrawerowanym imieniem i nazwiskiem gościa, który zabierze go ze sobą do domu. Wytworność tych pięknie zastawionych stołów kontrastuje z dziką przyrodą poza namiotem. Później zapalimy tu świece zapachowe z Cloon Keen Atelier, od ekskluzywnego perfumiarza z Galway, które dotarły do nas niemałym kosztem.

Namiot drga wokół mnie, kiedy sprawdzam ostatnie detale. To niesamowite, gdy pomyślę sobie, że za kilka godzin ta rozbrzmiewająca echem, pusta przestrzeń będzie pełna ludzi. Panujące tu światło jest przytłumione i żółte w porównaniu do jasnego, chłodnego dnia na zewnątrz, ale dziś wieczorem cała ta struktura będzie świecić jak papierowy lampion, który nocą posyła się ku niebu. Ludzie na stałym lądzie spojrzą w stronę morza i zobaczą, że na Inis an Amplóra - wyspie, którą wszyscy uważają za martwą, nawiedzoną i bez przyszłości - dzieje się coś



ekscytującego. Jeśli dobrze się spisujemy, ten ślub spowoduje, że wszyscy znów będą mówić o wyspie w czasie teraźniejszym.

- Puk, puk! - Odwracam się. To pan młody. Trzyma rękę w górze i udaje, że puka w jedną z płacht namiotu, jakby to były prawdziwe drzwi.

- Szukam dwóch zaginionych drużbów - mówi. - Powinniśmy się już ubierać. Nie widziałas ich może?

- Dzień dobry - odpowiadam. - Nie, nie wydaje mi się. Dobrze spałeś? - Wciąż nie mogę uwierzyć, że to on, we własnej osobie: Will Slater. Oglądaliśmy z Freddym Przetrzeć noc od pierwszego odcinka. Nie wspomnieliśmy o tym narzeczonym, żeby nie uznali nas za psychofanów, którzy zrobią z siebie pośmiewisko.

- Dobrze - odpowiada. - Wręcz świetnie. - Jest na żywo bardzo przystojny, nawet bardziej niż w telewizji. Pochyliam się nad stołem i poprawiam widelec, by nie sprawiać wrażenia, że się gapię. Można się domyślić, że zawsze patrzono na niego w ten sposób. Niektórzy ludzie są niezręczni i nieukształtowani jako dzieci, ale wyrastają na atrakcyjnych dorosłych. Ale on obnosi się ze swoją urodą z naturalnością i wdziękiem. Podejrzewam, że wiele mu w życiu ułatwiła i na pewno jest świadomy jej siły. Z każdym jego ruchem mam wrażenie, że przyglądam się działaniu doskonale naoliwionej maszyny, zwierzęciu w szczytowej formie.

- Cieszę się, że dobrze spałeś - mówię.

- Mhm - odpowiada. - Choć kładąc się do łóżka, napotkaliśmy pewien problem.

- Tak?

- Wodorosty pod kołdrą. Drużbowie wykręcili nam numer.

- Ojej - odpowiadam. - Przepraszam. Trzeba było obudzić Freddy'ego lub mnie. Zajęlibyśmy się tym i prześcielili łóżko.

- Przeprosiny są zbędne - odpowiada, znów czarująco się uśmiechając. - Moi kumple to w gruncie rzeczy duzi chłopcy. - Wzrusza ramionami. - W przypadku Johnno bardzo duzi. - Staje obok mnie na tyle blisko, że czuję zapach jego wody kolońskiej. Odsuwam się o krok. - Wszystko wygląda wspaniale, Aoife. Jestem pod wrażeniem. Świetnie się spisujesz.

- Dziękuję. - Mój ton nie zachęca do rozpoczęcia rozmowy. Wyobrażam sobie jednak, że Will Slater nie jest przyzwyczajony do tego, że ludzie nie chcą z nim rozmawiać.

Zdaję sobie sprawę, kiedy nie odchodzi, że być może traktuje moją szorstkość jak wyzwanie.

- Opowiedz mi coś o sobie, Aoife - pyta, przechylając głowę na bok. - Nie czujesz się samotna, skoro mieszkacie tu tylko we dwoje?

Zastanawiam się, czy naprawdę jest ciekawy, czy tylko udaje. Dlaczego interesuje go ktoś taki jak ja? Wzruszam ramionami.

- Raczej nie. Jestem z natury samotniczką. Szczerze mówiąc, chcemy tylko przetrwać tutejszą zimę. Mieszkamy tu dla lata.

- Ale jak to się stało, że w ogóle tu zamieszkaliście? - Wydaje się szczerze zaintrygowany. Jest jedną z tych osób, które potrafią cię przekonać, że fascynuje ich każde twoje słowo. To chyba jedna z rzeczy, które czynią go tak czarującym.

- Jako dziecko spędzałam tu letnie wakacje - wyjaśniam. - Przyjeżdżaliśmy tu całą rodziną. - Rzadko mówię o tamtym czasie, choć jest wiele rzeczy, które mogłabym opowiedzieć. O tanich łodach truskawkowych na patyku jedzonych na plażach pokrytych białym piaskiem, o czerwonym kolorze, na który barwiły język i wargi. O basenach pływowych po drugiej stronie wyspy i przeczesywaniu naszych sieci pełnymi ekscytacji palcami w poszukiwaniu krewetek i maleńkich, przezroczystych krabów. O pluskaniu się w turkusowym morzu w osłoniętych zatoczkach, aż przyzwyczailiśmy się do lodowatej temperatury. Oczywiście nie opowiem mu o żadnej z tych rzeczy - to byłoby niestosowne. Bariera pomiędzy mną a gośćmi jest koniczna.

- Rozumiem - mówi. - Nie dosłyszałem u ciebie lokalnego akcentu. - Zastanawiam się, czego się spodziewa. Miejscowych odzywek, regionalizmów w każdym zdaniu, trójlistnych koniczynek i skrzatów?

- Mam akcent z Dublina, który być może nie jest aż tak wyraźny. Ale mieszkałam też w innych miejscach. Kiedy byłam mała, często się przeprowadzaliśmy ze względu na pracę ojca. Był wykładowcą uniwersyteckim. Przez jakiś czas mieszkaliśmy w Anglii, a nawet trochę w Stanach.

- Poznałaś Freddy'ego za granicą? Jest Anglikiem, prawda? - Wciąż taki zainteresowany, taki czarujący. Czuję się przez to trochę niezręcznie. Zastanawiam się, czego dokładnie chce.

- Znamy się z Freddym od dawna.

Znów rzuca mi ten urzekający, zainteresowany uśmiech.

- Miłość z dzieciństwa?

- Można tak powiedzieć. - To nie do końca prawda. Freddy jest ode mnie o kilka lat młodszy i przez długie lata byliśmy tylko przyjaciółmi. A może nawet nie - po prostu trzymaliśmy się siebie kurczowo jak tratw ratunkowych. Niedługo wcześniej moja mama stała się wydmuszką kobiety, którą kiedyś była. Kilka lat później ojciec zmarł na zawał. Ale nie opowiem o tym wszystkim panu młodemu. Zresztą pomijając inne powody, ważną rzeczą w tym zawodzie jest nigdy nie pozwolić sobie na to, by wydać się zbyt ludzkim, zbyt zawodnym.

- Przepraszam - mówię, zanim z jego ust padnie kolejne pytanie. - Muszę zająć się przygotowaniem uroczystości.

- Oczywiście - odpowiada. - Zobaczysz tu prawdziwych balowiczów, Aoife. Mam nadzieję, że nie wywołają zbyt wiele zamieszania. - Odgarnia dłonią włosy i posyła mi uśmiech, który ma chyba ujmować skruchą. Jego zęby są bardzo białe. Tak białe, że zastanawiam się, czy specjalnie je wybiela.

Wtedy przysuwa się do mnie bliżej i kładzie mi dłoń na ramieniu.

- Kawał świetnej roboty, Aoife. Dziękuję. - Pozostawia ją odrobinę za długo i czuję, jak jej ciepło przenika przez moją koszulę. Nagle staję się bardzo świadoma tego, że jesteśmy sami w wielkiej, pustej przestrzeni.

Uśmiecham się - najuprzejmiej i najbardziej profesjonalnie, jak tylko umiem - i cofam się o krok. Mężczyzna taki jak on musi być chyba bardzo pewien swojej seksualnej energii. Z początku można ją uznać za urok, ale pod spodem znajduje się coś ciemniejszego, bardziej skomplikowanego. Nie sądzę, żeby naprawdę był mną zainteresowany - nic z tych rzeczy. Kładzie mi dłoń na ramieniu dlatego, że może. Możliwe, że za dużo się w tym doszukuję. Odebrałam to jednak jako przypomnienie, że to on tu dowodzi, a ja dla niego pracuję. Że muszę tańczyć, jak mi zagra.

## TERAZ

### *Po ślubie*

Ekipa poszukiwawcza wkracza w mrok. Od razu atakuje ich świszczący, porywisty wiatr. Płomienie parafinowych pochodni falują i syczą, jakby lada chwila miały zgasnąć.

Drużbom łzawią oczy, dzwoni im w uszach. Nisko pochylając głowy, prą pod wiatr, który jest jak zbita masa.

W żyłach krąży im adrenalina - oni przeciw żywiołom. Pamiętają to uczucie z dzieciństwa - głębokie, nienazwane, dzikie - które kojarzy im się z nocami niewiele różnymi od tej. Oni kontra mrok.

Przesuwają się naprzód. Długi trakt ziemi pomiędzy pałacykiem a namiotem, na obu skrajach którego znajduje się torfowisko to pierwszy punkt ich poszukiwań. Wołają:

- Jest tam kto?

- Czy ktoś jest ranny?

- Słyszysz nas ktoś?

Bez odpowiedzi. Wiatr połyka ich głosy.

- Może powinniśmy się rozdzielić! - krzyczy Femi. - Szybciej nam pójdzie.

- Zwariowałeś? - odpowiada Angus. - Kiedy z każdej strony otacza nas bagno? Nikt z nas nie wie, gdzie się zaczyna. A już szczególnie nie w ciemności. Ja się ... Ja się nie boję. Ale nie mam ochoty, no wiecie ... trafić na coś samemu.

Idą więc razem, trzymając się na wyciągnięcie rąk.

- Musiała głośno krzyknąć - woła Duncan. - Ta kelnerka. Że jej głos się przez to przebił.

- Pewnie była przerażona - odkrzykuje Angus.

- Boisz się?

- Nie. Odpieprz się, Duncan. Ale ... naprawdę trudno coś zobaczyć ...

Jego słowa nikną w wyjątkowo zaciętym podmuchu wiatru. Dwie z dużych, parafinowych pochodni zostają zdmuchnięte niczym świece na torcie. Dzierżący je mężczyźni mimo to zachowują metalowe rękojeści i trzymają je przed sobą jak miecze.

- Wiecie co - krzyczy Angus. - Może jednak trochę się boję. To taki wstyd? Może nie podoba mi się chodzenie po wyspie przy szalejącej wichurze albo ... albo czekanie na to, co znajdziemy ...

Jego słowa przerywa spanikowany krzyk. Odwracają się, unosząc pochodnie, i widzą Pete'a, który macha rękami w powietrzu, z jedną nogą

do połowy zanurzoną w bagnie.

- Jebany kretyn - krzyczy Duncan - pewnie zlazł z suchej ścieżki. - Czuje jednak ulgę, wszyscy ją czują. Przez moment myśleli, że Pete na coś trafił.

Wyciągają go.

- Jezu - krzyczy Duncan, kiedy uwolniony przyjaciel pada przed nimi na kolana - jesteś drugą osobą, którą musieliśmy dziś uratować. Wcześniej, razem z Femim, znaleźliśmy w tym przeklętym bagnie żonę Charliego. Kwiczała jak spętana świnia.

- Ciała ... - jęczy Pete. - W mokradle ...

- Zamknij się, Pete - krzyczy Duncan ze złością. - Nie zachowuj się jak idiota. - Macha pochodnią przed twarzą kumpla i odwraca się do pozostałych. - Patrzcie na jego oczy. Jest totalnie naćpany. Wiedziałem. Po co go ze sobą braliśmy? Tylko nas spowalnia.

Wszyscy czują ulgę, kiedy Pete milknie. Nikt nie wspomina więcej o ciałach. To część miejscowego folkloru, wiedzą o tym. Mogą machnąć na to ręką - w świetle dnia, gdy wszystko wydawało się bardziej znajome, przyszło im to łatwiej. Nie mogą jednak machnąć ręką na cel swojej misji i możliwość, że na coś trafią. Czyhają tu na nich prawdziwe niebezpieczeństwa, teren jest w ciemności nieznanym i zdradliwym. Dopiero teraz zaczynają w pełni zdawać sobie z tego sprawę. Dociera do nich, jak bardzo są nieprzygotowani.

## WCZEŚNIEJ TEGO DNIA

*Jules*

*Panna młoda*

Otwieram oczy. To mój wielki dzień.

Nie spałam zbyt dobrze, a kiedy już porządnie zasnęłam, miałam dziwny sen: chyląca się kaplica, która zaczyna zamieniać się w proch, gdy do niej wchodzi. Obudziłam się, czując dziwny niepokój. To na pewno napędzana kacem paranoja, bo wczoraj wypiałam o kilka kieliszków za dużo. I jestem pewna, że nadal czuję smród wodorostów, mimo że pozbyliśmy się ich wiele godzin temu.

W imię tradycji Will przeniósł się z samego rana do wolnego pokoju, choć wolałabym, żeby tu był. Ale trudno. Adrenalina i siła woli pomogą mi przez to przejść: będą musiały.

Spoglądam na sukienkę zwisającą z materiałowego wieszaka. Skrzydełka z ochronnego pergaminu powiewają delikatnie to w jedną, to w drugą stronę, poruszane tajemniczym wiatrem. Zdążyłam się już przekonać, że po tym budynku krążą prądy powietrza, które jakimś sposobem znajdują drogę do środka mimo zamkniętych drzwi i okien. Wirują, całują cię w kark, posyłają po plecach dreszcz, delikatne jak dotyk opuszkami palców.

Pod jedwabnym szlafrokiem mam na sobie bieliznę od Coco de Mer, którą wybrałam na dziś. Najdelikatniejsza koronka Leavers, cienka jak pajęczyna, w stosownym kremowym kolorze. Na pierwszy rzut oka bardzo tradycyjna. Ale figi mają rząd drobniutkich guziczków z masy perłowej biegnących w kroku, które można w całości rozpiąć.

Subtelne, ale też bardzo niegrzeczne. Spodobają się Willowi, gdy je zobaczy.

Zauważam za oknem nieznaczny ruch, który przykuwa moją uwagę. W dole na skałach widzę Olivię. Ma na sobie tę samą obszerną bluzę i porwane džinsy co wczoraj i idzie na bosaka w stronę krawędzi klifu, gdzie morze rozbija się o granit wielkimi eksplozjami białej wody. Dlaczego nie szykuje się na uroczystość, tak jak powinna? Głowę ma pochyloną, ramiona zgarbione, lina splecionych włosów faluje za jej plecami. W pewnej chwili staje zbyt blisko krawędzi i brutalnej wody, aż wstrzymuję oddech. Mogłaby spaść, a ja nie zdążyłabym zbiec na dół na tyle szybko, by ją uratować. Mogłaby się utopić, podczas gdy ja bezradnie bym na to patrzyła.

Stukam w szybę, ale siostra chyba mnie ignoruje albo - przyznaję, to możliwe - nie jest w stanie mnie usłyszeć. Ale na szczęście cofa się od

przepaści.

W porządku. Nie będę się nią już więcej przejmować. Pora naprawdę wziąć się do przygotowań. Mogłam bez problemu sprowadzić makijażystkę, ale nie ma szans, żebym pozwoliła komuś przejąć kontrolę nad moim wyglądem w tak ważnym dniu. Jeśli Kate Middleton może sama się malować, to ja też.

Sięgam po kosmetyczkę, ale małe, niespodziewane drżenie ręki sprawia, że wszystko ląduje na podłodze. Cholera. Przecież nigdy nie jestem niezdarna. Czy ja się ...

denerwuję?

Patrzę na wysypaną zawartość, błyszczące, złote tubki tuszu i szminki, które uciekły na wolność i toczą się po deskach, oraz przewróconą do góry dnem puderniczkę, za którą ciągnie się ślad pudru. Wśród tego znajduje się maleńka karteczka lekko ubrudzona sadzą. Jej widok mrozi mi krew w żyłach. Wpatruję się w nią, nie potrafiąc odwrócić wzroku. Jak to możliwe, że taka mała rzecz może od kilku miesięcy zajmować tyle miejsca w mojej głowie?

Dlaczego w ogóle ją zachowałam?

Rozkładałam ją, chociaż nie muszę: słowa wryły mi się w pamięć.

*Will Slater nie jest człowiekiem, za którego go masz.*

*To oszust i kłamca. Nie wychodź za niego.*

To na pewno od jakiegoś nic nieznaczącego świra. Will zawsze dostaje maile od obcych ludzi, którzy myślą, że go znają i wiedzą wszystko na temat jego życia. Bywa, że czasami staję się celem ich ataku. Pamiętam, kiedy w internecie pojawiło się kilka naszych wspólnych zdjęć. Will Slater na zakupach z ukochaną Julią Keegan. Tego dnia w Mail Online<sup>[5]</sup> musiało wyraźnie brakować tematów.

I choć wiedziałam, że to fatalny pomysł, zaczęłam przeglądać komentarze pod artykułem. Chryste. Już wcześniej widziałam, że ociekają jadem, ale kiedy jest skierowany pod twoim adresem, wydaje się szczególnie trujący i bardzo bolesny. Jakbym weszła do kabiny pogłosowej, w której brzmią moje najgorsze myśli na własny temat.

Myśli, że jest taka świetna, nie?

Jak na moje oko totalna z niej s\*ka.

Oesu, skarbie, nie wiesz, że nie chodzi się do łóżka z facetem, który ma uda szczuplejsze od ciebie?

Will! KC! Wybierz mnie! Ona nie jest ciebie warta ...

Boże, tylko na nią spojrzałam i już jej nie lubię. Nadęta krowa .

Niemal wszystkie komentarze były w tym tonie. Nie mogłam uwierzyć, że aż tylu zupełnie obcym ludziom tak podziałałam na nerwy. Scrollowałam, aż w końcu trafiłam na kilka miłszych: Wygląda na szczęśliwego. Będzie dla niego dobra !

BTW to ona stoi za „Profilem” - najlepszą stroną *ever!* Będą fajną parą.

Nawet te życzliwsze głosy były w pewien sposób niepokojące - tyle osób miało poczucie, że zna Willa - i mnie. Że może dyskutować o tym, co jest dla niego dobre. Will nie jest pierwszoligowym celebrytą. Ale na jego poziomie sławy stykasz się z tym dużo częściej, bo do ludzi jeszcze nie dotarło, że nie jesteś ich własnością. Ale liścik jest inny niż komentarze online. Jest bardziej prywatny. Wrzucono mi go do skrzynki bez znaczka, co oznacza, że ktoś dostarczył go osobiście. Ktokolwiek go napisał, wie, gdzie mieszkamy. Ona lub on przyszli pod nasz dom w Islington - który do czasu, aż wprowadził się tam Will, był tylko mój. A to zmniejsza szansę, że napisał go nic nieznaczący świr. Mógł to też być najgorszy rodzaj świra.

Uświadamiam sobie jednak, że ktoś znajomy też wchodzi w grę. Ktoś, kto dziś przybędzie na wyspę.

Tego wieczoru, kiedy otrzymałam liścik, wrzuciłam go do piecyka. Kilka sekund później go stamtąd wyciągnęłam, przy okazji parząc się w nadgarstek. Nadal mam po tym ślad - błyszczącą, wypukłą pręgę na delikatnej skórze. Za każdym razem, gdy na nią spoglądałam, myślałam o liściku i jego kryjówce. Cztery słowa:

*Nie wychodź za niego.*

Rwę liścik na pół. A potem jeszcze raz i jeszcze raz, aż zostanie z niego konfetti. Ale to nie wystarczy. Zanoszę je do łazienki i ciągnę za wiszącą spłuczkę, patrząc w skupieniu, aż wszystkie kawałki papieru znikną wraz z wodnym wirem. Wyobrażam sobie, jak podróżują przez rury i wpadają do Atlantyku, który nas otacza. Ta myśl niepokoi mnie bardziej, niż powinna.

Tak czy inaczej, liściku nie ma już w moim życiu. Przepadł. Nie będę o nim już więcej myśleć. Biorę szczotkę do włosów, zalotkę, tusz do rzęs: mój arsenał broni, mój kołczan.

Wychodzę dzisiaj za mąż i będzie fantastycznie.



## TERAZ

### *Po ślubie*

- Chryste, trudno się chodzi w tej pogodzie. - Duncan osłania dłonią twarz przed gryzącym wiatrem i macha pochodnią, z której lecą iskry. - Ktoś coś widzi?

Tylko co? To pytanie obija się im po głowach. Każdy z nich pamięta słowa kelnerki. Ciało. Każda gruda lub kawałek torfu na ziemi to potencjalne źródło przerżenia.

Pochodnie, które przed sobą trzymają, nie pomagają. Powodują jedynie, że wszystko poza ich zasięgiem wydaje się jeszcze czarniejsze.

- Jakbyśmy znów byli w szkole - krzyczy Duncan do pozostałych. - Skradamy się w ciemności. Ktoś ma ochotę na przetrwanie?

- Nie bądź palantem - odkrzykuje Femi. - Zapomniałeś, czego niby mamy szukać?

- No to chyba można to nazwać przetrwaniem.

- To nie jest śmieszne - ucina Femi.

- Dobra! Uspokój się, Femi. Próbowałem tylko rozładować atmosferę.

- Okej, ale to nie jest dobra pora.

Duncan podchodzi do niego.

- Przecież szukam, nie? To lepiej niż ta banda tchórzy pod namiotem.

- Przetrwanie w ogóle nie było zabawne - krzyczy Angus. - Co nie? Teraz to rozumiem. Mam dość udawania, że to była jakaś świetna zabawa. To było pojebane. Ktoś mógł umrzeć ... właściwie, to ktoś naprawdę umarł. A szkoła pozwoliła, żeby to dalej się działo ...

- Wtedy to był wypadek, kiedy umarł tamten dzieciak - wcina się Duncan. - To nie przez przetrwanie.

- Tak? - odkrzykuje mu Angus. - A skąd to wiesz? Ty po prostu uwielbiałeś tę grę. Wiem, że strasznie cię to kręciło, kiedy przyszła twoja kolej, żeby straszyc młodszych chłopaków. Ale teraz skończyła się zabawa w sadystycznego prześladowcę, co? Pewnie nic cię tak nie podnieciło od czasów ...

- Chłopaki - woła do nich Femi, wieczny rozjemca. - Nie teraz.

Przez jakiś czas nic nie mówią, tylko brną przez mrok, pogrążeni w swoich myślach. Żaden z nich nie przebywał nigdy na zewnątrz w podobnych warunkach. Wiatr dmie co chwilę z mocą wichury. Czasem na tyle cichnie, że są w stanie usłyszeć własne myśli. Ale to tylko przerwa przed kolejnym atakiem: intensywnym szmerem przypominającym odgłos rojących się tysięcy owadów. W najgłośniejszych momentach brzmi niczym

potworny, przenikliwy krzyk - niczym echo krzyku kelnerki. Ich skóra jest nim wysmagana do bólu, oczy oślepione przez łyżę. Napięcie wzrasta. Wichura ma ich w szachu.

- To się nie wydaje prawdziwe, co nie?

- Co, Angusie?

- No wiecie, w jednej chwili tańczymy w namiocie i jemy tort. A teraz jesteśmy tutaj i szukamy ... - Zbiera w sobie odwagę, by powiedzieć to głośno. - Ciała. Jak myślicie, co się stało?

- Wciąż nie wiemy, czy tego właśnie szukamy - odpowiada Duncan. - Polegamy na słowach jednej młodej dziewczyny.

- Tak, ale wydawała się dość pewna ...

- Dookoła było mnóstwo pijanych ludzi - woła Femi. - Impreza naprawdę się rozhulała. Nie tak trudno sobie coś wyobrazić. Ktoś wychodzi z namiotu po ciemku, ma wypadek ...

- Może to ten Charlie? - sugeruje Duncan. - Był niezłe zalany.

- Racja - krzyczy Femi. - Ledwie trzymał się na nogach. Ale po tym, co mu zrobiliśmy na wieczorze kawalerskim ...

- Im mniej do tego wracamy, tym lepiej, Fem.

- A widzieliście wcześniej tę druhnę? - krzyczy Duncan. - Któryś z was pomyślał to, co ja?

- To znaczy? - odpowiada Angus. - Że próbowała? ... no wiecie ...

- Ze sobą skończyć? - odkrzykuje Duncan. - Dokładnie tak myślę. Zachowywała się dziwnie, odkąd tu przyjechaliśmy. Widać, że coś jest z nią nie w porządku. Nie dałbym sobie palca uciąć, że nie zrobi niczego głę ...

- Ktoś idzie! - krzyczy Pete, przerywając mu i pokazując na ciemność za ich plecami. - Ktoś po nas idzie ...

- Zamknij się, pojebie - naskakuje na niego Duncan. - Ten gość doprowadzi mnie do szału. Powinniśmy go zaprowadzić z powrotem do namiotu. Bo przysięgam ...

- Nie. - Głos Angusa lekko drży. - On ma rację. Coś tam jest ...

Pozostali też się odwracają i zbierają w zwartą grupę, tłumiąc w sobie niepokój. Wszyscy milczą i gapią przed siebie, w ciemność.

W ich stronę zmierza kołyszące się światło. Wystawiają przed siebie pochodnie, wyteżają wzrok, by zobaczyć, co nadciąga.

- Aaa - krzyczy Duncan z ulgą. - To tylko gruby mąż organizatorki ślubów.

- Chwila - mówi Angus. - Co on ma w ręce?

## WCZEŚNIEJ TEGO DNIA

*Olivia*

*Druhna*

Widzę z okna statki wiozące na wyspę gości weselnych - odległe kształty na wodzie, które pomału nadciągają w naszą stronę. Wszystko wkrótce się zacznie. Powinnam w końcu zacząć się szykować, zwłaszcza że nie śpię już od dawna. Obudziłam się z dziwnym bólem w piersi i pulsowaniem w głowie, więc wyszłam na zewnątrz, żeby zaczerpnąć trochę powietrza. Teraz siedzę w swoim pokoju w staniku i majtkach. Nie mogę się zmusić do tego, żeby założyć sukienkę. Znalazłam małą, czerwoną plamkę na bladym jedwabiu - moja rana na udzie zaczęła pewnie krwawić, gdy mierzyłam wczoraj kreację. Na szczęście Jules tego nie zauważyła. Wpadłaby w szal. Zaprałam plamę w umywalce na końcu korytarza w zimnej wodzie z mydłem i dzięki Bogu prawie całkiem zesza. Został tylko maleńki różowy punkcik na pamiątkę.

To przypomniało mi o krwi sprzed kilku miesięcy. Nie wiedziałam, że tyle jej będzie. Zaciskam powieki. Ale i tak ją widzę.

Raz jeszcze wyglądam przez okno i myślę o płynących tu gościach. Czuję się osaczona, odkąd tylko przyjechaliśmy, jakby z tego miejsca nie dało się uciec ... ale dzisiejszy dzień będzie jeszcze gorszy. Za niespełna godzinę zawoła mnie Jules, a wtedy będę musiała pójść przed nią do ołtarza i wszyscy będą na nas patrzeć. A potem będę musiała rozmawiać z tyloma ludźmi - obcymi i z rodziny. Chyba nie dam rady. Mam nagle wrażenie, że nie mogę oddychać.

Myślę o tym, że czułam się tu nieco lepiej, kiedy siedziałam wczoraj w jaskini i rozmawiałam z Hannah. Z nikim dotąd nie udało mi się porozmawiać w ten sam sposób co z nią: ani z przyjaciółmi, ani z nikim innym. Nie wiem, co takiego w sobie ma. Może chodzi o to, że tak jak ja zdawała się nie pasować do reszty i starała się przed wszystkimi ukryć.

Mogłabym pójść jej poszukać. Mogłabym z nią porozmawiać. Opowiedzieć jej resztę. Przestać wszystko ukrywać. Myśl o tym sprawia, że kręci mi się w głowie i zaczyna mnie mdlić. Ale może na pewien sposób poczułabym się lepiej - jakbym w końcu była w stanie nabrać w płuca więcej powietrza.

Ręce mi się trzęsą, kiedy wkładam dzinsy i bluzę. Jeśli jej powiem, nie będę mogła już tego cofnąć. Ale chyba już postanowiłam. Muszę to zrobić, zanim całkiem oszaleję.

Wykradam się ze swojego pokoju. Mam wrażenie, że serce podchodzi mi do gardła i bije tak mocno, że ledwie jestem w stanie przełknąć ślinę. Przechodzę na palcach przez jadalnię i idę na piętro. Nie chcę po drodze nikogo spotkać - wtedy na pewno stchórzę.

Pokój Hannah znajduje się chyba na końcu długiego korytarza. Gdy się do niego zbliżam, słyszę dobiegające ze środka głosy, które stopniowo się podnoszą.

- Do diabła, Han - słyszę. - Zachowujesz się idiotycznie ...

Drzwi są lekko uchylone. Podkradam się bliżej. Nie widzę Hannah, ale widzę Charliego, który w samych bokserkach podpira się o skraj komody, jak gdyby próbował zapanować nad gniewem.

Zatrzymuję się w pół kroku. Mam wrażenie, jakbym zobaczyła coś, czego nie powinnam, jakbym ich szpiegowała. W zaślepieniu nie pomyślałam, że Charlie też tam będzie - Charlie, w którym, choć nie jestem z tego dumna - podkochiwałam się jako nastolatka. Nie mogę tego zrobić. Nie mogę zapukać do ich drzwi i zapytać, czy Hannah chce pogadać ... nie, kiedy są niekompletnie ubrani i najwyraźniej się kłócą. A kiedy za mną otwierają się inne drzwi, prawie dostaję zawału.

- Cześć, Olivio. - To Will. Ma na sobie garniturowe spodnie i białą, niezapiętą koszulę, spod której widać jego opalony i muskularny tors. Szybko odwracam wzrok.

- Tak myślałem, że słyszę kogoś na korytarzu - mówi. Patrzy na mnie, marszcząc czoło. - Co tutaj robisz?

- N ... nic - odpowiadam, a raczej próbuję odpowiedzieć, bo z moich ust nie wydobywa się tylko ochryply szept. Odwracam się i odchodzę.

Wracam do swojego pokoju i siadam na łóżku. Poniosłam porażkę. Jest za późno. Przegapiłam swoją szansę. Powinnam była znaleźć sposób na to, by wczoraj powiedzieć Hannah o wszystkim.

Patrzę przez okno na łódzie: są teraz już całkiem blisko. Mam wrażenie, że wraz z nimi na wyspę nadciąga coś złego. Głupie wymysły. Przecież to coś już tu jest. To ja. Ja jestem tym złem. Ja i to, co zrobiłam.

## ***Aoife***

### *Organizatorka ślubów*

Przybywają goście. Patrzę z pomostu na dobijające do brzegu łódzie, gotowa wszystkich powitać. Uśmiecham się i kiwam głową, starając się wywrzeć dobre wrażenie.

Przebrałam się w skromną granatową sukienkę i buty na niskich koturnach. Wyglądam elegancko, ale bez przesady. To byłoby niestosowne,

gdybym prezentowała się podobnie do gości. Choć niepotrzebnie się tym martwiłam. Od razu widać, że bardzo się starali zadać szyku: połyskujące kolczyki i niebotyczne obcasy, maleńkie torebki i etole z prawdziwego futra (może jest czerwiec, ale w końcu mamy chłodne, irlandzkie lato). Widzę też kilka cylindrów. Kiedy twoimi gospodarzami są właścicielka magazynu lifestyle'owego i gwiazda telewizji, trzeba się najwyraźniej bardziej wysilić.

Goście schodzą z pokładów grupami po mniej więcej trzydzieści osób. Widzę, że wszyscy rozglądają się po wyspie, i czuję mały przyływ prywatnej dumy. Będzie nas tu dziś sto pięćdziesiąt osób - tylu ludzi zapozna się z Inis an Amhlóra.

- Gdzie jest najbliższa toaleta? - pyta nagłym tonem jakiś mężczyzna, zielony na twarzy, odchylając kołnierzyk koszuli, jak gdyby go dusił. Nie on jeden mimo zwykownego stroju wygląda nie najlepiej. Morze nie jest nawet szczególnie wzburzone, a woda ma srebrnobiały kolor - tak lśni w chłodnym świetle słońca, że ledwie da się na nią patrzeć. Osłaniam oczy, uśmiecham się uprzejmie i wskazuję gościom odpowiednią drogę. Może powinnam rozdać im tabletki na chorobę morską przed podróżą powrotną, jeśli zrobi się tak wietrznie, jak zapowiadano w prognozie.

Pamiętam, jak po raz pierwszy przyjechaliśmy tu jako dzieci i zeszliśmy z pokładu promu. Nie doskwierała nam choroba morską, a przynajmniej tego nie pamiętam.

Płynęliśmy na dziobie, trzymając się barierki, i piszczeliśmy, gdy statek podskakiwał na falach, a woda wzbijała się wielkimi łukami i moczyła nam ubrania. Pamiętam, jak bawiliśmy się, że ujeżdżamy wielkiego, morskiego węża.

W tamte wakacje, jak przystało na tę część świata, było dość ciepło i słońce szybko nas osuszało. A poza tym dzieci są odporne. Pamiętam, jak wbiegałam z plaży wprost do wody, jakby to było nic wielkiego. Chyba jeszcze wtedy nie wiedziałam, że na morze trzeba uważać.

Z ostatniego statku schodzi elegancka para po sześćdziesiątce. Dziwnym trafem, jeszcze zanim podejda i się przedstawią, wiem, że są rodzicami pana młodego. Wygląd odziedziczył chyba po matce, podobnie jak karnację i kolor włosów, choć teraz są siwe. Ale kobieta nie ma w sobie tej swobodnej pewności siebie, co jej syn. Sprawia wrażenie kogoś, kto próbuje się ukryć nawet we własnych ubraniach.

Rysy twarzy ojca są ostrzejsze, wydatniejsze. Takiego mężczyzny nigdy nie określa się mianem przystojnego, ale podejrzewam, że można sobie wyobrazić podobny profil na popiersiu rzymskiego cesarza: wysokie, wygięte w łuk brwi, zakrzywiony nos, zacięte, nieco wykrzywione usta o cienkich wargach. Ma bardzo silny uścisk dłoni i czuję, jak moje drobne kości wgniatają się w siebie, gdy ją trzyma. Sprawia wrażenie ważnej osobistości, jak gdyby był dyplomatą albo politykiem.

- Jest pani pewnie organizatorką ślubu - zwraca się do mnie z uśmiechem. Jego oczy są jednak czujne, krytyczne.

- Zgadza się - odpowiadam.

- Doskonale - mówi na to. - Mam nadzieję, że zajęła nam pani miejsca z przodu kaplicy. - W dniu ślubu ich syna jest to czymś oczywistym. Ale myślę, że taki mężczyzna spodziewałby się miejsca w pierwszym rzędzie na każdym wydarzeniu, w jakim uczestniczy.

- Jak najbardziej - potwierdzam. - Od razu państwa zaprowadzę.

- Wie pani - mówi, kiedy idziemy w stronę kaplicy - zabawna rzecz. Jestem dyrektorem szkoły dla chłopców. Mniej więcej jedna czwarta dzisiejszych gości ukończyła Trevellyana. To ciekawe, że mam szansę ich zobaczyć jako dorosłych ludzi.

Uśmiecham się, z grzeczności okazując zainteresowanie:

- Rozpoznaje pan wszystkich?

- Większość. Ale nie wszystkich, nie wszystkich. Głównie tych, którzy mieli, jak to się mówi, wybujałą osobowość - rechocze. - Widziałem już, jak kilku zrobiło wielkie oczy na mój widok. Mam reputację surowego pedagoga. - Wydaje się tym szczyścić. - Pewnie niektórym włos zjeży się na głowie.

Na pewno, myślę sobie. Mam wrażenie, że znam tego człowieka, choć nigdy wcześniej go nie spotkałam. Odruchowo go nie lubię.

Następnie idę podziękować Mattiemu, który przyplłynął z ostatnią grupą.

- Dobra robota - mówię. - Wszystko przebiegło gładko. Świetnie się spisałeś z synchronizacją całego transportu.

- A ty świetnie się spisałaś, namawiając kogoś, żeby wziął tu ślub. Pan młody jest kimś znanym, zgadza się?

- Ona też cieszy się zainteresowaniem mediów. - Wątpię, żeby Mattie był na bieżąco z internetowymi magazynami dla kobiet. - Daliśmy im spory upust, ale same wzmianki w prasie są tego warte.

Kiwa głową.

- Dzięki temu wyspa zrobi się sławna. - Spogląda na wodę, mrużąc oczy w słońcu. - Rano gładko się płynęło - oznajmia. - Ale później na pewno będzie gorzej.

- Śledzę prognozy - odpowiadam. - Przy tej pogodzie trudno sobie wyobrazić, by coś miało się zmienić.

- Wręcz przeciwnie - mówi Mattie. - Wiatr wkrótce się wzmoże. Wieczorem będzie kiepsko. Coś się szykuje na morzu.

- Sztorm? - Jestem zaskoczona. - Myślałam, że czeka nas tylko silny wiatr.

Rzuca mi spojrzenie, które jasno komunikuje, co sądzi o mojej dublińskiej naiwności - bez względu na to, jak długo tu mieszkamy, Freddy

i ja zawsze będziemy przyjezdni.

- Nie potrzebujesz jakiegoś fircyka siedzącego w studiu w Galway City, żeby ci to powiedział - odpowiada. - Tylko się przyjrzyj.

Patrzę we wskazywanym przez niego kierunku i w oddali na horyzoncie zauważam ciemną plamę. Nie jestem wilkiem morskim, jak Mattie, ale nawet ja rozumiem, że to nie wróży nic dobrego.

- Tam - oznajmia Mattie triumfalnie. - Tam jest twój sztorm.

**Johnno**

*Świadek*

Will i ja szukujemy się w wolnym pokoju. Pozostali kumple powinni lada moment do nas dołączyć, więc zanim to nastąpi, chcę powiedzieć mu to, co sobie zaplanowałem.

Jestem kiepski w wyrażaniu swoich uczuć. Ale i tak próbuję. Odwracam się do Willa.

- Stary, chciałem ci powiedzieć ... Jestem naprawdę zaszczycony, że wziąłeś mnie na świadka.

- Nigdy nie miałem innego kandydata - odpowiada. - Wiesz o tym.

No właśnie: nie jestem do końca przekonany, czy to prawda. Zdobyłem się na desperacki ruch. Może się myliłem, ale miałem wrażenie, że przez pewien czas Will próbował się mnie pozbyć ze swojego życia. Od zdjęć próbnych ledwie się widywaliśmy. Nie powiedział mi nawet o zaręczynach - przeczytałem o nich w gazecie. Ubodło mnie to - nie będę udawał, że nie. Zadzwoiłem więc do niego i powiedziałem, że chcę z tej okazji wyciągnąć go na drinka.

I przy drinku wypaliłem:

- Zgadzam się! Będę twoim świadkiem!

Czy Will zrobił niezręczną minę? Trudno powiedzieć - on nigdy nie traci zimnej krwi. Po krótkim milczeniu pokiwał głową i powiedział:

- Czytasz mi w myślach.

Nie było to pełnym zaskoczeniem. Właściwie on mi to obiecał, kiedy obaj uczyliśmy się w Trevellyanie.

- Jesteś moim najlepszym kumplem, Johnno - powiedział do mnie kiedyś. - Numera uno. Moim druhem, moim pierwszym družbą. - Nie zapominałem tego. Przeszłość mocno nas ze sobą związała. Szczerze powiedziawszy, chyba obaj wiedzieliśmy, że jestem jedynym kandydatem do tej roli.

Spoglądam w lustro i prostuję krawat. Zapasowy garnitur Willa wygląda na mnie fatalnie. Nie dziwi mnie to, biorąc pod uwagę, że jest mniejszy niż trzy rozmiary za mały.

A na dodatek wyglądam, jakbym nie spał całą noc, co jest w sumie prawdą. Już zaczynam się pocić w przyciasnej wełnie. Przy Willu prezentuję się jeszcze bardziej fatalnie, bo jego garnitur wygląda tak, jakby skroilo i uszyło go stado aniołów. To by się nawet zgadzało, bo powstał na Savile Row<sup>[6]</sup>.

- Nie wyglądam najlepiej - mówię. Eufemizm roku.

- To twoja kara - odpowiada Will. - Za to, że zapomniałeś garnitur. - Parska śmiechem.

- No, idiota ze mnie. - Też się z siebie śmieję.

Kilka tygodni temu poszedłem z Willem kupić garnitur. Zaproponował Paula Smitha. Oczywiście cała obsługa patrzyła na mnie tak, jakbym przyszedł coś ukraść.

- To dobry garnitur - zapewnił mnie Will. - Pewnie najlepszy, jaki można kupić poza Savile Row. - Nie zaprzeczę, że podobało mi się to, jak w nim wyglądałem. Nigdy wcześniej nie miałem dobrego garnitur. Chyba od czasów szkolnych nie wyglądałem tak elegancko. Podobało mi się też, jak spłaszczał mi brzuch. Przez ostatnie lata trochę się zapaściłem.

- Za bardzo mi się powodzi! - powiedziałem, klepiąc się po bębnie. Nie jestem z tego dumny. Jednak ten garnitur wszystko maskował. Wyglądałem w nim pierwszorzędnie.

Jak ktoś, kim zdecydowanie nie jestem.

Staję bokiem do lustra. Guziki marynarki wyglądają tak, jakby za moment miały od niej odstrzelić. Nie ma co, tęsknię za tą wyszczuplającą wełną od Paula Smitha. Ale trudno. Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem, jak powiedziałyby moja mama. I nie ma też co popadać w próżność. I tak nigdy nie byłem szczególnie atrakcyjny.

- Johnno! - Duncan wpada do pokoju w eleganckim garniturze, który idealnie na nim leży. - Co to, kurwa, jest? Twój garnitur skurczył się w praniu?

Pete, Femi i Angus są tuż za nim.

- Halo, halo - mówi Femi. - Goście przybywają. Przywitałem na przystani wielu chłopaków z Trevs.

Pete zaczyna wyc.

- Jezu, Johnno. Te spodnie są tak ciasne, że widzę, co jadłeś na śniadanie.

Wyciągam ręce na boki, tak że nadgarstki wystają mi z rękawów, i zaczynam podskakiwać, jak zwykle robiąc z siebie głupka.

- Za to ty ... - Femi odwraca się do Willa. - Mucha nie siada.

- Zawsze był z niego diabeł o buźce aniołka - mówi Duncan. Nachyla się i mierzwi mu fryzurę. Will szybko bierze grzebień i z powrotem



zaczesał włosy na gładko. - Mam rację? Taki śliczny chłopcaś. Nauczyciele nigdy się na niego nie skarżyli.

Will uśmiecha się do nas wszytckich szeroko i wzrusza ramionami.

- Bo nigdy nie zrobiłem niczego złego.

- Nie chrzań! - krzyczy Femi. - Z wszytckiego byś się wyplątał. Nikt cię nigdy nie przyłapał na gorącym uczynku. Albo przymykali na wszytcko oko, bo twój ojciec był dyrektorem.

- Nie - mówi Will. - Po prostu byłem grzeczny i tyle.

- Nigdy nie doszedłem do tego - odzywa się Angus - jak to się stało, że celująco zdałeś wszytckie egzaminy końcowe, a w ogóle się nie uczyłeś.

Patrzę na Willa kątem oka, próbując pochwycić jego spojrzenie - czy Angus się czegoś domyślił?

- Taki był z ciebie farciarz - dorzuca, nachylając się do Willa i szczypiąc go w ramię. Jego ton nie jest podejrzliwy, a raczej pełen podziwu.

- Nie miał wyboru - stwierdza Femi. - Co nie, stary? Ojciec by cię wydziedziczył. - Femi zawsze był przenikliwy, jeśli chodzi o ludzi.

- To prawda. - Will wzrusza ramionami.

Bycie synem dyrektora mogło oznaczać towarzyskie wykluczenie. Ale Will to przetrwał. Miał swoją taktykę. Jak ta dziewczyna z okolicznego liceum, z którą sypiał i której półnagie polaroidy rozprowadzał po szkole. Po tym stał się nietykalny. Zawsze popychał mnie do robienia różnych rzeczy - bo wiedział, że jemu pewnie nie uszłoby to na sucho. Bałem się, że stracę przez to stypendium - a przynajmniej na początku. To by zabiło moich rodziców.

- Pamiętacie ten numer z wodorostami? - mówi Duncan. - To był twój pomysł, stary. - Pokazuje na Willa.

- Nie. Na pewno nie mój. - Na sto procent tak.

Młodszy uczniowie, którzy nie znali tego żartu, wpadali w popłoch, a my podsłuchiwalimy ich, tłumiąc śmiech. Ale taki był los pierwszaków. Wszytscy to przechodziliśmy.

Trzeba było zacisnąć zęby. Wiedziałaś, że w końcu przyjdzie twoja kolej, by zrobić to komuś innemu.

W Trevellyan był jeden chłopca, który nieźle nam zaimponował, kiedy włożyliśmy mu wodorosty do łóżka. Pierwszak. Miał dziwne, kobiece imię. Tak czy inaczej, mówiliśmy na niego Loner, bo pasowało. Na punkcie Willa, który wtedy był opiekunem internatu, miał obsesję, może nawet był w nim trochę zakochany. Nie w kontekście seksualnym, a przynajmniej nie wydaje mi się. Raczej tak, jak młodsze dzieci czasem ubóstwiają starsze. Zaczął się czesać w ten sam sposób, włączył się za nami. Czasem przyłapywaliśmy go, jak chowa się za krzakiem i nas obserwuje. Przychodził też na wszytckie mecze rugby. Był najniższy w szkole, mówił z dziwnym akcentem i nosił wielkie okulary, więc był idealnym kandydatem

na to, żeby się na niego uwziąć. Ale bardzo się starał, żeby go lubiano. I pamiętam, że mi zaimponował, gdy przetrwał ten pierwszy semestr, nie doznając jakiegoś załamania nerwowego. Nawet kiedy wywinęliśmy mu numer z wodorostami, nie zrobił z tego powodu afery, jak inne dzieciaki, na przykład ten jego gruby kumpel - chyba mówiliśmy na niego Tłusciuch - który wypaplał wszystko kierownicze internatu. Pamiętam, że byłem pod wrażeniem.

Znów zaczynam wsłuchiwać się w rozmowy pozostałych. Czuję się, jakbym wypłynął spod wody.

- Zawsze tylko my łądownaliśmy za to na dywaniku - mówi Duncan. - To my dostawaliśmy po łapach.

- Najczęściej ja - dorzuca Femi. - To chyba jasne.

- A skoro mowa o wodorostach - wtrąca Will - wczorajszy numer nie był zabawny.

- Jaki numer? - Spoglądam na innych, mają skonsternowane miny.

Will unosi brwi.

- Chyba wiecie. Wodorosty w łóżku. Jules wpadła w panikę. Jest o to nieźle wkurzona.

- To nie ja - oświadczam. - Przysięgam. - Nie należę do tych, którzy szczególnie tęsknią za szkolnymi tradycjami.

- Ja też nie - mówi Femi.

- Ani ja - dołącza się Duncan. - Nie miałem okazji. Georgina i ja byliśmy zajęci przed kolacją. .. miałem lepsze rzeczy do roboty niż włączyć się po plaży i zbierać wodorosty.

Will ściera brwi.

- Ale wiem, że to był jeden z was - mówi. Przeciągle mierzy mnie wzrokiem.

Rozlega się pukanie do drzwi.

- Uratowani - stwierdza Femi.

To Charlie.

- Są tu bukieciki do butonierek? - pyta. Unika kontaktu wzrokowego. Biedny gość.

- Są - przytakuje Will. - Johnno, rzuć jeden Charliemu.

Biorę stroik z zielonych liści i białych kwiatów i rzucam Charliemu, ale nie na tyle mocno, żeby do niego doleciał. Charlie doskakuje do niego, ale nie udaje mu się go złapać, więc bukiecik ląduje na podłodze.

Kiedy w końcu ma go w rękach, wychodzi najszybciej, jak to możliwe, nic więcej nie mówiąc. Rzucamy sobie z kumplami porozumiewawcze spojrzenia i tłumimy śmiech.

Przez moment jest tak, jakbyśmy znów byli dziećmi - jakbyśmy nie mogli się powstrzymać.

- Panowie? - woła Aoife. - Johnno? Wszyscy goście już są. Czekają w kaplicy.

- No dobra - mówi Will. - Jak wyglądam?

- Beznadziejnie - odpowiadam.

- Dzięki. - Obciąga w lustrze marynarkę. Gdy pozostali wychodzą, odwraca się do mnie. - Jeszcze jedno zanim pójdziemy - mamrocze pod nosem. - Później nie będzie już czasu. Mowa przed toastem. Nie narobisz mi wstydu, prawda? - Mówi to z uśmiechem, ale wydaje mi się, że to pytanie jest na serio. Wiem, że nie chce, żebym zagłębiał się w pewne tematy. Ale nie musi się martwić: ja też nie chcę ich poruszać. Żaden z nas nie wyszedłby z tego z twarzą.

- No co ty - odpowiadam. - Będziesz ze mnie dumny.

## *Jules*

### *Panna młoda*

Drżącymi z nerwów dłońmi wkładam sobie na głowę złotą koronę. Odwracam głowę to w jedną, to w drugą stronę. To jedyny zaskakujący element mojego stroju, jedyny przejaw romantycznej fantazji. Wykonał ją dla mnie kapelusznik z Londynu. Nie chciałam mieć na głowie pełnego wianka z kwiatów, bo wyglądałabym za bardzo jak hippiska, ale taki dodatek wydał mi się całkiem szykowny. Powiedzmy, że jest to delikatny ukłon w stronę panny młodej z irlandzkiej legendy ludowej.

Korona delikatnie połyskuje na tle moich ciemnych włosów. Wyciągam ze szklanego wazonu bukiet polnych kwiatów: przetaczników, kukułek i miecznic.

Następnie schodzę na dół.

- Wyglądasz zachwycająco, skarbie.

Tata stoi w salonie i prezentuje się bardzo elegancko. Tak, odprowadzi mnie do ołtarza. Rozważałam inne możliwości. Nie da się zaprzeczyć, że ojciec nie ma zbyt wiele do powiedzenia na temat szczęśliwego pożycia małżeńskiego. Ale ostatecznie mała dziewczynka we mnie - ta, która pragnie porządku, ta, która chce robić wszystko jak trzeba - wygrała. Zresztą kto inny miałby to zrobić? Moja matka?

- Wszyscy goście czekają w kaplicy - mówi. - Więc brakuje już tylko nas.

Za kilka minut pokonamy krótką drogę po żwirowym podejździe, dzielącą kaplicę od pałacyku. Na tę myśl mój żołądek wykonuje salto, co jest niedorzeczne. Nie pamiętam, kiedy ostatnio się tak czułam. W zesłym

roku zrobiłam prezentację na TEDx dotyczącą wydawnictw internetowych przed ośmiotysięczną publicznością i nie czułam się tak jak teraz.

Spoglądam na ojca.

- W końcu poznałeś Willa - mówię chyba po to, żeby odwrócić swoją uwagę od zamieszania w żołądku. Mój głos wydaje się dziwnie zdławiony. Odkasłuję. - Lepiej późno niż wcale.

- Oj tak, poznałem go - odpowiada tata.

Staram się utrzymać lekki ton głosu.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nic, Juju: „Oj tak, poznałem twojego narzeczonego” i tyle.

Wiem, jeszcze zanim te słowa padną z moich ust, że nie powinnam zadawać następnego pytania. Ale nie mogę go nie zadać. Muszę znać jego zdanie, czy mi się to podoba, czy nie. Od zawsze najbardziej pragnęłam aprobaty ojca. Kiedy otworzyłam wyniki egzaminów końcowych w liceum na parkingu przed szkołą, to jego zachwyconą minę - nie mamy - sobie wyobrażałam. To od niego chciałam usłyszeć „Nieźle, córeczko”. Pytam więc:

- I? Polubiłeś go?

Ojciec unosi brwi.

- Naprawdę chcesz teraz odbywać tę rozmowę, Jules? Pół godziny przed waszym ślubem?

Ma pewnie rację. To spektakularnie nieodpowiedni moment. Ale skoro weszłam już na tę ścieżkę, to nie ma odwrotu. Zaczynam też podejrzewać, że jego brak odpowiedzi może być odpowiedzią samą w sobie.

- Tak - chcę wiedzieć. - Lubisz go?

Na twarzy ojca pojawia się dziwny grymas.

- Sprawia wrażenie czarującego mężczyzny, Juju. Jest też bardzo przystojny. Nawet ja to widzę. To bez dwóch zdań dobra partia.

To nie może się dobrze skończyć. A mimo to nie potrafię się powstrzymać.

- Na pewno miałeś silniejsze pierwsze wrażenie. Zawsze mi powtarzałeś, że umiesz przejrzeć człowieka. Że w interesach to ważna rzecz i trzeba umieć to zrobić bardzo szybko ... bla, bla, bla.

Wydaje z siebie odgłos przypominający jęk i opiera dłonie na kolanach, jakby musiał się podtrzymać. Czuję, jak małe, twarde ziarenko przerażenia, które tkwiło we mnie, odkąd dziś rano zobaczyłam liścik, zaczyna mi kielkować w brzuchu.

- Powiedz mi - mówię. Słyszę, jak krew pulsuje mi w uszach. - Powiedz mi, jakie wywarł na tobie wrażenie.

- Widzisz, nie uważam, żeby to, co o nim myślę, było szczególnie istotne - odpowiada. - Jestem tylko twoim ojcem. Co ja tam wiem? A ty jesteś z nim od ... dwóch lat? Po takim czasie wiesz chyba lepiej.

Nie od dwóch lat. Nie jesteśmy nawet blisko takiego stażu.

- Tak - odpowiadam. - To wystarczająco długo, by wiedzieć, że to ten jedyny. - Tyle razy wcześniej mówiłam to przyjaciółom i współpracownikom. To samo powiedziałam wczoraj w swoim toaście. I za każdym poprzednim razem mówiłam szczerze. A przynajmniej tak mi się zdawało. Więc dlaczego tym razem moje słowa wydają mi się takie puste? Nie mogę oprzeć się myśli, że mówię to nie tyle po to, by przekonać ojca, co samą siebie. Odkąd znów trafiłam na ten liścik, dawne obawy wychyliły swoje łby. Nie chcę o nich myśleć, więc zmieniam taktykę.

- Szczerze mówiąc, tato, znam go chyba lepiej niż ciebie, biorąc pod uwagę, że przez całe moje życie spędziłyśmy razem nie więcej niż sześć tygodni.

Te słowa miały ranić i widzę, że odniosły skutek: ojciec cofa się, jak gdyby dostał prawdziwy cios.

- Sama widzisz - odpowiada. - Nie potrzeba ani słowa więcej. Moja opinia nie jest ci do niczego potrzebna.

- W porządku. Rozumiem, tato. Ale wiesz co? Chociaż ten jeden raz mogłeś do mnie przyjść i powiedzieć, że twoim zdaniem to świetny facet. Nawet gdybyś musiał przy tym skłamać. Wiesz, co chcę usłyszeć. To takie ... to takie egoistyczne.

- Posłuchaj - przerywa mi tata. - Przepraszam. Ale ... nie potrafię cię okłamywać, córeczko. Rozumiem, jeśli nie chcesz, żebym odprowadził cię do ołtarza. - Mówi to wielkodusznym tonem, jakby zrobił mi jakiś wielki prezent. I ból tego ciosu natychmiast rozchodzi mi się po całym ciele.

- Oczywiście, że odprowadzisz mnie do tego cholernego ołtarza - warczę. - Ledwie uczestniczyłeś w moim życiu, ledwie znalazłeś czas na tę uroczystość. Tak, tak, wiem ...

bliźnięta ząbkują czy coś w tym stylu. Ale jestem twoją córką od trzydziestu czterech lat. Wiesz, jaki jesteś dla mnie ważny, choć tak bardzo bym chciała, żeby było inaczej.

To między innymi ze względu na ciebie postanowiłam się pobrać w Irlandii. Bo wiem, jak cenisz sobie to dziedzictwo. Ja też je cenię. Chciałabym, żeby twoja opinia nie miała dla mnie znaczenia. Ale niestety ma. Więc odprowadzisz mnie do ołtarza. Przynajmniej tyle możesz zrobić. Odprowadzisz mnie do ołtarza i będziesz wyglądał, jakbyś, kurwa, pękał z dumy.

Pukanie do drzwi. Aoife wychyla zza nich głowę.

- Możemy zacząć?

- Nie - odpowiadam. - Potrzebuję jeszcze chwili.

Idę na górę, do swojego pokoju. Szukam czegoś, co miałoby odpowiedni kształt i ciężar. Poznam, kiedy to zobaczę. Zapachowa świeca - albo nie, wazon, w którym stał mój ślubny bukiet. Biorę go do ręki i sprawdzam jego ciężar, szykując się. Po chwili rzucam nim o ścianę, patrząc z satysfakcją, jak jego górna część pęka na kawałki.

Owijam dłoń w T-shirt - zawsze uważałam, żeby się nie poranić, tu nie chodzi o samookaleczanie - podnoszę nierozbitą podstawę wazonu i raz za razem rzucam nią o ścianę, aż zostaną z niej same odłamki. Dyszę z wysiłku, zaciskając zęby. Nie robiłam tego już od jakiegoś czasu, od zbyt dawna. Nie chciałam, żeby Will zobaczył tę część mnie. Zapomniałam, jakie świetne to uczucie. Robię wdech i wydech.

Wszystko wydaje mi się nieco jaśniejsze, spokojniejsze.

Jak zawsze sprzątam po sobie bałagan. Nie spieszę się. To mój dzień. Wszyscy mogą poczekać.

Poprawiam w lustrze koronę, która nieco się przekrzywiła. Widzę, że wysiłek zostawił na mojej cerze bardzo korzystny rumieniec. Pasuje do nieśmiałej panny młodej.

Przykładam dłoń do twarzy i zaczynam ją masować, przeformowując swoją minę w taką, która wyraża błogą, pełną wyczekiwania radość.

Jeśli Aoife i tata coś słyszeli, to ich twarze tego nie zdradzają, kiedy wracam na dół.

- Gotowa - mówię do nich, kiwając głową.

Następnie wołam Olivię. Wyłania się z tego maleńkiego pokoiku przy jadalni. Jeśli to w ogóle możliwe, wygląda jeszcze bladziej niż normalnie. Ale na całe szczęście jest gotowa - w sukience i butach, trzymając w dłoniach bukiet kwiatów. Biorę swój od Aoife. Następnie wychodzę przez drzwi, pozostawiając Olivię i ojca za sobą. Czuję się jak waleczna królowa wkraczająca na pole bitwy.

Kiedy idę przez nawę, mój nastrój się zmienia, a pewność siebie maleje. Widzę, jak goście odwracają się, by na mnie popatrzeć, i mam wrażenie, że wszystkie twarze są rozmyte, dziwnie pozbawione rysów. Głos irlandzkiej wokalistki folkowej faluje wokół mnie i przez moment myślę o tym, jak żałobnie brzmi ta pieśń, choć opowiada o miłości.

Chmury przepływają wartko nad sypiącymi się iglicami - zbyt szybko, jak w koszmarze. Wiatr przybrał na sile i słychać, jak świszczy pomiędzy kamieniami. Przez moment mam wrażenie, że nasi goście to obcy ludzie, że w ciszy obserwuje mnie zgromadzenie osób, których nigdy wcześniej nie spotkałam. Czuję wzbierające we mnie przerażenie, jak gdybym weszła do zbiornika z zimną wodą. Nikogo z nich nie znam, w tym także mężczyzny przy ołtarzu, który odwraca się w moją stronę. Ta potworna rozmowa z tatą

kraży mi po głowie - ale najgłośniejsze są słowa, których nie wypowiedział. Zwalniam uścisk na jego ramieniu, staram się od niego odsunąć, jak gdyby jego myśli mogły mnie jeszcze bardziej zainfekować.

Wtedy jakby nagle rozproszyła się mgła i widzę wszystkich wyraźnie: uśmiechniętych przyjaciół i rodzinę, którzy do mnie machają. Na szczęście żadne z nich nie kieruje w naszą stronę telefonów. Osiągnęliśmy to dzięki ostrej adnotacji na zaproszeniach o zakazie robienia zdjęć podczas ceremonii. Udaje mi się rozluźnić skamieniałą twarz i odwzajemniam uśmiechy. A dalej, za nimi, przy ołtarzu, otoczony aureolą światła, które na moment przebiło się przez chmury, stoi mój przyszły mąż. Wygląda nienagannie w swoim garniturze. Jest olśniewający i przystojniejszy niż kiedykolwiek. Uśmiecha się do mnie i czuję się tak, jakby słońce opromieniło mi policzki. Otacza go chyląca się kaplica, uderzająco piękna, otwarta ku niebu.

Jest idealnie. Dokładnie tak, jak zaplanowałam - lepiej, niż zaplanowałam. A najlepszy w tym wszystkim jest mój narzeczony - piękny, promienny, czekający na mnie przy ołtarzu. Gdy ku niemu idę, trudno mi uwierzyć, że ten człowiek mógłby być kimś innym niż osoba, którą znam.

Uśmiecham się.

## ***Hannah***

### *Osoba towarzysząca*

Podczas ceremonii siedziałam sama, upchnięta w jednej ławce z kuzynami Jules - Charlie miał zarezerwowane miejsce z przodu jako członek orszaku ślubnego. Kiedy Jules szła do ołtarza, zdarzyło się coś dziwnego. Przez moment miała minę, jakiej nigdy wcześniej u niej nie widziałam. Wyglądała niemal na przestraszoną: wielkie oczy, zaciśnięte usta. Zastanawiałam się, czy zauważył to jeszcze ktoś prócz mnie i czy może sobie tego nie wyobraziłam, bo kiedy dołączyła do Willa przy ołtarzu, uśmiechała się i wyglądała jak rozpromieniona szczęściem, witająca się ze swoim przyszłym mężem panna młoda, którą wszyscy chcą zobaczyć. Zewsząd dobiegały mnie westchnienia i szepty o tym, jak doskonale się razem prezentują.

Od tego momentu wszystko przebiega gładko: żadnych potknięć przy przysiędze, jak na innych ślubach, na których byłam. Oboje wypowiadają słowa głośno, wyraźnie, a jedynym odgłosem jest świst wiatru pomiędzy kamieniami. Nie patrzę jednak na Jules i Willa. Patrzę na Charliego, który siedzi tuż przy ołtarzu. Chcę zobaczyć jego twarz, gdy Jules powie sakramentalne tak. Ale to niemożliwe: widzę tylko tył jego głowy i proste

ramiona. Próbuję się opamiętać: co tak naprawdę spodziewałam się zobaczyć?

Jakiego dowodu szukam?

I nagle jest już po wszystkim. Ludzie wokół mnie wstają, rozlega się nagła eksplozja dźwięków, śmiechów i rozmów. Ta sama kobieta, która śpiewała, gdy Jules szła do ołtarza, wykonuje teraz pieśń na zakończenie przy akompaniamencie skrzypiec. Słowa są po gaelicku, a głos wokalistki jest niebywale wysoki i kryształowy i niesie się wśród ruin kaplicy, wywołując z lekka niepokojące echo.

Wychodzę na zewnątrz za innymi gośćmi, omijając wielkie, szykowne aranżacje roślinne złożone z zielonych liści i kolorowych polnych kwiatów, które pasują do surowego krajobrazu. Myślę o naszym ślubie i o tym, jak znajoma mamy Karen dała nam zniżkę na bukiety. Wszystko miało pastelowy klimat retro. Ale nie narzekam. Nigdy nie byłoby nas stać na taką florystkę, o jakiej marzyliśmy. Ciekawe, jak to jest mieć tyle pieniędzy, by robić dokładnie to, na co się ma ochotę.

Goście Jules i Willa mają nienaganny gust. Kiedy rozejrzałam się po zebranych w kaplicy, zauważyłam, że nikt poza mną nie ma na głowie fascynatora<sup>[7]</sup>. Może w tych kręgach się ich nie nosi? Każda kobieta ma na głowie wyglądający na drogi kapelusz, który pewnie posiada własne, robione na zamówienie pudło. Czuję się jak dawno temu w szkole w dzień bez mundurka, o którym obie z Alice zapomniałyśmy. Pamiętam, jak siedziałam na apelu, myśląc o tym, jak bardzo chciałabym nagle spłonąć, byle tylko nie czuć, jak przez cały dzień wszyscy się na mnie gapią.

Dostajemy pokruszone płatki suszonych róż, zanim Will i Jules wyjdą z kaplicy. Ale wiatr jest na tyle silny, że szybko zostają zdmuchnięte. Nie widzę, żeby choć jeden płatek musnął nowożeńców. W zamian jedną wielką chmurą odfruwają w stronę morza. Charlie zawsze mi powtarza, że jestem za bardzo przesądna, ale nie spodobałoby mi się to, gdybym była na miejscu Jules.

Państwo młodzi wraz ze świadkami, drużbami i druhną idą na krótką sesję fotograficzną, a pozostali goście przechodzą przed namiot, pod którym postawiono bar.

Stwierdzam, że potrzebuję nieco płynnej odwagi. Zmierzam ku niej po trawie, a moje obcasy co kilka kroków zagłębiają się w ziemi. Zamówienia przyjmuje dwóch barmanów, którzy wstrząsają drinkami w shakerach. Zamawiam gin z tonikiem, który zostaje mi podany z dużą gałązką rozmarynu do dekoracji.

Przez chwilę rozmawiam z barmanami, bo wydają się najsympatyczniejsi ze wszystkich tu obecnych. To młodzi mężczyźni z



okolicy, którzy przyjechali do domu z uniwersytetów na wakacje, o imionach Eoin i Sean.

- Normalnie pracujemy w dużym hotelu na lądzie - mówi mi Sean. - Należał kiedyś do rodziny Guinnessów. Wielki zamek nad zatoką. Zwykle to w nim ludzie urządają wesela. Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś się tu pobierał, chyba że w dawnych czasach. Wiesz, że to miejsce jest nawiedzone?

- Właśnie. - Eoin nachyla się w moją stronę i ścisza głos. - Babcia opowiadała mi dość mroczne historie na temat tej wyspy.

- Ciała w torfie - ciągnie Sean. - Nikt dokładnie nie wie, jak zginęli, ale mówi się, że wikingowie porąbali ich na kawałki. Nie pochowano ich na poświęconej ziemi, stąd te wszystkie plotki o blakających się duszach.

Wiem, że pewnie próbują mnie nabrać, ale czuję na plecach lekki dreszcz.

- Mówi się też, że to z tego powodu wyjechali stąd ostatni właściciele - ciągnie Eoin. - Głosy z torfowiska nie dawały im spać. - Uśmiecha się szeroko do Seana, a potem do mnie. - Powiem szczerze, nie mam ochoty przebywać tu po zmroku. To wyspa duchów.

- Przepraszam - poirytowanym tonem mówi jakiś mężczyzna w okularach awiatorykach i tweedowej marynarce. - Brzmi to piekielnie ciekawie, ale mogę dostać ald fashioned?

Biorę to za znak, że trzeba dać im pracować.

Postanawiam ukradkiem zajrzeć do namiotu przez wejście, przy którym płoną pochodnie. Z wnętrza dobiega upojny, kwiatowy zapach świec, które wyglądają na drogie.

A mimo to (nie jestem dumna z tego, że mnie to cieszy) czuję pod nim woń mokrego płótna. Wychodzi na to, że koniec końców to tylko wielki namiot. A właściwie kilka: na jednym końcu namiotu głównego znajduje się mniejszy, z parkietem do tańca oraz z podwyższeniem dla zespołu muzycznego, a po przeciwnej stronie namiot z kolejnym barem. Nieźle. Po co mieć na weselu tylko jeden bar, skoro można mieć dwa? W głównym namiocie kelnerzy w białych koszulkach poruszają się między stołami z gracją baletmistrzów i wyrównują sztucce oraz polerują kieliszki.

Na samym środku, na srebrnym stojaku stoi ogromny tort. Jest tak piękny, że aż mi smutno na myśl, że za kilka godzin Will i Jules potraktują go nożem. Nie jestem sobie w stanie wyobrazić, ile może kosztować takie dzieło sztuki. Może tyle, co całe nasze wesele.

Wychodzę na zewnątrz i nagły podmuch wiatru wywołuje u mnie dreszcz. Wiatr zdecydowanie się wzmacnia. Na morzu, na grzbietach fal, widać teraz białe grzywy.

Spoglądam na tłum. Wszyscy, których tu znam, należą do orszaku weselnego. Jeśli nie zbiorę się na odwagę, będę tu sterczeć aż do powrotu

Charliego - a kiedy tylko skończą się zdjęcia, będzie pewnie musiał przejść do obowiązków mistrza ceremonii. Upijam więc wielki łyk i dołączam się do pobliskiej grupki.

Z pozoru wydają się przyjacielscy, ale widzę, że to grupa przyjaciół, która nie widziała się od lat - a ja do nich nie należę. Stoję z nimi i popijam swojego drinka, starając się nie wybić sobie oka rozmarynem. Zastanawiam się, jak inni pijący gin z tonikiem dają z tym radę, nie robiąc sobie przy tym krzywdy. Może tego właśnie uczą w prywatnych szkołach: jak pić koktajle z nieporęcznymi dekoracjami. Bo wszyscy tu obecni - nie mam co do tego wątpliwości - chodzili do prywatnych szkół.

- Wiesz może, jaki jest hasztag? - pyta mnie jakaś kobieta. - Hasztag ślubu? Szukałam na zaproszeniu, ale nie znalazłam.

- Nie wydaje mi się, żeby w ogóle jakiś był - odpowiada jej znajomy. - Zresztą zasięg jest tu tak koszmarny, że i tak niczego byś nie zamieściła.

- Może dlatego właśnie wybrali to miejsce? - odpowiada ta pierwsza oświeconym tonem. - No wiecie, ze względu na to, jaki Will jest sławny.

- To naprawdę zagadka - mówi inna kobieta. - Muszę przyznać, że spodziewałam się Włoch, może w rejonie jezior. To ostatnio modne, prawda?

- Ale przecież Jules jest trendsetterką - włącza się trzecia kobieta. - Może to nowy styl. .. - Silny podmuch wiatru prawie zrywa jej kapelusz z głowy. Kobieta dociska go z całych sił. - Śluby na opuszczonych wyspach na całkowitym odludziu.

- Ale to romantyczne, prawda? Dzika przyroda i dawna chwała. Przywodzi na myśl tego irlandzkiego poetę. Keatsa.

- Yeatsa, skarbie.

Kobiety te mają ciemne, prawdziwe opalenizny, jakie uzyskuje się na wakacjach na greckich wyspach. Wiem, bo zaczynają o nich rozmawiać w następnej kolejności i porównują zalety Hydry i Krety.

- Naprawdę - mówi teraz jedna - czy ktoś może mi wyjaśnić, dlaczego ludzie latają z dziećmi klasą ekonomiczną? Czy da się gorzej zacząć wakacje? - Ciekawe, co by powiedziały, gdybym włączyła się do rozmowy i zaczęła porównywać ze sobą pola kempingowe w okolicy New Forest. Osobiście uważam, że wszystko sprowadza się do tego, które pole ma najlepsze toi toie, mogłabym powiedzieć tym samym tonem, którym one dyskutują o najlepszych nadmorskich restauracjach z widokiem. Muszę to zapamiętać i później opowiedzieć Charliemu. Choć jak widać na przykładzie wczorajszego wieczoru, w tym ekskluzywnym towarzystwie Charlie zachowuje się nieco dziwnie - robi się mało pewny siebie i stremowany.

Odwraca się do mnie mężczyzna stojący po mojej prawej stronie: przerośnięty uczeń, jeden z tych o bardzo okrągłej, różowo-białej twarzy,

do której nie pasują zakola.

- Jesteś ze strony pana młodego czy panny młodej?

Czuję taką ulgę, że ktoś w ogóle raczył się do mnie odezwać, że mogłabym go ucałować.

- Panny młodej.

- Ja od pana młodego. Chodziłem z nim do szkoły. - Wyciąga do mnie rękę. Czuję się tak, jakbym weszła do jego biura na rozmowę kwalifikacyjną. - Skąd się znacie z Julią?

- Och - odpowiadam. - Jestem żoną Charliego, to jej przyjaciel. Jeden z drużbów.

- A skąd jest ten akcent?

- Z Manchesteru. A właściwie z przedmieść. - Zawsze mi się zdawało, że prawie całkiem się go pozbyłam, skoro od tylu lat mieszkam na południu.

- Kibicujesz United? Byłem kilka lat temu na imprezie firmowej na stadionie. Mecz był okej. Chyba z Southampton. Dwa do jednego, jeden do zera, w każdym razie nie remis, bo to by była straszna nudna. Potworne jedzenie. Niejadalne.

- Ojej - odpowiadam. - Mój tata kibicuje ...

Ale on najwyraźniej się znudził i rozmawia już z mężczyzną po swojej drugiej stronie.

Przedstawiam się więc starszemu małżeństwu, głównie dlatego, że zdają się nie rozmawiać z nikim innym.

- Jestem ojcem pana młodego - odpowiada mężczyzna. Mam wrażenie, że to dziwny dobór słów. Dlaczego nie powiedzieć zwyczajnie „Jestem ojcem Willa”? Dłonią o długich palcach wskazuje kobietę obok siebie. - A to moja żona.

- Dzień dobry - wita się i spuszcza wzrok w ziemię.

- Muszą być państwo bardzo dumni - mówię.

- Dumni? - Marszczy czoło i patrzy na mnie pytająco. Jest wysoki i nie garbi się, przez co muszę wyciągnąć szyję, by móc na niego spojrzeć. Może to przez długi, zakrzywiony kształt jego nosa, ale mam wrażenie, że choć mężczyzna na mnie patrzy, nie widzi nic prócz jego czubka. Czuję w żołądku napięcie, jak z czasów szkolnych, gdy byłam karcona przez nauczyciela.

- Tak - mówię podenerwowana. Nie sądziłam, że będę się musiała tłumaczyć. - Z powodu ślubu, ale także Przetrzeć noc.

- Mhm. - Sprawia wrażenie, jakby to rozważał. - Ale to jednak nie zawód, prawda?

- No cóż ... pewnie nie w tradycyjnym pojmowaniu ...

- Nie zawsze był dobrym uczniem. Kilka razy wdał się w tarapaty, ale ogólnie rzecz biorąc, to dość bystry chłopak. Udało mu się dostać na przyzwoitą uczelnię. Mógł zrobić karierę w polityce lub prawie. Może nie stałby w pierwszym szeregu, ale miałby szanowaną pozycję.

Jezu Chryste. Przypomniałam sobie, że ojciec Willa jest dyrektorem. Jego słowa brzmią tak, jak gdyby mówił o byle którym uczniu, nie o swoim synu. Nigdy nie sądziłam, że poczuję współczucie względem Willa, którego życie wydaje się pasmem sukcesów - ale teraz chyba tak jest.

- Ma pani dzieci? - pyta mnie. - Synów?

- Tak, na imię mu Ben. Ma ...

- Powinna pani rozważyć Trevellyan. Wiem, że nasze metody uznawane są przez niektórych za nieco ... srogie, ale zrobiliśmy wspaniałych mężczyzn z mało obiecujących chłystków.

Pomysł przekazania Bena w szpony tego niewiarygodnie chłodnego mężczyzny napawa mnie przerażeniem. Chcę mu powiedzieć, że nawet gdyby było nas na to stać i nawet gdyby Ben zbliżał się do odpowiedniego wieku, to nigdy w życiu nie posłałabym dziecka do placówki, którą on prowadzi. Ale uśmiecham się uprzejmie, przepraszam i odchodzę. Skoro rodzice Willa tu są, to orszak weselny musiał wrócić z sesji zdjęciowej. A jeśli tak, to dlaczego Charlie mnie nie odszukał? Rozglądam się wśród tłumu i w końcu zauważam go z pozostałymi druźbami i kilkoma innymi mężczyznami. Czuję lekki przypływ gniewu i podchodzę do niego tak szybko, jak tylko pozwolą mi szpilki.

- Charlie - zaczynam, starając się ukryć pretensję w głosie. - Mam wrażenie, że nie widziałam cię od kilku godzin. Odbyłam przedziwną rozmowę ...

- Cześć, Han - mówi nieco nieobecny tonem. Po tym, jak lekko mruży oczy, i jeszcze po kilku subtelnych zmianach w jego twarzy poznaję, że trochę już wypił. Trzyma w dłoni pełny kieliszek szampana, ale nie jest to raczej jego pierwszy. Powtarzam sobie w myślach, że on zawsze się kontroluje i zna swoje możliwości. Jest dorosły. - Aha - dodaje. - Tak przy okazji, możesz już ściągnąć z głowy to coś.

Chodzi mu o fascynator. Czuję, że robię się czerwona, gdy go ściągam. Czy on się mnie wstydzi?

Jeden z mężczyzn, z którym rozmawiał Charlie, podchodzi bliżej i zaciska mu dłoń na ramieniu.

- To twoja żona?

- Tak. Rory, poznaj Hannah. Hannah, to Rory. Był na wieczorze kawalerskim.

- Miło mi cię poznać - mówi mężczyzna, błyskając białymi zębami. Byli uczniowie prywatnych szkół mają w sobie tyle uroku. Przypominam sobie druźbów przed kaplicą: Czy mogę zaproponować pani program?

Może nieco suszonych płatków róż? Niewiniątka. Ale widziałam wczoraj wieczorem, jak potrafią się zachować, i nie mam względem nich za grosz zaufania.

- Hannah - mówi Rory. - Powinienem chyba przeprosić za to, w jakim stanie zwróciliśmy ci męża po wieczorze kawalerskim. Ale zrobiliśmy wszystko w imię dobrej zabawy, prawda, Charlie? To były tylko wygłupy.

Nie wiem, co to dokładnie oznacza. Przyglądam się Charliemu. I widzę, jak twarz mojego męża zmienia się na moich oczach. Wyostrenie rysów, zaciśnięcie ust w wąską linię, aż ma dokładnie tę samą minę, kiedy odebrałam go z lotniska po wieczorze kawalerskim.

- Co tam się, do diabła, wydarzyło - pytam Rory'ego, utrzymując żartobliwy ton. - Bo Charlie nie chce mi powiedzieć.

Rory wygląda, jakby mu ulżyło.

- I dobrze, stary - mówi, raz jeszcze klepiąc mojego męża po ramieniu. - Co zdarzyło się na wieczorze kawalerskim, zostaje na wieczorze kawalerskim. - Puszczą do mnie oko. - Tylko się wygłupialiśmy. Chłopaki to chłopaki.

- Charlie? - pytam, kiedy Rory odchodzi i przez moment jesteśmy sami. - Piłeś?

- Tylko trochę - odpowiada. Nie wydaje mi się, żeby mamrotał. - Zaschło mi w gardle.

- Charlie ...

- Han - mówi stanowczym tonem. - Dwa kieliszki mi nie zaszkodzą.

- A ... - Myślę o tym, jak wyłonił się z lotniska w Stansted, z podkrążonymi oczami i miną, jakby był świadkiem jakiejś katastrofy. - Co się wydarzyło na tej imprezie? O czym on mówił?

- Cholera. - Przeczesuje włosy palcami i krzywi się. - Nie wiem, dlaczego mnie to tak dotknęło. Wszystko dlatego, że nie jestem jednym z nich. Ale to było dość okropne.

- Charlie - mówię, czując jak w żołądku kłębi mi się niepokój. - Co oni zrobili?

Wtedy mój mąż odwraca się do mnie i syczy przez zęby, a w jego słowach pojawia się paskudny ślad czegoś - kogoś - obcego.

- Nie chcę o tym, kurwa, rozmawiać, Hannah.

Czyli jednak. Charlie się upił.

**Johnno**

*Świadek*

Dopijam kieliszek szampana i biorę kolejny od mijającej mnie kelnerki. Ten też opróżnię szybko, a może wtedy poczuję się ... sam nie wiem, bardziej sobą. Tego ranka, widząc to wszystko, widząc wszystko, co ma Will ... zacząłem się czuć naprawdę gównianie. Nie jestem z tego dumny. Źle się z tym czuję, oczywiście, że tak. Will jest moim najlepszym kumplem. Chciałbym po prostu cieszyć się jego szczęściem. Ale przebywanie z kumplami tylko wszystko pogorszyło. Jak gdyby to, co się stało, po nim spłynęło, w żaden sposób mu nie ciążyło. Ale ja zawsze czułem się tak, jakbym nie zasługiwał na to, żeby być szczęśliwym.

W tłumie przed kaplicą widzę tyle znajomych twarzy: chłopaków z wieczoru kawalerskiego i innych, którzy na niego nie przyjechali, ale chodzili z nami do szkoły.

- Bez dziewczyny, Johnno? - pytają mnie. Albo: - Planujesz wyrwać jakąś laskę, co?

- Może - odpowiadam. - Może.

Przez jakiś czas zakładają się o to, z kim mam szansę. Potem zaczynają rozmawiać o swoich pracach i domach. O opcjach i portfolioach. Rozmawiają o polityku, który niedawno zrobił z siebie kretyna - a może chodziło o polityczkę? Nie mam zbyt wiele do dodania w tej rozmowie, bo nie dosłyszałem nazwiska, a nawet gdyby, to pewnie i tak nie wiedziałbym, o kogo chodzi. Stoję tak, czując się głupio, jak gdybym tu nie pasował. Właściwie nigdy nie pasowałem.

Wszyscy mają teraz stanowiska w dużych firmach. Nawet ci, którzy z tego, co pamiętam, nie byli zbyt bystry. Sporo się też zmienili od czasów szkolnych. Nie jest to zaskoczeniem, biorąc pod uwagę, że minęło około dwudziestu lat. Ale ja tego tak nie odczuwam. Nie teraz, stojąc tu, w tym miejscu. Gdy patrzę na każdą z tych twarzy, upływ czasu nie ma dla mnie znaczenia podobnie jak to, że tam, gdzie kiedyś rosła gęsta czupryna, teraz są zakola, że włosy są ciemne, choć kiedyś były blond, albo że ktoś zamienił okulary na szkła kontaktowe. Pamiętam ich wszystkich.

Bo nawet teraz, choć okazałem się takim rozczarowaniem, moi starzy wciąż trzymają szkolne zdjęcie w najważniejszym miejscu na kominku w salonie. Nigdy nie widziałem na nim nawet odrobiny kurzu. Są tacy dumni z tego zdjęcia. Popatrzcie na naszego syna w tej wielkiej, ekskluzywnej szkole. Jest jednym z nich. Wszyscy uczniowie na boisku przed głównym budynkiem, za którym były klify. Stoimy na metalowych trybunach i wyglądamy jak aniołki, z włosami zaczesanymi na bok przez kierowniczkę internatu i wyszczerzonymi sztucznie zębami: Uśmiech, chłopcy!

Szczerzę się teraz do wszystkich tak samo jak na zdjęciu. Zastanawiam się, czy ukradkowo na mnie patrzą i myślą to samo. Johnno: co za nieudacznik. Popapraniec.

Zabawny, ale nic więcej. Jego życie ułożyło się dokładnie tak, jak przewidywali. I tu właśnie pokażę im, że się mylą. Bo mogę opowiadać o produkcji własnej whisky, co nie?

- Nie mogę uwierzyć, że upłynęło tyle czasu, stary. - Greg Hastings, trzeci rząd, drugi od lewej. Miał atrakcyjną matkę, która zdecydowanie nie przekazała mu urody w genach.

- Można się było założyć, że zapomnisz garnituru, Johnno! - Miles Locke, piąty rząd, gdzieś w środku. Niezły mózg, ale szczególnie się z tym nie obnosił, więc nikt się go nie czepiał.

- Dobrze, że przynajmniej nie zapomniałeś o obrączkach! W sumie szkoda, to dopiero byłby numer. - Jeremy Swift - najwyższy rząd, prawy róg. W ramach zakładu połknął pięćdziesięciopensówkę i musiał jechać do szpitala.

- Johnno, spaślaku, muszę ci powiedzieć, że do tej pory nie mogę się pozbierać po wieczorze kawalerskim. Ale wykręciliście mi numer. I ten biedny koleżka! Naprawdę nieźle go urządziliśmy. On gdzieś tu jest, prawda? - Curtis Lowe, czwarty rząd, piąty od prawej. Mógł zostać profesjonalnym tenisistą, a został księgowym.

Widzicie? Mówią, że jestem głupi i gruby. Ale przynajmniej mam całkiem niezłą pamięć.

Jest na tym zdjęciu jedna twarz, na którą nie ośmielam się spojrzeć. Najniższy rząd, najmłodszy chłopcy, po prawej. Loner - dzieciak, który uwielbiał Willa i który zrobiłby wszystko, żeby go zadowolić. Wszystko, o co prosiliśmy. Kradł da nas bułki i masło z kuchni, zmywał błoto z naszych butów do rugby, sprzątał salę w internacie. Wszystko, czego właściwie nie potrzebowaliśmy albo co mogliśmy zrobić sami. Ale w pewnym sensie dobrze się bawiliśmy, wymyślając mu różne zadania.

Prosimy go o więcej i więcej. Raz kazaliśmy mu wejść na dach szkoły i huczeć jak sowa. Zrobił to. Innym razem namówiliśmy go, żeby włączył wszystkie alarmy przeciwpożarowe. Trudno było przestać na niego naciskać, żeby się przekonać, jak daleko się posunie. Czasem grzebaliśmy w jego rzeczach, zjadaliśmy słodycze, które przysyłała mu matka, albo udawaliśmy, że walimy konia do zdjęcia jego ślicznej siostry na plaży. Braliśmy listy, które napisał do domu, i czytaliśmy je na głos piskliwym tonem: Tak bardzo za wami tęsknię. Czasem nawet trochę mu przyłożyliśmy. Jeśli nie wyczyścił naszych butów jak trzeba - a przynajmniej jeśli uznaliśmy, że nie są wystarczająco czyste, bo zwykle robił to bardzo dobrze. Kazałem mu stać, gdy „motywacyjnie” kopałem go w tyłek podeszwą z kolcami. Sprawdzałem, co ujdzie mi na sucho.

A on pozwalał, żeby uszło nam wszystko.

Wypijam jeszcze jeden kieliszek szampana. Ten w końcu odnosi efekt. Czuję w głowie lekki szum. Dołączam się do dużej grupy absolwentów

Trevellyana. Chcę im opowiedzieć o swoim alkoholowym biznesie. Tylko przez pół godziny. Żeby w końcu zdali sobie sprawę, że nie jestem gorszy od nich. Ale rozmowa już zmieniła bieg i nie wiem, jak skierować ją z powrotem na dobry tor.

Ktoś mocno klepie mnie po ramieniu. Odwracam się i staję z nim twarzą w twarz - z panem Slaterem. Ojcem Willa, ale przede wszystkim - już na zawsze - dyrektorem Trevellyana.

- Jonathan Biggs - mówi. - Nic się nie zmieniłeś. - W jego ustach to nie jest komplement.

Szlag, miałem zamiar go unikać. Jego widok ma na mnie ten sam wpływ co zawsze. Można by pomyśleć, że to się zmieni, skoro jestem dorosły. Ale przeraża mnie tak samo, jak za szkolnych lat. Zabawne, biorąc pod uwagę, że kiedyś uratował mi tyłek.

- Dzień dobry, panie dyrektorze - mówię. Mam wrażenie, że język ugrzązł mi w gardle. - To znaczy dzień dobry panu. - Chyba wolał „pana dyrektora”. Zerkam sobie przez ramię. Grupka, do której wcześniej przynależałem, zacieśniła się i teraz obaj utknęliśmy na jej peryferiach: on i ja. Bez drogi ucieczki.

Mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów.

- Widzę, że ubrałeś się jak zawsze. Ten blezer, który nosiłeś w szkole, na początku był za duży, a pod koniec za ciasny.

Tak, bo moich starych było stać tylko na jeden.

- Widzę, że nadal trzymasz się blisko z moim synem - mówi. Nigdy mnie nie lubił. Ale nie potrafię też sobie wyobrazić, żeby lubił kogokolwiek, nawet Willa.

- Tak - odpowiadam. - Jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi.

- Tak to się nazywa? Zawsze mi się zdawało, że jesteś jego chłopcem od czarnej roboty. Jak wtedy, gdy włamałeś się do mojego gabinetu, żeby ukraść arkusze egzaminacyjne.

Na moment wszystko dookoła nieruchomieje i cichnie. Jestem tak zaskoczony, że nie potrafię wydusić z siebie słowa.

- No co? - ciągnie pan Slater, niewzruszony moim milczeniem. - O wszystkim wiem. Myślisz, że skoro sprawa nie została zgłoszona, to ci się udało? Gdyby ktoś się dowiedział, byłaby to hańba dla całej szkoły i dla mojego nazwiska.

- Nie wiem, o czym pan mówi. - Ale tak naprawdę myślę: głównie pan wie. A jeśli pan wie, to ma pan lepszą pokerową twarz, niż mi się zdawało.

Po tych słowach udaje mi mu uciec. Idę szukać czegoś więcej do picia. Czegoś mocniejszego. W pobliżu namiotu postawiono bar. Strasznie się włoką z rozlewaniem drinków.

Ludzie zamawiają po dwa lub trzy, udając, że to dla przyjaciół i osób towarzyszących, ale widzę, jak sami wychylają je wszystkie po kolei.



Wkrótce impreza nieźle się rozbija, zwłaszcza z baterią prochów, którą przywiózł ze sobą Peter Ramsay. Kiedy biorę whisky - tę, którą przywiozłem - zauważam, że trzęsie mi się ręka.

Wtedy, w tłumie ludzi, widzę faceta, którego skądś znam. Spogląda na mnie i ściąga brwi. Nie chodził do Trevellyana. Ma z pięćdziesiąt lat i jest zdecydowanie za stary, żeby mógł się załapać na szkolne zdjęcie. Irytuje mnie, że nie potrafię sobie przypomnieć, skąd go znam.

Ma przesadnie hipsterską fryzurę, mimo że jest siwy i trochę łysieje, a do garnituru założył trampki. Wygląda jakby wyszedł z jakiegoś designerskiego biura w Soho i nie do końca wie, jak się znalazł na tym pustkowiu.

Przez kilka minut nie mogę sobie uzmysłwić, gdzie mogłem poznać kogoś takiego jak on. I wtedy odnoszę wrażenie, że obaj domyślamy się tego w tej samej chwili.

Cholera. To producent Przetrzeć noc. Ma jakieś francuskobrzmiące, wymyślne imię. Piers. Właśnie.

Podchodzi do mnie.

- Miło cię widzieć, Johnno.

Trochę mi schlebia, że pamięta moje imię i że rozpoznał moją twarz. Wtedy przypominam sobie, że moja twarz nie podobała mu się na tyle, żeby zaangażować mnie do swojego programu, więc hamuję entuzjazm.

- Piers - mówię, wyciągając rękę na powitanie. Nie mam bladego pojęcia, dlaczego chce ze mną rozmawiać. Spotkaliśmy się tylko raz, kiedy przyszedłem z Willem na próbne zdjęcia. Nie byłoby mniej krępująco, gdybyśmy tylko unieśli w swoją stronę kieliszki nad głowami gości i na tym poprzestali?

- Dawno się nie widzieliśmy, Johnno - mówi, bujając się na piętach w przód i w tył. - Ledwie cię poznałem ... z tą czupryną. - Stara się być miły. Moje włosy nie są dużo dłuższe. Ale pewnie wyglądam, jakbym postarzał się o piętnaście lat, odkąd się ostatnio widzieliśmy. To pewnie przez alkohol. - Co u ciebie słychać? - pyta. - Na pewno zajmujesz się czymś interesującym.

Mam wrażenie, że dziwnie to ujął, ale nie zastanawiam się nad tym zbyt długo.

- No wiesz. - Nadymam pierś. - Produkuję whisky.

Próbuję mu puścić całą przemowę, ale szczerze mówiąc, nie mogę przestać myśleć o tym, jak ten gość spuścił mnie po brzytwie w jednym, krótkim mailu:

*Nie do końca pasujesz do programu.*

Ludzie nie wiedzą tego na mój temat. Widzą starego Johnno, dzikiego, gotowego na wszystko ... o ubogim życiu wewnętrznym. I oczywiście podoba mi się, że tak myślą.

Umacniam w nich to przekonanie. Ale też mam uczucia i jestem zażenowany tą rozmową, tak jak wtedy, kiedy firma producencka mnie odrzuciła. Ale przynajmniej zapłacili mi kilka tysięcy za pomysł.

Bo pomysł na program był mój. Nie mówię, że wymyśliłem formułę od początku do końca. Ale wiem, że to ja zasiałem ziarno. Mniej więcej rok temu siedzieliśmy razem z Willem w pubie.

To ja zawsze sugerowałem spotkanie. Will był nieustannie zbyt zajęty, mimo że wtedy nie miał jeszcze telewizyjnej kariery, tylko był agentem. Ale nawet jeśli kilka razy przekłada spotkanie, to nigdy ich nie odwołuje. Łączy nas zbyt silna więź, żeby ta przyjaźń mogła umrzeć. On też o tym wie.

Chyba nieźle się spiłem, bo zacząłem gadać o zabawie ze szkoły: nazywała się przetrwanie. Pamiętam, jak Will spojrzał na mnie z ukosa. Chyba bał się tego, co powiem dalej. Ale nie miałem zamiaru wgłębiać się w ten temat. Nigdy tego nie robimy. Poprzedniego wieczoru oglądałem jakiś program o poszukiwaczu przygód, który wydał mi się bardzo słaby. Powiedziałem więc:

- Z przetrwania można by było zrobić dużo lepszy show niż większość programów survivalowych, co nie?

Wtedy inaczej na mnie spojrzał.

- O co chodzi? - zapytałem.

- Johnno - powiedział. - To chyba najlepszy pomysł, jaki miałeś w życiu.

- Tak, ale nie mógłbyś naprawdę tego wykorzystać. No wiesz ... przez to, co się stało.

- To było milion lat temu - odparł. - A poza tym to był wypadek, pamiętasz? - A kiedy nie odpowiedziałem, powtórzył: - Pamiętasz?

Spojrzałem na niego. Naprawdę w to wierzył? Czekał na odpowiedź.

- Tak. Pamiętam.

W okamgnieniu zorganizował nam zdjęcia próbne. I wszyscy wiemy, jak to się dalej potoczyło. A przynajmniej dla niego. Jak wiadomo, ostatecznie nikt nie potrzebował mojej paskudnej gęby.

Dociera do mnie, że Piers dziwnie na mnie patrzy. Chyba zadał mi jakieś pytanie.

- Przepraszam. Możesz powtórzyć?

- Mówiłem, że masz ręce pełne roboty. No cóż, z naszej straty wyjdzie przynajmniej dobra whisky.

Naszej straty? Ale to nie była ich strata: sami mnie odrzucili.

Upijam duży łyk alkoholu.

- Piers - mówię. - Nie chcieliście mnie w programie. Więc bez urazy, ale co ty, kurwa, pieprzysz?

## *Aoife*

### *Organizatorka ślubów*

Pochmurna plama na horyzoncie rozprzestrzenia się i ciemnieje. Wiatr się wzmógł. Jedwabne sukienki łopoczą, kilka kapeluszy toczy się po trawniku, dekoracje koktajlów podrywają się w powietrze.

Nad wznmagającymi się odgłosami wichury płynie głos śpiewaczki:

*Is tusa ceol mo chroi,*

*Mo mhuirnfn*

*is tusa ceol mo chroi.*

Jesteś muzyką mego serca,

Mój skarbie,

Jesteś muzyką mego serca .

Na moment zapominam, jak się oddycha. Ta piosenka. Matka śpiewała nam ją, kiedy byliśmy mali. Zmuszam się do zrobienia wdechu i wydechu. Skup się, Aoife. Masz za dużo na głowie.

Goście zasypują mnie żądaniami:

- Są tartinki bezglutenowe?

- Gdzie tu jest najlepszy zasięg?

- Proszę zawołać fotografa, żeby zrobił nam zdjęcie.

- Może mnie pani przenieść do innego stolika?

Poruszam się między nimi, uspokajając, odpowiadając na pytania, kierując ich w stronę ubikacji, szatni, baru. Mam wrażenie, że jest ich dużo więcej niż sto pięćdziesiąt osób. Są wszędzie: wchodzą i wychodzą przez poły namiotu nieprzerwanym strumieniem, tłoczą się przy barze i na trawniku, pozując do zdjęć robionych telefonami, całując się i jedząc tartinki roznoszone przez zastęp kelnerów. Impreza na dobre się nie rozpoczęła, a zawróciłam już kilku gości z granicy torfowiska, jeszcze zanim władowali się w kłopoty.

- Przepraszam państwa - mówię, przekierowując kolejną grupę, próbującą wejść na cmentarz z drinkami w dłoniach, jak gdyby oglądali jakąś odpustową atrakcję. - Niektóre z tych nagrobków są bardzo stare i kruche.

- Nikt ich od dawna nie odwiedzał - odpowiada jeden z mężczyzn tonem z gatunku „uspokój się, kobieto”, gdy niechętnie się wycofują. - To opuszczona wyspa, więc chyba nikomu by to nie przeszkadzało. - Najwyraźniej nie zauważył jeszcze części należącej do mojej rodziny i cieszy mnie to. Nie chcę, żeby kręcili się wokół czyichkolwiek nagrobków, rozlewali po nich alkohol i stąpali po uświęconej ziemi w szpilkach i wypolerowanych brogach, czytając na głos nagrobne inskrypcje. Nie chcę, by moja tragedia tam wypisana stała się przedmiotem ich rozrywki.

Przygotowałam się na to, że będę się czuć dziwnie, goszcząc tu tylu ludzi. To zło konieczne - ostatecznie tego właśnie chciałam. Znów sprowadzić ludzi na wyspę. Nie spodziewałam się jednak, że tak bardzo będę to odbierać jak wtargnięcie na teren prywatny.

## **Olivia**

### *Druhna*

Ceremonia ciągnęła się całymi godzinami, a przynajmniej tak mi się zdawało. Nie mogłam przestać się trząść w mojej cienkiej sukience. Tak mocno zaciskałam dłonie na bukicie, że kolce przebiły białą, satynową wstążkę i pokłuły mi palce. Musiałam wyssać małe kropelki krwi, kiedy nikt nie patrzył.

Ale w końcu wszystko dobiegło końca.

Po ceremonii przysłała kolej na zdjęcia. Twarz boli mnie od sztucznego uśmiechu. Policzki najbardziej. Fotograf się na mnie wziął i co chwilę wołał „Rozchmurz tę smutną buźkę, kwiatuszku! ”. Próbowałam. Wiem, że po drugiej stronie obiektywu na pewno nie wyglądało to, jakbym się uśmiechała - raczej jakbym szczyrzyła zęby, bo tak właśnie to czułam. Widziałam, że Jules robi się na mnie coraz bardziej zła, ale trudno mi było coś na to poradzić. Nie mogłam sobie przypomnieć, jak się normalnie uśmiechać. Mama położyła mi dłoń na ramieniu.

- Wszystko w porządku, Livvy? - Dostrzegła chyba, że coś jest nie tak. Że absolutnie nic nie jest w porządku.

Ludzie tłoczą się wokół nas: ciotki, wujkowie i kuzyni, których nie widziałam od wieków.

- Livvy, nadal jesteś z tym chłopakiem? - pyta moja kuzynka Seth - Jak miał na imię? - Jest ode mnie trochę młodsza: ma piętnaście lat. Zawsze miałam poczucie, że jestem dla niej wzorem. Pamiętam, jak w zeszłym roku, na pięćdziesiątych urodzinach ciotki, opowiedziałam jej o Callumie, czując dumę, gdy ona chłonęła każde moje słowo.

- Callum - odpowiadam. - Nie ... już nie.

- I skończyłaś pierwszy rok w Exeter? - pyta ciotka Meg. Czyli mama nie powiedziała jej, że rzuciłam studia. Kiedy próbuję skinąć głową, mam

wrażenie, że jest za ciężka jak na moją szyję.

- Tak - odpowiadam, bo łatwiej jest udawać. - Tak, nauka idzie świetnie.

Staram się odpowiadać na wszystkie ich pytania, ale jest to jeszcze bardziej wyczerpujące niż uśmiechanie się. Mam ochotę krzyczeć ... w środku naprawdę krzyczę. Widzę, jak niektórzy patrzą na mnie z konsternacją - widzę nawet, jak puszczają sobie porozumiewawcze spojrzenia, które mówią: „Co jej dolega?”. Najwyraźniej nie przypominam Olivii, którą pamiętają. Tamta dziewczyna była rozmowna, towarzyska i dużo się śmiała. Ale nie jestem już nawet Olivią, którą sama pamiętam. Nie jestem pewna, czy ani jak kiedykolwiek do niej wrócę. A nie potrafię przed nimi grać. Nie jestem jak mama.

Nagle znów czuję, że nie mogę oddychać, jakbym nie była w stanie wciągnąć powietrza w płuca. Chcę uciec od ich pytań i życzliwych, zatroskanych twarzy. Mówię im, że idę poszukać toalety. Nie reagują na to. Może czują ulgę. Odłączam się od grupy. Chyba słyszę, jak woła mnie mama, ale idę dalej, a ona wkrótce przestaje - pewnie ktoś ją zagadał. Mama uwielbia mieć publiczność. Ściągam idiotyczne szpilki, które zdążyłam już ubrudzić ziemią. Nie wiem, gdzie dokładnie zmierzam, poza tym, że jak najdalej od ludzi.

Po mojej lewej stronie znajdują się klify z czarnego kamienia błyszczące od obryzgującej je wody. W kilku miejscach widać ślady osunięć, jak gdyby spore fragmenty ziemi nagle zniknęły w morzu, pozostawiając za sobą poszarpaną linię. Zastanawiam się, jak by to było, gdyby nagle zapadł się pod mną grunt, zniknął, a ja wraz z nim. Zdaję sobie sprawę, że przez chwilę stoję tam, niemal pragnąc, by tak się stało.

W dole ścieżki, którą idę, widzę małe zatoczki pomiędzy klifami wypełnione białym piaskiem. Fale są duże, te w głębi morza mają wielkie, białe grzywy. Dają się owiać wiatrowi, aż czuję, jakby próbował mi wyrwać włosy z głowy i wywinąć powieki na drugą stronę. Wiatr popycha mnie, jak gdyby z całych sił starał się zepchnąć mnie do wody.

Czuję na twarzy piekącą sól.

Morze ma tu jasnoniebieski kolor, jak na zdjęciu z Wysp Karaibskich, które w zeszłym roku odwiedziła z rodziną moja przyjaciółka Jess. Zamieściła na Instagramie jakieś pięćdziesiąt tysięcy zdjęć w bikini (oczywiście totalnie przerobionych w Facetunie, żeby jej nogi wydały się dłuższe, talia węższa, a piersi większe). To, na co patrzę, jest chyba bardzo piękne, ale tego nie czuję. Nie potrafię już doznawać pozytywnych rzeczy: smaku jedzenia, promieni słońca na mojej twarzy, fajnej piosenki w radiu. Gdy patrzę na morze, czuję jedynie tępy ból gdzieś pod żebrami, który odzywa się jak stara kontuzja.

Znajduję zejście na dół, które nie jest bardzo strome i gdzie ziemia styka się z plażą, tworząc łagodne zbocze. Muszę się tylko przedrzeć przez

krzaki, które je porastają - małe, sztywne i cierniste. Czepiają się mojej sukienki, gdy się przez nie przeciskam, a potem potykam się o korzeń i spadam na dół po zboczu. Czuję, jak jedwab się drze - Jules dostanie szalu - i wtedy ląduję na kolana - bam! Szczypią mnie i jedyne, co przychodzi mi do głowy, to to, że po raz ostatni czułam się tak może dziewięć lat temu, kiedy chodziłam jeszcze do szkoły. Chcę płakać jak dziecko, kiedy idę chwiejnym krokiem po plaży, bo to powinno boleć, całe moje ciało powinno boleć - ale łzy nie płyną - od dawna nie jestem w stanie ich sprowokować. Gdybym potrafiła się rozplakać, to może poczułabym się lepiej. To jak utracona umiejętność, język, którego zapomniałam.

Siadam na mokrym piasku i czuję, jak sukienka nasiąka wilgocią. Mam zdrapane kolana, jakbym była na placu zabaw - różowe, białe i brudne od ziemi. Otwieram małą torebeczkę obszytą koralikami i ostrożnie wyciągam ze środka żyłkę. Podciągam tkaninę sukienki i dociskam metal do skóry. Obserwuję, jak na wierzch wypływają intensywnie czerwone kropelki krwi - na początku powoli, po chwili szybciej. Mimo że czuję ból, mam wrażenie, że to nie moja krew, nie moja noga. Zaciskam więc ranę, powodując, że krwi jest jeszcze więcej, i czekam, aż poczuję, że należy do mnie.

Krew ma żywoczerwony kolor, tak żywy, że aż piękny. Przykładam do niej palec i wkładam go do ust, by poczuć jej metaliczny smak. Pamiętam krew po „zabiegu”.

Powiedzieli, że „skąpe, jasne płamienie” to zupełnie normalny objaw. Ale miałam wrażenie, że ciągnie się to tygodniami. Na mojej bieliźnie pojawiały się ciemnobrązowe plamy, jak gdyby coś we mnie rdzewiało.

Pamiętam dokładnie, gdzie się znajdowałam, gdy zdałam sobie sprawę, że spóźnia mi się okres. Byłam z Jess na domówce, którą w swoim mieszkaniu urządzali jacyś ludzie z drugiego roku. Jess właśnie powiedziała mi, że musiała przetrząsnąć szafki w łazience w poszukiwaniu tamponów, bo miesiączka przyszła wcześniej niż zwykle. Pamiętam, że kiedy mi to powiedziała, poczułam coś dziwnego, zgagę, jakbym nie mogła zaczerpnąć wdechu - trochę tak jak teraz. Zdałam sobie sprawę, że nie mogę sobie przypomnieć, kiedy ostatnio musiałam użyć tamponu. I czułam się dziwnie wzdęta, obrzydliwa i zmęczona, ale myślałam, że to przez śmieciowe jedzenie i mój kiepski nastrój po historii ze Stevenem. Rzeczywiście trochę minęło. W niektóre miesiące moje miesiączki są bardzo skąpe, więc prawie ich nie odczuwam. Ale zawsze są. Regularnie.

Było to w połowie nowego semestru. Poszłam do lekarki w przychodni studenckiej i zrobiłam u niej test ciążowy, bo nie ufałam sobie, że zrobię go prawidłowo. Powiedziała mi, że jest pozytywny. Siedziałam, wpatrując się w nią, jakbym nie miała zamiaru dać się na to nabrać, jakbym czekała, aż mi powie, że żartuje. Właściwie nie wierzyłam, że to prawda. I wtedy

zaczęła mi tłumaczyć, jakie mam opcje, i pytać, czy mam kogoś, z kim mogłabym o tym porozmawiać. Nie mogłam nic z siebie wydusić. Pamiętam, że kilka razy otworzyłam usta, ale nic się z nich nie wydobyło, nawet powietrze, bo oddychanie znów stało się trudne. Czułam się tak, jakbym się dusiła. Lekarka patrzyła na mnie ze współczuciem, ale oczywiście nie mogła do mnie podejść i mnie przytulić ze względu na przepisy. Ale wtedy bardzo, bardzo potrzebowałam, żeby ktoś mnie objął.

Wyszłam stamtąd roztrzęsiona, czując się nieswojo. Nie mogłam normalnie chodzić - jakby uderzył we mnie samochód. Moje ciało wydawało się obce. Przez cały ten czas wykonywało tę dziwną, tajemną pracę ... a ja o niczym nie wiedziałam.

Nie mogłam nawet normalnie obsługiwać telefonu. W końcu jednak udało mi się go odblokować. Napisałam do niego na WhatsAppie. Zobaczyłam, że od razu odczytał moją wiadomość. Widziałam trzy małe kropczki, na górze wyświetlił się napis „pisze”. Po chwili zniknęły. Potem znów się pojawiły i „pisał” przez około minutę. A potem znów nic.

Zadzwoiłam do niego, bo najwyraźniej trzymał telefon w dłoni. Nie odebrał. Zadzwoiłam jeszcze raz, sygnał głucho brzmiał w słuchawce. Za trzecim razem od razu połączyłam się z pocztą głosową. Odrzucił połączenie. Zostawiłam mu wiadomość, choć nie jestem pewna, czy w ogóle był w stanie coś z niej zrozumieć, bo mój głos strasznie drżał.

Mama zabrała mnie do kliniki na zabieg. Przyjechała do Exeter z Londynu - prawie cztery godziny od drzwi do drzwi - i czekała na mnie, aż będzie po wszystkim, żeby zabrać mnie do domu.

- Tak jest najlepiej - powiedziała mi. - Tak jest najlepiej, skarbie. Urodziłam dziecko, będąc w twoim wieku. Wydawało mi się, że nie mam innego wyjścia. Moje życie i moja kariera dopiero się zaczynały. To wszystko zepsuło.

Dopiero by było, gdyby Jules to usłyszała. Podśledzałam kiedyś ich kłótnię, podczas której Jules wrzasnęła do mamy: „Nigdy mnie nie chciałaś! Wiem, że jestem twoim największym życiowym błędem ...”.

Nie miałam innej możliwości. Byłoby mi jednak dużo łatwiej, gdyby on odebrał, gdyby dał mi znać, że mnie rozumie, że też to czuje. Tylko jedno zdanie - to by mi wystarczyło.

- Drań z niego - powiedziała mama. - Że musiałaś sama przez to przechodzić.

- Mamo - odparłam na wypadek, gdyby jakimś niemożliwym zbiegiem okoliczności wpadła kiedyś na Calluma i zaczęła mu prawić kazania. - On nie wie. Nie chcę, żeby wiedział.

Nie wiem, dlaczego nie powiedziałam jej, że to nie on. Mama nie jest pruderyjna i nie oceniałaby mnie przez całą tę sprawę ze Stevenem. Ale

gdzieś w środku wiedziałam, że poczuje się dużo gorzej, opowiadając od początku całą tę historię, znów czując to odrzucenie.

Pamiętam wszystko, co wydarzyło się w drodze powrotnej z kliniki. Pamiętam, że mama wydawała się zupełnie inna niż zwykle i że nigdy jej takiej nie widziałam. Zaciskała dłonie na kierownicy tak mocno, że zbieła jej skóra. Co chwilę przeklinała pod nosem. Prowadziła jeszcze gorzej niż zwykle.

Kiedy dotarliśmy do domu, powiedziała mi, żebym położyła się na kanapie, przyniosła mi ciasteczka i zrobiła herbaty, a nawet przykryła mnie kocem, choć było dość ciepło.

Następnie usiadła obok mnie z herbatą w ręce, choć przecież jej nie pija. Tej też nie wypijała - siedziała tylko ze mną, zaciskając dłonie na kubku tak mocno jak na kierownicy.

- Mogłabym go zabić - powtórzyła. Jej głos brzmiał tak, jakby należało do kogoś innego. Był niski i chropawy. - Powinien dziś tam z tobą być - oznajmiła tym samym, dziwnym głosem. - Dobrze, że nie znam jego nazwiska. Inaczej zrobiłabym z nim porządek.

Wpatruję się w fale. Myślę, że wejście do wody mi pomoże. Ni stąd, ni zowąd mam wrażenie, że to jedyna rzecz, która podziała. Morze wydaje się takie czyste, piękne i doskonałe: przebywanie w nim było jak przebywanie we wnętrzu szlachetnego kamienia. Wstaję, otrząsam piasek z sukienki. Cholera ... na wietrze jest zimno. Ale to przyjemny chłód - nie to, co chłód w kaplicy. Wywiewa z mojej głowy prawie wszystkie myśli.

Zostawiam buty na mokrym piasku. Nawet nie ściągam sukienki. Wchodzę do wody, która jest o dziesięć stopni chłodniejsza od powietrza, lodowata. To sprawia, że mój oddech przyspiesza i łapczywie wciągam małe łyki powietrza. Czuję, jak rany na moich udach szczypią, gdy wżera się w nie sól. Wchodzę coraz głębiej, aż woda podchodzi mi do piersi, a potem ramion, i teraz naprawdę nie mogę normalnie oddychać, jakbym miała na sobie gorset. Czuję, jak w mojej głowie i na powierzchni skóry eksplodują małe fajerwerki, wszystkie złe myśli się obluźwiają i mogę łatwiej na nie spojrzeć.

Zanurzam głowę, machając nią, żeby sprawić, by złe myśli odpłynęły. Nadciąga fala i woda napełnia mi usta. Jest tak słona, że się nią krztuszę, a gdy się nią krztuszę, połykam jej więcej i nie mogę oddychać. Wpływa mi do nosa i za każdym razem, gdy otwieram usta, by zaczerpnąć powietrza, wciągam do środka jej wielkie, słone hausty.

Czuję pod stopami prąd wody i mam wrażenie, że gdzieś mnie ciągnie, próbuje ze sobą zabrać. Jakby moje ciało wiedziało o czymś, czego ja nie



wiem, bo o mnie walczy, a moje ręce i nogi wymachują. Zastanawiam się, czy tak to właśnie wygląda, gdy toniesz. A potem myślę, że tonę.

## *Jules*

### *Panna młoda*

Will i ja przebywamy z dala od tłumów, bo mamy sesję ślubną przy klifach. Wiatr wyraźnie się wzmógł. Ledwie zdążyliśmy wyjść z osłaniającej nas kaplicy, a garści rzuconego w nas confetti zostały zwiane w stronę morza, zanim w ogóle zdołały nas dotknąć. Na szczęście postanowiłam nie upinać włosów, więc żywioły nie zrujnują mi fryzury. Czuję, jak falują za moimi plecami, a mój tren unosi się jak jedwabna wstęga. Fotograf jest zachwycony.

- W tej koronie i z tą cerą wyglądasz jak pradawna gaelicka królowa - woła. Will uśmiecha się szeroko.

- Moja gaelicka królowa - wymawia bezgłośnie. Odwzajemniam uśmiech. Mój mąż.

Kiedy fotograf prosi nas, żebyśmy się pocałowali, wsuwam Willowi język do ust, na co on odpowiada tym samym, aż fotograf, nieco skrępowany, sugeruje, że takie zdjęcia są nieco zbyt „odważne” jak na oficjalne pamiątki.

Teraz wracamy do gości. Twarze, które zwracają się do nas, gdy wśród nich idziemy, są już zarumienione od ciepła i alkoholu. Czuję się przed nimi dziwnie naga, jak gdyby wcześniejszy stres mógł być widoczny na mojej twarzy. Próbuję sobie przypomnieć, jak wspaniale jest mieć tu ze sobą przyjaciół i bliskich, którzy wyraźnie dobrze się bawią.

I że wszystko się udało: stworzyłam wydarzenie, które zapadnie w pamięć, o którym będzie się mówić i które inni - bez powodzenia - będą próbowali odtworzyć.

Na horyzoncie zbierają się złowieszcze, ciemne chmury. Kobiety przytrzymują kapelusze na głowach, a spódnice między udami, piszcząc przy tym z rozbawieniem. Czuję, jak wiatr szarpie moim strojem, podrywając ciężką jedwabną spódnicę, jak gdyby to była lekka chustka, i świszczy pomiędzy metalowymi kolcami korony, próbując zerwać mi ją z głowy i wrzucić do morza.

Zerkam na Willa, żeby sprawdzić, czy to zauważył. Otoczony jest wianuszkami składających mu życzenia gości i jak zwykle powala wszystkich swoim urokiem. Wyczuwam jednak, że nie jest w pełni skupiony. Co chwilę wygląda za plecy różnych krewnych i przyjaciół,

którzy przyszli się z nami przywitać, jak gdyby kogoś szukał, na coś patrzył.

- O co chodzi? - Biorę jego dłoń. Teraz, z tą prostą, złotą obrączką, wygląda inaczej i obco.

- Czy tam stoi ... Piers? - pyta. - I rozmawia z Johnno?

Podążam za jego wzrokiem. Rzeczywiście, to Piers Whiteley, producent Przetrwac noc, który pochyla swoją łysiejącą głowę, uważnie słuchając tego, co Johnno ma mu do powiedzenia.

- Tak - potwierdzam. - To on. O co chodzi? - Bo o coś chodzi, jestem tego pewna: poznaję to po zmarszczonym czole Willa. Rzadko widzę u niego rozkojarzenie i lekki niepokój.

- O nic takiego - odpowiada. - To znaczy, to trochę niezręczna sytuacja, bo Johnno nie dostał pracy w telewizji. Szczerze mówiąc, nie wiem, dla kogo jest to bardziej niezręczne. Może powinienem tam podejść i uratować kogoś z nich.

- Są dorośli - rzucam. - Na pewno sobie poradzą.

Will jakby mnie nie słyszał. Co więcej, puszcza moją dłoń i idzie po trawie w ich stronę, przepychając się uprzejmię, ale zdecydowanie pomiędzy gośćmi, którzy zwracają się do niego z gratulacjami.

To nie w jego stylu. Oglądam się za nim, zastanawiając nad tym. Myślałam, że uczucie niepokoju opuści mnie, gdy wypowiemy słowa przysięgi. Ale nadal ze mną jest i siedzi mi w podbrzuszu jak choroba. Czuję, że podąża za mną coś wrogiego - mam to na skraju pola widzenia, lecz nie mogę dokładnie zobaczyć, co to. Ale to niedorzeczne.

Postanawiam, że potrzebuję chwili dla siebie, z dala od zamieszania.

Szybko mijam gości i ze spuszczoną głową, zdeterminowanym krokiem na wypadek, gdyby któryś z nich próbował mnie zatrzymać, wychodzę poza obręb tłumu. Wchodzę do pałacyku przez kuchnię. Panuje tu błoga cisza. Przemykam oczy na długą chwilę, w poczuciu ulgi. Na kłocu rzeźniczym pośrodku kuchni leży coś przykryte dużą ściereczką - pewnie składnik posiłku na późnej. Znajduję szklankę, nalewam sobie wody, słucham kojącego tykania zegara na ścianie. Stoję przed zlewem i pijąc wodę, liczę do dziesięciu i z powrotem do jednego. Zachowujesz się idiotycznie. Wszystko sobie wymyśliłaś.

Nie jestem pewna, co takiego budzi we mnie poczucie, że ktoś tu jest. Może jakiś zwierzęcy instynkt. Odwracam się i w drzwiach widzę ...

O Boże. Wydaję z siebie stłumiony jęk, serce wali mi jak młotem. To mężczyzna trzymający w dłoni ogromny nóż, którego ubranie wysmarowane jest krwią.

- Jezu Chryste - szepczę. Cofam się przed nim i ledwie udaje mi się nie upuścić szklanki. Moment czystego strachu, rosnącej adrenaliny ... po którym włącza się logika. To Freddy, mąż Aoife. Trzyma w dłoni nóż do

mięsa, a ślady krwi znajdują się na fartuchu, którym jest przewiązany w pasie.

- Przepraszam - mówi z tą swoją niezręczną manierą. - Nie miałem zamiaru cię przestraszyć. Kroję jagnięcinę. Mam tu lepsze stanowisko niż w namiocie cateringowym.

Dla potwierdzenia unosi ściereczkę leżącą na kłocu i pokazuje mi leżący pod spodem comber jagnięcy: karmazynowe, lśniące mięso, wystające białe kości.

Kiedy moje tętno wraca do normy, ogarnia mnie wstyd na myśl, jak oczywisty musiał być strach na mojej twarzy.

- Cóż - mówię, starając się przyjąć stanowczy ton. - Na pewno wyjdzie z tego coś pysznego. Dziękuję. - Szybko wychodzę, jednocześnie starając się nie zrobić wrażenia, jakbym uciekała.

Gdy wracam do gości, zauważam, że energia tłumu się zmieniła. Pobrzmiwa w nim nowy szmer zainteresowania. Coś dzieje się na morzu. Wszyscy stopniowo odwracają się, żeby zobaczyć co.

- O co chodzi? - pytam, próbując coś dostrzec ponad głowami zebranych. Tłum wokół mnie rzadnie, ludzie bez słowa przemieszczają się w stronę morza, żeby lepiej widzieć.

Może to jakieś morskie stworzenie. Aoife mówiła mi, że często widują stąd delfiny. Rzadziej wieloryba. To byłby niezły widok i atrakcyjny bonus do wydarzenia. Ale odgłosy dobiegające od osób stojących na czele tłumu do tego nie pasują. Spodziewałabym się pisków i okrzyków, pełnych ekscytacji gestów. Obserwują w skupieniu, cokolwiek to jest, ale nie wydają z siebie zbyt wielu dźwięków. Czuję przez to niepokój. To sugeruje coś złego.

Przepycham się do przodu. Ludzie rozpychają się łokciami, by zająć lepsze miejsce, jak gdyby walczyli o najlepszą pozycję na koncercie. Wcześniej, jako panna młoda, byłam wśród nich jak królowa i zebrani rozstępowali się przede mną, gdzie tylko się pojawiałam. Teraz zupełnie się zapomnieli, są zbyt zaaferowani tym, co się dzieje.

- Przepuście mnie! - krzyczę. - Chcę zobaczyć.

W końcu ustępują mi miejsca i przeciskam się bliżej przodu.

Coś się tam dzieje. Przymrużając oczy i osłaniając je przed światłem, jestem w stanie dostrzec ciemny kształt głowy. Pomyślałabym, że to foka albo jakieś inne morskie stworzenie, gdyby nie mignęła mi biała dłoń.

W wodzie jest człowiek. Z tej odległości trudno poznać kto. To na pewno jeden z gości - przecież nikt nie dopłynął tu ze stałego lądu. Nie zdziwiłabym się, gdyby było to Johnno - choć to niemożliwe, jeszcze kilka chwil temu rozmawiał z Piersem. Więc jeśli to nie on, to może to inny ekshibicjonista w naszym gronie, jeden z popisujących się drużbów. Jednak im lepiej się przyglądam, tam bardziej zdaję sobie sprawę, że pływak nie

kieruje się w stronę brzegu, a morza. I nie płynie. Teraz to widzę. Tak naprawdę ...

- Ktoś tam tonie! - krzyczy kobieta, chyba Hannah. - Porwał go prąd! Patrzcie!

Przechodzę do przodu, próbując lepiej się przyjrzeć i zmagając się z tłumem obserwatorów. Aż w końcu staję na samym przedzie i widzę wszystko wyraźniej. A może to po prostu dziwna, zagnieżdżona głęboko świadomość, dzięki której poznajemy swoich bliskich z oddali, nawet jeśli widzimy tylko tył ich głowy.

- Olivia! - krzyczę. - To Olivia! O Boże, to Olivia. - Próbuję biec, ale spódnica zahacza mi o obcasy, krępując moje ruchy. Słyszę odgłos rwącego się jedwabiu, lecz go ignoruję, zrzucam buty, biegnę dalej, tracąc równowagę, gdy grzęznę w mokrych, błotnistych fragmentach ziemi. Nigdy nie byłam dobrą biegaczką, a co dopiero w sukni ślubnej. Mam wrażenie, że poruszam się niewiarygodnie wolno. Całe szczęście Will nie ma podobnego problemu - pędzi przede mną, a za nim Charlie i kilku innych.

Kiedy w końcu docieram na plażę, potrzebuję tylko kilku chwil, żeby zrozumieć rozgrywającą się przede mną scenę. Hannah, która pewnie zaczęła biec równo ze mną, staje obok, ciężko dysząc. Charlie i Johnno stoją po uda w wodzie, a za nimi kilku innych mężczyzn tuż na brzegu - Femi, Duncan i pozostali. A dalej, z morza, wyłania się Will z Olivią na rękach. Moja siostra się szamocze, walczy, okłada go rękami, panicznie kopie. Ale on mocno ją trzyma. Jej włosy są czarne i śliskie, a sukienka całkowicie przejrzysta. Moja siostra wydaje się strasznie blada, jej skóra ma w sobie siny odcień.

- Mogła utonąć - mówi Johnno, wracając na plażę. Ma strapioną minę. Po raz pierwszy czuję względem niego coś na kształt sympatii. - Szczęście, że ją zauważyliśmy. Ta dziewczyna chyba oszalała, przecież widać, że woda jest tu otwarta. Mogło ją porwać na pełne morze.

Will wychodzi na brzeg i stawia Olivię na nogi. Odskakuje od niego i staje, gapiąc się na nas wszystkich. Jej oczy są czarne i nieprzeniknione. Przez przemoczoną sukienkę widać jej niemal nagie ciało: sterczące sutki, zagłębienie pępka. W jej wyglądzie jest coś pierwotnego. Jak u dzikiego zwierzęcia.

Widzę, że twarz i szyja Willa są podrapane, a na jego skórze wyłaniają się czerwone pręgi. I na ten widok coś się we mnie uruchamia. Choć kilka sekund temu przepełniał mnie strach o nią, teraz czuję gwałtowny, rozpalony do czerwoności przypływ gniewu.

- Ty porąbana suko - syczę.

- Jules - odzywa się Hannah łagodnym tonem, ale nie na tyle łagodnym, żebym nie dosłyszała lekkiego upomnienia w jej głosie. - Olivia chyba nie

czuje się dobrze. Ona ...

ona chyba potrzebuje pomocy ...

- Daj spokój, Hannah. - Gwałtownie odwracam się w jej stronę. - Rozumiem, że uruchomił ci się instynkt macierzyński, ale Olivia nie potrzebuje pierdolonej matki. Już jedną ma, która, możesz mi wierzyć, poświęca jej więcej uwagi, niż kiedykolwiek poświęciła mnie. Olivia nie potrzebuje pomocy. Potrzebuje wziąć się w garść. Nie pozwolę jej zepsuć mojego wesela. Więc ... nie mieszaj się w to, okej?

Widzę, jak robi krok w tył, prawie się potykając. Jestem na wpół świadoma jej zaszokowanej, zranionej miny. Przesadziłam. Ale teraz zupełnie mnie to nie obchodzi.

Odwracam się do siostry.

- Co ty, do cholery, tam robiłaś? - wrzeszczę na nią.

Olivia ledwie na mnie spogląda, otepiała, milcząca. Wygląda, jakby była pijana. Chwytam ją za ramiona. Jej skóra jest lodowata w dotyku. Chcę nią potrząsnąć, spoliczkować, pociągnąć za włosy, domagać się wyjaśnień. I wtedy jej usta otwierają się i zamykają, otwierają i zamykają. Wpatruję się w nią, próbując zrozumieć. Jak gdyby starała się sformułować słowa, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Wyraz jej oczu jest skupiony, błagalny. Sprawia, że przeszywa mnie dreszcz. Przez moment mam wrażenie, że próbuje przekazać mi wiadomość, do rozszyfrowania której nie mam narzędzi. Czy to przeprosiny? Wyjaśnienie?

Zanim zdążę powiedzieć, żeby spróbowała jeszcze raz, dobiega do nas matka.

- Och, córeczki, moje córeczki. - Obejmuje nas obie kościstymi rękami. Pod chmurą perfum Shalimar czuję ostry, drażniący zapach jej potu, jej strachu. Oczywiście to Olivie tak naprawdę obejmuje. Ale przez chwilę pozwalałam sobie na to, by poddać się jej uściskowi.

Po chwili odwracam się za siebie. Doganiają nas inni goście. Słyszę szmery ich głosów, emanującą od nich aurę podekscytowania. Muszę załagodzić tę sytuację.

- Ktoś jeszcze ma ochotę popływać? - Nikt się nie śmieje. Cisza zdaje się przeciągać. Wszyscy jakby czekali, skoro przedstawienie się skończyło, na sygnał, co robić dalej.

Jak się zachowywać. Nie wiem, co robić. Nie przewidziałam takiego rozwoju zdarzeń. Odwracam się więc do nich, czując, jak wilgoć piasku wnika w moją suknię.

Dzięki Bogu za Aoife, która wyłania się między nimi w swojej schludnej, rozsądnej, granatowej sukience i koturnach. Jest całkowicie opanowana. Widzę, jak goście odwracają się w jej stronę, jak gdyby respektowali jej autorytet.

- Proszę państwa! - woła. - Proszę o uwagę. - Jak na taką drobną i małomówną kobietę, ma imponująco donośny głos. - Proszę za mną. Wkrótce podamy uroczysty obiad.

Zapraszam wszystkich do namiotu weselnego!

**Johnno**

*Świadek*

Popatrzcie na niego. Zgrywa bohatera i wynosi siostrę Jules z wody. Tylko, kurwa, na niego popatrzcie. Zawsze był dobry w sprawianiu, by ludzie widzieli w nim dokładnie to, co chciał.

Znam Willa lepiej niż inni, może nawet najlepiej na świecie. Założę się, że znam go nawet lepiej niż Jules i że ona nigdy mnie nie przebije. Dla niej nałożył na twarz maskę, ogrodził się. Ale ja strzegę jego tajemnic, bo należą do nas obu.

Zawsze wiedziałem, że jest bezwzględny skurwysynem. Wiedziałem o tym od czasów szkolnych, kiedy ukradł arkusze egzaminacyjne. Sądziłem jednak, że ta część jego osobowości nie stanowi dla mnie zagrożenia. Jestem jego najlepszym przyjacielem.

Tak mi się zdawało jeszcze pół godziny temu.

- Bardzo żałowaliśmy - powiedział Piers - gdy okazało się, że nie chcesz wziąć udziału w programie. To znaczy kobiety uwielbiają Willa. Jest stworzony do telewizji. Ale czasem bywa zbyt... gładki. I tak między nami: nie wydaje mi się, żeby oglądający program mężczyźni szczególnie go lubili. Badanie konsumenckie, które przeprowadziliśmy, wykazało, że ich zdaniem jest... Nie będę owijał w bawełnę: jeden z badanych nazwał go „dupkiem”. Niektórych widzów, w szczególności mężczyzn, zniechęca prowadzący, który jest trochę zbyt idealny. Ty byś to zrównoważył.

- Chwila - odpowiedziałem. - Dlaczego myśleliście, że rezygnuję?

Na początku Piers wyglądał na nieco poirytowanego: nie jest chyba typem człowieka, który lubi, gdy mu się przerywa w pół zdania, kiedy opowiada o demografii widzów. Po chwili zmarszczył czoło, gdy dotarło do niego, co powiedziałem.

- Dlaczego myśleliśmy ... - Urwał w połowie i pokręcił głową. - Chyba dlatego, że nie pojawiłeś się na spotkaniu.

Nie miałem pojęcia, o czym mówi.

- Jakim spotkaniu?

- Spotkaniu, na którym mieliśmy omówić, jak wszystko się dalej potoczy. Will przyszedł ze swoim agentem i powiedział, że

przeprowadziliście długą rozmowę i zdecydowałeś, że to jednak nie dla ciebie. Że nie jesteś „typem, który nadaje się do telewizji”.

Mówiłem to ludziom przez ostatnie cztery lata. Tylko że nigdy nie powiedziałem tego Willowi. A przynajmniej nie wtedy. Nie przed jakimś ważnym spotkaniem.

- Nie wiedziałem o żadnym spotkaniu - odparłem. - Dostałem maila, że ze mnie rezygnujecie.

Wydawało się, że minęła chwila, zanim wszystko do niego dotarło. Wtedy Piers otworzył usta i zamknął je po cichu, bez słowa, jak ryba: bop, bop, bop. W końcu powiedział:

- To niemożliwe.

- Możliwe - odpowiedziałem. - Właśnie, że możliwe. I jestem tego pewien na sto procent, no bo nigdy nie usłyszałem o żadnym spotkaniu.

- Ale wysłaliśmy maila ...

- Właśnie. Ale mojego adresu nigdy nie mieliście, prawda? Cała komunikacja odbywała się przez Willa i jego agenta. Wszystko organizowali sami.

- Wiesz - odparł na to Piers. Chyba dotarło do niego, że otworzył puszkę Pandory. - Wiesz - powtórzył, jak gdyby równie dobrze mógł teraz grać w otwarte karty. - Jasno zakomunikował, że nie jesteś zainteresowany. Że zastanawiasz się, czego tak naprawdę chcesz w życiu, i że to nie to. I było nam tak strasznie szkoda, bo ty i Will, jak zawsze planowaliśmy ... jeden gładki gość i jeden szorstki. To by dopiero był hit.

Nie było sensu mówić Piersowi więcej na ten temat. Już i tak wyglądał, jakby chciał się teleportować w zupełnie inne miejsce. Prawie powiedziałem do niego: *Jesteśmy na malej wysepce, stary. Nie ma dokąd uciec.* Nie zdziwiło mnie, że tak się poczuł. Widziałem, jak zerka przez ramię, szukając kogoś, kto by go uratował.

Ale to nie z nim miałem rachunki do wyrównania. Tym kimś był gość, którego uważałem za swojego najlepszego przyjaciela.

O wilku mowa. Will szedł w naszą stronę, sadząc wielkie kroki, uśmiechając się szeroko do nas obu. Zastrany przystojniaczek, perfekcyjnie ulizany, jakby w ogóle nie wiało.

- O czym tak tu plotkujecie? - zapytał. Stał na tyle blisko, że mogłem dostrzec kropelki potu na jego czole. Will jest jednym z tych facetów, którzy rzadko kiedy się pocą.

Nawet na boisku, gdy graliśmy w rugby, prawie nigdy nie widziałem, żeby wyraźnie się zgrzał. Ale teraz był nieźle spocony.

Spóźniłeś się, stary, pomyślałem. Kurewsko się spóźniłeś.

Chyba rozumiem. Był na to za sprytny, żeby odciąć się ode mnie już na samym początku. Pomysł na Przetrzeć noc był mój i obaj dobrze o tym wiedzieliśmy. Gdyby tak zrobił, mógłbym puścić parę i wygadać

wszystkim, co się stało, gdy byliśmy w szkole. Nie miałem aż tyle do stracenia, co on. Zabrał mnie na zdjęcia, sprawił, że poczułem się częścią całego procesu, a potem wszystko upozorował tak, jakby to kto inny się mnie pozbył. Jakby nie było w tym jego winy. Przykro mi, stary. Wielka szkoda. Fajnie byłoby razem pracować.

Pamiętam, jaką miałem frajdę podczas zdjęć. Czułem się swobodnie, opowiadając o wszystkich tych rzeczach - rzeczach, na których się znam. Czułem, że mam coś do powiedzenia - coś, czego ludzie by słuchali. Gdyby kazali mi wyrecytować tabliczkę mnożenia albo mówić o polityce, miałbym przesrane. Ale wspinaczka i zjazdy na linie i tym podobne - uczyłem tych rzeczy w poprzedniej pracy. Po kilku chwilach kompletnie zapomniałem o tym, że jest z nami kamera.

Ale najbardziej obraźliwą rzeczą jest to, jakie to wszystko musiało się wydawać Willowi proste. Głupi Johnno ... tak łatwo zamydlić mu oczy. Teraz rozumiem, dlaczego ostatnio trudno mi było się z nim skontaktować. Dlaczego czułem się tak, jakby mnie odepchnął. Dlaczego praktycznie musiałem go błagać, żebym mógł zostać jego świadkiem. Kiedy się na to zgodził, pewnie myślał, że to nagroda pocieszenia, plaster na moją ranę. Ale bycie czyimś świadkiem nie wyrównuje rachunków. To za mały opatrunek. Wykorzystywał mnie przez cały ten czas, odkąd poznaliśmy się w szkole. Odwalałem za niego brudną robotę. Ale nie chciał się ze mną dzielić popularnością, o nie.

Kiedy stanął przed wyborem, rzucił mnie na pożarcie lwom.

Połykam whisky jednym haustem. Co za dwulicowy skurwysyn. Trzeba będzie znaleźć sposób, żeby się na nim odegrać.

## ***Hannah***

### *Osoba towarzysząca*

Olivia jest siostrą kogoś innego, córką kogoś innego. Może nie powinnam się w to mieszać, tak jak powiedziała Jules. Ale mimo to nie mogę. Podczas gdy inni goście wchodzą do namiotu, ja idę w przeciwnym kierunku, do pałacyku.

- Olivio? - wołam po wejściu do środka. Nie słyszę odpowiedzi. Moje słowa wracają do mnie odbite od kamiennych ścian. Pałacyk wydaje się teraz taki cichy, ciemny i pusty.

Trudno uwierzyć, że ktoś tu jeszcze jest. Wiem, gdzie znajduje się pokój Olivii, to drzwi prowadzące z jadalni - postanawiam, że zajrzę tam w pierwszej kolejności. Pukam do niej.

- Olivio?



- Tak? - słyszę cichy głosik dobiegający ze środka. Biorę to za znak, że mogę otworzyć. Olivia siedzi na łóżku z ręcznikiem zarzuconym na ramiona.

- Nic mi nie jest - mówi, nie patrząc na mnie. - Za chwilę przyjdę do namiotu. Muszę się tylko przebrać. Nic mi nie jest. - Nie brzmi przekonująco, nawet kiedy powtarza te słowa.

- Nie wyglądasz, jakby nic ci nie było - odpowiadam.

Wzrusza ramionami, ale więcej nie zaprzecza.

- Posłuchaj, wiem, że to nie moja sprawa. Wiem, że prawie się nie znamy. Ale kiedy wczoraj rozmawialiśmy, odniosłam wrażenie, że przechodzisz coś bardzo poważnego ...

Udawanie, że wszystko jest w porządku, na pewno jest trudne.

Olivia dalej nic nie mówi i nie patrzy na mnie.

- Po prostu chciałam cię zapytać, dlaczego znalazłaś się w wodzie?

Olivia znów wzrusza ramionami.

- Nie wiem - odpowiada. Chwila milczenia. - To wszystko mnie przytłoczyło: ślub, goście. Mówili, że pewnie tak bardzo się cieszę ze względu na Jules. Pytali o to, jak się mam. O uczelnię ... - Milknie i spuszcza wzrok. Jej paznokcie są obgryzione jak u dziecka, skórki zaognione i zdarte na tle bladej skóry. - Po prostu chciałam od tego wszystkiego uciec.

Jules przedstawiła wszystko tak, jakby to był tylko głupi wybryk, jakby Olivia próbowała zwrócić na siebie uwagę. Podejrzewam, że było zupełnie na odwrót. Myślę, że ona próbowała zniknąć.

- Mogę ci się do czegoś przyznać? - pytam ją.

Nie powstrzymuje mnie, więc mówię dalej.

- Pamiętasz, jak wspomniałam wczoraj o swojej siostrze Alice?

- Tak.

- Chyba trochę mi ją przypominasz. Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że to powiedziałam. Przyrzekam, to komplement. Jako pierwsza w naszej rodzinie poszła na studia. Miała najlepsze wyniki egzaminów końcowych, skończyła szkołę z samymi celującymi.

- Ja nie jestem taka bystra - mamrocze Olivia.

- Nie? Myślę, że się nie doceniasz. Studiowałaś literaturę w Exeter, prawda? To dobry kierunek.

Wzrusza ramionami.

- Alice chciała zaangażować się w politykę - mówię. - Wiedziała, że będzie do tego potrzebować nienaganych papierów i świetnych ocen. Oczywiście je zdobyła i dostała się na jeden z najlepszych uniwersytetów w kraju. I gdy na pierwszym roku przekonała się, że bez trudu zbiera najwyższe oceny za wszystkie prace pisemne, trochę wyluzowała i znalazła

sobie chłopaka. Razem z rodzicami uważaliśmy, że to trochę zabawne, bo była w niego strasznie zapatrzona.

Alice opowiedziała mi o nim, kiedy przyjechała do domu na Boże Narodzenie. Poznała go w Reeling Society, ekskluzywnym stowarzyszeniu, do którego dołączyła, bo na koniec semestru organizuje ono elegancki bal dla swoich członków. Pamiętam, jak myślałam sobie, że traktuje ten związek z takim samym zaangażowaniem, co naukę.

- Jest powalająco przystojny, Han - wyznała. - Każda chciałaby z nim być. Nie mogę uwierzyć, że w ogóle na mnie spojrział - powiedziała, błagając mnie, żebym nikomu się nie wygadała, że poszła z nim do łóżka. Był pierwszym chłopakiem, z jakim to zrobiła. Ponoć połączyło ją z nim coś tak silnego, że sama była tym zaskoczona. Ale też podawała to w wątpliwość i stwierdziła, że to pewnie hormony i socjokulturowa idealizacja młodszej miłości. Moja piękna, inteligentna siostra próbowała zracjonalizować swoje uczucia ... cała Alice.

- Po jakimś czasie przestała nim być taka zainteresowana - opowiadam Olivii.

Dziewczyna unosi brwi.

- Obrzydł jej? - Olivia wydaje się zaciekawiona.

- Chyba tak. W Wielkanoc już tyle o nim nie mówiła. Kiedy o niego zapytałam, powiedziała, że jednak nie był człowiekiem, jakim się jej wydawał. I że poświęciła mu za dużo czasu, więc teraz musi porządnie wziąć się do nauki. Dostała kiepską ocenę za jeden ze swoich esejów i to ją otrzeźwiło.

- Rany - mówi Olivia, przewracając oczami. - Straszna kujonka. - Ale po chwili się opanowuje. - Przepraszam.

Uśmiecham się.

- Powiedziała jej dokładnie to samo. Ale taka właśnie była Alice. Tak czy inaczej, chciała zachować się wobec niego w porządku i zerwać z nim w cztery oczy. - To też było bardzo w jej stylu.

- Jak on to przyjął?

- Kiepsko - odpowiadam. - Zachowywał się okropnie, powiedział, że nie da się jej upokorzyć. Że mu za to zapłaci. - Zapamiętałam to, bo zaczęłam się zastanawiać, co takiego mógłby jej zrobić. Jak się zmusza kogoś, żeby „zapłacił” za zerwanie?

- Nie powiedziała mi, co zrobił, żeby się na niej odegrać - wyjaśniam Olivii. - Ani mnie, ani mamie, ani tacie. Za bardzo się wstydziła.

- Ale się dowiedziałaś?

- Później - odpowiadam. - Dużo później. On ją nagrał.

W uczelnianym intranecie zamieszczono film z udziałem Alice. Film, który pozwoliła mu nagrać po eleganckim balu w Reeling Society. Usunięto go z serwera, kiedy tylko uczelnia dowiedziała się o jego istnieniu. Ale do

tego czasu wieści zdołały się już rozejść, mleko się rozlało. Na inne komputery na kampusie zgrano jego kopie. Zamieszczono je w internecie. Usuwano je i zamieszczano ponownie.

- Czyli. .. pornozemsta? - pyta Olivia.

Kiwam głową.

- Tak to się teraz nazywa. Ale wtedy to były bardziej niewinne czasy. Teraz ostrzega się dziewczyny, żeby bardziej uważały, prawda? Wszyscy wiedzą, że jeśli pozwalasz komuś robić sobie zdjęcie albo nagrywać z tobą film, to ostatecznie mogą wylądować w sieci.

- No chyba - dopowiada Olivia. - Ale ludzie zapominają się w trakcie. Albo wiesz, kiedy ktoś naprawdę ci się podoba i cię o to poprosi. Czyli pewnie wszyscy na uczelni to widzieli?

- Tak. Ale najgorsze było to, że w tamtym czasie nie mieliśmy o tym pojęcia, nie powiedziała nam. Za bardzo się wstydziła. Może myślała, że stracimy o niej dobre zdanie.

Zawsze była taka idealna, choć oczywiście nie dlatego ją kochaliśmy. - To, że nawet mi o niczym nie powiedziała, wciąż boli najbardziej. - Myślę, że czasem najtrudniej jest powiedzieć ludziom, z którymi jest się najbliżej. Tym, których kochasz. Brzmi znajomo?

Olivia kiwa głową.

- Chciałam dać ci znać, że możesz mi powiedzieć. Rozumiesz? Bo widzisz, zawsze lepiej wszystko wyznać, nawet jeśli się tego wstydzisz, nawet jeśli czujesz, że ludzie będą cię przez to oceniać. Chciałabym, by Alice była w stanie ze mną o tym porozmawiać. Mogłaby wtedy nabrać dystansu, którego jej brakowało.

Olivia spogląda na mnie, po czym odwraca wzrok. Jej głos jest niewiele głośniejszy od szeptu.

- Racja.

I wtedy od strony namiotu dobiega nas głos z mikrofonu.

- Panie i panowie. - To głos Charliego, który pewnie odgrywa rolę mistrza ceremonii. - Proszę zająć miejsca, lada moment zostanie podany obiad weselny.

Nie mam czasu, żeby opowiedzieć Olivii resztę - i może tak jest lepiej. Nie mówię jej o tym, jak to zdarzenie odcisnęło ogromne piętno na życiu Alice i jej charakterze. Nikt z nas nie wiedział, jaka Alice była wrażliwa. Zawsze wydawała się taka kompetentna, zdeterminowana: miała świetne stopnie, grała w drużynach sportowych, dostała się na uczelnię, zawsze nad wszystkim panowała. Ale pod spodem znajdowała się splątana masa niepokojów i lęków, których nikt z nas nie dostrzegał, aż było za późno. Nie potrafiła sobie poradzić ze wstydem wynikłym z całej tej sytuacji. Uświadomiła sobie, że to koniec jej marzeń o politycznej karierze. Nie chodziło tylko o to, że nie zrobiła licencjatu, bo rzuciła studia. W internecie

znajdowało się nagranie, na którym robi komuś laskę - i nie tylko. Nie dało się go usunąć.

Nie powiedziałam więc Olivii, jak w pewien czerwcowy dzień dwa miesiące po tym, jak wróciła do domu z uczelni, Alice połknęła koktajl tabletek przeciwbólowych i praktycznie wszystkiego, co tylko znalazła w szafce z lekami w łazience, podczas gdy mama pojechała odebrać mnie z treningu siatkówki. Jak siedemnaście lat temu w tym miesiącu moja piękna, mądra siostra popełniła samobójstwo.

## ***Aoife***

Organizatorka ślubów To, co przed chwilą stało się z druzną, jest moją winą. Powinnam była to przewidzieć. A właściwie przewidziałam to: wiedziałam, że z tą dziewczyną będą kłopoty.

Wiedziałam, kiedy dziś rano podałam jej śniadanie. Trzymała się jakoś podczas ceremonii, mimo że miała minę, jakby chciała się odwrócić i dać nogi za pas. Później, oczywiście, starałam się mieć na nią oko. Ale cały czas ktoś zawracał mi głowę: goście byli tacy natarczywi, tacy zacierzewieni, że obsługa - głównie starsi licealiści i studenci, którzy wrócili na letnie wakacje - ledwie byli w stanie sobie z nimi poradzić.

Aż nagle powstał cały ten zamęt i zauważono dziewczynę w wodzie. Widząc ją, wróciłam nagle myślami do innego dnia. Bezsilność. Widziałam znaki, ale ignorowałam je, aż było za późno. Te uporczywe obrazy w moich snach: podnosząca się woda, moje wyciągnięte ręce, jak gdybym była w stanie coś zrobić ...

Tym razem ratunek był możliwy. Myślę o panu młodym, który wyszedł z wody, niosąc ją na rękach, bohater dnia. Ale może byłabym w stanie w ogóle temu zapobiec, gdybym była bardziej czujna. Jestem na siebie zła o to zaniedbanie. Udało mi się utrzymać przed gośćmi fasadę chłodnego profesjonalizmu, kiedy trzeba było ich przeprowadzić z powrotem do namiotu. Nawet gdybym tak nad sobą nie panowała, to wątpię, żeby ktokolwiek zauważył, że coś jest nie tak. Koniec końców moją pracą jest bycie niewidzialną.

Potrzebuję Freddy'ego. Freddy zawsze poprawia mi samopoczucie.

Zastaję go skrytego przed gośćmi w strefie cateringowej na tyłach głównego namiotu: nakłada porcje na talerze w asyście swoich pomocników. Na chwilę wyciągam go na zewnątrz, gdzie nie śledzą nas ciekawskie spojrzenia.

- Ta dziewczyna prawie utonęła - mówię. Kiedy o tym myślę, ledwie jestem w stanie oddychać. Widzę oczami wyobraźni, jak to wszystko mogło się potoczyć. Jak gdybym nagle cofnęła się do dnia, który nie miał

szczęśliwego zakończenia. - Och, Freddy, ona prawie utonęła. Nie byłam wystarczająco ostrożna. - Przeszłość dzieje się od nowa. To wszystko moja wina.

- Aoife - wzdycha. Mocno ściska mi ramiona. - Ona nie utonęła. Wszystko dobrze się skończyło.

- Nie - odpowiadam. - On ją uratował. Ale gdyby ...

- Żadnych gdybań. Goście są już w namiocie. Zaufaj mi, wszystko idzie doskonale. Wracaj do nich i do tego, co robisz najlepiej. - Freddy zawsze umie mnie uspokoić. - To tylko drobne potknięcie. Nie licząc tego, wszystko jest bez zarzutu.

- Ale jest inaczej, niż sobie wyobrażałam - mówię. - Jest trudniej, kiedy wszyscy już tu są i kręcą się po wyspie. I ci mężczyźni, i ich okropne wczorajsze zabawy. A teraz to ... co przypomina ...

- Już prawie po wszystkim - stanowczo mówi Freddy. - Wytrzymaj jeszcze kilka godzin.

Kiwam głową. On ma rację. A ja wiem, że muszę wziąć się w garść. Nie mogę rozpaść się na kawałki, nie dziś.

## TERAZ

### *Po ślubie*

Teraz widzą go wyraźnie - tego mężczyznę, Freddy'ego, spieszącego w ich stronę ile sił w nogach. Trzyma w ręce latarkę, nic strasznego. Płomienie ich własnych pochodni odbijają się od potu na jego bladym czole.

- Powinniście wrócić do namiotu. Wezwaliśmy Garda[.

- Co? Dlaczego?

- Kelnerka nieco się uspokoiła. Mówi, że w ciemności widziała chyba kogoś jeszcze.

- Powinniśmy go posłuchać - odzywa się Angus do kolegów, kiedy Freddy sobie poszedł. - Zaczekać na policję. To nie jest bezpieczne.

- Nie - krzyczy Femi. - Zaszliśmy już za daleko.

- Naprawdę myślisz, że oni szybko tu przyjadą, Angus? - pyta Duncan. - Policja? Przy tej pogodzie? Nie ma szans, stary. Jesteśmy zdani na siebie.

- Tym więcej powodów, żeby się wstrzymać. To niebezpieczne ...

- Nie wyciągamy przypadkiem pochopnych wniosków? - krzyczy Femi.

- To znaczy?

- On powiedział, że dziewczyna chyba kogoś widziała.

- Ale jeśli rzeczywiście tak było - odkrzykuje Angus - to oznacza ...

- Co?

- No, że ktoś brał w tym udział. To znaczy, że to mógł nie być wypadek.

Nie ośmiela się powiedzieć tego na głos, ale i tak wszyscy wiedzą, o co chodzi, czytają między wierszami. Morderstwo.

Mocniej zaciskają dłonie na pochodniach.

- Mogą nam posłużyć do samoobrony - krzyczy Duncan. - Jeśli zajdzie taka potrzeba.

- Właśnie - krzyczy Femi, nieco się prostując. - Albo on, albo my. Czterech na jednego.

- Chwila, ktoś widział Pete'a? - odzywa się Angus.

- Co? Cholera ... nie.

- Może wrócił z tym Freddyem?

- Nie, Fem - odpowiada Angus. - Miał porządną fazę. Cholera ...

Wołają go:

- Pete!

- Pete! Jesteś tam? - Żadnej odpowiedzi.

- Chryste ... nie będę chodził po wyspie, żeby szukać i jego - krzyczy Duncan ze słabym, ale wymownym drzeniem w głosie. - Nie po raz

pierwszy się tak urządził, co nie? Da sobie radę. Nic mu nie będzie. -  
Pozostali podejrzewają, że udaje tę pewność. Ale nie będą tego  
kwestionować. Też chcą w to wierzyć.

## WCZEŚNIEJ TEGO DNIA

*Jules*

*Panna młoda*

Wewnątrz namiotu Aoife stworzyła coś magicznego. Jest tu ciepło, co przynosi ulgę od coraz zimniejszego wiatru na zewnątrz. Płomienie pochodni przy wejściu drgają i przygasają, a namiot nadyma się i opada wraz z kolejnymi podmuchami. W pewien sposób potęguje to tylko przytulność wnętrza. Wszędzie unosi się aromat świec, a twarze w ich świetle wydają się posiadać zdrowy, młodzieńczy rumieniec - nawet jeśli jego prawdziwym powodem są popołudniowe drinki i przenikliwy irlandzki wiatr. Nie mogłabym sobie wyobrazić czegoś lepszego. Rozglądam się po gościach i widzę ich miny - zachwycone przestrzenią, w której się znaleźli. A mimo to ... dlaczego czuję się tak pusto?

Wygląda na to, że wszyscy zapomnieli już o szalonym wybryku Olivii. Mógł się wydarzyć w każdy inny dzień. Wychylają kolejne kieliszki wina, przez co stają się coraz głośniejsi i bardziej pobudzeni. Atmosfera tego dnia została przywrócona i wszystko znowu toczy się wyznaczonym torem. Ale ja nie potrafię zapomnieć. Kiedy myślę o minie siostry, o tym błagalnym spojrzeniu w jej oczach, gdy próbowała się odezwać, wszystkie włoski na karku stają mi dęba.

Obsługa zbiera talerze, które zostały praktycznie wylizane przez gości do czysta. Alkohol wzbudził w nich wilczy głód, a Freddy ma ogromny talent kulinarny. Byłam na tyłu ślubach, na których musiałam siłą wpychać w siebie gumowatą pierś z kurczaka i anemiczne warzywa. To był najdelikatniejszy, najbardziej aksamitny w smaku comber jagnięcy, jaki jadłam w życiu, podany wraz z ziemniakami z rozmarynem. Doskonałe danie.

Pora na mowy i toasty. Kelnerzy rozchodzą się po sali z tacami bollingera. Czuję w dołku coś kwaśnego i myśl o kolejnym kieliszku szampana sprawia, że nieco mnie mdli.

Już i tak za dużo wypiałam, próbując wprawić się w równie dobry nastrój co moi goście, przez co czuję się dziwnie nieskrępowana. Obraz ciemnej chmury na horyzoncie, gdy piliśmy drinki po ceremonii, cały czas tkwi w moich myślach.

Rozlega się dźwięk łyżeczki uderzającej o kieliszek: *ding, ding, ding!*

Rozmowy w namiocie milkną i zastępuje je posłuszna cisza. Czuję, jak uwaga zebranych zmienia punkt skupienia. Twarze odwracają się w stronę



głównego stolika. Za chwilę zacznie się show. Poprawiam wyraz twarzy, by wyrażał radosne podekscytowanie.

Wtedy lampy w namiocie drgają i gasną. Pogrążamy się w ponurym półmroku niewiele różniącym się od przymierającego światła na zewnątrz.

- Proszę wybaczyć - woła Aoife z tyłu namiotu. - To przez wiatr. Elektryczność jest tu nieco kapryśna.

Ktoś, podejrzewam, że jeden z družbów, wydaje z siebie wilcze wycie. Dołączają do niego inni, aż w końcu można pomyśleć, że mamy w namiocie całą watahę. Wszyscy są już pijani i zaczynają im puszczać hamulce Mam ochotę wrzasnąć na nich, żeby się zamknęli.

- Will - syczę. - Możesz im coś powiedzieć?

- Tylko bardziej ich zachęć - odpowiada kojącym tonem. Zaciska dłoń na mojej. - Światła na pewno za moment wrócą.

I już kiedy myślę, że dłużej tego nie zniosę i naprawdę zacznę krzyczeć, lampy się włączają. Goście wiwatują.

Tata wstaje jako pierwszy, żeby wygłosić swoją przemowę. Może powinnam była w ostatniej chwili mu tego zabronić w ramach kary za wcześniejsze zachowanie? Ale to by chyba wyglądało dziwnie. Zdałam sobie sprawę, ile rzeczy w całym tym ślubnym biznesie dotyczy pozorów. Jeżeli tylko przetrwamy do końca, wyglądając na szczęśliwych, rozentuzjasmowanych ... to może wtedy uda się nam stłumić wszelkie mroczniejsze moce kłębiące się pod powierzchnią tego dnia. Założę się, że większość gości sądzi, że to przyjęcie weselne jest efektem hojności ojca. Nie do końca.

Wszyscy mnie pytają, dlaczego postanowiłam urządzić wesele właśnie tutaj. Wrzuciłam ogłoszenie w media społecznościowe. „Powiedzcie mi, dlaczego powinnam urządzić swój ślub właśnie u was”. Wszystko to było częścią artykułu do „Profilu”. Aoife odpowiedziała na moją odezwę. Zaimponowało mi to, jak dobrze przygotowana była jej oferta, jak szczegółowo przemyślała kwestie praktyczne. Sprawiała wrażenie, jakby pragnęła tego dużo bardziej niż jej konkurenci. Właściwie to rozłożyła ich na łopatki. Ale to nie dlatego wybraliśmy to miejsce. Naga prawda jest taka, że to miejsce jest ładne i tanie.

Bo kochany tatuś, który teraz udaje, że pęka z dumy, zakręcił kurek z forszą. Albo Severine zrobiła to za niego.

Nikt się tego nie domyśli, prawda? Nie, skoro mam tort za trzy tysiące funtów, grawerowane pierścienie do serwetek z czystego srebra i roczny zapach świec z Cloon Keen Atelier. Ale to są właśnie rzeczy, których spodziewają się po mnie moi goście. I było mnie na nie stać - jak również na wesele na poziomie, do którego przywykłam - tylko dlatego, że Aoife zaproponowała mi pięćdziesięcioprocentowy upust. Może wygląda jak szara myszka, ale wie, co robi. Tak właśnie dobiła targu. Wie, że opiszę to

miejsce w swoim magazynie, wie, że zaistnieje w mediach ze względu na Willa. Ostatecznie się jej to opłaci.

- To zaszczyt tu być - mówi teraz tata. - Na ślubie mojej małej córeczki. Jego małej córeczki. Trzymajcie mnie. Czuję, jak mój uśmiech tężeje.

Tata podnosi w górę szklankę. Widzę, że pije guinnessa. Nigdy nie lubił szampana, więc przynajmniej jest wierny sobie. Wiem, że powinnam na niego patrzeć pełnymi uwielbienia oczami, ale wciąż jestem tak na niego zła o to, co powiedział wcześniej, że ledwie potrafię się zmusić, by w ogóle na niego spojrzeć.

- Ale Julia nigdy tak naprawdę nie była moją małą córeczką - oznajmia tata. Już dawno nie słyszałam, żeby mówił z tak wyraźnym akcentem. Daje o sobie znać w emocjonalnych momentach ... albo kiedy ojciec sporo wypije. - Zawsze miała swoje zdanie. Nawet gdy miała dziewięć lat, wiedziała dokładnie, czego chce. Nawet jeśli. .. - odkasłuje znacząco - próbowałam jej wmówić, że jest inaczej. - Wśród gości niesie się śmiech. - Zawsze próbowała zdobyć to, czego pragnie, z uporem i determinacją. - Uśmiecha się smutno. - Gdybym chciał sobie schlebić, mógłbym powiedzieć, że ma to po mnie. Ale ja taki nie jestem. Nie posiadam równej siły. Udaję, że wiem, czego chcę, ale tak naprawdę biorę to, co akurat wpadnie mi w oko. Jules jest absolutną indywidualistką i biada temu, kto stanie jej na drodze. Jestem pewien, że jej pracownicy całkowicie się ze mną zgodzą. - Od stolika, przy którym siedzą ludzie z „Profilu”, dobiega nerwowy chichot. Uśmiecham się do nich wielkodusznie: nie będziecie mieć przez to kłopotów. Nie dziś.

- Posłuchajcie - ciągnie tata. - Jeśli mam być szczerzy, nie jestem najlepszym wzorcem w kwestii małżeństwa. Wśród obecnych gości obecna jest moja pierwsza i piąta żona.

Można więc powiedzieć, że jestem członkiem tego klubu, ale niezbyt dobrze znam jego zasady. - Niezbyt to zabawne, ale mimo to kilka osób śmieje się z grzeczności. - Jules całkiem słusznie zwróciła mi na to uwagę, kiedy wcześniej próbowałam udzielić jej kilku ojcowskich rad.

Ojcowskich rad. Dobrze sobie.

- Powiem jednak, że przez lata nauczyłem się w tej materii kilku rzeczy. W małżeństwie chodzi o znalezienie osoby, którą znasz najlepiej na świecie. Nie to, jaką pija kawę, jaki jest jej ulubiony film albo jak miał na imię jej pierwszy kot. Chodzi o poznanie kogoś na głębszym poziomie. O poznanie jego duszy. - Uśmiecha się szeroko do Severine, która puszy się z dumy.

- Nie nadaję się też do udzielania rad. Nie zawsze byłem w pobliżu. Nie, to nieprawda. Prawie nigdy nie było mnie w pobliżu. Żadnego z nas nie było. Myślę, że Araminta zgodzi się ze mną w tej kwestii.

Łał. Spoglądam w stronę mamy. Ma na ustach zastygły uśmiech, pewnie równie spięty co mój. Żart o pierwszej żonie na pewno nie przypadł jej do gustu, bo poczuła się przez niego staro, ale sugestia rodzicielskiego zaniedbania, biorąc pod uwagę, że podobało się jej odgrywanie pełnej wdzięku matki panny młodej, doprowadzi ją do białej gorączki.

- Więc pod naszą nieobecność Julia zawsze musiała torować sobie własną drogę. I co to jest za droga! Wiem, że nie zawsze to okazywałem, ale jestem z ciebie niebywale dumny, Juju, i ze wszystkiego, co osiągnęłaś. Myślę o ceremonii rozdania nagród w szkole. O ukończeniu liceum. O starcie „Profilu”. - Ojciec nie był obecny na żadnej z tych okazji. Myślę o tym, ile razy pragnęłam usłyszeć te słowa i teraz, kiedy w końcu je słyszę, jestem na niego nieopisanie wściekła. Oczy wypełniają mi się łzami. Cholera. Nie byłam na to przygotowana. Ja nigdy nie płaczę.

Tata zwraca się do mnie:

- Bardzo cię kocham, moja bystra, skomplikowana, nieustraszona córeczko. - O Boże. Nie są to też ładne łzy ani subtelny błysk w oku. Spływają mi na policzki i żeby nad nimi zapanować, muszę je otrzeć nasadą dłoni, a po chwili serwetką. Co się ze mną dzieje? - Na tym polega problem - zwraca się tata do gości. - Mimo że Jules jest niebywale niezależną osobą, lubię sobie mówić, że wciąż jest moją małą córeczką. Bo kiedy jest się rodzicem, od niektórych emocji nie ma ucieczki ... bez względu na to, jakim beznadziejnym ojcem się było, bez względu na to, jak mało praw względem dziecka można sobie rościć. Jedną z nich jest instynkt opiekuńczy. - Znów zwraca się do mnie.

Teraz muszę na niego spojrzeć. Na jego twarzy maluje się prawdziwa czułość. Aż boli mnie w piersi.

Wtedy zwraca się do Willa.

- Williamie, wydajesz się ... świetnym gościem. - Czy to tylko moje wrażenie, czy też słowa „wydajesz się ” zostały wymówione ze szczególnym naciskiem? - Ale ... - Tata szczerzy się od ucha do ucha i znam ten uśmiech. Wcale nie jest radosny. On szczerzy kły. - Opiekuj się dobrze moją córką. Nie schrań tego. A jeśli ją skrzywdzisz, to sprawa jest prosta. - Unosi szklanekę w niemym toastie. - Dopadnę cię.

Zapada niezręczna cisza. Wymuszam z siebie śmiech, który brzmi bardziej jak płacz. Po nim zaczynają się śmiać i inni - może czują ulgę, wiedząc, jak to odebrać. Ach, to tylko żart. Tylko że to nie był żart. Ja to wiem, tata to wie - i po minie na twarzy Willa sędzę, że on też.

**Olivia**

*Druhna*

Ojciec Jules siada. Moja przyrodnia siostra wygląda fatalnie: jej twarz jest cała w czerwonych plamach. Widziałam, jak ocierała łzy chusteczką. A więc jednak ma uczucia, nawet jeśli zawsze udaje twardą. Mam wyrzuty w związku z tym, co stało się wcześniej. Wiem, że Jules by mi nie uwierzyła, ale naprawdę jest mi przykro. Wciąż jest mi zimno, jakby chłód morza przeniknął głęboko pod moją skórę. Przebrałam się w sukienkę, którą miałam na sobie wczoraj wieczorem, bo uznałam, że to najmniej ją wkurzy, ale wolałabym być w swoich normalnych ubraniach. Obejmuję się dłońmi i staram się rozgrzać, lecz nie przestaję szczękać zębami.

Will wstaje w akompaniamencie krzyków i gwizdów, a nawet kilku zaczepnych okrzyków. Po chwili wszyscy milkną. Ma ich całkowitą uwagę. Tak właśnie działa na ludzi. To chyba wpływ jego wyglądu, zachowania, pewności siebie. Tego, jak zawsze ma wszystko pod kontrolą.

- W imieniu mojej świeżo poślubionej żony i swoim - mówi, jego słowa prawie nikną wśród okrzyków, oklasków, bębnienia o stoły, tupania w podłogę. Posyła dookoła uśmiechy, aż wszyscy się uspokoją. - W imieniu mojej świeżo poślubionej żony i swoim chciałbym podziękować wszystkim za przybycie na dzisiejszą uroczystość - mówi. - Wiem, że Jules się ze mną zgodzi, gdy powiem, że bardzo się cieszymy, mogąc uczcić ten dzień z naszymi najbliższymi. - Spogląda na nią. - Jestem najszczęśliwszym mężczyzną na ziemi.

Jules zdążyła już otrzeć łzy. I kiedy podnosi wzrok, by spojrzeć na Willa, jej mina jest zupełnie inna, odmieniona. Nagle wydaje się tak szczęśliwa, że trudno się na nią patrzy - jak prosto w żarówkę. Will odwzajemnia jej uśmiech.

- Poważnie - szepcze kobieta przy sąsiednim stoliku. - Są tak idealni, że to prawie niemożliwe.

Will uśmiecha się do wszystkich od ucha do ucha.

- Nasze pierwsze spotkanie naprawdę było kwestią szczęścia - odpowiada. - Znalazłem się we właściwym miejscu we właściwym czasie. Jak lubi mówić Jules, to był moment, który zmienił wszystko. - Unosi kieliszek. - Wypijmy więc za szczęście i za jego tworzenie ... lub wspomaganie, kiedy trzeba.

Puszczą oko. Goście się śmieją.

- Przede wszystkim - ciągnie - tradycją jest skomplementowanie urody druhen. Mamy tu dziś tylko jedną, ale chyba wszyscy się zgodzą, że jej urody starczyłoby dla siedmiu. Więc zdrowie Olivii! Mojej nowej siostry.

Cała sala spogląda na mnie, unosząc szkło. Nie mogę tego znieść. Wpatruję się w podłogę, aż okrzyki umilkną i Will zacznie mówić dalej.

- Następny toast będzie za moją nową żonę. Za moją piękną, błyskotliwą Jules ... - Goście znów szaleją. - Bez ciebie życie nie miałoby smaku. Bez ciebie nie byłoby radości i miłości. Jesteś moją partnerką, moją

drugą połową. Więc proszę wszystkich o powstanie i wypicie toastu za Jules!

Goście podnoszą się z miejsc.

- Za Jules! - powtarzają echem. Wszyscy uśmiechają się do Willa, w szczególności kobiety, które nie spuszczały oczu z jego twarzy. Wiem, co widzą. Will Slater, gwiazda telewizji. A teraz mąż mojej przyrodniej siostry. Bohater: przecież wcześniej uratował mnie przed utonięciem. Jakby nie patrzeć, świetny facet.

- Wiecie, jak poznaliśmy się z Jules? - pyta, gdy wszyscy usiądą. - To było przeznaczenie. Urządziła imprezę dla „Profilu” w Muzeum Wiktorii i Alberta. Byłem tylko osobą towarzyszącą. Przyszedłem z przyjaciółką, która musiała opuścić imprezę i zostałem sam. Zastanawiałem się, czy nie powinienem wyjść. Ale zupełnie spontanicznie postanowiłem wrócić do środka. Kto wie, co by się stało, gdybym tego nie zrobił. Czy nasze drogi kiedykolwiek by się skrzyżowały? Więc mimo że Jules pracuje tak ciężko, że czasem mam poczucie, że to trzecia osoba w naszym związku, chciałbym podziękować jej magazynowi za to, że nas połączył. Wypijmy za „Profil”!

Goście znów wstają.

- Za „Profil” - powtarzają.

Poznałam nowego narzeczonego Jules dopiero, kiedy się zaręczyli. Była w jego kwestii bardzo dyskretna. Jakby nie chciała przyprowadzać go do domu, zanim nie będzie miała na palcu pierścionka, na wypadek gdybyśmy miały go zniechęcić. Może jestem wredna, mówiąc takie rzeczy, ale w niektórych kwestiach Jules zawsze była dość bezwzględna. Raczej jej o to nie winię. Mama potrafi być czasem męcząca.

Jules, tak jak ma w zwyczaju, zaaranżowała wszystko w najmniejszych szczegółach. Mieli przyjść wspólnie do mamy na kawę, zostać na pół godziny, po czym przenieść się do River Cafe na lunch (Jules powiedziała, że to ich ulubione miejsce, i zrobiła rezerwację). Jej instrukcje względem mnie i mamy były dość proste: nie spieprzcie mi tego.

Naprawdę nie miałam zamiaru niczego psuć podczas tego pierwszego spotkania z jej narzeczoną. Ale kiedy oboje zapukali do drzwi i weszli do środka, musiałam pobiec do łazienki, żeby zwymiotować. Wtedy poczułam, że nie mogę się ruszyć. Osunęłam się na podłogę przy muszli i siedziałam tam przez, jak mi się zdawało, bardzo długi czas.

Miałam wrażenie, że brakuje mi tchu, jakby ktoś dał mi pięścią w brzuch.

Dokładnie wiedziałam, jak to się stało. On wrócił na imprezę w muzeum po tym, jak wsadził mnie do taksówki. Poznał tam moją siostrę,

królową balu - dużo lepiej pasującą do niego niż ja. Przeznaczenie. Pamiętam, co powiedział, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy: „Gdybyś miała dziesięć lat więcej, byłabyś moim ideałem kobiety”. Wszystko do mnie dotarło.

Po pewnym czasie - bo miała przecież swój bardzo ważny plan - Jules przysłała na górę.

- Olivio - powiedziała przez drzwi. - Musimy już wychodzić na lunch. Chcę, żebyś z nami poszła, ale jeśli źle się czujesz, to nie ma problemu. - Słyszałam w jej głosie, że problem jednak jest, i to spory, ale był to najmniejszy z moich problemów.

Jakimś cudem wydałam z siebie głos.

- Nie ... nie mogę pójść. Chyba jestem chora. - Przystanie na to, co mówi, wydało mi się wtedy najprostszym rozwiązaniem. A zresztą naprawdę nie czułam się najlepiej - zbierało mi się na wymioty, jakbym połknęła truciznę.

Od tamtego czasu dużo się nad tym zastanawiałam. Co by było, gdybym już wtedy miała w sobie na tyle odwagi, by otworzyć drzwi i wyznać jej prawdę? Zamiast czekać i się ukrywać, aż będzie za późno?

- Okej - odparła. - Rozumiem. Szkoda, że z nami nie pójdziesz. Jej głos brzmiał tak, jakby w ogóle nie było jej przykro. - Nie będę robić z tego teraz afery, Olivio. Może naprawdę źle się czujesz. Uwierzę ci na słowo. Ale bardzo bym chciała, żebyś mnie tu wspierała. Mama mówiła mi, że ostatnio przechodzisz ciężkie chwile, i bardzo ci współczuję. Ale chciałabym, żebyś przynajmniej raz spróbowała cieszyć się moim szczęściem.

Zsunęłam się na podłogę po drzwiach łazienki i próbowałam oddychać.

Bardzo szybko zamaskował swoją reakcję. Gdy wówczas, za pierwszym razem, przekroczył próg naszego domu, wyraz szoku utrzymał się na jego twarzy może przez ułamek sekundy. I chyba tylko ja go zauważyłam. Drżenie powieki, lekki zacisk szczęki. Nic wyraźniejszego. Świetnie to wszystko ukrył, bardzo gładko.

Dlatego nie mogę myśleć o nim jak o Willu. Dla mnie zawsze będzie Stevenem. Nie pomyślałam o tym, kiedy podałam zmyślane imię w aplikacji randkowej - nie pomyślałam, że on też mógł skłamać.

Postanowiłam, że podczas ich przyjęcia zaręczynowego nie ucieknę ze strachu, tak jak wcześniej. Przez dwa miesiące, które minęły od tamtego spotkania, zastanawiałam się nad tym, jak mogłam lepiej zareagować - w sposób, który byłby mniej żenujący niż ucieczka w popłochu i wymioty. W końcu nie zrobiłam nic złego. Tym razem się z nim skonfrontuję. To on miał się z czego tłumaczyć przede mną i przed Jules. To jemu powinno być

niedobrze. Za pierwszym razem pozwoliłam mu wygrać. Za drugim dopiero mu pokażę.

Od razu zbił mnie z tropu. Kiedy pojawiłam się na miejscu, powitał mnie szerokim uśmiechem.

- Olivio! - powiedział. - Mam nadzieję, że czujesz się lepiej. Wielka szkoda, że nie mogliśmy się wtedy lepiej poznać.

Zamurowało mnie. Bezczelnie udawał, że nigdy się nie spotkaliśmy. Aż zaczęłam powątpiewać. Czy to naprawdę był on? Ale przecież wiedziałam, że tak. Nie miałam co do tego wątpliwości. Z bliska widziałam, jak skóra wokół jego oczu marszczy się w ten sam sposób, że ma na szyi pod żuchwą dwa te same pieprzyki. I bardzo wyraźnie pamiętałam trwającą ułamek sekundy reakcję, kiedy poprzednio mnie zobaczył.

Dokładnie wiedział, co robi: utrudniał mi wyjawienie mojej wersji prawdy. Założył też, że jestem zbyt żalosna, żeby cokolwiek powiedzieć siostrze, zbyt przestraszona, że nie uwierzy w żadne moje słowo.

Miał rację.

## ***Hannah***

### *Osoba towarzysząca*

W przemowie Willa padło coś dziwnego. Miałam wrażenie, że już to słyszałam, jak *deja vu*. Nie jestem w stanie wskazać, co to było, ale podczas gdy wszyscy wokół wiwatowali i klaskali, mnie ogarnął niepokój i ścisnęło w dołku.

- Zaczyna się - szepcze ktoś przy stoliku. - Wszyscy gotowi na główną atrakcję wieczoru?

Charlie nie siedzi przy moim stoliku. Jest przy głównym stole, tuż przy lewym łokciu Jules. Ma to chyba sens: w końcu nie należę do orszaku weselnego, a on tak. Tylko że wszyscy inni mężowie i żony zdają się siedzieć razem. Dociera do mnie, że od rana widziałam Charliego tylko przelotem, podczas drinków - przez co o dziwo wydał mi się jeszcze bardziej obcy, niż gdybyśmy w ogóle się nie zobaczyli. Jakby na przestrzeni zaledwie dwudziestu czterech godzin utworzyła się między nami jakaś wielka przepaść.

Goście obok mnie zaczęli się zakładać, jak długo potrwa przemówienie świadka. Pięćdziesiąt funtów za zakład, więc odmówiłam. Co więcej, mianowali nasz stolik „niegrzecznym”. Panuje przy nim rozgorączkowana, intensywna atmosfera. Są jak dzieci, które za długo musiały siedzieć cicho. Przez ostatnią godzinę każde z nich wypilo przynajmniej półtorej butelki wina. Peter Ramsay naprzeciw mnie mówi tak szybko, że kręci mi się w

głowie. Ma to chyba związek z białym zaschniętym proszkiem wokół jego nozdrzy. Resztką sił powstrzymuję się, żeby nie nachylić się w jego stronę i nie wytrzeć go rogiem serwetki.

Charlie wstaje, ponownie wchodząc w rolę mistrza ceremonii, i przejmuje mikrofon od Willa. Obserwuję go uważnie, szukając jakichś oznak, że za dużo wypił. Czy jego rozluźniona twarz coś znaczy? Czy chwieje się na nogach?

- A teraz - mówi, na co goście, zwłaszcza druźbowie, jęczą, gwizdzą i zasłaniają uszy. Charlie robi się czerwony. Próbuje raz jeszcze: - A teraz ... pora na świadka pana młodego. Powitajmy oklaskami Jonathana Briggisa.

- Bądź miły, Johnno! - krzyczy Will, zwijając ręce wokół ust. Uśmiecha się cierpko, udaje, że się krzywi. Wszyscy się śmieją.

Przemowy pierwszych druźbów zawsze były dla mnie krępujące. Oczekiwania są bardzo wysokie. Granica pomiędzy przesadną grzecznością a bolesną złośliwością jest cienka jak włos. Oczywiście lepsza polityczna poprawność niż jazda po bandzie. Odnoszę wrażenie, że Johnno nie należy do facetów, którzy przejmują się, że kogokolwiek urażą.

Może to sobie wyobrażam, ale świadek lekko się chwieje, gdy przejmuje mikrofon od Charliego. Przy nim mój mąż wygląda tak, jakby nawet nie stał koło alkoholu. Po chwili, kiedy Johnno wychodzi przed główny stół, potyka się i prawie upada. Od mojego stolika rozlega się sporo krzyków i zaczepek. Peter Ramsay wkłada palce do ust i wydaje z siebie taki gwizd, że aż dzwoni mi w uszach.

Jeszcze zanim Johnno zacznie mówić, jasne staje się, że jest pijany. Przez kilka sekund stoi w ciszy, zanim przypomni sobie, gdzie jest i co powinien robić. Kilka razy stuka w mikrofon i dźwięk ponosi się hukiem po namiocie.

- Jedziesz, Johnners! - krzyczy ktoś. - Bo zaraz tu pośniemy! - Goście przy moim stoliku zaczynają walić pięściami w blat i tupać nogami. - Mowa! Mowa! Mowa! - Włosy na rękach stają mi dęba. To jak powrót do wczorajszego wieczoru: ten sam plemienny rytm, atmosfera zagrożenia.

Johnno wykonuje gest, żeby wszystkich uciszyć. Uśmiecha się do nas szeroko. Następnie odwraca się i spogląda na Willa. Odchrząkuje, robi głęboki wdech.

- Łączy mnie z tym facetem długa przeszłość. Pozdro dla wszystkich z Trevellyana! - Podnoszą się krzyki i oklaski, szczególnie ze strony druźbów.

- Popatrzcie na tego gościa - mówi Johnno, gdy hałas przycicha, zamaszystym gestem pokazując na Willa. - Łatwo byłoby go nienawidzić, co nie? - Następuje chwila milczenia, może nawet nieco za długa, zanim znów się odezwie. - Ma wszystko: aparycję, urok, karierę, kasę. - Czy to miał być przytyk? - I... - Tu pokazuje na Jules. - Ma też dziewczynę. Więc



gdyby się zastanowić ... chyba jednak go nienawidzę. Ktoś jeszcze oprócz mnie?

Po zali niesie się rozbawiony szmer, ktoś krzyczy „Witaj w klubie”.

Johnno się uśmiecha. W jego oczach widać jakiś dziki, niebezpieczny błysk.

- Dla tych, którzy nie wiedzą, Will i ja jesteśmy kumplami ze szkoły. To nie była normalna szkoła. Przypominała raczej ... sam nie wiem ... obóz pracy skrzyżowany z Władcą much. Dzięki, że nam to wczoraj podpowiedziałeś, Charlie! Nie liczyły się w niej najlepsze stopnie. Tam liczyło się przetrwanie.

Zastanawiam się, czy tylko ja usłyszałam nacisk na ostatnim słowie, jakby to była nazwa własna. Pamiętam grę, o której opowiedzieli nam wczoraj przy kolacji. Nazywała się chyba tak samo?

- I mówię wam - ciągnie Johnno. - Władowaliśmy się przez lata w wiele tarapatów. W szczególności mam na myśli lata licealne. Zdarzyły się pewne mroczne momenty.

Zdarzyły się i szalone. Czasem miałem poczucie, że jesteśmy sami przeciw światu. - Spogląda na Willa. - Mam rację?

Will kiwa głową i uśmiecha się.

W głosie Johnno jest coś dziwnego. Pobrzmiewa w nim niebezpieczna nuta, jakby mógł zrobić lub powiedzieć coś, co kompletnie wykolei całą imprezę. Rozglądam się po pozostałych stolikach i zastanawiam, czy inni goście też to wyczuwają. Na sali zdecydowanie zrobiło się ciszej, jak gdyby wszyscy wstrzymywali oddech.

- Tak to właśnie jest, gdy masz najlepszego kumpla - mówi Johnno. - Zawsze możesz na niego liczyć.

Czuję się tak, jakbym obserwowała szklankę chwiejącą się na skraju stołu i bezradnie czekała, aż rozbije się na kawałki. Zerkam na Jules. Krzywię się. Zaciska wargi w ponurą linię. Wygląda tak, jakby czekała, kiedy to wszystko się skończy.

- Popatrzcie na to. - Johnno pokazuje na siebie. - Jestem grubym oblechem w przyciasnym garniturze. - Odwraca się do Willa. - Pamiętasz, jak powiedziałem, że zapomniałem garnituru? Z tym też wiąże się mała historyjka. - Z powrotem odwraca się do publiczności.

- Oto więc prawda. Najszczęsza prawda. Nigdy nie było żadnego garnituru. A raczej ... najpierw był, a potem nie. Bo widzicie, na początku myślałem, że może Will mi go kupi. Niewiele wiem o tego typu rzeczach, ale jestem dość pewien, że tak właśnie jest z sukienkami dla druchen, prawda?

Patrzy na nas wszystkich pytająco. Nie słyhać odpowiedzi. W namiocie panuje cisza jak makiem zasiał - nawet Peter Ramsay przestał podrygiwać nogą.

- Czy to nie panna młoda je kupuje? - pyta nas Johnno. - Taka jest zasada, co nie? W końcu zmuszasz kogoś, żeby założył to coś, to nie ich wybór. A staremu dobremu Willowi szczególnie zależało, żebym miał garnitur od Paula Smitha. Nic innego nie wchodziło w grę.

Widać, że lepiej mu idzie. Przechadza się przed nami jak stand-upowiec na scenie.

- W każdym razie stoimy w sklepie, zerkam na metkę i myślę sobie: o szlag, gość naprawdę ma gest. Osiemset funtów. Kiedy jesteś w takim garniturze, laski same rozkładają przed tobą nogi, nie? Ale za osiemset dolców? To już lepiej zapłacić za rozkładanie nóg. Jaki użytek zrobię z garnituru za osiemset funtów? Przecież nie chodzę na eleganckie imprezy co kilka tygodni. Ale mimo wszystko pomyślałem, że skoro on chce, żebym miał to na sobie, to nie wypada się sprzeciwić.

Zerkam na Willa. Uśmiecha się, ale jest w tym nuta sztuczności.

- I wtedy - ciągnie Johnno - nastaje niezręczny moment, kiedy stoimy przy kasie i on staje z boku, jak gdyby ustępował mi miejsca, żebym stanął przy ladzie. Przez cały ten czas modłę się w duchu, żeby transakcja przeszła przez moją kartę kredytową. Jeśli mam być szczery, udało się totalnym fuksem. A on stoi sobie z boku i cały czas się uśmiecha. Jakby mi go naprawdę kupił. Jakbym miał się odwrócić i mu podziękować.

- No to się porobiło - szepcze Peter Ramsay.

- Następnego dnia go zwróciłem. Oczywiście nie miałem zamiaru powiedzieć o tym Willowi. Zanim tu przyjechałem, wymyśliłem więc cały ten plan, że udam, że zostawiłem go w domu. Przecież nie zmuszą mnie, żebym wrócił po niego do Blighty. I na całe szczęście mieszkam na takim odludziu, że żadne z was nie mogło się zaoferować i po niego do mnie wpaść, bo wtedy dopiero miałbym kłopoty, ha, ha!

- To ma być zabawne? - pyta mnie kobieta z naprzeciwka.

- Osiemset funtów za garnitur - ciągnie Johnno. - Osiemset. Bo jakiś pierwszy lepszy gość wszył w środku metkę? Musiałbym chyba sprzedać nerkę. Musiałbym sprzedać to na ulicy. - Lubieżnie przejeżdża dłońmi po swoim ciele, przy akompaniamencie kilku słabych gwizdów. - A wiadomo, że istnieje bardzo mały popyt na grubych, włochatych oblechów po trzydziestce. - Parska głośnym, dzikim śmiechem.

Jak na komendę razem z nim chichocze jeszcze kilka osób z publiczności. To wyraz ulgi, jak śmiech ludzi, którzy wstrzymywali oddech.

- To znaczy - kontynuuje Johnno, bo najwyraźniej to jeszcze nie wszystko - przecież mógł mi kupić ten garnitur. Nie brakuje mu forsy. Głównie dzięki tobie, Jules. Ale skąpy z niego drań. Mówię to oczywiście z wielką miłością. - Udaje, że macha do Willa rzesami, jakby to miała być jakaś parodia.

Will już się nie uśmiecha. Nie potrafię się nawet zmusić, żeby spojrzeć na Jules. Mam wrażenie, że powinnam odwrócić wzrok. Czuję się, jakbym była świadkiem wypadku drogowego - nie chcę na niego patrzeć, ale z jakiegoś powodu nie mogę przestać.

- A zresztą - mówi Johnno. - Nieważne. Bez słowa sprzeciwu pożyczył mi swój zapasowy. To się nazywa wzorowe zachowanie. Ale muszę cię ostrzec, stary. - Przeciąga się i zapięta marynarka prawie pęka. - Możliwe, że już nigdy nie będzie taki jak wcześniej. - Raz jeszcze odwraca się do nas wszystkich. - Ale na tym właśnie polega posiadanie najlepszego kumpla. Zawsze można na nim polegać. Will może i jest skąpcem, ale zawsze przy mnie był.

Kładzie swoją wielką dłoń na ramieniu pana młodego. Will wygląda tak, jakby nieco się ugiął pod jej ciężarem, jak gdyby Johnno wywierał nią pewien nacisk.

- I wiem, naprawdę wiem, że nigdy nie zrobiłby mnie w konia. - Nachyla do niego bliżej, jak gdyby chciał mu zajrzeć głęboko w oczy. - Zrobiłbyś, to stary?

Will podnosi dłoń i wyciera twarz w miejscu, w którym najwyraźniej skapnęła na niego ślina Johnno.

Następuje cisza - niezręczna, przedłużająca się cisza - i wszyscy zdajemy sobie sprawę, że Johnno czeka na odpowiedź.

W końcu Will mówi:

- Nie. Nie zrobiłbym czegoś takiego. Oczywiście, że nie.

- To dobrze - odpowiada Johnno. - Świetnie! Bo ha, ha ... przeszliśmy razem przez różne rzeczy. Tyle o tobie wiem, stary. To nie byłoby rozsądne z twojej strony Pamiętasz te nasze wspólne przeżycia, prawda? Te sprzed lat.

Raz jeszcze odwraca się do Willa. Twarz pana młodego jest blada jak kartka.

- O czym, kurwa, mówi Johnno? - szepcze ktoś przy stoliku. - On o czymś wie?

- Nieźle mu odwaliło - odpowiada ktoś inny.

- I wiesz co? - ciągnie Johnno. - Uciąłem sobie dzisiaj małą pogawędkę z drużbami. Uznaliśmy, że byłoby miło wprowadzić nieco tradycji do porządku tej imprezy. Ze względu na stare dobre czasy. Panowie?

Drużbowie wstają jak na komendę. Otaczają Willa.

Will wesoło wzrusza ramionami:

- Co robić? - Wszyscy się śmieją. Widzę jednak, że Will nie jest rozbawiony.

- Tak trzeba - mówi Johnno. - Tradycja i tym podobne. Nie bój się, stary, będzie fajnie!

Drużbowie przytrzymują Willa. Wszyscy śmieją się i klaszczą - gdyby tak nie było, wszystko wyglądałoby jak porwanie. Johnno ściągnął krawat i zawiązuje nim Willowi oczy.

Biorą go na barki i wychodzą. Znikają w narastającej ciemności na zewnątrz.

**Johnno**

**Świadek**

Rzucamy Willa na ziemię w Jaskini Szeptów. Pewnie nie będzie zachwycony tym, że jego drogi garnitur dotyka mokrego piasku ani że panujący tu zapach gnijących wodorostów i siarki naprawdę wali po nozdrzach. Robi się dość ciemno i trzeba przymrużyć oczy, żeby coś zobaczyć. Morze jest bardziej wzburzone niż wcześniej: słychać, jak z każdej strony rozbija się o skały. Przez całą drogę, kiedy go tu nieśliśmy, Will śmiał się i żartował.

- Tylko nie zostawcie mnie gdzieś, gdzie się ubrudzę. Jeśli zniszczę ten garnitur, to Jules mnie zabije. - I zaraz: - Nie dacie się przekupić dodatkową skrzynką szampana, żeby zabrać mnie z powrotem?

Chłopaki się śmieją. Dla nich to świetna zabawa, chwilowy powrót do przeszłości. Siedzieli w namiocie od kilku godzin, coraz bardziej się upijając i czując ogarniającą ich nudę, zwłaszcza Peter Ramsay, który co chwilę pudrował sobie nos. Zanim przyszła moja kolej na wygłoszenie mowy, też walnąłem sobie działkę z kumplami w toalecie, co może było złym pomysłem. Zrobiłem się przez to tylko bardziej nerwowy. Ale jednocześnie wszystko stało się dzięki temu dziwnie klarowne.

Pozostali cieszą się po prostu, że są na zewnątrz. Czujemy się trochę jak w wieczór kawalerski. Wszyscy razem, jak za dawnych lat. Wiatr - teraz już właściwie wichura - tylko dodaje wszystkiemu dramatyzmu. Aż musieliśmy pochylić głowy pod jego naporem. Niesienie Willa było przez to trudniejsze.

Jaskinia Szeptów to całkiem fajne miejsce. Dość na uboczu. Gdyby jaskinia taka jak ta istniała w okolicy Trevellyana, to wykorzystalibyśmy ją w przetrwaniu.

Will leży na drobnych kamykach nie za blisko wody. Nie wiem, jakie są tu przypływy. W imię tradycji związaliśmy mu krawatami ręce i nogi.

- No dobra, panowie - mówię. - Zostawmy go tu na jakiś czas. Zobaczmy, czy sam wróci do namiotu.

- Ale przecież tak go tu nie zostawimy, co? - szepcze do mnie Duncan, gdy wychodzimy z jaskini. - Aż sam się nie rozwiąże?

- Nie - odpowiadam mu. - Jeśli nie wróci za pół godziny, to po niego przyjdziemy.

- Mam nadzieję! - woła Will. - Nadal zachowuje się tak, jakby to był jeden wielki żart. - Mam ślub do opicia!

Wracamy z друзbami w stronę namiotu.

- Wiecie co? - mówię, gdy mijamy pałacyk. - Zaraz do was dojdę. Muszę się odlać.

Patrzę, jak wchodzi do środka, śmiejąc się i szturchając nawzajem. Chciałbym móc być taki jak oni. Chciałbym mieć ze szkoły same niewinne wspomnienia. Żeby to wszystko wciąż mogło być tylko zabawą.

Gdy znikają z pola widzenia, wracam do jaskini.

- Kto to? - woła Will, gdy do niego podchodzę. Jego słowa niosą się echem, co brzmi tak, jakby było go tu pięciu.

- To ja - odpowiadam. - Przyjacielu.

- Johnno? - syczy. Udało mu się usiąść i oprzeć się o ścianę. Ponieważ nie ma już ze mną chłopaków, przestaje udawać. Mimo że ma zasłonięte oczy, wyraźnie widzę, że jest niezłe wkurzony. - Rozwiąż mnie i ściągnij mi przepaskę z oczu! Powinienem być na weselu. Jules się wścieknie. Pozartowałeś sobie. Ale to nie jest zabawne.

- Wiem, że nie jest. - odpowiadam. - Przecież się nie śmieję. To nie takie zabawne, kiedy jesteś po tej drugiej stronie, co? Ale skąd miałbyś to wcześniej wiedzieć. W Trevs nigdy nie przeszedłeś przetrwania, prawda? Jakimś cudem tego też udało ci się uniknąć.

Widzę, jak marszczy czoło nad opaską.

- Wiesz, Johnno - zagaduje lekkim, przyjaznym tonem. - Ta przemowa, a teraz to ... chyba trochę przesadziłeś z używkami. Poważnie, przyjacielu

...

- Nie jestem twoim przyjacielem - odpowiadam. - I chyba możesz się domyślić dlaczego.

Podczas toastu udawałem bardziej pijanego niż jestem. Tak naprawdę wcale nie jestem pijany. A koka dodatkowo wyostrzyła mi zmysły. Mój umysł wydaje się bardzo jasny, jakby ktoś włączył mi w głowie reflektor. Nagle zapalają mi się lampki, wszystko nabiera sensu.

To ostatni raz, kiedy ktoś robi ze mnie głupka.

- Mniej więcej do czternastej byłem twoim kumplem - ciągnę. - Ale już nie. Już dłużej nie.

- O czym ty mówisz? - Zaczyna brzmieć trochę niepewnie. Tak, myślę sobie, masz powody, żeby się bać.

Widziałem, jak mnie obserwuje przez całą przemowę, zastanawiając się, co takiego wyprawiam. Zachodząc w głowę, co powiem następnego, co wyjawię jego gościom. Mam nadzieję, że robił w gacie ze strachu. Szkoda, że w moim przemówieniu nie poszedłem na całość i nie powiedziałem

wszystkiego. Ale stchórzyłem. Tak jak te wszystkie lata temu - kiedy powinienem był pójść do nauczycieli i potwierdzić słowa dzieciaka, który nas widział. Powiedzieć dokładnie, co takiego zrobiliśmy. Gdyby było nas dwóch, nie zostalibyśmy zignorowani.

Ale nie zdobyłem się na to ani wtedy, ani dziś. Bo jestem pieprzonym tchórzem.

To druga, najlepsza rzecz w kolejności.

- Odbyłem dziś z Piersem ciekawą rozmowę - mówię. - Bardzo pouczającą.

Widzę, jak Will ciężko przełyka ślinę.

- Posłuchaj - zaczyna ostrożnie rozsądnym, poufałym tonem. To tylko podsycą moją złość. - Nie wiem, co on ci powiedział, ale ...

- Zrobiłeś mnie w chuja - mówię. - Piers nie musiał właściwie zbyt wiele wyjaśniać. Sam połączyłem wszystkie kropki. Tak, ja. Głupi Johnno, nieudacznik. Nie mogłeś mnie tam ze sobą mieć, co? Za duże obciążenie. Za bardzo bym ci przypominał, kim kiedyś byłeś. I co zrobiłeś.

Na twarzy Willa pojawia się grymas.

- Johnno, stary ...

- Ty i ja - wchodzę mu w słowo. - Byliśmy świetnym duetem, zawsze się nawzajem wspieraliśmy. My przeciw światu, sam tak mówiłeś. Zwłaszcza po tym, co zrobiliśmy, co wiedzieliśmy o sobie nawzajem. Mogłeś na mnie liczyć, a ja na ciebie. Wydawało mi się, że tak właśnie jest.

- Bo jest, Johnno, jesteś moim świadkiem ...

- Mogę ci coś wyznać? - pytam. - O całym tym interesie z whisky?

- Jasne - o choczko odpowiada Will. - O Piekielniku! - Tym razem zapamiętał nazwę. - No widzisz. Tak dobrze dajesz sobie radę. Nie ma co żywić urazy ...

- Nie - przerywam mu. - Widzisz, ten biznes nie istnieje.

- O czym ty mówisz? Przecież przywiozłeś tyle butelek ...

- To podróbki. - Wzruszam ramionami, mimo że mnie nie widzi. - To pierwszy lepszy single malt z supermarketu przelany do innych flaszek. Mój kumpel Alan zrobił mi etykiety na próbę.

- Johnno, co ty ...

- To znaczy na początku naprawdę myślałem, że mi się uda. Na tym polega cały dramat. Dlatego poprosiłem Alana o projekt etykiet - chciałem zobaczyć, jak to by mogło wyglądać. Ale zdajesz sobie sprawę, jak trudno jest w obecnych czasach wprowadzić na rynek markę whisky? Chyba że jesteś Davidem Beckhamem. Albo masz bogatych rodziców, którzy będą cię sponsorować, albo koneksje z liczącymi się ludźmi. Ja nie mam żadnej z tych rzeczy. Nigdy nie miałem. Wszystkie chłopaki z Trevs o tym wiedzieli.

Wiem, że niektórzy z nich mówią na mnie „menel” za moimi plecami. Ale myślałem, że więź między nami jest nie do zerwania.

Will wierci się na ziemi, próbując sięść prosto. Nie pomogę mu.

- Johnno, stary ...

- Aha, i nie rzuciłem pracy w centrum, żeby założyć markę whisky. Żałosne, nie? Nie zgadniesz ... zostałem zwolniony za to, że upaliłem się w pracy. Jak nastolatek. Był jeden taki grubas na wyjeździe integracyjnym. Za szybko spuściłem go na ziemię, gdy zjeżdżał po linie, i złamał sobie kostkę. A wiesz, dlaczego byłem zjarany?

- Dlaczego? - pyta nieufnie.

- Bo chciałem jakoś przetrwać. Bo to jedyna rzecz, która pomaga mi zapomnieć. Widzisz, mam wrażenie, że całe moje życie zatrzymało się w tamtym momencie, te wszystkie lata temu. Jakby ... jakby ... od tamtego czasu nie przydarzyło mi się nic dobrego. Jedyną dobrą rzeczą, która mnie spotkała, gdy skończyliśmy Trevs, była szansa na ten program telewizyjny, a ty mi ją odebrałeś. - Milknę, biorę głęboki wdech, przygotowuję się na powiedzenie tego, z czego w końcu, po niemal dwudziestu latach, zdałem sobie sprawę. - Ale dla ciebie tak to nie wygląda, prawda? Jakby przeszłość nie miała na ciebie wpływu. Jakby to było bez znaczenia. Ty żyjesz dalej i bierzesz to, co chcesz.

I zawsze wszystko uchodzi ci na sucho.

## ***Hannah***

### *Osoba towarzysząca*

Czterej druźbowie z impetem wpadają do namiotu. Peter Ramsay rzuca się na kolana i sunie ślizgiem po laminowanej podłodze, prawie wpadając na stół z zachwycającym tortem. Widzę, jak Duncan wskakuje Angusowi na plecy i przydusza go od tyłu, aż jego twarz zrobi się fioletowa. Angus zatacza się, rechocząc i rozpaczliwie próbując złapać oddech jednocześnie. Wtedy Femi rzuca się na nich obu i wszyscy padają na ziemię, tworząc płataninę kończyn. Są nabuzowani, podekscytowani numerem, który przed chwilą wykręcili, gdy tak po prostu wynieśli Willa z namiotu.

- Do baru, chłopaki! - ryczy Duncan, zrywając się na nogi. - Poruszamy piekło!

Reszta gości biegnie za nimi, uznając to za sygnał do działania, śmiejąc się i rozmawiając. Zostaję na swoim miejscu. Większość obecnych wydaje się podekscytowana i pobudzona przemową i przedstawieniem, które po nim nastąpiło. Nie mogę jednak powiedzieć, że bym czuła to samo - choć Will się uśmiechał, było w tym wszystkim coś niepokojącego: ta opaska na

oczy, związane ręce i nogi. Spoglądam w stronę głównego stołu i widzę, że nie ma przy nim praktycznie nikogo, prócz Jules, która siedzi nieruchomo, najwyraźniej pogrążona we własnych myślach.

Nagle słyszę harmider dobiegający z namiotu barowego. Podniesione głosy.

- Hej! Spokojnie!

- Jaki masz, kurwa, problem, stary?

- Jezu, wrzuć na luz ...

Nie mam żadnych wątpliwości, że to głos mojego męża. O Boże. Zrywam się na nogi i szybko biegnę w stronę baru. Panuje tam ścisk - wszyscy gapią się w podekscytowaniu jak dzieci na placu zabaw. Przepycham się na przód tak szybko, jak to tylko możliwe. Mój mąż kuca na podłodze. Wtedy zdaję sobie sprawę, że unosi pięści nad przypartym do ziemi Duncanem.

- Powtórz to - prowokuje go Charlie.

Przez moment jestem w stanie tylko na niego patrzeć: to mój mąż - nauczyciel geografii, ojciec dwójki dzieci, zwykle opanowany człowiek. Już od bardzo dawna nie widziałam go od tej strony. I wtedy zdaję sobie sprawę, że muszę działać.

- Charlie! - mówię, podbiegając do niego. Odwraca się do mnie i przez moment tylko mruga, jakby ledwie mnie poznawał. Jest czerwony na twarzy i trzęsie się od adrenaliny. Czuję alkohol w jego oddechu. - Charlie, co ty, do cholery, wyprawiasz?

Wygląda, jakby trochę się opamiętał. I na całe szczęście wstaje, nie robiąc zbyt wielkiego zamieszania. Duncan poprawia koszulę i mamrocze coś pod nosem. Charlie idzie za mną i tłum rozstępuje się, żeby nas przepuścić. Czuję, że wszyscy goście w milczeniu nas obserwują. Moje początkowe przerażenie przycichło i teraz został tylko wstyd.

Wracamy do głównego namiotu i siadamy przy najbliższym stoliku.

- Co w ciebie wstąpiło? Co to, do cholery, było? - pytam go.

- Miałem dość - odpowiada. Wyraźnie słychać, że bełkocze, i poznaję, że jest pijany, po zgorzkniałym wyrazie jego ust. - Zaczął gadać o wieczorze kawalerskim i miałem tego dość.

- Co się wtedy stało? - Charlie wydaje z siebie długie stęknienie i zakrywa twarz dłońmi. - Powiedz mi. To naprawdę coś aż tak strasznego?

Mój mąż zwiesza ramiona. Wygląda na to, że w końcu postanowił wszystko mi powiedzieć. Bierze głęboki wdech. Przez długą chwilę milczy. I wtedy, w końcu, zaczyna mówić.

- Wsiadliśmy na prom do miejsca oddalonego od Sztokholmu o kilka godzin, rozbiliśmy obozowisko na wyspie przynależącej do archipelagu. To była ... no wiesz, bardzo męska eskapada: stawianie namiotów, rozpalenie



ogniska. Ktoś kupił kilka steków, które usmażyliśmy nad ogniem. Nie znałem nikogo prócz Willa, ale jego kumple wydawali się w porządku.

Nagle wszystko z siebie wyrzuca, wypity alkohol rozluźnił mu język. Mówi mi, że wszyscy chodzili do Trevellyana, więc nudził się, gdy wspominali szkolne czasy - siedział, uśmiechał się i próbował sprawiać wrażenie zainteresowanego. Z oczywistych powodów nie chciał dużo pić, przez co stał się obiektem żartów. Wtedy któryś z nich, zdaniem Charliego chyba Pete - wyciągnął grzyby.

- Wzięłaś grzyby? Halucynogenne? - prawie wybucham śmiechem. Nie jest to ani trochę w stylu mojego rozsądnego, ostrożnego męża. To ja jestem bardziej chętna do eksperymentów i parę razy spróbowałam różnych rzeczy, kiedy chodziłam po klubach w Manchesterze.

Na twarzy Charliego pojawia się grymas.

- Tak, no cóż, wszyscy je wzięli. Kiedy jesteś w tego typu grupie ... trudno odmówić. A nie chodziłem do ich ekskluzywnej szkoły, więc już i tak odstawałem od reszty.

*Ale masz trzydzieści cztery lata, chcę mu powiedzieć. Co byś poradził Benowi, gdyby koledzy namawiali go na coś, czego nie chce zrobić? A potem myślę o wczorajszym wieczorze, kiedy wypiałam tego drinka, podczas gdy oni skandowali mi nad uchem. Mimo że nie chciałam, wiedziałam, że muszę.*

- Czyli wzięłaś halucynki? - Oto mój mąż, zastępca dyrektora, który wyznaje zasadę zero tolerancji dla narkotyków w szkole. - O Boże - mówię, nie potrafiąc powstrzymać rozbawienia. - Wyobraź sobie, co by na to powiedziała rada rodzicielska!

Następnie Charlie opowiada mi, że wsiedli do czółen i popłynęli na sąsiednią wyspę. Skakali do wody nago. Rzucili Charliemu wyzwanie, żeby popłynął na trzecią, najmniejszą wyspę - tego wieczoru padało wiele tego typu wyzwań - ale kiedy wrócił, już ich nie było. Zostawili go tam bez czółna.

- Nie miałem ubrań. Może i była wiosna, ale to koło podbiegunowe, Han. W nocy jest tam potwornie zimno. Byłem tam przez długie godziny, zanim w końcu po mnie wrócili.

Miałem zjazd po grzybach. Było mi zimno. Myślałem, że dostanę hipotermii. .. myślałem, że umrę. A kiedy mnie znaleźli. ..

- Co?

- Płakałem. Leżałem na ziemi i zalewałem się łzami jak dziecko.

Wygląda na tak upokorzonego, że znów mógłby się rozplakać, i bardzo mu współczuję. Chcę go przytulić, tak jak przytuliłabym Bena, ale nie jestem pewna, jak to by się skończyło. Wiem, że faceci robią głupie rzeczy na wieczorach kawalerskich, ale to było działanie z premedytacją, jak gdyby się na niego uwzięli. Tak nie można.

- To okropne - mówię. - Jakby prześladowali cię szkolni chuligani. To znaczy, prześladowali cię.

Charlie ma zastygłą, zamyśloną minę. Nie potrafię jej rozszyfrować. W swojej arogancji sądziłam, że znam swojego męża na wylot. Jesteśmy razem od lat. Wystarczyły jednak niespełna dwadzieścia cztery godziny w tym dziwnym miejscu, by okazało się, że to tylko iluzja. Poczułam to, kiedy dobiliśmy do przystani. Charlie z każdą chwilą wydawał mi się coraz bardziej obcy. Wieczór kawalerski to kolejne tego potwierdzenie: w końcu poznałam potworną historię, którą przede mną zataił, a która, jak zaczynam teraz podejrzewać, zmieniła go w pewien złożony, niewidoczny sposób. Prawda jest taka, że nie wydaje mi się, by Charlie był obecnie sobą, a przynajmniej nie takim sobą, jakiego znam. To miejsce coś w nim zmieniło - i w nas też.

- To był jego pomysł - mówi Charlie. - Jestem tego pewien.

- Czyj? Duncana?

- Nie. To idiota. Pionek. To Will był prowodyrem. To było widać. Johnno też. Reszta tylko wypełniała rozkazy.

Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby Will zmuszał innych do robienia takich rzeczy. Zresztą na tego typu wyjazdach to zwykle drużbowie, a nie przyszły pan młody, rozdają karty. Jasne, bez problemu mogę sobie wyobrazić, że stał za tym Johnno, zwłaszcza po tym, co odwalił przed chwilą. Ma w sobie coś nieokiełzanego. Może nie jest podły, jednak potrafiłby przekroczyć pewne granice, nawet gdyby miał później żałować. Duncan podobnie. Ale nie Will. Myślę, że Charlie woli obarczyć go winą zwyczajnie dlatego, że go nie lubi.

- Nie wierzysz mi, prawda? - pyta, a jego mina robi się bardziej pochmurna. - Nie uważasz, żeby to była jego wina.

- Jeśli mam być szczerą, to nie. Bo ...

- Bo chcesz, żeby cię przeleciał? - kończy za mnie warkliwie. - Myślałaś, że nie zauważyłem? Widziałem, jak na niego wczoraj patrzyłaś. Zauważyłem nawet to, jak wymawiasz jego imię. - Przedrzeźnia mnie okropnym falsetem. - Och, Will, opowiedz mi, jak dostałeś odmrożeń, och, jesteś taki męski. ..

Zaciętość jego tonu jest tak niespodziewana, że odsuwam się od niego. Minęło tyle czasu, odkąd ostatnio był pijany, że zapomniałam, jak bardzo potrafi się zmienić. Ale czuję, że jest w tym ziarenko prawdy. Na wspomnienie tego, jakie wrażenie zrobił na mnie Will, tli się we mnie iskierka poczucia winy. Ale szybko przeistacza się ona w gniew.

- Jak śmiesz mówić do mnie w ten sposób? - syczę. - Zdajesz sobie sprawę, jak wstrętne się zachowujesz? Will chciał przynajmniej, żebym poczuła się mile widziana w towarzystwie - zrobił w tej kwestii zdecydowanie więcej niż ty.

I wtedy przypominam sobie wczorajszy wieczór i to, jak flirtował z Jules. Jak wślizgnął się nad ranem do naszej sypialni, choć nie został pić z chłopakami.

- Właściwie to nie masz prawa tak mówić - mówię, podnosząc głos. - A twoje ohydne gierki z Jules z poprzedniego wieczoru? Zawsze zachowuje się tak, jakby owinęła cię sobie wokół palca, a tobie ani w głowie się temu sprzeciwić. Wiesz, jak się przez to czuję? - Łamie mi się głos. - Wiesz? - Czuję złość i jednocześnie chce mi się płakać.

Napięcie i samotność dzisiejszego dnia w końcu dają mi się we znaki.

Charlie robi potulną minę. Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale kręć głową.

- Spałeś z nią, prawda? - Wcześniej nigdy nie chciałam tego wiedzieć. Ale teraz czuję w sobie na tyle odwagi, by w końcu o to zapytać.

Następuje długie milczenie. Charlie chowa twarz w dłoniach.

- Raz - odpowiada. Jego głos tłumią palce. - Ale ... to było wieki temu, naprawdę ...

- Kiedy? Kiedy to było? Kiedy byliście nastolatkami?

Unosi głowę. Otwiera usta i znów je zamyka. Jego mina. O Boże. Nie, kiedy byli nastolatkami. Czuję się, jakbym dostała cios w brzuch. Ale teraz muszę wiedzieć.

- Później? - pytam.

Wzdycha i kiwa głową.

Moje gardło się zaciska i z trudem wypowiadam kolejne słowa.

- Czy ... czy byliśmy już wtedy razem?

Charlie zgina się wpół i znów kryje twarz. Wydaje z siebie przeciągłe, niskie stęknienie.

- Han ... tak mi przykro. To naprawdę nic nie znaczyło. Byłem strasznie głupi. To się stało wtedy, kiedy od dłuższego czasu ze sobą nie sypialiśmy. To było wtedy ...

- Po tym jak urodziłam Bena. - Robi mi się niedobrze. Nagle jestem tego pewna. Charlie nie zaprzecza i uznaję to za potwierdzenie.

W końcu się odzywa.

- Mieliśmy gorszy okres. Ty ... cały czas byłaś smutna, a ja nie wiedziałem, co zrobić, jak pomóc ...

- Chodzi ci o czas, w którym prawie popadłam w depresję poporodową? Kiedy czekałam, aż wygoją mi się szwy? Jak mogłeś, Charlie ...

- Tak strasznie cię przepraszam. - Nie ma w nim już ani śladu wściekłości. Mogłabym wręcz uwierzyć, że jest całkowicie trzeźwy. - Tak strasznie mi przykro, Han. Jules właśnie zerwała z chłopakiem, z którym się wtedy spotykała. Wyszliśmy na drinka po pracy ... za dużo wypiliśmy. Później oboje uznaliśmy, że to była pomyłka i że to się nigdy więcej nie powtórzy. To nic nie znaczyło. Ledwie to pamiętam. Han, spójrz na mnie.

Nie mogę. Nie chcę.

To coś tak okropnego, że nie potrafię trzeźwo o tym myśleć. Czuję się, jakbym była w szoku, jakby pełen ból jeszcze do mnie nie dotarł. Ale widzę te ich wszystkie flirty i fizyczną bliskość w zupełnie nowym, okropnym świetle. Myślę o wszystkich tych momentach, kiedy czułam, że Jules celowo stara się mnie wykluczyć, rozdzielić mnie z Charliem, żeby miała go tylko dla siebie.

Co za suka.

- Więc przez cały ten czas, kiedy mówiłeś mi, że zawsze byliście tylko przyjaciółmi, że ten delikatny flirt nic nie znaczy i że jest dla ciebie jak siostra ... okłamywałeś mnie, tak? Nie mam pojęcia, co wczoraj razem robiliście. Nie chcę wiedzieć. Ale jak śmiesz?

- Han. - Wyciąga rękę i ostrożnie dotyka mojego nadgarstka.

- Nie. Nie dotykaj mnie. - Wyrwam mu się i wstaję. - Jesteś pijany. Przynosisz sobie wstyd. To, jak potraktowano cię na wieczorze kawalerskim, nie usprawiedliwia twojego obecnego zachowania. Tak, zrobili coś strasznego. Ale nie doznałeś żadnej trwałej krzywdy. Poważnie, jesteś dorosłym mężczyzną - ojcem ... - Prawie dodaję, że też i „mężem”, ale nie przechodzi mi to przez usta. - Masz obowiązki. I wiesz co? Skończyłam się tobą opiekować. Mam to gdzieś. Sam posprzątaj swój bałagan.

Odwracam się i odchodzę.

**Johnno**

*Świadek*

- Johnno - mówi Will ze śmiechem. Jego echo wraca do nas z głębi jaskini. - Naprawdę nie wiem, o czym mówisz. To stare dzieje. Myślenie o nich ci nie służy. Musisz o tym zapomnieć.

Ma rację, ale nie mogę. Jakby jakaś część mnie ugrzęzła w przeszłości. Choć bardzo się starałem o wszystkim zapomnieć, to truje mnie od środka. Mam wrażenie, że od tamtej pory nic się w moim życiu nie wydarzyło, a przynajmniej nic, co miałoby znaczenie. I zastanawiam się, jak Will był w stanie dalej żyć swoim życiem, nigdy nie oglądając się wstecz.

- Powiedzieli, że to był tragiczny wypadek - mówię. - Ale to nie była prawda. To my to zrobiliśmy, Will. To była nasza wina.

- Sprzątałem salę sypialną - powiedział Loner, kiedy wróciliśmy po treningu rugby. Kazałem mu to zrobić, bo skończyły mi się pomysły na to, co mógłbym mu zlecić. - Ale znalazłem to. - Trzymał je w dłoni tak, jak

gdyby mogły go poparzyć: plik arkuszy egzaminacyjnych na zakończenie liceum.

Spojrzał na Willa. Loner miał grobową minę. Pewnie dla niego ktoś umarł - jego bohater.

- Odłóż je - bardzo cicho powiedział Will.

- Nie powinieneś być ich brać - odparł Loner, co jak pomyślałem, świadczyło o dużej odwadze, biorąc pod uwagę, że obaj przewyższaliśmy go przynajmniej o głowę.

Odważny był z niego dzieciak, w dodatku przyzwoity, jeśli się nad tym zastanowić. Ale staram się tego nie roztrząsać. Pokręcił głową. - To oszustwo.

Will zwrócił się do mnie, kiedy młodszy wyszedł z sali.

- Idiota z ciebie - powiedział. - Dlaczego kazałeś mu sprzątać, kiedy wiedziałeś, że to tu jest? - To on je ukradł, nie ja. Ale jestem teraz pewien, że gdyby to się wydało, zwałyby na mnie pełną odpowiedzialność.

Pamiętam, że rzucił mi wtedy uśmiech, który nie miał w sobie nic radosnego.

- Wiesz co? - powiedział. - Chyba dziś zabawimy się w przetrwanie.

- Nie mogłeś tego znieść, mówię do Willa. - Bo wiedziałeś, że jeśli to się wyda, to zostaniesz wyrzucony. A twoja jebana reputacja zawsze liczyła się dla ciebie najbardziej.

Zawsze tak było. Bierzesz to, co chcesz. I chrzanić wszystkich, którzy staną ci na drodze. Nawet mnie.

- Johnno - zaczyna Will łagodnym, racjonalnym tonem. - Za dużo wypiełeś. Nie wiesz, co mówisz. Gdyby to była nasza wina, to nie uszłoby to nam na sucho. Mam rację?

Wystarczyło tylko nas dwóch. Tamtej nocy na sali z Lonerem nocowało czterech chłopców - pozostali się rozchorowali i zostali przeniesieni do ambulatorium. To ułatwiło sprawę. Miałem wrażenie, że jeden z nich się poruszył, kiedy weszliśmy do środka, ale działaliśmy szybko. Czułem się jak zamachowiec - i bardzo mnie to ekscytowało.

Świetnie się bawiłem. Nie myślałem zbyt wiele. Czułem tylko płynącą przeze mnie adrenalinę. Wsadziłem Lonerowi grubą skarpetę do ust, a Will zawiązał mu opaskę na oczach, więc wszelkie odgłosy, jakie wydawał, były stłumione i niewyraźne. Nie było ciężko go nieść: praktycznie nic nie ważył.

Trochę się szamotał. Ale nie posikał się, jak niektórzy inni chłopcy. Tak jak mówiłem, był całkiem odważny.

Myślałem, że idziemy do lasu. Ale Will pokazał drogę w stronę klifów. Spojrzałem na niego, nie rozumiejąc. Przez jedną, potworną chwilę miałem wrażenie, że zaproponuje, byśmy zrzucili z nich młodego.

- Zejście na plażę - powiedział bezgłośnie.

- Jasne. - Czułem ulgę. - Zejście po ścieżce w dół klifu zajęło nam mnóstwo czasu. Kreda sypała się pod naszymi stopami z każdym krokiem, buty się ślizgały, a nie było jak podtrzymać się balustrady na ścianie, bo mieliśmy zajęte ręce. Dzieciak przestał się szamotać. Zrobił się bardzo nieruchomy. Pamiętam, jak zacząłem się martwić, że się dusi, więc wyciągnąłem rękę, żeby wyciągnąć mu knebel, ale Willi pokręcił głową.

- Może oddychać nosem - powiedział. Chyba mniej więcej w tamtym momencie zacząłem czuć się nieswojo, ale pomyślałem sobie, że przesadzam: przecież wszyscy przez to przechodziliśmy. Szliśmy dalej.

W końcu dotarliśmy na plażę i stanęliśmy na mokrym piasku. Nie wiedziałem, co jest takiego trudnego w tym, żeby wrócić z plaży do budynku. Nawet bez okularów będzie dokładnie wiedział, gdzie jest, gdy tylko ściągnie opaskę. Nie znajdowaliśmy się zbyt daleko od szkoły i każdy mógł się wspinać po ścieżce w górę klifu - w szczególności Loner.

Chłopcy bez przerwy przychodzili na plażę. Ale pomyślałem, może Will chce mu ułatwić sprawę ze względu na wszystko, co dla nas robił - mycie naszych butów, sprzątanie sal i tym podobne rzeczy. To się wydawało uczciwe.

- Dobrze wiesz, Will - mówię. Z mojej piersi wydobywa się jakiś hałas, dźwięk bólu. Wydaje mi się, że chyba płaczę. - Powinniśmy byli zapłacić za to, co zrobiliśmy.

Pamiętam, jak Will wskazał na początek ścieżki przy klifie. Wyciągnął sznurówki. Nic szczególnego - zwyczajne sznurówki od butów do rugby.

- Przywiążemy go - powiedział.

Ostatecznie poszło łatwo. Will kazał mi go przywiązać do balustrady przy ścieżce - byłem całkiem niezły w węzłach i tego typu rzeczach. Teraz rozumiałem. To trochę utrudni sprawę. Nawet Houdini miałby problem, żeby się z nich wyswobodzić - ta część ucieczki zajmie trochę czasu.

I wtedy go zostawiliśmy.

- Na litość boską, Johnno - mówi Will. - Słyszałeś, co wtedy powiedzieli. To był straszny wypadek.

- Wiesz, że to nieprawda ...

- Nie, taka jest prawda. I na tym koniec.

Pamiętam, jak obudziłem się następnego dnia i wyjrzałem na morze przez okno w naszej sali. I wtedy to do mnie dotarło. Nie mogłem uwierzyć, jaki byłem głupi. Nadszedł przypływ.

- Will, Will - powiedziałem. - On chyba się nie wyplątał. Przypływ ... nie pomyślałem. O Boże, on chyba ... - Miałem wrażenie, że zwymiotuję.

- Zamknij się, Johnno - odparł Will. - Nic się nie stało, okej? Przede wszystkim musimy uzgodnić swoją wersję. Inaczej będzie po nas. Rozumiesz?

Nie mogłem uwierzyć w to, co się dzieje. Chciałem znów zasnąć, żeby po przebudzeniu okazało się, że to wszystko nie jest prawdą. Coś tak potwornego nie wydawało się realne. Wszystko przez kilka skradzionych kartek.

- Okej - powiedział Will. - Zgadzasz się? Byliśmy w łózkach. Nic nie wiemy.

Kombinowałem na kilka kroków do przodu. Ja nie zacząłem jeszcze nawet myśleć o tym, żeby komuś powiedzieć. Ale chyba założyłem, że to właśnie musimy zrobić. To było jedyne wyjście. Czegoś takiego nie można było utrzymać w sekrecie.

Ale nie miałem zamiaru z nim dyskutować. Jego mina trochę mnie przerażała. Jego oczy się zmieniły - jakby nie było w nich światła. Powoli pokiwałem głową. Podejrzewam, że nie myślałem wtedy o tym, z czym to się będzie wiązać i jak mnie to zniszczy.

- Powiedz to na głos - nakazał Will.

- Dobrze - odparłem ochryłym głosem.

Chłopak nie żył. Nie zdołał się wyswobodzić. To był „tragiczny wypadek”. Tyle nam powiedziano na szkolnym apelu tydzień później, kiedy woźny znalazł zwłoki wyrzucone przez morze w dalszej części plaży. Sznurówki musiały się jakoś obluźować, ale nie na tyle wcześnie, by Loner zdążył się uratować. Ktoś mógłby pomyśleć, że zostawiły ślady.

Komendant miejscowej policji był kumplem ojca Willa. Czasem wspólnie pili w jego gabinecie. To pewnie załatwiło sprawę.

- Pamiętam jego rodziców - mówię teraz do Willa. - Jak przyjechali do szkoły. Jego mama wyglądała tak, jakby też chciała umrzeć. - Widziałem ją z sali na piętrze, gdy wysiadała z samochodu. Podniosła wzrok i musiałem się cofnąć, żeby mnie nie zobaczyła.

Przykucam i nasze twarze są na tej samej wysokości. Mocno chwytam Willa za ramiona, żeby spojrzał prosto na mnie.

- Zabiliśmy go, Will. Zabiliśmy tego chłopca.

Próbuje mnie rzucić, macha na oślep związanymi rękami. Jego paznokcie zahaczają o moją szyję, drapią mnie przy kołnierzyku. Aż szczypie. Jedną ręką rzucam nim o ścianę.

- Johnno - mówi Will, ciężko dysząc. - Musisz wziąć się w garść. Musisz się, kurwa, zamknąć. - I wtedy wiem, że do niego dotarłem. On prawie nigdy nie przeklina. To nie pasuje do wizerunku złotego chłopaka.

- Wiedziałeś? - pytam go. - Wiedziałeś, prawda?

- Co wiedziałem? Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Johnno, rozwiąż mnie. To już za długo trwa.

- Wiedziałeś, że nadejdzie przyływ.

- Nie wiem, o czym mówisz. Pleciesz bez sensu. Słyszałem to wczoraj wieczorem i dziś w twojej przemowie. Za dużo wypięś. Masz problem z alkoholem? Jestem twoim przyjacielem. Znajdziemy ci pomoc. Ja ci pomogę. Ale skończ z tymi wymysłami.

Odgarniam włosy od oczu. Mimo że jest zimno, czuję pot na palcach.

- Byłem idiotą. Wiem, że nigdy nie należałem do bystrzaków. To nie wymówka. To ja go związałem, kiedy mi kazałeś. Ale nie pomyślałem o przyływie. Nie pomyślałem o nim aż do rana, kiedy było już za późno.

- Johnno - syczy Will, jakby się bał, że ktoś tu przyjdzie. Ale tylko sprawia, że chcę mówić jeszcze głośniej.

- Zastanawiałem się nad tym przez wszystkie te lata. Ale dałem ci kredyt zaufania. Jasne, Will czasem zachowywał się w szkole jak dupek, ale nie on jedyny. Inaczej nie dało się tam przeżyć.

Ona zmieniła nas w zwierzęta.

Myślę o młodym, który uosabiał coś odwrotnego - był zbyt dobry, zbyt uczciwy, nie rozumiał zasad.

- Ale tłumaczyłem sobie, że przecież Will nie jest zły. Nie zabiłby chłopaka. Nie z powodu kradzionych arkuszy egzaminacyjnych. Nawet gdyby to oznaczało, że wydalą go ze szkoły.

- Nie zabiłem go - zapiera się Will. - Żaden z nas go nie zabił. To woda go zabiła. Ta zabawa go zabiła. Ale nie my. To nie nasza wina, że się nie wyswobodził.

- Jasne, tak sobie właśnie wmawiałem przez wszystkie te lata. Powtarzałem historyjkę, którą wymyśliłeś. To przez zabawę. Tylko że to my byliśmy tą zabawą, Will. Myślał, że jesteśmy jego kumplami. Ufał nam.

- Johnno. - Teraz Will jest już wściekły. Nachyla się w moją stronę. - Weź się, kurwa, w garść. Nie pozwolę ci wszystkiego zepsuć, bo masz wyrzuty, bo twoje życie to bagno i nie masz nic do stracenia. Taki dzieciak jak on nigdy nie przetrwałby w prawdziwym świecie. Był najślabszy w miocie. Jeśli nie my, to wykończyłoby go coś innego.

Z powodu zgonu jednego z uczniów semestr skończył się wcześniej. Wszyscy myśleli o letnich wakacjach i można było odnieść wrażenie, że dzieciak nigdy nawet nie istniał.

Pewnie dla reszty uczniów rzeczywiście tak było - nikt nie zwracał uwagi na pierwszoklasistę.

Ale znalazł się kapuś. Jeden z uczniów, który nas podejrzwał. Zawsze podejrzewałem o to spasionego kumpla Lonera. Powiedział, że widział, jak



weszliśmy do sali i związaliśmy go. Niewiele z tego wynikło. Ojciec Willa był dyrektorem. Przeważnie zachowywał się jak straszny fiut - bardziej względem Willa niż innych. Ale w tym wypadku stał za nim murem, a tym samym za mną.

I mieliśmy siebie nawzajem.

Przez wszystkie te lata trzymaliśmy się razem - połączeni przez wspomnienia i mroczny sekret z przeszłości. Myślałem, że on czuje to samo, że się nawzajem potrzebujemy.

Ale sprawa z programem telewizyjnym pokazuje, że przez cały ten czas Will chciał się wyplątać z tej przyjaźni. Jestem zbyt dużym obciążeniem. Chciał zwiększyć dystans między nami. Nic dziwnego, że miał taką niezręczną minę, kiedy powiedziałem mu, że będę jego świadkiem.

- Johnno - mówi Will. - Pomyśl o moim ojcu. Wiesz, jaki on jest. Dlatego tak rozpaczliwie próbowałem zdobyć dobry wynik. Musiałem to zrobić. A gdyby poznał prawdę, gdyby wiedział, że schowałem te arkusze ... zabiłby mnie. Chciałem tylko przestraszyć młodego.

- Nawet nie próbuj - odpowiadam. - Nie próbuj robić z siebie ofiary. Wiesz, ile razy wywinąłeś się z kłopotów? Przez to, jak wyglądasz, jak wmawiasz ludziom, że taki świetny z ciebie facet? - To rozczulanie się nad sobą tylko podsyca moją złość. - Powiem im - oświadczam. - Dłużej nie dam rady. Powiem wszystkim ...

- Nie ośmielisz się - odpiera Will. Jego głos jest teraz inny: niski i twardy. - Zniszczysz nam życie. Twoje też.

- Ha! - odpowiadam. - To już i tak zniszczyło mi życie. Niszczy je od tamtego poranka, kiedy powiedziałeś mi, że mam stulić dziób. Gdyby nie ty, to bym nie milczał. Nie było dnia, żebym o tym nie myślał i nie czuł, że powinienem być komuś powiedzieć. Ale ty? Po tobie wszystko spłynęło? Zero konsekwencji. No to wiesz co? Najwyższa pora, żeby jakiegoś cię dosięgły. Jeśli o mnie chodzi, to będzie to jakaś ulga. Robię tylko to, co powinniśmy byli zrobić te wszystkie lata temu.

W jaskini słychać jakiś szmer i kobiecy głos:

- Halo?

Obaj zamieramy.

- Will? - To organizatorka ślubów. - Jesteś tu? - Wyłania się zza skalnej ściany. - O, cześć, Johnno. Will, wysłano mnie po ciebie. Drużbowie powiedzieli, że cię tu zostawili.

- Wydaje się całkowicie opanowana. Profesjonalna, mimo że stoimy w ogromnej jaskini i jedno z nas siedzi związane na ziemi i z przepaską na oczach. - Minęło prawie pół godziny, więc Julia chciała, żebym tu przyszła i .. no cóż, uratowała cię. Powinnam cię ostrzec, że nie jest... - Wygląda,

jakby próbowała jakoś delikatnie to ująć. - Nie jest szczególnie zachwycona tym przerywnikiem ... A wkrótce zaczną grać zespół.

Czeka, aż rozwiążę Willa i pomogę mu wstać, pilnując nas jak nauczycielka. Gdy wychodzimy za nią z jaskini, zastanawiam się, czy coś słyszała albo widziała. Albo co bym zrobił, gdyby nam nie przerwała.

## ***Aoife***

### *Organizatorka ślubów*

Wesele w głównym namiocie wskoczyło na wyższy bieg. Goście wypili całego szampana. Teraz przerzucają się na mocniejsze trunki: koktajle i szoty z tymczasowego baru.

Są odurzeni wolnością tej nocy.

Gdy zmieniam ręczniki w toalecie w pałacyku, zauważam na podłodze i na kamiennym blacie wokół umywalki wymowne ślady białego proszku. Nie jestem zaskoczona.

Widziałam, jak goście ukradkowo wycierają sobie nosy, wracając do namiotu. Byli grzeczni przez prawie cały dzień. Pokonali długą drogę, żeby się tu znaleźć. Przywieźli ze sobą prezenty. Odpowiednio się ubrali, przesiadli całą ceremonię, wysłuchali przemówień, przybrali odpowiednie miny i mówili same właściwe rzeczy. Ale też na moment zostawili za sobą wszystkie swoje obowiązki. Są jak dzieci pod nieobecność rodziców. Ta część dnia należy do nich. Nawet gdy nowożeńcy czekają na pierwszy taniec, prą na parkiet.

Jakąś godzinę wcześniej, wracając do pałacyku, usłyszałam dziwny hałas na górze. Reszta budynku była oczywiście zamknięta dla gości, ale nie ma w pełni skutecznych sposobów na to, żeby powstrzymać pijanych ludzi od wejścia tam, gdzie chcą. Poszłam na górę, żeby to sprawdzić, otworzyłam drzwi do pokoju państwa młodych i zastałam tam nie nowożeńców, a inną kobietę i mężczyznę nachylonych nad łóżkiem. Na mój widok w panice próbowali się zasłonić: ona, cała się czerwieniąc, obciągnęła spódnice, on zasłonił wzwód cylindrem. Dopiero nieco później zobaczyłam, jak oboje wracają, jak gdyby nigdy nic, do przeciwległych części namiotu. Tym, co szczególnie zwróciło moją uwagę, był fakt, że oboje mieli na palcach obrączki. Na tym etapie pamiętam plan usadzenia gości równie dobrze jak Julia i wiem, że wszyscy mężowie i żony siedzieli obok siebie.

Ale nie przejęli się mną - nie naprawdę. Ich początkowa panika zmieniła się po chwili w rozchichotaną ulgę. Wiedzą, że nie wyjawię ich sekretu. Zresztą nie byłam szczególnie zaskoczona. Widziałam wiele

podobnych rzeczy. Ekstremalne zachowania są do przewidzenia. Na każdym weselu wyłaniają się sekrety. Słyszę rzeczy mówione w zaufaniu, wredne komentarze, plotki. Słyszałam też trochę z tego, co świadek powiedział w jaskini.

Na tym polega organizacja ślubów. Mogę stworzyć idealny dzień, pod warunkiem że goście się dostosują, będą pamiętać, by nie przekraczać pewnych granic. Ale jeśli tego nie zrobią, reperkusje mogą trwać znacznie dłużej niż dwadzieścia cztery godziny. Nikt nie jest w stanie kontrolować tego typu następstw.

## *Jules*

### *Panna młoda*

Zespół zaczął grać. Will - który wrócił do namiotu lekko rozczochrany i brudny - bierze mnie za rękę i prowadzi na parkiet. Zauważam, że trzymam jego dłoń na tyle mocno, by zadać mu ból, i mówię sobie, że muszę rozluźnić uścisk. Jestem jednak rozwścieczona tym, jak drużbowie zaburzyli wieczór swoim głupim wybrykiem. Goście gromadzą się wokół nas, pohukując i krzycząc. Ich twarze są zaczerwienione i spocone, zęby wyszczerzone, oczy szeroko rozwarte. Są pijani - a nawet więcej. Napierają w naszą stronę, nachylają się do nas i wkrótce przestrzeń wydaje się ciasna. Są tak blisko, że czuję ich zapachy: perfumy i wodę kolońską, kwaśną, sfermentowaną woń guinnessa i szampana, odór ciała, kwaśny od alkoholu oddech. Uśmiecham się do nich, bo powinnam. Uśmiecham się już tak długo, że czuję tępy ból gdzieś pod uszami i cała moja szczęka jest jak nadmiernie rozciągnięta guma.

Mam nadzieję, że wyglądam, jakbym dobrze się bawiła. Dużo wypiałam, ale nie wywołało to u mnie żadnego efektu oprócz tego, że stałam się bardziej nieufna, bardziej stremowana. Od przemowy czuję narastający we mnie niepokój. Rozglądam się dookoła. Wszyscy świetnie się bawią: naprawdę puściły im hamulce. Dla nich ta katastrofalna przemowa jest nic nieznaczącym szczegółem, zabawną anegdotą.

Will i ja odwracamy się w jedną stronę i w drugą. Zwija mnie do siebie i odpycha. Goście oklaskują tę powściągliwą choreografię. Nie poszliśmy na kurs tańca, bo to by było strasznie słabe, a Will jest z natury dobrym tancerzem. Tylko że kilka razy nadeptuje na tren mojej sukni. Muszę wyszarpnąć mu ją spod butów, zanim się potknę. Taka niezgrabność nie jest w jego stylu. Wydaje się czymś zaabsorbowany.

- Co to, do cholery, było? - pytam, kiedy przyciąga mnie do siebie. Wygląda to tak, jakbym szeptała mu do ucha czułe słówka.

- Nic - odpowiada Will. - Szczeniackie wygłupy. Może niewystarczająco wyżyli się na kawalerskim. - Uśmiecha się, ale nie do końca jest sobą. Wypił dwa duże kieliszki wina, kiedy wrócił do namiotu, jeden po drugim. Wzrusza ramionami. - Johnno i jego idiotyczne żarty.

- Wczorajsze wodorosty miały być żartem - mówię. - Ale wcale nie był śmieszne. A teraz to? I jeszcze ta przemowa! Co on miał na myśli? O co mu chodziło z tą przeszłością? O ukrywanie sekretów ... o jakie sekrety mu chodziło?

- Nie mam pojęcia, Jules - odpowiada. - Johnno ma dziwne poczucie humoru. Nic wielkiego.

Robimy powolne kółko po parkiecie. Widzę rozpromienione twarze, klaszczące dłonie.

- To nie brzmiało jak nic wielkiego - odpowiadam. - Tylko jak coś ważnego. Will, co on o tobie wie?

- Na litość boską, Jules - syczy. - Już powiedziałem: to nic takiego. Daj sobie spokój. Proszę.

Wpatruję się w niego. Nie chodzi o same słowa, tylko o to, jak je wypowiedział - i to, w jak mocnym uścisku mnie teraz trzyma. Nie ma chyba lepszego dowodu na to, że o cokolwiek chodzi, sprawa wcale nie jest błaża.

- Sprawiasz mi ból - mówię, wyciągając rękę z jego uścisku. Natychmiast zmienia front.

- Jules, przepraszam. - Jego głos jest teraz zupełnie inny, wszelka wrogość natychmiast zniknęła. - Nie chciałem tak na ciebie warknąć. To był długi dzień. Wspaniały, ale długi. Wybaczysz mi? - Uśmiecha się do mnie w ten sam sposób, któremu nie byłam się w stanie oprzeć, odkąd poznaliśmy się w Muzeum Wiktorii i Alberta. A mimo to nie działa to na mnie tak jak zazwyczaj. Jeśli już, to sprawia, że czuję jeszcze większy niepokój przez to, jak szybko nastąpiła ta zmiana. Jak gdyby nałożył na twarz maskę.

- Jesteśmy teraz małżeństwem - mówię. - Powinniśmy się dzielić różnymi sprawami. Zwierzać się sobie.

Will odpycha mnie w tańcu, prowadząc mnie pod swoim ramieniem i z powrotem. Tłum szaleje.

Gdy znów jesteśmy twarzą w twarz, bierze głęboki wdech.

- Posłuchaj - rzuca. - Johnno wciąż powraca do pewnej rzeczy, która zdarzyła się, gdy byliśmy jeszcze w szkole. Ma obsesję na tym punkcie. Ale nie ma w tym nic z prawdy. Przez te wszystkie lata było mi go szkoda. To był błąd. Nie trzeba się było nad nim litować tylko dlatego, że moje życie się ułożyło, a jego nie. Teraz zazdrości mi wszystkiego, co mam - co my mamy wspólnie. Wydaje mu się, że jestem mu coś winny.

- Co za typ - odpowiadam. - A co niby możesz mu być winny? On ci ciąży jak kamień u szyi.

Nic na to nie mówi. W zamian przyciąga mnie bliżej, gdy piosenka osiąga punkt kulminacyjny. Wśród gości wybuchają okrzyki. Ale nagle wydają się bardzo odległe.

- Po dzisiejszym wieczorze - szepcze mi we włosy zdecydowanym tonem. - Pozbędę się go ze swojego życia. Naszego życia. Obiecuję. Mam go dość. Zaufaj mi, zajmę się tym.

## **Hannah**

### *Osoba towarzysząca*

Weszłam do namiotu, w którym gra zespół. Na szczęście pierwszy taniec już się skończył i wszyscy goście, którzy go oglądali, wypełnili parkiet. Nie jestem pewna, co dokładnie chcę tu znaleźć. Chyba coś, czym można rozproszyć uwagę od myśli kłębiących się w mojej głowie. Charlie i Jules. Trudno mi to znieść.

Mam wrażenie, że znajdują się tu absolutnie wszyscy goście - czuć ścisk rozgrzanych ciał. Wokalista podchodzi do mikrofonu:

- Wszyscy gotowi do tańca?

Zaczynają wygrywać energiczny rytm - cztery skrzypce, melodia skoczego tupańca. Ludzie wpadają na siebie, próbując bez powodzenia i w dodatku w stanie upojenia odtńczyć irlandzki jig. Widzę, jak Will wyrywa Olivie z tłumu:

- Pora, żeby pan młody zatańczył z druzną! - Wyglądają jednak na dziwnie niezgranych, kiedy wkraczają na parkiet, jak gdyby jedno opierało się drugiemu. Mina dziewczyny wprawia mnie w zastanowienie. Wygląda jak w pułapce. Był taki moment w trakcie przemowy ... Już wcześniej o nim myślałam. Co to było? Wydało mi się to dziwnie znajome. Próbuję odgrzebać go w pamięci i się skupić.

Muzeum Wiktorii i Alberta - to na pewno to. Przypominam sobie, jak Olivia opowiedziała mi wczoraj wieczorem, że zabrała Stevena na przyjęcie, które organizowała tam Jules. Coś nagle do mnie dociera i aż nieruchomieję.

Nie, to szaleństwo. Niemożliwe. To nie miałoby sensu. Pewnie to tylko dziwny zbieg okoliczności.

- Hej - mówi jakiś facet, gdy przeciskam się obok niego. - Gdzie się tak spieszysz?

- Ojej - odpowiadam, przelotnie spoglądając w jego stronę. - Przepraszam. Jestem trochę rozkojarzona.

- Może taniec coś na to pomoże. - Ma uśmiech od ucha do ucha. Przyglądam się mu bardziej uważnie. Jest całkiem atrakcyjny: wysoki, ciemne włosy, dołeczek w jednym policzku, kiedy się uśmiecha. I zanim zdolałam cokolwiek odpowiedzieć, bierze mnie za rękę i delikatnie ciągnie w stronę parkietu. Nie opieram się.

- Widziałem cię wcześniej - przekrzykuje muzykę. - Siedziałaś sama w kościele. Pomyślałem wtedy: Oto kobieta, którą warto poznać. - Znów ten uśmiech. Och, myśli, że jestem wolna, że przyszłam sama. Pewnie nie widział sceny z Charliem przy barze.

- Luis - woła teraz, pokazując na siebie palcem.

- Hannah.

Może powinnam wyjaśnić, że jestem tu z mężem. Ale nie chcę teraz myśleć o Charliem. A postrzegając siebie przez pryzmat nowej znajomości - nie jako kiepsko ubraną oszustkę, za którą się miałam, a jako atrakcyjną, tajemniczą kobietę - postanawiam nic nie mówić. Pozwalam sobie ruszać się z nim do rytmu muzyki. Pozwalam mu przysunąć się nieco bliżej, patrząc mu w oczy. Może ja też nieco się przysuwam. Na tyle blisko, że dobiega mnie zapach jego potu - ale czystego, to dobry zapach. Czuję w dołku dziwne poruszenie. Małe ukłucie rodzącego się pożądania.

## TERAZ

### *Po ślubie*

*Tam jest jeszcze ktoś.* Ta myśl sprawia, że boją się cieni, odskakują na widok kształtów w ciemności, które zdają się przed nimi wyłaniać, a okazują tylko złudzeniami.

Przemieszczają się zwartą grupą, bojąc się stracić kolejnego członka. Pete wciąż się nie odnalazł. Mają wrażenie, jak gdyby obserwowali ich ktoś obcy. Czują się niezdarnie, jeszcze bardziej narażeni na atak. Potykają się o nierówny grunt, ukryte kępy wrzosu. Starają się nie myśleć o Pecie. Nie mogą sobie na to pozwolić - muszą zadbać o siebie.

Co jakiś czas krzyczą do siebie nawzajem, bardziej dla otuchy niż z innych powodów, a ich głosy są jak dodatkowa pochodnia w mroku.

- Wszystko w porządku, Angus?

- Tak. U ciebie też, Femi?

Pomaga im to iść do przodu. Pomaga zapomnieć o narastającym strachu.

- Jezu, co to było? - Femi kreśli swoją pochodnią szeroki łuk. Oświetla błady, wyprostowany kształt niemal człowieczego wzrostu. Obok stoi kilka podobnych figur, niektóre mniejsze.

- To cmentarz - cicho mówi Angus. Spoglądają na celtyckie krzyże: upiorną, milczącą armię.

- Chryste - krzyczy Duncan. - Myślałem, że to człowiek. - Przez chwilę wszyscy tak myśleli: okrągły kształt i cienka, pionowa podstawa mogły się skojarzyć z ludzką sylwetką. Nawet teraz, kiedy ostrożnie się wycofują, trudno im pozbyć się wrażenia, że są obserwowani przez pełne wyrzutów spojrzenia kamiennych wartowników.

Idą dalej inną drogą.

- Słyszycie to? - krzyczy Angus. - Chyba jesteśmy blisko morza.

Zatrzymują się. Gdzieś w pobliżu fale rozbijają się o skały. Czują, jak wraz z każdym uderzeniem ziemia pod ich stopami się trzęsie.

- Okej, w porządku - zastanawia się Femi. - Cmentarz jest za nami, morze tutaj. Więc chyba musimy pójść ... tędy.

Oddalają się od odgłosów wody.

- Hej ... coś tu leży ...

Wszyscy natychmiast się zatrzymują.

- Co mówiłeś, Angus?

- Że coś tu leży. Popatrzcie.

Wyciągają przed siebie pochodnie. Światło, które rzucają, drga na ziemi. Przygotowują się na makabryczny widok. Są zaskoczeni, a nawet czują ulgę, gdy płomienie odbijają się od połyskliwego metalu.

- Co ... co to właściwie jest?

Femi, najodważniejszy z nich wszystkich, wychodzi przed szereg i podnosi znalezisko. Odwraca się do nich, osłaniając oczy przed rażącym światłem, i wyciąga przedmiot, żeby wszyscy mogli go zobaczyć. Od razu go rozpoznają, choć jest zniekształcony, a metal powyginany i pęknięty. To złota korona.

## ***Olivia***

### *Druhna*

Spaceruję po głównym namiocie. Przemierzam się pomiędzy stolikami. Zbieram niedopite kieliszki, niedokończone drinki i je opróżniam. Chcę się upić do niemożliwości.

Oderwałam się od Willa tak szybko, jak tylko mogłam, po tym, jak wyciągnął mnie na parkiet. Zachciało mi się rzygać, gdy poczułam jego bliskość, jego ciało przyparte do mojego, i zaczęłam myśleć o rzeczach, które z nim robiłam ... rzeczach, na które mnie namówił ... o naszym okropnym sekrecie. Zachowuje się tak, jak gdyby to go podniecało.

Na sam koniec szepnął mi do ucha:

- Ten numer, który wywinęłaś ... to ostatni raz, okej. Koniec z tym. Słyszysz mnie? Koniec.

Nikt nie zauważa, jak oczyszczam stoliki z porzuconych drinków. Wszyscy zdążyli się już nieźle urząnąć, a zresztą i tak zostawili miejsca przy stołach na rzecz parkietu. Panuje tam straszny tłok. Trzydziestokilkulatki wypinają tyłki i ocierają się o siebie, jakby tańczyły w nocnym klubie do piosenek 50 Centa, a nie w namiocie weselnym na bezludnej wyspie, do muzyki kapeli złożonej z kilku skrzypków.

Dawna ja pewnie uznałaby to za śmieszne. Pewnie pisałabym do znajomych i zdawała relacje na żywo z festiwalu żenady, który odbywa się na moich oczach.

Kilku kelnerów przygląda się wszystkiemu, stojąc na uboczu, krążąc po obrzeżach imprezy. Niektórzy z nich są w moim wieku lub młodszy. Wszyscy nas nienawidzą, to oczywiste. Nie jestem zaskoczona. Czuję się tak, jakbym ja też ich nienawidziła. Zwłaszcza mężczyzn. Niektórzy z obecnych tu facetów, tak zwani przyjaciele Willa i Jules, zdążyli mnie już złapać za ramię, biodro i pośladki. Ich ręce chwytają mnie, gładzą,



ściskały, macały - w tajemnicy przed spojrzeniami żon i partnerek, jak gdybym była kawałkiem mięsa. Mam tego dość.

Kiedy ostatnio się to stało, odwróciłam się i rzuciłam gościowi tak jadownicze spojrzenie, że aż się ode mnie cofnął, robiąc głupią minę, wybałuszając oczy i unosząc ręce do góry, jakby zgrywał niewiniątko. Jeśli to się jeszcze raz zdarzy, to czuję, że przestanę nad sobą panować.

Piję więcej. Mam okropny smak w ustach: kwaśny i stęchły. Muszę pić, aż to przestanie mi przeszkadzać. Aż nie będę czuć ani smaku, ani niczego innego.

Wtedy łapie mnie moja kuzynka Seth i ciągnie w stronę namiotu z parkietem. Pomijając krótką chwilę po uroczystości, nie widziałam Seth od urodzin ciotki w zeszłym roku.

Ma bardzo mocny makijaż, ale widać, że pod spodem jest tylko dzieckiem, jej buzia jest pełna i miękka, jej oczy ogromne. Chcę jej powiedzieć, żeby starła tę szminkę i eyeliner, żeby została na jeszcze trochę w bezpiecznej przestrzeni dzieciństwa.

Na parkiecie, w otoczeniu ruszających się ciał, świat zaczyna wirować. Jakby wszystko, co wypiałam, nagle załało mnie jedną, wielką falą. I wtedy się potykam - może o czyjaś nogę, a może przez swoje głupie, za wysokie szpilki. Upadam z impetem i słyszę trzask, który dobiega mnie, jeszcze zanim go poczuję. Chyba uderzyłam się w głowę.

Słyszę jak przez mgłę, jak Seth mówi do kogoś obok:

- Jest chyba bardzo pijana.

- Biegnij po Jules - poleca ktoś. - Albo po jej mamę.

- Nie widzę Jules.

- Patrz, tam jest Will.

- Will, ona jest pijana. Pomożesz? Nie wiem, co robić.

Podchodzi do mnie, uśmiechając się.

- Och, Olivio. Co się stało? - Wyciąga do mnie rękę. - No chodź, postawimy cię na nogi.

- Nie - mówię. Odganiem jego rękę. - Odpieprz się.

- Chodź - powtarza Will życzliwym, łagodnym tonem. Czuję, jak mnie podnosi, i opieranie się temu nie ma chyba zbyt wielkiego sensu. - Musisz zaczerpnąć świeżego powietrza. - Kładzie mi ręce na ramionach.

- Zabieraj łapy! - Próbuję wyswobodzić się z jego uścisku.

Słyszę szepty obserwujących nas osób. Co za trudna dziewczyna, myślą pewnie. Że to ja jestem tą stukniętą. Że przynoszę wszystkim wstyd.

Na zewnątrz wiatr wciąż jest porywisty - na tyle, że prawie mnie przewraca.

- Tędy - mówi Will. - Tu będziemy mieć osłonę. - Nagle czuję się zbyt zmęczona i pijana, żeby się temu sprzeciwić. Pozwalam mu się zaprowadzić na drugą stronę namiotu, tam, gdzie ziemia ustępuje morzu.

Widzę w oddali światła lądu, które wyglądają w ciemności jak strużka rozsypanego brokatu. Raz nabierają ostrości, raz ją tracą, są idealnie wyraźne, a po chwili rozmyte, jakbym widziała je przez tafłę wody.

Po raz pierwszy od dawna jesteśmy tylko we dwoje.  
On i ja.

## **Jules**

### *Panna młoda*

Wygląda na to, że mój świeżo poślubiony mąż zniknął.

- Czy ktoś widział Willa? - pytam gości.

Wzruszają ramionami, kręcą głowami. Mam wrażenie, że straciłam całą kontrolę, jaką nad nimi miałam. Najwyraźniej zapomnieli, że przyjechali tu na mój ślub. Wcześniej osaczali mnie jak dworzanie swoją królową, aż ich gratulacje i komplementy stały się prawie nie do zniesienia. Teraz jestem im obojętna. To chyba ich jedyna szansa na odrobinę hedonizmu, powrotu do wolności, którą cieszyli się, gdy byli na studiach i mieli po dwadzieścia kilka lat, zanim przytłoczyły ich dzieci albo zawodowe wyzwania.

Dzisiejszy wieczór należy do nich - nadrabiają stracony czas ze znajomymi, flirtują z dawnymi obiektami westchnień. Mogłabym mieć o to pretensje, ale ostatecznie nie ma to sensu. Mam ważniejsze rzeczy na głowie: Willa.

Im dłużej go szukam, tym silniejszy staje się mój niepokój.

- Ja go widziałam - odzywa się czyjś głos. To moja młodsza kuzynka Beth. - Był z Olivią. Trochę się wstawiła.

- Właśnie, z Olivią! - przyłącza się inna kuzynka. - Poszli w stronę wyjścia. Will chciał, żeby zaczerpnęła świeżego powietrza.

Znów zrobiła z siebie przedstawienie. Kiedy jednak wychodzę na zewnątrz, nie ma ich. Jedynymi osobami, które kręcą się przy wejściu, jest grupka palaczy - znajomych ze studiów. Odwracają się do mnie i mówią wszystko to, co powinni o tym, jak wspaniale wyglądałam i jaka wyjątkowa była ceremonia. Przerywam im.

- Widzieliście Olivię albo Willa?

Wskazują niezbyt dokładnie na drugą stronę namiotu, w stronę morza. Po co tam poszli? Pogoda zaczęła się zmieniać i teraz jest już ciemno, a stłumione światło księżyca jest za słabe, by swobodnie się przy nim poruszać.

Wiatr huczy wokół namiotu i mnie, kiedy wychodzę wprost w szalejący żywioł. Myśląc o niedoszłym utonięciu swojej siostry, czuję w żołądku rosnące przerażenie. Mam nadzieję, że Olivia nie zrobiła niczego głupiego.

W końcu zauważam blade obrysy sylwetek blisko morza poza zasięgiem światła dobiegającego z namiotu. Ale jakiś intuicyjny głos, którego nie potrafię nazwać, powstrzymuje mnie od zawołania do nich. Zauważam, że stoją bardzo blisko siebie. W niemal kompletnej ciemności ich kształty prawie się ze sobą zlewają. Przez jedną, okropną chwilę myślę ... ale nie, na pewno tylko rozmawiają. To i tak nie ma sensu. Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek widziałam, żeby moja siostra i Will ze sobą rozmawiali, pomijając jakieś grzecznościowe formułki. Przed weselem widzieli się tylko raz. A mimo to wyglądają tak, jak gdyby mieli sobie mnóstwo do powiedzenia. O czym, do diabła, rozmawiają? Dlaczego przyszli aż tutaj, kryjąc się przed wzrokiem gości?

Skradam się cicho jak włamywacz, poruszając się po skraju narastającej ciemności.

## **Olivia**

### *Druhna*

- Powiem jej - mówię. Nie tak łatwo mi wydobyć z siebie słowa, ale jestem zdeterminowana. - Powiem ... powiem jej o nas. - Myślę o tym, co wcześniej powiedziała mi Hannah. *Zawsze lepiej wszystko wyznać, nawet jeśli się tego wstydzisz, nawet jeśli czujesz, że ludzie będą cię przez to oceniać.*

Zaciska mi usta dłonią. Jestem zaszokowana tym nagłym gestem. Czuję zapach jego wody kolońskiej. Pamiętam jej woń na swojej skórze po naszych spotkaniach. Wtedy wydawała mi się taka cudowna, taka dorosła. Teraz chce mi się przez nią rzygać.

- O nie, Olivio - odpowiada Will. Jego głos jest prawie życzliwy, łagodny, co tylko wszystko pogarsza. - Raczej nie. A wiesz, dlaczego? Bo w ten sposób zniszczysz szczęście swojej siostry. To jej ślub, głuptasie. Jules za wiele dla ciebie znaczy, żebyś zrobiła jej coś takiego. I czemu miałoby to służyć? Między nami już i tak nic się więcej nie wydarzy.

Z drugiej strony namiotu dobiega nas gromki śmiech i Will cofa rękę, jakby się bał, że ktoś nas zobaczy.

- Wiem o tym! - odpowiadam. - Nie o to mi chodzi. .. Nie tego chcę.

Unosi brwi, jakby nie był pewien, czy mi wierzy.

- No to czego chcesz, Olivio?

Przestać się tak potwornie czuć, odpowiadam w duchu. Pozbyć się tego okropnego sekretu, który w sobie noszę. Ale milczę. Więc on zaczyna mówić dalej:

- Rozumiem. Chcesz się na mnie odegrać. Nie będę zaprzeczał, nie zachowałem się w tej całej sprawie bez zarzutu. Powinienem był z tobą zerwać, mówiąc ci to prosto w oczy. Jasno ci to zakomunikować. Nie miałem zamiaru nikogo skrzywdzić. Mogę ci powiedzieć, co naprawdę myślę?

Najwyraźniej czeka na odpowiedź, więc kiwam głową.

- Myślę, że gdybyś miała to zrobić, to już dawno byś to zrobiła.

Kręcę głową. Ale ma rację. Miałam tyle czasu, żeby wyznać Jules prawdę. Tyle razy leżałam nocą w łóżku i myślałam o tym, żeby spotkać się z Jules sam na sam - wyciągnąć ją na lunch albo kawę. Ale nigdy tego nie zrobiłam. Byłam za bardzo wystraszona. W zamian unikałam jej, tak jak unikałam pójścia do sklepu, żeby przymierzyć sukienkę dla drużyny. Łatwiej było się ukrywać i udawać, że to wszystko się nie wydarzyło.

Myślałam o tym, co zrobiłabym w tej sytuacji na miejscu Jules albo mamy. Jak urządziłabym wielką awanturę przy najbliższym spotkaniu - upokorzyła go na przyjęciu zaręczynowym na oczach wszystkich gości. Ale nie jestem taka silna ani taka pewna siebie jak one.

Postanowiłam więc napisać Jules wiadomość. Wydrukowałam ją i wrzuciłam do skrzynki siostry.

*Will Slater nie jest człowiekiem, za którego go masz. To oszust i kłamca. Nie wychodź za niego.*

Pomyślałam, że przynajmniej wzbudzę w niej wątpliwości. Dam jej powód do zastanowienia. Chciałam zasiać w jej głowie ziarno zwątpienia. Teraz widzę, jakie to było żałosne. Może Jules nawet jej nie dostała. Może Will pierwszy ją zobaczył. Może wylądowała między ulotkami i trafiła do kosza. A nawet jeśli Jules rzeczywiście ją zobaczyła, to powinnam była zdawać sobie sprawę, że moja siostra nie należy do osób, które przejęłyby się byle anonimem. Nie ruszają jej takie rzeczy.

- Chyba nie chcesz zniszczyć siostrze życia, co? - odzywa się Will. - Nie zrobiłabyś jej czegoś takiego.

To prawda. Mimo że czasami mam wrażenie, że jej nienawidzę, to jednak ją kocham. Zawsze będzie moją starszą siostrą, a coś takiego nieodwracalnie zrujnowałoby naszą relację.

Will ma tyle wiary we własną wersję tej historii, że moja zaczyna się sypać. I podejrzewam, że ma rację, mówiąc, że właściwie nie skłamał. On tylko nie powiedział prawdy.

Wygląda na to, że nie potrafię już dłużej karmić w sobie gniewu, jego jaskrawej, płonącej energii. Czuję, jak wymyka mi się z rąk i zostawia po sobie coś gorszego. Pewnego rodzaju pustkę.

I nagle myślę o Jules, o uśmiechu na jej twarzy, gdy stała obok Willa w kaplicy, nie mając pojęcia o tym, kim naprawdę jest. Jules nigdy nie daje się nikomu nabrać ... ale jemu się udało. Czuję złość w jej imieniu, mimo że nie potrafię jej odczuwać za siebie.

- Zachowałam twoje wiadomości - mówię mu. - Mogę je jej pokazać. - To ostatni hak, jaki na niego mam, ostatnia resztkę mocy, jaką dzierżę. Pokazuję mu telefon dla podkreślenia. Powinnam była to przewidzieć, ale zwracał się do mnie tak łagodnie, tak spokojnie, że straciłam czujność. Szybko wyciąga rękę i w powietrzu chwyta mnie za nadgarstek. Krępuje mi też drugi i jednym gładkim ruchem pozbawia mnie komórki. Zanim zdołam się w ogóle zorientować, co robi, rzuca ją daleko, w ciemną wodę. Tonie w niej z cichym pluskiem.

- Są wersje zapasowe ... - mówię, choć nie jestem pewna, jak je odnaleźć.

- Tak? - odpowiada drwiąco. - Chcesz spieprzyć ludziom życie, Olivio? Bo jeśli tak, to powinnaś wiedzieć, że mam w swoim telefonie kilka zdjęć

...

- Przestań! - odpowiadam. Myśl o tym, że Jules lub ktokolwiek inny miałby je zobaczyć ...

Czułam się tak niezręcznie, kiedy je robił. Ale umiał o nie prosić, powtarzając, jak seksownie wyglądam, gdy przed nim występuję, jak bardzo go to podnieca. Martwiłam się też, że jeśli się nie zgodzę, to wyjdę na cnotkę, na dziecko. Jego na nich nie było - ani jego twarzy, ani głosu. Mógł powiedzieć, że zostały mu wysłane, że sama je sobie zrobiłam. Mógł wszystkiemu zaprzeczyć.

Jego twarz jest teraz bardzo blisko mojej. Przez jeden szalony moment wydaje mi się, że mnie pocałuje. I mimo że się za to nienawidzę, jakaś część mnie pragnie, by to zrobił. Jakaś część mnie pragnie Willa. Niedobrze mi.

Wciąż trzyma mnie za drugi nadgarstek. To boli. Wydaję z siebie jęk i próbuję się wyswobodzić, ale on tylko zacieśnia uścisk. Jego palce wżynają mi się w skórę. Jest silny, dużo silniejszy niż ja. Zdałam sobie z tego sprawę wcześniej, kiedy wyniósł mnie z wody, robiąc z siebie wielkiego bohatera i grając pod publiczność. Myślę o swojej żyletce, ale jest w koralikowej torebce gdzieś w namiocie.

Will ciągnie mnie do siebie i potykam się o własne nogi. But spada mi ze stopy. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że jesteśmy bliżej klifu, niż sądziłam. A on ciągnie mnie w jego stronę. Widzę teraz morze - lśniące i czarne w świetle księżyca. Ale ... przecież tego nie zrobi, prawda?

## TERAZ

### *Po ślubie*

Drużbowie wpatrują się w powyginaną koronę w dłoni Femiego. Wyglądała tak nie na miejscu tam, gdzie ją znaleźli - na czarnej ziemi podczas wichury - że mija kilka chwil, zanim sobie przypomną, skąd ją właściwie znają.

- To korona Jules - mówi Angus.

- Cholera - odpowiada Femi. - Teraz poznaję.

Każdy z nich zastanawia się w ciszy, jakiej potrzeba było siły, aby tak brutalnie powyginać metal.

- Widziałeś jej minę? - pyta Angus. - Zanim pokroili tort? Pomyślałem, że wyglądała, jakby ... jakby była naprawdę wściekła. Albo ... bardzo przestraszona.

- Czy ktoś ją widział w namiocie? - pyta Femi. - Po tym, jak wróciły światła?

Angus truchleje za strachu.

- Ale nie myślicie, że ... nie myślicie, że stało się jej coś naprawdę złego?

- Kurwa - syczy Duncan przez zęby.

- Nie to próbuję powiedzieć - odpowiada Femi. - Pytam tylko, czy któryś z was ją widział?

Następuje długa cisza.

- Ja nie ...

- Ja też nie, Dunc.

Rozglądają się po sobie w ciemności, wytyczając wzrok w poszukiwaniu jakiegokolwiek ruchu, nasłuchując wszelkich odgłosów, wstrzymując oddech.

- Patrzcie. Tam też coś jest. - Angus się schyla. Wszyscy widzą, jak trzęsie mu się ręka, gdy podnosi przedmiot pod światło, ale teraz żaden z nich nie kpi z tego, jakim jest tchórzem.

To but. Czółenka z białoszarej satyny z wysadzaną kryształkami sprzączką na palcach.

## KILKA GODZIN WCZEŚNIEJ

*Hannah*

*Osoba towarzysząca*

Ten cały Luis jest świetnym tancerzem. Zespół wprowadza tłum w szaleńczy trans, ludzie tłoczą się i wpadają na siebie. Przypomina mi się, jaki potwornie stresujący i samotny był dzisiejszy dzień. To w dużej mierze wina Charliego. Ale nie chcę teraz o nim myśleć. Jestem na niego zbyt wściekła, zbyt smutna. Zresztą kiedy ostatnio zatraciłam się w muzyce? Kiedy ostatnio się wytańczyłam? Kiedy czułam się pożądana i seksowna? Mam wrażenie, że gdzieś po drodze utraciłam tę część siebie. Przez te kilka godzin mam zamiar cieszyć się jej odzyskaniem. Wyciągam ręce nad głowę. Macham włosami na boki i czuję, jak muskają nagą skórę na moich ramionach. Czuję, jak Luis na mnie patrzy. Dopasowuję do rytmu ruch swoich bioder. Zawsze umiałam dobrze tańczyć - mam za sobą lata praktyki w manchesterskich klubach, w których jako nastolatka szalałam przy najnowszych hitach z Ibizy. Zapomniałam, jak taniec pomaga mi poczuć się jednością z własnym ciałem, jak bardzo mnie podnieca. I widzę, jak dobrze wyglądam, w pełnym uznania spojrzeniu mojego partnera, który błądzi wzrokiem po całym moim ciele, gdy się ruszam.

Muzyka zwalnia. Luis przyciąga mnie bliżej. Jego dłonie są na mojej talii i czuję przez jego koszulę, jak bije mu serce. Czuję zapach jego skóry. Jego usta są centymetry od moich. A mnie ogarnia świadomość, gdy nasze ciała się dotykają, że ma wzwód.

Nieco się od niego odrywam, żeby zachować między nami choć kilka centymetrów odległości. Muszę się opanować.

- Wiesz co? - mówię. Mój głos zdradza lekkie drzenie. - Chyba pójde się napić.

- Pewnie - odpowiada. - Świetny pomysł!

To nie miało być zaproszenie. Nagle czuję chęć, by pobyć sama, ale z drugiej strony nie mam energii, żeby to tłumaczyć. Idziemy więc do namiotu barowego.

- Skąd znasz Willa? - krzyczę, próbując przebić się przez muzykę.

- Co? - Przysuwa się bliżej, żeby mnie usłyszeć, a jego ucho dotyka moich ust.

Powtarzam pytanie.

- Też skończyłeś Trevellyana?

- Aaa - odpowiada. - Chodzi ci o szkołę? Nie, studiowaliśmy razem w Edynburgu. Graliśmy w jednej drużynie rugby.

- Hej, Luis. - Facet stojący przy barze wyciąga dłoń i wita się z nim uściskiem, gdy podchodzimy bliżej. - Przyłączysz się na drinka do samotnego faceta? Zgubiłem lonę na parkiecie. Teraz nie zobaczę jej już pewnie do końca imprezy. - Zauważa mnie. - O, cześć. Miło cię poznać. Dotrzymywałaś mojemu kumpłowi towarzystwa? Wypatrzył cię już w kaplicy ...

- Cicho - przerywa mu Luis, rumieniąc się. - Ale tak, trochę potańczyliśmy.

- Jestem Hannah - mówię. Mój głos jest nieco zduszony. Zastanawiam się, co tu robię.

- Jethro - przedstawia się kumpel Luisa. - Czego się napijesz?

- Yyy ... - Przez chwilę się waham, myśląc, że powinnam być rozsądna. Bardzo dużo już w siebie wlałam. Myślę o Charliem i o tym, co mi powiedział o sobie i Jules. Chcę odzyskać to poczucie wolności, którego przelotnie doświadczyłam na parkiecie. Chcę być dużo mniej trzeźwa. - Szota - mówię do barmana. To Eoin. - Szota ... tequili. - Nie chcę się rozdrabniać.

Jethro unosi brew.

- Okeeej. To ja też. Luis?

Eoin nalewa trzy kieliszki tequili. Wypijamy je.

- Chryste - odzywa się Louis, z impetem stawiając swój na barze. Oczy mu łzawią, ale ja mam wrażenie, że alkohol w ogóle na mnie nie podziałał. Równie dobrze mogłaby to być woda.

- Jeszcze raz to samo - rzucam.

- Lubię ją - mówi Jethro do Luisa. - Ale nie wiem, czy moja wątroba też.

- Moim zdaniem to megaseksowne - stwierdza Luis, szeroko się do mnie uśmiechając.

Pijemy jeszcze jedną kolejkę.

- Nie studiowałaś w Edynburgu, prawda? - ciągnie Jethro, przypatrując mi się przymrużonymi oczami. - Zapamiętałbym taką rozrywkową dziewczynę.

- Nie - odpowiadam. Znowu to miejsce. Już samo jego wspomnienie sprawia, że czuję się dużo bardziej trzeźwa. - Ja ...

- My tak - mówi Jethro, zarzucając Luisowi rękę na szyję. - To były czasy, co nie, Lu? Nadal za nimi tęsknię. Tęsknię też za rugby. Choć pewnie bezpieczniej, że już nie gram. - Pokazuje grzbiet swojego nosa. Jest spłaszczony, widać, że to stare złamanie.

- Ja straciłem ząb - mówi Luis.



- Pamiętam! - Jethro się śmieje. Zwraca się do mnie. - Oczywiście Will nigdy nie miał ani zadrapania. Był skrzydłowym. Pozycja dla lalusiów. Dlatego jest taki obrzydliwie przystojny.

- Blokował nas wszystkich - opowiada dalej Louis - kiedy szliśmy się napić po meczu. Staraliśmy się zagadać jakąś dziewczynę, po czym Will podchodził mimochodem, żeby zapytać, czy chcemy kolejkę, i po tym wszystkie patrzyły się już tylko na niego.

- Żadnej nie przepuścił - mówi Jethro, kiwając głową. - Zapisał się do Reeling Society tylko dla pańienek. Ale trzeba przyznać, że nie zawsze zaliczał na prawo i lewo.

Pamiętasz tę dziewczynę, z którą się rozstał?

- Aaa, tak - odpowiada Louis. - Zapomniałem o niej. Chodzi ci o tę z północy? Bardzo zdolną?

O Boże. Mam wrażenie, że mimowolnie staję się świadkiem katastrofy. I mogę tylko stać i patrzeć.

- Tak - mówi Jethro. - Jak ty. - Puszcz do mnie oko. - Ale odegrał się na niej, kiedy go rzuciła. Pamiętasz, Luis?

Luis się krzywi.

- Nie bardzo. To znaczy ... pamiętam, że rzuciła studia. I pamiętam, że był niezłe załamany, kiedy z nim zerwała. Zawsze mi się zdawało, że jest dla niego trochę za mądra.

Potworne uczucie, które czuję w żołądku, narasta.

- Ten filmik miał niezły zasięg, co nie? - mówi Jethro.

- O cholera - odpowiada na to Louis, robiąc wielkie oczy. - Jasne, że tak. To było ... brutalne.

- Pewnie można go teraz znaleźć na Pornhubie - rzuca Jethro. - Oczywiście w kategorii „vintage”. Ciekawe, co teraz robi ta dziewczyna. Skoro wie, że ten film gdzieś tam jest.

- Hej - nagle odzywa się Luis, spoglądając na mnie. - Nic ci nie jest? O rany ... - Kładzie mi dłoń na ramieniu. - Zrobiłaś się blada jak ściana. - Uśmiecha się do mnie ze współczuciem. - Ostatni kieliszek nie siadł za dobrze?

Odpycham go i odchodzę, chwiejąc się na nogach. Muszę wydostać na zewnątrz. Ledwie zdołam wyjść, a już padam na kolana i wymiotuję. Całe moje ciało się trzęsie, jak gdybym miała gorączkę. Jestem mgliście świadoma kilku gości stojących w wejściu, którzy wyrażają swój szok i zohydzenie, odrobinę się przy tym śmiejąc. Ledwie zauważam też, że pogoda na zewnątrz zrobiła się dużo gwałtowniejsza - wiatr prawie wyrывa mi włosy z głowy i wywołuje w oczach piekące łzy.

Znów wymiotuję. Ale, w przeciwieństwie do nudności na łodzi, te wymioty nie sprawiają, że bym poczuła się lepiej. Na tę chorobę nie ma

lekarstwa. Te trujące nowe informacje zagnieździły się głęboko w moim  
środku. Przeniknęły mnie do szpiku kości.

## TERAZ

### *Po ślubie*

- Czyje to? - Angus podnosi but. Trzęsie mu się ręka.

- Gdzieś go wcześniej widziałem - odpowiada Femi. - Ale nie wiem gdzie. Mam wrażenie, że wszystko było tak dawno temu. - Teraz to dzień wydaje się czymś surrealnym.

Noc, burza, strach stały się jedynym, co teraz istnieje.

- Mamy go wziąć ze sobą? - pyta Angus. - To może być jakaś wskazówka.

- Nie. Powinniśmy go tu zostawić - mówi Femi. - Nie powinniśmy go nawet dotykać. Korony też nie.

- Dlaczego?

- Bo to mogą być dowody, idioto - warczy Duncan.

- Hej - mówi Angus, kiedy zostawiają but i idą dalej. - Wiatr ustał.

Ma rację. Jakimś cudem, choć tego nie zauważyli, wichura dobiegła końca. Pozostaje po niej upiorny bezruch, który sprawia, że pragną, by powróciła. Ta cisza przypomina wstrzymywany oddech, fałszywy spokój. A teraz słyszą swoje własne, przestraszone oddechy, ochryple i płytkie.

Trudno iść dalej, kiedy rozglądają się we wszystkie strony - z niepokojem skanują wzrokiem aksamitną ciemność w poszukiwaniu jakiegokolwiek zagrożenia, jakiegokolwiek ruchu. Ale teraz, w końcu, w oddali ukazuje się pałacyk, a jego okna połyskują czernią.

- Tam. - Femi przystaje wpół kroku, a jego przyjaciele nieruchomieją. - Wydaje mi się, że tam coś leży.

- Tylko nie kolejny but - krzyczy Duncan. - Co to ma być? Kopciuszek? Zastrany Jaś i Małgosia? - Żaden z nich nie jest przekonany tą próbą rozluźnienia atmosfery. Wszyscy słyszą pobrzmiewający w głosie kolegi strach.

- Nie - odpowiada Femi. - To nie but.

Wszyscy dosłyszeli nerwowość w jego głosie. Sprawia ona, że bardzo pragną nie patrzeć, oddalić się od tego, cokolwiek to jest. Zmuszają się jednak, by zostać i patrzeć, jak kreśli kształt łuku pochodnią, której światło powoli przesuwa się po ziemi.

Coś tam leży. Tym razem jednak to nie przedmiot. To osoba. Patrzą w coraz większym przerażeniu na długi kształt wyłaniający się w świetle. Wyciągnięty na ziemi, okropny, na pewno ludzki. Jest dość blisko pałacyku, na granicy twardego gruntu i torfowiska. Na wietrze rąbki ubrań ciała

łopoczą i szeleszczą, co wraz z mrugającym światłem latarki w telefonie tworzy niepokojącą iluzję ruchu. Makabryczna sztuczka, manipulacja.

Drużbom wydaje się niemożliwe, by te ubrania naprawdę wypełniał człowiek. Człowiek, który do niedawna chodził i się śmiał. Który razem z nimi bawił się na weselu.

## WCZEŚNIEJ

### *Aoife*

#### *Organizatorka ślubów*

Z pomocą kilku kelnerów i z niebywałą ostrożnością przenieśliśmy ogromny tort na środek namiotu. Za chwilę poprosimy gości, by stali się świadkami ukrojenia pierwszego kawałka. Jest to sakrament równy temu, który miał miejsce w kaplicy.

Freddy wyłania się ze strefy cateringowej z dużym nożem w dłoni. Patrzy na mnie, ściągając brwi.

- Wszystko w porządku? - Uważnie mierzy mnie wzrokiem.

- Tak - odpowiadam. Na twarzy maluje mi się chyba napięcie z całego dnia. - Jestem tylko trochę zmęczona.

Freddy kiwa głową na znak, że rozumie.

- Wkrótce będzie po wszystkim - stwierdza. Podaje mi nóż, żebym położyła go przy torcie. To piękne narzędzie o doskonałym wykonaniu: długie ostrze i elegancka rękojeść z masy perłowej. - Powiedz, żeby z nim uważali. Można się nim zaciąć już od najlżejszego dotknięcia. Panna młoda poprosiła, żeby specjalnie go naostrzyć. Nie wiem właściwie po co, bo takim nożem zwykle kroi się mięso. Przejdzie przez biszkopt, jakby to było masło.

### *Jules*

#### *Panna młoda*

Olivia i Will nad klifem - słyszałam całą ich rozmowę. A przynajmniej tyle, by wszystko zrozumieć. Wiatr tłumził niektóre słowa, przez co musiałam podejść tak blisko, że byłam pewna, że w końcu mnie zauważą. Ale najwyraźniej za bardzo byli na sobie skupieni, by mnie dostrzec. Z początku nie miało to dla mnie sensu.

- Powiem jej o nas - krzyknęła Olivia. Przez chwilę opierałam się zrozumieniu tych słów. To niemożliwe, zbyt straszne, by w ogóle wziąć to pod uwagę ...

Wtedy przypomniałam sobie o tym, jak Olivia wyszła z wody. Jak przez chwilę miałam wrażenie, że próbuje mi coś powiedzieć.

Wtedy usłyszałam, jak zmienił się jego głos. Zobaczyłam, jak zatkał jej usta dłonią. Jak chwycił ją za ramię. Zaszokowało mnie to jeszcze bardziej niż treść jego słów. Oto stał mój mąż - a także mężczyzna, którego ledwie znałam.

Gdy obserwowałam ich z półmroku, zauważyłam między nimi pewnego rodzaju fizyczną zażyłość, wyrażającą więcej niż słowa.

Kiedy zobaczyłam ich nad klifem, wszystko zaczęło się składać w jedną, obrzydliwą całość.

Na początku nie było we mnie miejsca na złość, tylko na ogromny szok: wszystko legło w gruzach. Teraz zaczynam się czuć inaczej.

On mnie upokorzył. Oszukał. Czuję wściekłość, która jest mi tak znajoma, że wręcz daje ukojenie i kwitnie we mnie, niszcząc przy tym wszystko, co napotka.

Zrywam z głowy złotą koronę i rzucam ją na ziemię. Depczę ją, aż zostanie z niej zniekształcony kawałek metalu. Ale to za mało.

## **Olivia**

### *Druhna*

- Will! - To głos Jules. Widzę jasne, niebieskawe światło, to latarka w jej telefonie. Mam wrażenie, że zostaliśmy przyłapani na gorącym uczynku. Oboje nieruchomiejemy.

Will natychmiast puszcza moją rękę, jakby moja skóra zaczęła parzyć, i szybko się ode mnie odsuwa.

Trudno było coś poznać po tym, jak wypowiedziała jego imię. Zrobiła to zupełnie naturalnie - może z nutą zniecierpliwienia. Zastanawiam się, ile zobaczyła lub co ważniejsze, ile usłyszała. Ale nie mogła chyba usłyszeć zbyt wiele. Gdyby było inaczej ... znam Jules. Pewnie oboje leżelibyśmy teraz u podnóża klifu.

- Co tu robicie? - pyta. - Will, wszyscy się zastanawiają, gdzie jesteś. Ktoś powiedział, że się przewróciłaś, Olivio. - Podchodzi bliżej. Mam wrażenie, że wygląda inaczej. Nie ma na głowie złotej korony: to na pewno to. Ale może jest w niej i inna zmiana - taka, której nie mogę od razu wyłapać.

- Tak - odpowiada Will, znów czarujący jak zawsze. - Pomyślałem, że pójde z nią i przypilnuję, żeby trochę się przewietrzyła.

- To miło z twojej strony - mówi Jules. - Ale wracaj już do środka. Będziemy kroić tort.

## TERAZ

### *Po ślubie*

Drużbowie powoli podchodzą do ciała.

Leży nieco poza obszarem suchej ziemi, tam, gdzie zaczyna się bagno. Torf wezbrał wzdłuż krawędzi zwłok, otulając je z precyzją, czułością - tak, że nawet gdyby zmarły miał nagle ożyć i poruszyć się, wstanie okazałoby się dla niego nieco trudniejsze, niż mógłby się spodziewać. Nie będzie tak łatwo uwolnić ręki czy stopy. Za mocno przylega do mokrej, czarnej piersi ziemi.

Mokradło połykało ciała już wcześniej, połykało je w całości, zasysało głęboko w swoje otchłanie. Ale to było dawno. Od tylu lat czuło głód.

Gdy podchodzą bliżej, w obrębie światła wyłaniają się różne części ciała: nogi niezręcznie rozstawione na boki, głowa zanurzona w ziemi. Puste, ślepe oczy połyskujące w świetle. Zauważają na wpół otwarte usta i lekko wystający język, który wygląda nieco wstrętnie. A na mostku widać plamę czerwonej krwi.

- O kurwa - mówi Femi. - O kurwa ... to Will.

Pan młody po raz pierwszy nie wygląda pięknie. Jego powykrzywiane rysy tworzą maskę cierpienia: utkwione, zamglone oczy, wywieszony język.

- Jezu - mówi ktoś. Angusa krztuszą wymioty. Duncan zaczyna płakać. Nikt nigdy nie widział, żeby coś go poruszyło. Przykuca przy zwłokach i potrząsa nimi.

- No, stary. Wstawaj! Wstawaj! - Bezwładna głowa przechyliła się z boku na bok w okrutnej pantomimie.

- Przestań! - krzyczy Angus, chwytając Duncana. - Przestań!

Nie mogą oderwać wzroku. Femi ma rację. To on. Ale to niemożliwe. Nie Will, spoiwo ich grupy, ten nietykalny, kochany przez wszystkich.

Są tak skupieni na martwym przyjacielu, tak pogrążeni w szoku i żalu, że tracą czujność. Żaden z nich nie zauważa ruchu kilka kroków dalej: ktoś inny, żywy, zmierza w ich stronę, wychodząc z ciemności.

## WCZEŚNIEJ

*Will*

*Pan młody*

Wracamy z Jules do namiotu. Olivia będzie musiała poradzić sobie sama. Przez jedną szaloną chwilę, zdając sobie sprawę, jak blisko klifu się znajdujemy, poczułem pokusę.

Nikt nie byłby zaskoczony. W końcu wcześniej próbowała się utopić - a przynajmniej tak to wyglądało, zanim ją uratowałem. A przy tym wietrze - teraz to już praktycznie wichura - nikt nie miałby wątpliwości, co się stało.

Ale to nie w moim stylu. Nie jestem mordercą. Jestem dobrym człowiekiem.

Wszystko wymknęło się jednak spod kontroli. Będę musiał zrobić z tym porządek.

To jasne, że nie mogłem powiedzieć Jules o Olivii. Nie, kiedy tamtego dnia u ich matki odkryłem, co je łączy, nie, kiedy wszystko zabrnęło tak daleko. Dlaczego miałbym niepotrzebnie ranić Jules? To, co łączyło mnie z Olivią, nigdy nie miało szans przerodzić się w coś prawdziwego. To było tylko chwilowe zauroczenie. Z nią wszystko opierało się na kłamstwach - zarówno z jej, jak i z mojej strony. Szczerze mówiąc, to właśnie te pozory podnieciły mnie na naszej pierwszej randce - kiedy udawała kogoś, kim nie jest. Kiedy udawała starszą, wyrafinowaną. Ta niepewność siebie sprawiła, że zapragnąłem ją zepsuć, jak dziewczynę, z którą spotykałem się kiedyś na studiach - grzeczną, inteligentną, pracowitą, absolwentkę podrzędnego liceum, która sądziła, że jest za słaba na naszą uczelnię.

Ale gdy na tamtym przyjęciu poznałem Jules, poczułem coś zupełnie innego. Jakby dotknęło mnie przeznaczenie. Od razu zobaczyłem, jak bardzo do siebie pasujemy. Jak dobrze razem wyglądamy, ale też jaką dobrą tworzymy parę. Ja, u progu nowej, obiecującej kariery i ona - młoda wilczyca. Potrzebowałem kogoś, kto mi dorównuje, kogoś pewnego siebie, ambitnego - kogoś takiego jak ja. Razem bylibyśmy nie do pokonania. I jesteśmy.

Myślę, że Olivia dalej będzie milczeć. Wiedziałem to od początku. Na pewno uzna, że nikt jej nie uwierzy. Za bardzo w siebie wątpi. Chyba że ... - choć może przesadzam. Ale naprawdę sprawia wrażenie, jakby się zmieniła, odkąd tu przyjechaliśmy. Wszystko na tej wyspie wydaje się inne. Jak gdyby taki był wpływ tego miejsca, jakbyśmy znaleźli się tu nieprzypadkowo. Wiem, że to niedorzeczne. To przez to, że jest tu tylu



ludzi naraz - z przeszłości i teraźniejszości. Zwykle jestem bardzo ostrożny, ale przyznaję, że nie przemyślałem do końca tego, co może się wydarzyć, gdy wszyscy znajdą się w jednym miejscu. Jakie mogą być tego konsekwencje.

Ale wracając do Olivii: chyba jestem bezpieczny. Za to kiedy tylko wrócę do namiotu, będę musiał coś zrobić w sprawie Johnno. Nie mogę pozwolić, żeby się komukolwiek wygadał. Chyba go nie doceniłem. Myślałem, że bezpieczniej będzie mieć go przy sobie, trzymać go blisko. Ale Jules zaprosiła Piersa bez mojej wiedzy. I tu wszystko zaczęło się sypać. Gdyby tego nie zrobiła, to Johnno nigdy nie dowiedziałby się prawdy o zdjęciach próbnym i wszyscy żylibyśmy jak dotąd. Jego udział w programie byłby porażką i on na pewno o tym wie. Wiem, że wie: sam świetnie to ujął. Jest jednym wielkim ciężarem. Z uzależnieniem od trawy, pić i tą swoją słoniową pamięcią. Wystarczyłby jeden atak paniki przy dziennikarzu i wszystko by się wydało. A skoro wie, jakim jest nieudacznikiem, to nie rozumiem, o co te pretensje. Jest niebezpieczny - przez to, co wie, co mógłby powiedzieć. Wątpię, by ktokolwiek uwierzył w jego absurdalną historię sprzed dwudziestu lat. Ale nie będę ryzykować. Jest też niebezpieczny na inne sposoby.

Nie mam pojęcia, co chciał zrobić w tej jaskini, bo miałem zawiązane oczy, ale całe szczęście znalazła nas Aoife. Inaczej kto wie, co mogłoby się stać.

Tym razem nie weźmie mnie z zaskoczenia.

## ***Hannah***

### *Osoba towarzysząca*

Staram się racjonalnie spojrzeć na to, czego się dowiedziałam od Jethro i Luisa. Czy istnieje choć cień szansy, że to wszystko jest tylko zbiegiem okoliczności? Staram się wsłuchać w swój głos rozsądku. Wyobrazić, co powiedziałabym Charliemu w podobnej sytuacji: Jesteś pijany. Nie myślisz spójnie. Prześpij się z tym i przemyśl sprawę rano.

Ale tak naprawdę - nawet bez porządnego zastanowienia - wiem. Czuję to. Wszystko zbyt dobrze pasuje, by mógł to być zbieg okoliczności.

Oczywiście wideo Alice zostało zamieszczone anonimowo. A my byliśmy zbyt pogrążeni w żałobie, by myśleć o kontaktowaniu się z jej przyjaciółmi, którzy mogliby nam pomóc namierzyć winnego. Później jednak poprzysięgam sobie, że jeśli kiedykolwiek będę mogła się zemścić na człowieku, który zniszczył życie mojej siostrze - który pozbawił ją życia - to urządzę mu prawdziwe piekło. O Boże ... i pomyśleć tylko, że on mnie

pociągał. Wczoraj w nocy mi się śnił... ta myśl sprawia, że do gardła znów podchodzi mi żółć. To kolejny policzek - dałam się zwieść temu samemu urokowi, który zniszczył Alice.

Myślę o Willu na kolacji przedślubnej. *Poznaliśmy się na przyjęciu zaręczynowym? Wyglądasz znajomo. Pewnie widziałem cię na którymś ze zdjęć u Jules. Kiedy myślał, że mnie zna, to tak naprawdę nie rozpoznał mnie. Rozpoznał Alice.*

Gdy wracam do namiotu, pod moim spokojnym obliczem buzują tak silne emocje, że aż mnie to przeraża. Mężczyzna odpowiedzialny za śmierć mojej siostry rozwinął się, zrobił karierę w oparciu o fałszywy czar, o to, że jest przystojny i uprzywilejowany. Podczas gdy Alice, moja błyskotliwa, niesamowita siostra, milion razy mądrzejsza i lepsza od niego, nigdy nie dostała swojej szansy.

Otacza mnie morze ludzi. Pijani i odurzeni zataczają się po namiocie. Wszystko mi zasłaniają. Przepycham się między nimi, momentami z taką siłą, że słyszę oburzone okrzyki, zauważam odwracające się za mną głowy.

Wygląda na to, że światła znów szwankują. Gdy przedzieram się przez tłum, mrugają i wyłączają się, by za moment rozbłysnąć. I znów się wyłączyć. Wcześniej, kiedy zmierzchało, wciąż można było coś bez nich zobaczyć. Ale teraz panuje bez nich grobowy mrok. Małe podgrzewacze na stołach w niczym nie pomagają. Jeśli już, to powodują jeszcze większe zamieszanie, rzucając cienie sylwetek poruszające się w różne strony. Ludzie piszczą i chichoczą, wpadają na mnie. Czuję się jak w nawiedzonym domu. Chcę krzyknąć.

Zaciskam dłonie w pięści z taką siłą, że czuję, jak paznokcie nakłuwają mi skórę.

To nie ja. Czuję się tak, jakby coś mnie opętało.

Światła się włączają. Wszyscy klaszczą.

Głos Charliego, nagłośniony przez mikrofon, dobiega z rogu sali.

- Drodzy goście, czas pokroić tort.

Patrzę na swojego męża z mikrofonem w dłoni. Nigdy nie czułam się taka od niego odległa.

Tort - biały i lśniący, ozdobiony kwiatami i listkami z masy lukrowej - prezentuje się doskonale. Jules i Will stoją obok niego. Wyglądają dokładnie jak figurki, które stawia się na torcie: on smukły i płowy, w eleganckim garniturze, ona ciemnowłosa, o figurze klepsydry w białej sukience. Chyba nigdy nikogo tak bardzo nie nienawidziłam. Nie tak naprawdę. Nawet nie wtedy, gdy dowiedziałam się o chłopaku Alice i o tym, co jej zrobił, bo nie było prawdziwej osoby, na której mogłabym się skupić. Ale teraz go nienawidzę. Tego, jak uśmiecha się we fleszach dziesiątek komórek. Podchodzę bliżej.

Otacza ich orszak weselny. Czterech drużbów strzela uśmiechy, klepie Willa po plecach ... Ciekawe, czy którykolwiek miał wgląd w jego prawdziwą naturę? Nie obchodzi ich to? Jest też i Charlie, który całkiem nieźle udaje - bo wiem, że to tylko udawanie - że jest trzeźwy i panuje nad swoimi zmysłami. W pobliżu stoją uśmiechnięci rodzice Jules i Willa. Olivia za to wygląda na tak samo nieszczęśliwą, co przez cały dzień.

Przysuwam się bliżej. Nie wiem, co zrobić z tym uczuciem, tą energią, która we mnie iskrzy, jak gdyby w moich żyłach zaczął płynąć prąd. Kiedy wyciągam dłoń, widzę, jak trzęsą się od niej moje ręce. Przeraza mnie to i jednocześnie ekscytuje. Czuję, że gdybym mogła to teraz sprawdzić, okazałoby się, że mam nową, ponadnaturalną siłę.

Aoife wyłania się z tłumu. Podaje nóż Jules i Willowi. To wielki nóż o długim ostrzu. Ma rękojeść z masy perłowej, która wizualnie łagodzi całość, maskuje ostrość narzędzia, jak gdyby mówiąc: to tylko nóż do krojenia tortu i nie ma w nim nic złowieszczonego.

Will obejmuje swoją żonę ramieniem. Jules się uśmiecha. Jej zęby lśnią. Przysuwam się bliżej. Jestem już prawie na samym czele zebranych.

Kroją tort razem, jej knykcie bieleją na rękojeści, on obejmuje jej dłoń. Pierwszy wykrojony kawałek ujawnia ciemnoczerwone wnętrze. Jules i Will uśmiechają się do otaczających ich telefonów. Nóż wraca na stół. Ostrze połyskuje. Tak sobie leży. Jest w zasięgu ręki.

I wtedy Jules nachyla się i bierze duży kawałek tortu. Wciąż uśmiechając się do obiektywów, szybko jak błyskawica, uderza nim Willa w twarz. Wygląda to jak gwałtowny policzek, umyślny cios. Will zatacza się, rozdziawiając wysmarowane ciastem usta. Kawałki biszkoptu i kremu spadają mu na nienaganny garnitur. Mina Jules jest nieprzenikniona.

Nastaje chwila zszokowanej ciszy i wszyscy czekają na to, co stanie się dalej. Wtedy Will przykłada rękę do piersi, udając, że zatacza się od ciosu, i szczyrzy zęby.

- Lepiej pójdę to zmyć - mówi.

Wszyscy pohukują, klaszczą, piszczą i zapominają, jakie dziwne było to, co przed chwilą zobaczyli. To był tylko element ceremoniału.

Zauważam jednak, że Jules się nie uśmiecha.

Will wychodzi z namiotu i idzie w stronę pałacyku. Goście znów rozmawiają i śmieją się. Chyba tylko ja odprowadzam go wzrokiem.

Zespół znów zaczyna grać i wszyscy biegną w stronę parkietu. Stoję w miejscu jak wrośnięta w ziemię.

I wtedy znów gasną światła.

**Olivia**

## *Druhna*

On ma rację. Teraz już nigdy nie powiem Jules.

Myślę o tym, jak Will obrócił wszystko na swoją korzyść. Jak wmówił mi, że jakimś cudem to, co się stało, jest moją winą. Manipulował wstydem, który we mnie wzbudził: tym samym wstydem, który czuję, odkąd zobaczyłam go w progu razem z Jules. Sprawił, że poczułam się mała i niekochana, brzydka, głupia, nic niewarta. Sprawił, że zaczęłam nienawidzić samej siebie. Przez ten straszny sekret wbił klin pomiędzy mnie i innych -zwłaszcza moją rodzinę.

Myślę o tym, jak chwycił mnie za rękę przy klifie. Myślę o tym, co mogłoby się stać, gdyby nie zjawiała się Jules. Gdyby tylko wiedziała, wszystko wyglądałoby inaczej. Ale nie wie, a ja przegapiłam swoją szansę. Nikt mi nie uwierzy, jeśli teraz coś powiem. Albo będą mnie winić. Nie mogę tego zrobić. Nie mam w sobie tyle odwagi.

Ale mogę zrobić coś innego.

I wtedy gasną światła.

## *Jules*

### *Panna młoda*

Tort to za mało. Małostkowa, żalosna zagrywka. Will bezpowrotnie mnie zawiódł. Jak każdy w mojej rodzinie. Zlekceważyłam przy nim wszystkie środki ostrożności, które sama stworzyłam. Stałam się bezbronna.

Myślę o tym, jak się uśmiecha, gdy kroimy tort, o naszych złączonych dłoniach. Jego dłoniach, które dotykały każdego skrawka ciała mojej siostry, które ... to zbyt obrzydliwe, żebym mogła to ciągnąć. Czy myślał o niej, kiedy razem spaliśmy? Uważał, że jestem taka głupia, że nigdy się nie domyślę? Na pewno. I miał rację. Ten drobiazg sprawia, że wszystko jest strasznie upokarzające.

No cóż. Nie docenił mnie.

Rosnąca we mnie wściekłość przysłała zaskoczenie i żal. Czuję, jak wzbiera mi pod żebrami. Czuję niemal ulgę, gdy unicestwia wszystko na swojej drodze.

I wtedy gasną światła.

## *Johnno*

### *Świadek*

Stoję na zewnątrz w ciemności. Potwornie dmie. Mam wrażenie, jakby z mroku wyłaniały się różne kształty. Próbuje odgonić je rękami. Ale przede wszystkim widzę znów tę twarz - tę, którą widziałem wczoraj w nocy w swoim pokoju. Wielkie okulary, mina jak wtedy w sali sypialnej, na kilka godzin zanim go porwaliśmy. Chłopiec, którego zabiliśmy. Obaj go zabiliśmy. Ale tylko jednemu z nas zniszczyło to życie.

Czuję, że jestem ledwie przytomny. Pete Ramsay rozdawał towar, jakby to były poobiednie miętówki - i w końcu czuję jakiś efekt.

Ten skurwiel, Will. Wchodzi do namiotu, jakby nic się nie stało, jakby nic go nie ruszyło - i na dodatek ma na twarzy ten swój wielki uśmiech. Powinienem był go załatwić w jaskini, kiedy miałem szansę.

Próbuję wrócić do namiotu. Widzę jego światła, ale jakby co chwilę zmieniał miejsce ... raz jest bliżej, raz dalej. Słyszę dobiegający z niego hałas, łopoczące płótno, muzykę ...

I wtedy gasną światła.

## ***Aoife***

### *Organizatorka ślubów*

Światła gasną. Goście piszczą.

- Proszę się nie martwić - krzyczę. - To znów usterka generatora wywołana przez wiatr. Światło lada moment wróci, proszę się nie rozchodzić.

## ***Will***

### *Pan młody*

Zmywam tort z twarzy w łazience w pałacyku. Dotarcie tu nie było wcale łatwe, nawet przy świetle wydobywającym się z budynku, bo wiatr cały czas próbował mnie zdmuchnąć z obranego kursu. Może to dobrze, że przez chwilę jestem sam - mogę usłyszeć własne myśli. Rany, mam krem we włosach, a nawet w nosie. Jules poszła na całość. To było upokarzające. Gdy podniosłem wzrok, zobaczyłem, jak ojciec mi się przygląda. Ta sama mina co zwykle - jak kiedy ogłoszono skład głównej drużyny rugby, do której się nie załąpałem. Albo kiedy nie dostałem się do Oxbridge, kiedy dostałem wyniki egzaminów końcowych w liceum i okazało się, że są nieco zbyt idealne. To rodzaj ponurego zadowolenia, jak gdyby w końcu znalazł dowód, że przez cały ten czas miał co do mnie rację. Ani razu nie okazał, że

jest ze mnie dumny. Mimo że nieustannie pracowałem nad sobą, starając się osiągnąć to, co mi wpoił. Mimo tego, że odniosłem tyle sukcesów.

Mina Jules, kiedy podniosła kawałek tortu. Kurwa. Domyśliła się czegoś? Ale czego? Może nadal jest tylko wkurzona o to, że drużbowie wynieśli mnie z namiotu i przerwali nasze wesele? Jestem pewien, że chodziło właśnie o to i o nic innego. A jeśli nie, to na pewno potrafię ją przekonać, że coś sobie uroiła.

Nie tak to miało wyglądać. Nagle wszystko wydaje się takie niepewne. Jakby mogło w każdej chwili runąć. Muszę wrócić do namiotu i odzyskać kontrolę. Tylko od czego zacząć?

Podnoszę wzrok i widzę swoje odbicie w lustrze. Bogu dziękować za tę twarz. Nie widać po niej ani odrobiny stresu z ostatnich kilku godzin. To moja przepustka. Zaskarbia mi zaufanie, miłość. I dlatego właśnie wiem, że ostatecznie zawsze wygram z takim koleśkiem jak Johnno. Ścieram ostatni okruszek z kącika ust, wygładzam włosy.

Uśmiecham się.

I wtedy gasną światła.

## TERAZ

### *Po ślubie*

Przykucają nad ciałem. Femi - chirurg w zwykłym życiu, które wydaje się teraz bardzo odległe - pochyla się nad ciałem, zbliża twarz do ust i nasłuchuje jakichkolwiek oznak oddechu. To na nic. Nawet gdyby był w stanie coś usłyszeć przy tym wietrze, zamglone oczy, rozwarte usta i ciemnoczerwona plama na torsie nie pozostawiają wątpliwości, że Will nie żyje.

Są tak skupieni na nieruchomym ciele, że żaden z nich nie zauważa, że nie są sami. Nikt nie spostrzega osoby na obrzeżach grupy, spowitej mrokiem. Teraz staje w świetle ich pochodni, wyłania się z ciemności, jak jakaś okropna antyczna postać - uosobienie zemsty ze Starego Testamentu. Na początku nawet go nie poznają. Widzą tylko krew.

Wygląda, jakby był w niej skąpany. Pokrywa przód jego koszuli, która teraz jest bardziej czerwona niż biała. Jego ręce są brudne aż po łokcie. Ma krew na szyi i zaschniętą na wargach, jakby ją pił.

Patrzają na niego oniemiałymi z przerażenia.

Cicho płacze. Wyciąga do nich ręce i teraz zauważają błysk metalu. Nóż jest drugą rzeczą, która przykuwa ich uwagę. Gdyby mieli czas się nad zastanowić, może by go rozpoznali. Długie, eleganckie ostrze z rękojeścią z masy perłowej, widziane ostatnio podczas krojenia tortu.

Femi jako pierwszy odzyskuje głos.

- Johnno - mówi powoli i ostrożnie. - Johnno, to już koniec. Rzuć nóż.

## WCZEŚNIEJ

*Will*

*Pan młody*

Kurwa. Znowu wysiadł prąd. Grzebię w kieszeni marynarki, szukając telefonu, i włączam latarkę, wychodząc w mrok. Potwornie wieje. Muszę pochylić głowę i zaprzeć się, żeby ruszyć z miejsca. Chryste, nie znoszę, kiedy wiatr tarmosi mi włosy. Nigdy nie przyznam się do tego na głos - nie pasowałoby to do wizerunku z *Przetrwaj noc*.

Kiedy podnoszę wzrok, żeby sprawdzić, czy idę w dobrą stronę, zdaję sobie sprawę, że ktoś zmierza w moim kierunku, celując przed siebie latarką. Widzi mnie w jej świetle, ale ja jego nie.

- Kto idzie? - pytam. Aż w końcu rozpoznaję sylwetkę. Jej sylwetkę. - O, to ty - odzywam się z ulgą.

- Witaj, Will - mówi Aoife. - Zmyłeś z siebie tort?

- Prawie. Co się dzieje?

- Znow awaria prądu - mówi. - Bardzo przepraszam. To przez pogodę. W prognozie nie mówili, że będzie aż tak źle. Nasz generator nie nadaża. Do tej pory powinien się już uruchomić ... właśnie szłam zobaczyć, co się dzieje. Ale ... może mógłbyś mi pomóc?

Wolałbym nie. Muszę wracać. Mam kilka rzeczy do zrobienia: żonę do ugłaskania, druhnę i świadka do ... załatwienia. Ale chyba żadnej z tych rzeczy nie zrobię po ciemku.

- Oczywiście - odpowiadam szarmancko. - Tak jak wspomniałem rano, jestem gotów do pomocy.

- Dziękuję. Miło z twojej strony. To tylko kilka kroków stąd. - Zbaczamy ze ścieżki i idziemy na tył pałacyku. Jesteśmy tu osłonięci od wiatru. I wtedy, o dziwo, Aoife odwraca się do mnie, choć nie dotarliśmy do niczego, co wyglądałoby jak generator. Świeci mi latarką w oczy. Wystawiam rękę.

- Mocne światło - rzucam ze śmiechem. - Czuję się jak na przesłuchaniu.

- Naprawdę? - odpowiada.

Nie opuszcza latarki.

- Proszę cię. - Zaczyna mnie to nieco irytować, ale staram się zachować zimną krew. - Aoife, razisz mnie. Nic nie widzę.

- Nie mamy zbyt wiele czasu - mówi. - Musimy to zrobić szybko.



- Co? - Przez chwilę czuję się tak, jakby proponowała mi seks. Jest bez wątpienia atrakcyjna. Zauważyłem to dziś rano, w namiocie. Tym bardziej, że próbuje to zamaskować. Jak wspominałem, zawsze mnie to pociągało - ta nieświadomość kobiety, niepewność. Nie mam bladego pojęcia, co robi z takim grubym wieprzem, jak Freddy.

Ale nawet jeśli, mam teraz za dużo na głowie.

- Po prostu chciałam ci coś wyznać - oznajmia. - Może powinnam ci była to powiedzieć, kiedy wspomniałeś o tym rano. Uznałam jednak, że to mało roztropne. Chodzi o wodorosty w pościeli. To moja sprawka.

- Wodorosty? - Patrzę w światło, próbując dojść do tego, o czym ona mówi. - Nie, nie - odpowiadam. - To musiał być któryś z družbów, bo tak robiliśmy ...

- Młodszym chłopcom w Trevellyanie. Tak. Wiem. Wiem wszystko o Trevellyanie. Nawet więcej, niżbym chciała.

- Aha ... nie rozumiem. - Serce zaczyna mi bić nieco szybciej, choć nie do końca wiem, dlaczego.

- Tak długo cię szukałam - mówi. - Ale William Slater to dość powszechne imię i nazwisko. Ale wtedy pojawiło się Przetrzeć noc. Sam się znalazłeś. Freddy natychmiast cię poznał. Nie zmieniłeś nawet formatu. Obejrzeliliśmy wszystkie odcinki.

- O czym ... ?

- Dlatego tak bardzo się starałam, żeby was tu sprowadzić - ciągnie. - Dlatego zaproponowałam wam tę kolosalną zniżkę w zamian za artykuł w magazynie twojej żony.

Myślałam, że wykaże większą czujność. Ale to chyba sprawia, że tak dobrze do ciebie pasuje. Jest na tyle uprzywilejowana, że jej zdaniem świat jest jej coś dłużny. Na pewno wiedziała, że nie ma szans, byśmy cokolwiek zarobili. Ale tak się składa, że coś jednak na tym zyskam.

- To znaczy co? - Zaczynam się przed nią cofać. To przestaje mi się podobać. Ale moja stopa ląduje na gruncie, który się pod nią zapada. But grzęźnie. Jesteśmy na krawędzi grzęzawiska. Prawie jakby tak to zaplanowała.

- Chciałam z tobą porozmawiać - mówi. - To wszystko. I do głowy nie przyszedł mi lepszy na to pomysł.

- Co ... lepszy niż rozmowy podczas wichury w grobowej ciemności?

- To właściwie doskonały moment. Pamiętasz chłopca imieniem Darcey, Will? Z Trevellyana?

- Darcey? - Światło świecące mi w twarz jest tak jasne, że nie mogę spójnie myśleć. - Nie - odpowiadam. - Raczej nie. Darcey. Czy to w ogóle chłopięce imię?

- Nazwisko Malone? Z tego, co wiem, tam posługiwaliście się tylko nazwiskami.

Teraz, gdy o tym myślę, jednak coś mi świta. Ale przecież to niemożliwe. Na pewno nie ...

- Zapewne pamiętasz go jako Lonera - mówi. - Malone - Loner. Takie dałeś mu przyzwisko, zgadza się? Nadal mam listy, które do mnie pisał. Mam je tu, na wyspie.

Przeglądałam je nawet dziś rano. Pisał mi o tobie. O tobie i Jonathanie Briggsie. Swoich „przyjaciołach”. Wiedziałam, że coś jest nie tak z tą przyjaźnią, i nic z tym nie zrobiłam. To mój krzyż. Tu jest jego grób. W miejscu, w którym byliśmy najszczęśliwsi. Wiesz, w jaki sposób zginął.

- Nie rozumiem ...

I wtedy przypominam sobie zdjęcie nastoletniej dziewczyny na plaży z białego piasku. To, przez które dogryzaliśmy mu z Johnno. Seksowna siostra. Ale to niemożliwe ...

- Nie mam czasu, żeby wszystko wyjaśniać - mówi. - Chciałabym, żeby było inaczej. Chciałabym, żebyśmy mieli czas porozmawiać. Bo tak naprawdę chciałam tylko porozmawiać, dowiedzieć się, dlaczego to zrobiłeś. Dlatego tak się starałam, żebyście tu przyjechali, żeby wasze wesele odbyło się na wyspie. Chciałam cię zapytać o tyle rzeczy. Czy pod koniec się bał? Próbowaleś go ocalić? Freddy mówi, że kiedy weszliście do sali sypialnej, wydawaliście się podekscytowani. Jakby to była zabawa.

- Freddy?

- Tak, Freddy. Lub jak wy go nazywaliście, Tłuscioch. Tylko on nie spał tamtej nocy. Myślał, że przyjdziecie po niego i zrobicie mu przetrwanie. Schował się więc i udawał, że śpi. Nie powiedział ani słowa, kiedy wynieśliście Darceya. Nigdy sobie tego nie wybaczył. Próbowалам mu wytłumaczyć, że nie ponosi żadnej winy za to, co się stało. To wy dwaj go zabraliście. Ale przede wszystkim ty. Przynajmniej twojemu przyjacielowi Johnno jest przykro z powodu tego, co zrobił.

- Aoife - odzywam się najostrożniej, jak tylko potrafię. - Nic nie rozumiem. Nie wiem ... o czym ty mówisz.

- Tylko że teraz nie muszę już zadawać tych pytań. Znam odpowiedzi. Kiedy wcześniej przyszedłam po ciebie do jaskini, uzyskałam wszystkie. Oczywiście zrodziły się nowe pytania. Na przykład, dlaczego to zrobiłeś. Skradzione arkusze egzaminacyjne? Naprawdę wydaje ci się to wystarczającym motywem, żeby odebrać chłopcu życie? Tylko dlatego, że cię nakrył?

- Przepraszam, Aoife, ale naprawdę muszę już wracać do namiotu.

- Nie - mówi.

Wybucham śmiechem.

- Jak to nie? - Używam swojego najbardziej ujmującego głosu. - Posłuchaj. Nie masz żadnego dowodu na potwierdzenie swoich słów. Bo nie ma takiego. Bardzo mi przykro z powodu twojej straty. Nie wiem, co

sobie myślisz. Ale cokolwiek to jest, to i tak nic z tego nie wyjdzie. Twoje słowo przeciwko mojemu. Chyba oboje wiemy, komu ludzie uwierzą. Z oficjalnych dokumentów wynika, że to był tylko tragiczny wypadek.

- Spodziewałam się, że tak właśnie powiesz - mówi. - Wiem, że się nie przyznasz. Wiem, że tego nie żałujesz. Słyszałam w jaskini. Tamtej nocy odebrałeś mi wszystko.

Tamtej nocy skończyło się życie mojej matki. Kilka lat później mój ojciec zmarł na zawał. Wykończył go ciężar żałoby.

Powtarzam sobie, że się jej nie boję. Nie posiada nade mną żadnej władzy. Mam tu poważniejsze rzeczy do załatwienia - rzeczy z prawdziwymi konsekwencjami. A to jest tylko zgorzkniała, zagubiona kobieta ...

I wtedy coś zauważam. Błysk metalu w jej wolnej dłoni.

## TERAZ

*Johnno*

*Świadek*

Nie mogłem go uratować.

Nie powinienem był wyciągać noża, wiem o tym. Pewnie tylko wzmogłem tym krwawienie.

Chciałem im to wytłumaczyć, kiedy zastali mnie w ciemności. Femiemu, Angusowi i Duncanowi. Ale nie chcieli słuchać. Dzierżyli płonące pochodnie jak broń, jakbym był dzikim zwierzęciem. Krzyczeli, wrzeszczeli do mnie, żebym rzucił nóż, żebym go PUŚCIŁ, a w mojej głósie panował straszny hałas. Nie potrafiłem wydobyć z siebie żadnych słów. Nie mogłem im więc powiedzieć, że to nie ja. Nie mogłem wytłumaczyć.

Wytłumaczyć, jak w środku wichury próbowałem tu przeczekać zjazd po prochach od Petera Ramsaya.

Jak wtedy zgasły światła.

Jak znalazłem tu Willa po ciemku. Jak nachyliłem się nad nim, zobaczyłem nóż w jego torsie, który jakby z niego wyrastał, wbity tak głęboko, że nie było widać ostrza. Jak zdałem sobie sprawę, że mimo wszystko nadal go kochałem. Jak przytuliłem go do siebie i płakałem.

Pozostali druzbnowie mnie otoczyli. Trzymali mnie jak zwierzę, aż na wyspę przyплыnęli Gardai. Widziałem w ich oczach, jak się mnie boją. Jak myślę, że nigdy nie byłem jednym z nich.

Gardai już tu są. Zakuli mnie w kajdanki, zaarrestowali. Zabiorą mnie na łód. Postawią przed sądem za zamordowanie najlepszego przyjaciela.

Tak, myślałem o tym w jaskini. O zabiciu Willa. Mogłem podnieść jeden z kamieni. Był taki moment, w którym naprawdę to rozważałem. W którym wydawało mi się, że to będzie najprostsze wyjście. Najlepsze.

Ale nie zabiłem go. Wiem o tym - mimo że wszystkie myśli trochę się rozmyły po pastylce od Petera i mam w pamięci kilka białych plam. Nie było mnie nawet w namiocie, więc skąd wziąłem nóż? Dla policjantów to jednak nie problem.

Tak czy inaczej, nie uważam siebie za mordercę.

Tylko że nim jestem, prawda? Ten chłopak sprzed lat. To ja przywiązałem go do barierki. Pomysł był Willa, ale to ja to zrobiłem. I nawet jeśli powiem, że byłem zbyt głupi, żeby przemyśleć wszystkie konsekwencje, nie jest to przecież żadną wymówką.

Czasem myślę o tym, co zobaczyłem w noc przed ślubem. O tym czymś, tej postaci przycupniętej w moim pokoju. Oczywiście nie ma sensu nikomu o tym opowiadać.

Wyobraźcie sobie tylko: „To nie ja! Will został zadźgany wielkim nożem do tortu przez ducha chłopca, którego razem zabiłszy - chyba widziałem go w swoim pokoju w noc przedślubną". Nie brzmi przekonująco, prawda? Zresztą większe prawdopodobieństwo, że to, co zobaczyłem, wydobyło się z mojej głowy. Miałoby to sens, bo ten chłopiec w pewien sposób mieszka tam od lat.

Myślę o celi w więzieniu, która na mnie czeka. Ale jeśli się nad tym zastanowić, jestem w więzieniu od tamtego ranka, kiedy przyszedł przyływ. Może zwyczajnie w końcu dogoniła mnie sprawiedliwość. Ale nie zabiłem swojego najlepszego przyjaciela, co oznacza, że zrobił to ktoś inny.

## ***Aoife***

### *Organizatorka ślubów*

Unoszę nóż. Powiedziałam Freddy'emu, że chcę tu ściągnąć Willa tylko po to, by z nim porozmawiać. Na początku było to prawdą. Może to słowa podsłuchane w jaskini zmieniły moje zamiary: brak skruchy.

Cztery życia zniszczone w jedną noc. Jedno winne życie jako rekompensata za niewinne: wydaje mi się, że to bardzo uczciwa wymiana.

Mam nadzieję, że Will widzi ostrze odbijające światło latarki. Chcę, by przez moment ten złoty, nietykalny chłopak poczuł maleńki fragment tego, czego mógł doświadczyć mój młodszy brat tamtej nocy, gdy leżał na plaży, czekając na nadejście przyływu. Panicznie się go bojąc. Chcę, by bał się, jak nigdy wcześniej. Cały czas oświetlam latarką jego i jego coraz większe oczy.

I wtedy wbijam w niego nóż za mojego brata. Prosto w serce.

*Poruszyłam piekło.*

## EPILOG

### KILKA GODZIN PÓŹNIEJ

*Olivia*

*Druhna*

Wiatr w końcu ustał. Przyjechała irlandzka policja. Siedzimy w namiocie, bo chcą, żebyśmy byli zebrani w jednym miejscu. Tłumaczą nam, co się stało i co znaleźli. Kogo znaleźli. Wiemy, że ktoś został aresztowany, ale nie wiemy, kto.

Zadziwiająco, jak niewiele hałasu potrafi zrobić stu pięćdziesięcioosobowa grupa. Ludzie siedzą przy stolikach i rozmawiają szeptem. Niektórzy owinięci są foliowymi kocami ze względu na chłód i szok, a te robią większy hałas niż głosy i szeleszczą z każdym ruchem.

Nie odezwałam się do nikogo, nie odkąd staliśmy nad klifem. Mam wrażenie, że ukradziono mi wszystkie słowa.

Przez wiele miesięcy myślałam tylko o nim. A teraz mówią, że on nie żyje. Nie jestem z tego zadowolona. A przynajmniej tak mi się wydaje. Jestem jeszcze w szoku.

To nie ja to zrobiłam. Ale mogłabym. Pamiętam, co czułam, gdy widziałam Willa po raz ostatni, podczas krojenia tortu. Gdy zobaczyłam ten nóż ... Ta myśl była w mojej głowie. Trwało to tylko kilka sekund. Ale naprawdę o tym pomyślałam, poczułam, na tyle mocno, że jakaś część mnie zastanawia się, czy aby na pewno tego nie zrobiłam, tylko wyparłam to ze swojej głowy. Boję się spojrzeć na kogokolwiek, bo może widać to na mojej twarzy.

Podskakuję złęknioma, gdy czuję czyjąś dłoń na swoim nagim ramieniu. Podnoszę wzrok. To Jules, z foliowym kocem narzuconym na suknię ślubną. Na niej wygląda tak, jakby to była część stroju - peleryna wojowniczej księżniczki. Jej usta zaciśnięte są w tak wąską linię, że właściwie zniknęły, a jej oczy błyszczą. Trzyma dłoń na moim ramieniu i mocno ją zaciska.

- Wiem - szepcze. - O nim ... o tobie.

O Boże. Czyli po tylu rozważaniach, czy powiedzieć jej, czy nie, sama się jakoś tego domyśliła. I mnie nienawidzi. Na pewno. Widzę to. Wiem, że nie mogę nic zrobić, by zmienić zdanie Jules, kiedy już coś postanowi. Nie mogę nic powiedzieć.

Następuje jakaś zmiana i wydaje mi się, że widzę w jej twarzy coś nowego.

- Gdybym wiedziała ... - Widzę, jak jej wargi formują słowa, lecz ich nie słyszę. - Gdybym ... - Milknie, przełyka. Zamyka oczy na długi czas, a kiedy znów je otwiera, widzę, że są pełne łez. Wtedy wyciąga do mnie ręce. Wstaję i daję się jej przytulić. Moje ciało się napina, gdy czuję, jak zaczyna się trząść. Zdaję sobie sprawę, że płacze. Wydaje z siebie głośne, zacięte łkanie. Nie pamiętam, kiedy ostatnio Jules płakała. Nie pamiętam, kiedy ostatnio przytulałyśmy się w ten sposób. Może nigdy. Zawsze był między nami jakiś dystans. Ale na moment znika. I pośród tylu innych rzeczy, wśród szoku i traumy całego tego wieczoru, jesteśmy tylko my. Moja siostra i ja.

## NASTĘPNEGO DNIA

### *Hannah*

Osoba towarzysząca Charlie i ja jesteśmy na łodzi płynącej z powrotem na ląd. Większość gości wyruszyła przed nami, rodzina zostaje na wyspie. Pogoda się przejaśniła i promienie słoneczne odbijają się od wody, ale wyspa wciąż znajduje się w cieniu ciężkiej chmury. Zdaje się tam czaić jak wielka czarna bestia polująca na kolejny posiłek. Odwracam się od niej.

Tym razem kołysanie łodzi w ogóle mi nie przeszkadza. Lekkie nudności to nic w porównaniu z głęboką chorobą duszy, którą poczułam, dokonując wczorajszego odkrycia - że Will doprowadził do śmierci mojej siostry.

Myślę o tym, jak kurczowo trzymałam się Charliego, gdy płynęliśmy w przeciwnym kierunku zaledwie czterdzieści osiem godzin wcześniej, jak się razem śmialiśmy, mimo że tak potwornie się czułam. To wspomnienie boli.

Charlie i ja ledwie zamieniliśmy słowo. Ledwie na siebie patrzymy. Chyba każde z nas jest pogrążone w swoich myślach, odtwarzając w nich naszą ostatnią rozmowę, zanim wszystko się wydarzyło. I nie wydaje mi się, żebym miała energię, by z nim teraz rozmawiać, nawet gdybym chciała. Czuję, że jestem w fizycznej i emocjonalnej rozsypce ... jestem zbyt zmęczona, żeby nawet próbować poukładać swoje myśli, zastanowić nad tym, co czuję. To jasne, że wczoraj w nocy nikt nie zmrugał oka, ale chodzi o coś więcej.

Będziemy musieli się ze wszystkim zmierzyć, kiedy wrócimy do domu. Będziemy musieli zobaczyć, gdy wrócimy do rzeczywistości, czy da się naprawić to, co zniszczył ten weekend. Szkody są ogromne.

Ale z tych gruzów wyłoniła się jedna rzecz. Znalazł się brakujący element układanki. Nie nazwałabym tego zamknięciem rozdziału, bo rana nigdy w pełni się nie wygoi.

Jestem zła, że nie miałam szansy stanąć z nim twarzą w twarz. Ale dostałam odpowiedź na pytanie, które zadawałam sobie od śmierci Alice. Można powiedzieć, że ten, kto zabił Willa, pomścił także moją siostrę. Szkoda tylko, że nie miałam szansy sama wbić w niego noża.



## Podziękowania

Dziękuję moim redaktorkom Kim Young oraz Charlotte Brabbin: ta książka to wspólny wysiłek - do tego stopnia, że wasze nazwiska powinny się pojawić na okładce wraz z moim. Dziękuję za to, że zawsze motywujecie mnie do oddania jak najlepszego tekstu, i za waszą niesłabnącą wiarę we mnie i moje pisarstwo, którą obdarzacie mnie od pierwszej książki i bez względu na gatunek, w którym tworzę. To naprawdę rzadka i wyjątkowa rzecz.

Mojej agentce Cath Summerhayes: odbyłyśmy wspólnie niezłą podróż! Dziękuję, że jesteś najbardziej pracowitą osobą, jaką znam (wspólnie z kobietami wymienionymi powyżej!) i że zachwalasz mnie i moje książki przy każdej możliwej okazji. Dziękuję Ci też, że tak dobrze się z Tobą bawię.

Kate Elton i Charlie Redmayne - dziękuję Wam za nieprzerwane wsparcie i za wiarę we mnie i moje pisarstwo.

Luke'owi Speedowi - wspomniałemu agentowi filmowemu i przeuroczemu człowiekowi - dziękuję za wizję i mądrość.

Jen Harlow - przeuroczej, najcieplejszej, najbardziej zaangażowanej specjalistce od reklamy, jaką znam - dziękuję za ciężką pracę, pomysłowość i to, że taka z niej świetna towarzyszka podróży!

Dziękuję Abbie Salter za marketingowe czary - nie ustaję w zachwytach nad twoją kreatywnością i innowacyjnością. Nie mogę się doczekać, by zobaczyć, co wyczarujesz w przypadku tej książki.

Izzy Coburn, bardzo się cieszę, że mogłyśmy razem pracować. Dwie dziewczyny ze Slindon nieźle się spisały. Dziękuję za to, że jesteś taka genialna.

Dziękuję Patricii McVeigh za kibicowanie moim książkom w Irlandii z takim zaangażowaniem i mam nadzieję, że czeka nas więcej wspólnych przygód na Szmaragdowej Wyspie!

Claire Ward, jestem pod ogromnym wrażeniem twojej umiejętności ujęcia całej esencji książki w zachwycająco prostych projektach okładek. Jesteś prawdziwą wizjonerką.

Dziękuję Fionnuali Barret za to, że wiedziała dużo lepiej ode mnie, jak będą brzmiały głosy w tej powieści! Dziękuję też za to, że wraz z rodziną sprawdziła mój irlandzki!

Dziękuję wymarzonej ekipie z HarperCollins: Rogerowi Cazaletowi, Grace Dent, Alice Gerner, Damonowi Greeneyowi, Charlotte Cross, Laurze Daley i Cliffowi Webbowi.

Dziękuję Katie McGowan i Callumowi Mollisonowi za znalezienie moim książkom domów na całym świecie!

Dziękuję Sheili Crowley za wsparcie. Jesteś wspiana!

Sile Edwards i Annie Weguelin dziękuję za ciężką pracę i panowanie nad tą niezbyt dobrze zorganizowaną pisarką!

Dziękuję księgarniom Waterstones i ich sprzedawcom za zaangażowanie, osobistą sprzedaż książek i tworzenie zachwycających ekspozycji sklepowych. Szczególnie dla Angie Crawford, kierowniczkii działu zakupów ze Szkocji i najlepszej osoby do odbycia podróży po tym kraju - jestem niezwykle wdzięczna za twój czas i nieustające wsparcie.

Na podziękowania zasługuje także Ryan Tubridy za to, że znalazł czas, by przeczytać tę powieść, i że powiedział o niej wiele miłych rzeczy.

Wszystkim czytelnikom, którzy przeczytali tę książkę i powiedzieli mi, że się im podobała - czy odkryliście ją poprzez NetGalley, otrzymaliście kopię pocztą lub kupiliście ją w księgarni. Uwielbiam wasze wiadomości - nie potrafię wyrazić, jak wielką sprawiają mi radość.

Dziękuję rodzicom za dumę i miłość. Za to, że tak dobrze się mną opiekowali, kiedy tego potrzebowałam. I za to, że od samego początku zachęcali mnie do robienia tego, co kocham najbardziej.

Dziękuję Kate, Maksowi, Robbiemu i Charliemu, za to, że dzięki nim życie jest frajdą, i za wsparcie.

Liz, Pete, Dom, Jen, Anna, Eve, Seb i Dan - dziękuję Wam za miłość i wsparcie, za dzielenie się nowinami i za ekscytację w związku z ręcznie rysowanymi kartami!

Dziękuję irlandzkim i angielskim kuzynom z rodziny Foleyów i Allenów. Są to (kolejność przypadkowa): Wendy, Big O, Will, Oliver, Lizzy, Freddy, George, Martin, Jackie, Jess, Mike, Charlie, Tinky, Howard, Jane, Inez, Isabel, Paul, Ina, Liam, Phillip, Jennifer, Charles, Aileen i Eavan.

Na koniec dziękuję Alowi, który zawsze jest moim pierwszym czytelnikiem. Dziękuję za wszystko, co robisz - nieustające wsparcie i doping, chęć do tego, by spędzić sześciogodzinną podróż autem na opracowywaniu pomysłu na nową książkę, za wyciąganie mnie z otchłani rozpaczony wywołanych przez dziurę w fabule, za spędzenie całego weekendu na czytaniu pierwszej wersji. Nie ukończyłabym tej książki bez Ciebie.

## Przypisy

[1] *Connemara* - region w zachodniej części Irlandii, ważny ośrodek kultury tradycyjnej, w którym część ludności wciąż posługuje się językiem irlandzkim (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

[2] *Liberty* - luksusowy dom towarowy w Londynie, założony w XIX wieku.

[3] *Lake District* - region w Kumbrii, w północno-zachodniej Anglii, obfitujący w jeziora i góry, jego część stanowi park narodowy

[4] *MILF* (z ang. *mother I'd like to fuck* - matka, którą chciałbym zerznąć) - atrakcyjna, dojrzała kobieta, która jest w takim wieku, że mogłaby mieć dorosłe dziecko. Skrót wywodzi się ze slangu w branży porno, ale przyjął się w języku młodzieżowym.

[5] *Mail Online* - internetowa wersja jednego z największych brytyjskich brukowców, „*The Daily Mail*”

[6] *Savile Row* - ulica w Londynie, na której mieści się wiele ekskluzywnych atelier krawieckich zajmujących się szyciem najwyższej klasy garniturów na zamówienie.

[7] *Fascynator* - formalne damskie nakrycie głowy ozdobione piórami, woalką kokardami lub kwiatami, noszone na ważne uroczystości. Często zwany kapeluszem koktajlowym.